

# DZIEWCZYNA, KTÓRĄ NIGDY NIE BYŁAM

*Do połknięcia w całości!  
Pierwszy raz w życiu  
przegapiłam kolację.*  
NIGELLA LAWSON

# CAITLIN MORAN

*Ciepła, dowcipna,  
niegrzeczna.*  
SUNDAY TIMES

ŚWIATOWY BESTSELLER



DZIEWCZYNA,  
KTÓRĄ NIGDY  
NIE BYŁAM

**CAITLIN  
MORAN**

przełożyła Joanna Golik-Skiłał

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2016

Tytuł oryginału:  
*HOW TO BUILD A GIRL*

Redakcja:  
Igor Mazur

Projekt okładki:  
© Suzanne Dean

Adaptacja okładki:  
Magdalena Zawadzka

Zdjęcie na okładce:  
© Ellis Buttrey

Zdjęcie autorki:  
© Gareth Iwan Jones

Korekta:  
Małgorzata Denys, Maciej Korbaśiński

Redaktor prowadzący:  
Małgorzata Głodowska

Copyright © 2014, Caitlin Moran  
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-156-7

**Wydawnictwo** **Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**  
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa  
**CZARNA** [www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)  
**OWCA** Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl) Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)  
Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Mojej matce i mojemu ojcu,  
którzy na szczęście w niczym nie przypominają  
rodziców z tej książki  
i pozwolili mi zbudować siebie tak,  
jak tego chciałam*

## Od autorki

Książka ta jest dziełem literackim. Pojawiają się w niej od czasu do czasu prawdziwi muzycy i realnie istniejące miejsca, ale cała reszta – postaci, to, co robią i mówią – jest jedynie produktem mojej wyobraźni.

Podobnie jak Johanna pochodzę z licznej rodziny, dorastałam w domu komunalnym w Wolverhampton i będąc nastolatką, zaczynałam karierę zawodową jako dziennikarka muzyczna. Jednak Johanna to nie ja. Jej rodzina, koledzy z pracy, ludzie, których spotyka, to nie moja rodzina, nie moi koledzy ani ludzie, których spotkałam, a jej doświadczenia nie są moimi doświadczeniami.

To powieść i wszystko w niej jest fikcyjne.

CZĘŚĆ PIERWSZA

**pusta strona**

## Rozdział pierwszy

Leżę w łóżku, a obok mnie śpi sobie słodko mój sześciolatek brat Lupin. Mam czternaście lat i nie śpię. Onanizuję się. Spoglądam na mojego brata i wspomniałomyślnie stwierdzam, że tego właśnie by chciał. Chciałby, abym była szczęśliwa. Przecież mnie kocha i nie chce, żebym się stresowała. Ja też go kocham, ale muszę przestać o nim myśleć podczas masturbacji. Tak nie można. Próbuję dojść. Muszę trzymać rodzeństwo z dala od mojej strefy seksualnej. I choć śpimy dziś razem – Lupin gdzieś o północy zląkł z płaczem ze swojego piętrowego łóżka i położył się obok mnie – do mojej strefy seksualnej wejść nie może. Musi opuścić moją świadomość. Muszę to zrobić sama, przemawiam do niego stanowczo w myślach i kładę między nami poduszkę, żeby zachować choć dozę prywatności. To taki nasz mały mur berliński. Świadome seksualnie nastolatki po jednej stronie (Niemcy Zachodnie), sześciolatek chłopcy po drugiej (komunistyczna Europa). Pewnych granic nie można przekraczać. Po prostu nie wypada.

Nic dziwnego, że się masturbuję – dzień był bardzo stresujący. Staruszek znowu nie został sławny. Po dwóch dniach nieobecności wrócił do domu w porze obiadowej, ramieniem obejmując jakiegoś młodego, niechlujnego, przyszczatego gościa w cienkim, szarym, błyszczącym garniturze i różowym krawacie.

– Ten kutas – czule rzekł mój ojciec – to nasza przyszłość. Przywitajcie się z przyszłością, dzieciaki.

Grzecznie przywitaliśmy się z kutasem, naszą przyszłością. W przedpokoju, w oparach guinnessa, ojciec poinformował nas, że ów młody mężczyzna to niejaki Rock Perry, łowca talentów muzycznych z londyńskiego studia nagraniowego, „znany również jako Ian”.

Znów skierowaliśmy nasz wzrok na mężczyznę siedzącego na naszej starej, walącej się różowej sofie w dużym pokoju. Rock był bardzo pijany, twarz chował w dłoniach, a krawat miał zawiązany tak ciasno, jakby ktoś próbował go na nim powiesić. Nie

kojarzył się z przyszłością. Wyglądał raczej jak rok 1984, co na początku lat dziewięćdziesiątych było już zamierzchłą przeszłością – nawet w Wolverhampton.

– Rozegrajcie to dobrze, a będziemy, kurwa, milionerami – głośno szepnął ojciec.

Pobiegłam z Lupinem do ogrodu, żeby to uczcić. Bawiąc się na huśtawce, planowaliśmy naszą przyszłość.

Tymczasem mama i mój starszy brat Krissi zostali w domu. Już kiedyś widzieli, jak przyszłość wchodziła do naszego salonu, a później z niego wychodziła. Za każdym razem przyszłość inaczej się nazywa, inaczej wygląda, ale jedno nigdy się nie zmienia – zawsze przychodzi do naszego domu po pijaku. Ten stan nietrzeźwości należy podtrzymać, bo trzeba nakłonić przyszłość, żeby wychodząc, zabrała nas ze sobą. Musimy ucześcić się jej futra jak rzep – całą naszą siódemką – i wyjechać na jej grzbiecie z tego naszego małego domku do Londynu, tam gdzie nasze miejsce, gdzie czekają nas sława, bogactwo i imprezy.

Do tej pory to się nie udawało. Ostatecznie przyszłość zawsze odchodziła bez nas. I tak już tkwimy na tym osiedlu w Wolverhampton od trzynastu lat, czekając na cud. Pięcioro dzieci – nieplanowane bliźnięta mają trzy tygodnie – i dwoje dorosłych. Musimy się stąd wkrótce wynieść. Boże, musimy się wyrwać z tego miejsca. Nie możemy być dłużej biedni i niesławni. Lata dziewięćdziesiąte to nie jest dobra pora na bycie biednym i niesławnym.

Tymczasem w domu źle się dzieje. Matka, sycząc, wydaje mi polecenia:

– Idź do kuchni i dorzuć zielonego groszku do bolognese! Mamy gości!

Przynoszę więc Rockowi talerz makaronu, lekko przy tym dygając, a on napycha nim usta z pasją człowieka, który za wszelką cenę chce wytrzeźwieć, z niewielką pomocą zielonej rośliny strączkowej.

I wtedy przed Rockiem, trzymającym na kolanach talerz z gorącą strawą, staje lekko chwiejący się ojciec – zaczyna swoją prezentację, którą my, domownicy, znamy już na pamięć. „Prezentacji się nie przedstawia – powtarzał nam wielokrotnie staruszek. – Prezentacją się jest. Prezentację można uznać za udaną, jeśli odbiorcy poczują, że jesteś jednym z nich”.

Wisząc nad gościem, ojciec dzierży w ręku kasetę.



– Synu – powiada. – Pozwól, że się przedstawię. Jestem człowiekiem, który może nie ma pieniędzy – co się wkrótce zmieni, he, he – ale ma dobry gust. Sprowadziłem cię dziś w to miejsce, żeby przekazać ci pewną prawdę. Otóż nie byłoby nas tutaj, gdyby nie trzech mężczyźni – mówi, próbując otworzyć pudełko z kasetą spuchniętymi od przepicia palcami. – Trójca Święta. Alfa, epsilon i omega wszystkich prawomyślnych ludzi. Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. Trzej mężczyźni, których kocham. Trzej panowie na B: Bob Dylan, Bob Marley i Bob Lennon. – Rock Perry gapi się na tatę tak samo skonsternowany jak my, gdy pierwszy raz usłyszeliśmy ten wywód. – I wiesz, co każdy muzyk na ziemi próbuje teraz zrobić? – ciągnie tata. – Doczekać chwili, kiedy będzie mógł podejść do tych skurwieli w pubie i powiedzieć: „Słyszę cię, bracie, słyszę cię. Ale czy ty mnie słyszysz?”. Powiedzieć im: „Jesteś bawolim żołnierzem, Bobby. Jesteś Panem Tamburynem, Bobby. Jesteś, kurwa, morsem, Bobby. Wiem to. Ale ja – ja jestem Pat Morrigan. I jestem tym”. – Wtedy ojciec wyjmuje kasetę z pudełka i wymachuje nią przed twarzą Rocka Perry’ego. – Stary, wiesz, co to jest? – pyta.

– Dziewięćdziesiątka? – odpowiada pytająco Rock.

– Synu, to ostatnie piętnaście lat mojego życia – rzecze ojciec. Wręcza Rockowi kasetę. – Wcale tak nie wygląda, prawda? Nie pomyślałbyś, że możesz trzymać czyjeś życie w dłoniach. Ale właśnie trzymasz. I myślę, że jesteś teraz, kurwa, panem. Czujesz, że jesteś panem?

Rock Perry w osłupieniu przygląda się trzymanej w dłoniach kasecie. Wygląda raczej na kogoś, kto nie wie, o co chodzi.

– A wiesz, co zrobi z ciebie króla? Wydanie tego i sprzedanie dziesięciu milionów egzemplarzy na płycie kompaktowej – powiada nasz tata. – To jest jak alchemia, która zmieni nasze życie. Każdy z nas będzie miał po trzy jachty, lamborghini i nie będziemy mogli się opędzić od lasek. Muzyka, bracie, jest jak magia. Muzyka może odmienić twoje życie. Ale zanim do tego dojdzie, Johanna, przynieś panu coś do picia.

Te ostatnie słowa były do mnie.

– Do picia? – upewniam się.

– Z kuchni, z kuchni – mówi poirytowany. – Zrób panu drinka w kuchni, Johanna.

Idę do kuchni, gdzie zastaję zmęczoną mamę z dzieckiem na rękę.

– Idę się położyć – mówi.

– Ale tata ma zaraz podpisać kontrakt płytowy! – tłumaczę.

Mama wydaje z siebie dźwięk, z jakiego wkrótce zasłynie Marge Simpson.

– Prosił, żebym zrobiła Rockowi Perry’emu drinka – wyjaśniam tonem, który ma dać matce do zrozumienia, że sprawa jest dosyć pilna. – Ale my nie mamy żadnego alkoholu, prawda?

Matka, ślaniając się ze zmęczenia, pokazuje na kredens, gdzie stoją dwie szklanki w połowie wypełnione guinnessem.

– Wyniósł je z baru. W kieszeniach – mówi. – Ten kij do bilardu też. – Ruchem ręki wskazuje na oparty o piec kij bilardowy skradziony z baru Red Lion. Pasuje do naszego domu jak świni siodło. – Miał go w spodniach. Nie wiem, jak to robi – wzdycha. – Wciąż jeszcze mamy ten, który przyniósł ostatnim razem.

To prawda. Mamy już jeden skradziony kij bilardowy. A że nie mamy stołu do bilardu – nawet tata nie potrafi go ukraść – Lupin używa go jako laski Gandalfa, kiedy bawimy się we *Władcę Pierścieni*.

Rozmowę o kijach bilardowych przerywa dochodzący z salonu rozdzierający uszy dźwięk muzyki. Od razu rozpoznaję piosenkę – to najnowsze demo taty, utwór pod tytułem *Dropping bombs*. To znak, że przesłuchanie właśnie się rozpoczęło.

Jeszcze do niedawna *Dropping bombs* było balladą w średnim tempie, ale potem tata odkrył tryb reggae na organkach Yamahy: „Guziczek Boba Marleya! Tak! Dajesz! Wciskamy!” – i odpowiednio je przerobił.

To jeden z „politycznych” songów taty. Niezwykle poruszający. Pierwsze trzy wersy napisane są z perspektywy bomby atomowej zrzuconej na kobiety i dzieci w Wietnamie, Korei i Szkocji. Przez trzy pierwsze wersy bomba spokojnie wyobraża sobie zniszczenie, jakiego dokona – o tym zniszczeniu opowiada tata, korzystając z funkcji mikrofonu, która przekształca jego głos w głos robota.

„Skóra wam się przypali / a lud będzie się żalił / zadając sobie pytanie / czemu ziemia z ciał gotuje sobie posłanie” – smutno zawodzi bomba głosem robota.

W ostatnim wersie bomba nagle zdaje sobie sprawę, że postępuje źle, buntuje się przeciwko amerykańskim siłom zbrojnym, które ją skonstruowały, i postanawia wybuchnąć w połowie drogi, deszczem tęcz spadając na skulonych ze strachu ludzi.

„Kiedyś ludzie padali trupem – teraz ludzie padają z wrażenia” – głosi refren w akompaniamencie wpadającego w ucho riffu na organach Yamahy numer 44 „fletnia orientalna”.

Tata uważa, że to jego najlepszy utwór. Grał go nam co wieczór przed snem, dopóki Lupin nie zaczął mieć koszmarów. Śniły mu się płonące dzieci i znów zaczął się moczyć.

Idę do pokoju, niosąc dwie do połowy opróżnione szklanki guinnessa; dygam, spodziewając się, że zastanę Rocka Perry’ego zachwyconego *Dropping bombs*. Zamiast tego zastaję tatę krzyczącego na Rocka Perry’ego.

– To nie w porządku! – drze się zagłuszany przez muzykę. – Tak się nie robi!

– Przykro mi – powiada Rock. – Nie chciałem.

– Nieee – mówi tata, wolno kiwając głową. – Nieee. Tak nie można powiedzieć. Po prostu nie i już.

Krissi, który cały czas siedział na kanapie – trzymając w rękach keczup, na wypadek gdyby Rock Perry poprosił o sos pomidorowy – szeptem zdaje mi relację. Okazuje się, że Rock Perry porównał *Dropping bombs* do *Another Day in Paradise* Phila Collinsa, no i tata wpadł w furję. Co mnie akurat dziwi, bo tata nawet lubi Phila Collinsa.

– Ale on nie jest Bobem – mówi tata przez zaciśnięte usta, w których zaczyna pojawiać się piana. – Ja mówię o rewolucji, a nie o jakimś pieprzonym popowym albumie. *No jackets required* <sup>1</sup>. W dupie mam marynarki. Ja nie mam żadnej marynarki. Nie wymagam od ciebie, żebyś nie żądał od innych włożenia marynarki.

– Przepraszam. Chciałem tylko powiedzieć, że właściwie to lubię Phila Collinsa...

– mówi żałośnie Rock. Ale tata już wyjmuję mu z rąk talerz makaronu i popycha go w kierunku drzwi.

– No to idź stąd, skurwielu – mówi. – No już, ty gnoju. Wypierdalaj stąd.

Rock staje niepewnie w progu, zastanawiając się, czy tata żartuje, czy może jednak nie.

– Spierdalaj, mówię. Wy-pier-da-laj.

Akcentuje trochę jak Chińczyk. Nie bardzo wiem dlaczego.

W przedpokoju mama podchodzi do Rocka.

– Przepraszam – mówi z wyćwiczoną miną. Rozgląda się dokoła, zastanawiając się,

jak by tu załagodzić zaistniałą sytuację. Po czym bierze kiść bananów ze skrzynki z podłogi. Zawsze kupujemy mnóstwo owoców w hurtowni. Ojciec ma sfalszowaną kartę, która zapewnia sprzedawcę, że nasz tata jest właścicielem małego sklepu spożywczego w wiosce Trysull. Tata nie ma żadnego sklepiku w Trysull. – Proszę, niech pan je weźmie.

Przez chwilę Rock Perry wpatruje się w mamę wręczającą mu kiść bananów. Mama jest na pierwszym planie. W dali widać ojca, który podkręca dźwięk wieży stereo na cały regulator.

– Może jednego? – mówi Rock Perry, próbując zachować zdrowy rozsądek.

– Proszę – nalega mama, wciskając mu w dłoń całą kiść.

Rock Perry bierze banany i wychodzi, wyraźnie oszołomiony. Nie jest jeszcze w połowie drogi do bramy, gdy w drzwiach staje tata.

– Bo to jest moja muzyka! – krzyczy do Rocka.

Rock delikatnie przyspiesza kroku i szybko przechodzi na drugą stronę ulicy, wciąż trzymając w ręku banany.

– To jest moja muzyka! To jestem ja! – krzyczy dalej tata. W oknach sąsiednich domów poruszają się firanki. Pani Forsyth wyszła przed drzwi i robi tę swoją minę, która ma wyrażać dezaprobatę. – To jest, kurwa, moja muzyka! To moja dusza!

Rock Perry dociera na przystanek po drugiej stronie ulicy i chowa się za krzakiem. Siedzi tam aż do przyjazdu autobusu 512. Wiem, bo idziemy z Krissim na górę i obserwujemy go z okna naszego pokoju.

– Szkoda tych sześciu bananów – mówi Krissi. – Mógłbym je jeść z płatkami przez cały tydzień. A tak znów będą te mdłe, nijakie śniadania. Super!

– Moje, kurwa, serce! – ojciec drze się za odjeżdżającym samochodem, waląc przy tym pięścią w pierś. – Wiesz, co tu zostawiasz?! Moje, kurwa, serce!

Pół godziny później, po tym, jak *Dropping bombs* kończy się triumfalnym dwunastominutowym finałem – ojciec znowu wychodzi.

Idzie utopić smutki w tym samym pubie, w którym znalazł Rocka Perry'ego.

– Może chce sprawdzić, czy Rock nie zostawił tam swojego brata bliźniaka, którego też mógłby obrazić – mówi Krissi z sarkazmem.

Staruszek wraca dopiero o pierwszej w nocy. Zawsze wiemy, kiedy wraca, bo słyhać, jak przywala furgonetką w drzewo przy wjeździe. Puszczą sprzęgło, a ze skrzyni biegów wydobywa się zgrzyt. Znamy dźwięk puszczonego sprzęgła w volkswagenie, słyszeliśmy go już wiele razy.

Gdy rano po przebudzeniu schodzimy na dół, na środku salonu stoi duży betonowy posąg w kształcie lisa, tyle że bez głowy.

– To dla waszej mamy z okazji rocznicy ślubu – wyjaśnia tata, siedząc na schodku przy wejściu do domu. Pali papierosa i ma na sobie mój szlafrok, który jest na niego za mały. Spod szlafroka wystają mu jądra. – Kocham waszą matkę jak cholera. – Zaciąga się i spogląda w niebo. – Pewnego dnia będziemy żyć jak królowie. Jestem bękartem Brendana Behana i ci wszyscy skurwiele będą mi się jeszcze kłaniać.

– A co z Rockiem Perrym? – pytam po dłuższej chwili, kiedy oboje kontemplujemy tę nieuniknioną przyszłość. – Spotkasz się z nim jeszcze?

– Dziecko, ja się nie zadaję ze ściemniaczami – mówi kategorycznie, zakrywając ją szlafrokiem i robiąc kolejnego macha.

Potem dowiadujemy się – od wujka Aleda, który ma znajomości tu i tam – że Rock Perry tak naprawdę ma na imię Ian, wcale nie jest łowcą talentów z wytwórni płytowej, tylko sprzedawcą sztuków z Sheffield, i jedyny deal, jaki moglibyśmy z nim zrobić, to kupić na raty komplet osiemdziesięciu ośmiu powlekanych sztuków wartości pięćdziesięciu dziewięciu funtów.

Dlatego właśnie, leżąc obok Lupina, cichutko się onanizuję. Po części ze stresu, a trochę dlatego, że to przyjemne. Bo jestem – jak napisałam w moim pamiętniku – „beznadziejną romantyczką”. Skoro nie mogę pójść na randkę z chłopakiem – mam czternaście lat, a nigdy z żadnym się nie umówiłam – mogę chociaż umówić się z samą sobą. Na randkę do łóżka, na brandzłowanko.

Dochodzę, myśląc o Herbercie Violi z serialu *Na wariackich papierach*, koleśiu, który moim zdaniem ma ładną twarz. Naciągam z powrotem koszulę, całuję śpiącego Lupina i zasypiam.

## Rozdział drugi

Czwartek. Budzę się i widzę, jak Lupin wpatruje się we mnie tymi swoimi niebieskimi oczami. Są ogromne na pół pokoju. Kiedy jesteśmy w dobrych układach, mówię mu, że jego oczy to dwie niebieskie planety krążące w galaktyce czaszki i że widzę, jak satelity i rakiety przepływają przez jego źrenice.

– O, tu jest jedna! O, jeszcze jedna! Widzę, jak Neil Armstrong niesie flagę! Boże, błogosław Amerykę!

Gdy go nienawidzę, mówię, że ma wytrzeszcz jak przy nadczynności tarczycy i wygląda jak wściekła żaba.

Dużo czasu spędzamy razem, bo Lupin jest dość znerwicowanym dzieckiem. Miewa złe sny i często schodzi z piętrowego łóżka, które dzieli z Krissim. Przychodzi do mnie, bo śpię teraz na tapczanie. Okoliczności, w których odziedziczyłam podwójne łożo, budzą mieszane uczucia.

– Babcia zmarła i dostajesz jej łóżko – powiedział tata w kwietniu zeszłego roku.

– Babcia nie żyje! – szlochałam. – Babcia nie żyje!

– Tak, ale masz jej łóżko – powtarzał tata cierpliwie.

W materacu jest spore wgniecenie, w którym babcia leżała, a następnie zmarła. Czasem, gdy ogarnia mnie cikliwy nastrój, myślę sobie, że leżymy w płytkim zagłębieniu, które pozostawił jej duch, jak w gnieździe śmierci.

Czytam dużo literatury dziewiętnastowiecznej. Kiedyś spytałam mamę o moją wyprawkę na zamążpójście. Roześmiała się histerycznie.

– Tam na strychu w worku na śmieci są zasłony. Możesz je sobie wziąć – powiedziała, płacząc ze śmiechu.

Wtedy jednak byłam młodsza. Teraz bym o to nie spytała. Jestem świadoma naszej „sytuacji finansowej”.

Ja i Lupin w piżamach schodzimy na dół. Jest jedenasta przed południem, dzień wolny

od szkoły. Krissi już wstał i ogląda *Dźwięki muzyki*. Na ekranie szaleje burza, a Liesl i Rolf mają się ku sobie.

Czuję się trochę nieswojo, więc przez chwilę stoję przed telewizorem, zasłaniając obraz.

– Przesuń się, Johanna. Rusz dupę!

Cały Krissi. Chcę wam opisać Krissiego, bo to mój starszy brat i Kocham go najbardziej na świecie.

Niestety, jak sądzę, on kocha mnie najmniej na świecie. Naszą relację najlepiej obrazuje kartka urodzinowa, którą kiedyś widziałam – wielki pies bernardyn trzyma łapę na pyszczku małego szczeniaka, do tego napis: „Z drogi, gówniarzu”.

Krissi to wielkie psisko. Jest piętnastolatkiem, a już ma dwa metry wzrostu. Wielkie chłopisko o wielkich, miękkich dłoniach i osobliwym blond afro, które zawsze spotyka się z komentarzem podczas spotkań rodzinnych.

– O, jest nasz mały Michael Jackson! – mówi cioteczka Lauren, gdy w pokoju pojawia się zgarbiony Krissi, który chce przez to sprawiać wrażenie mniejszego.

Ani osobowość Krissiego, ani jego cechy nie pasują do dwumetrowego chłopca. Ma bladą karnację, jasnoniebieskie oczy i jasne włosy; po matce odziedziczył niemal zupełny brak pigmentu. Ma delikatne usta i nos – jak ikona niemego kina Clara Bow. Kiedyś próbowałam zagadać w tej sprawie do Krissiego, ale skutek był opłakany.

– Wiesz, to zabawne, bo masz dużą głowę i twarz dorosłej osoby, ale jednocześnie zalotny nosek i usta – zagadałam, bo myślałam, że na takie tematy możemy sobie porozmawiać.

Okazało się jednak, że na takie tematy nie można z nim rozmawiać.

– Spadaj, tłuściochu – odpowiedział tylko i wyszedł z pokoju.

To, że nie wiem, na jakie tematy mogłabym rozmawiać z Krissim, jest jedną z przyczyn, dla których Krissi nie cierpi mnie najbardziej na świecie. Zawsze powiem coś nie tak. Tak naprawdę Krissi po prostu nie znosi ludzi. I tyle. W szkole nie ma przyjaciół – jego miękkie dłonie, dziwaczna fryzura i niewiarygodny wzrost, a przy tym niechęć do sportu sprawiają, że David Phelps i Robbie Knowsley często zastawiają na niego sidła koło śmietników i przezywają go ciotą.

– Ale przecież nie jesteś ciotą! – zareagowałam z oburzeniem, gdy Krissi mi o tym

powiedział. Spojrzał na mnie dziwnie. On zawsze na mnie jakoś dziwnie patrzy.

Teraz też dziwnie patrzy i rzuca we mnie lalką. Dostaję w twarz, i to dosyć mocno. Jak na chłopca, który nie cierpi wszelkich sportów, bo woli czytać na przykład George'a Orwella, ma całkiem silną rękę. Łapię się za twarz, po czym padam na podłogę i udaję martwą.

Kiedy byłem młodsza – miałam jakieś dziesięć, jedenaście lat – często udawałam nieżywą. Teraz robię to rzadziej. Po pierwsze, dlatego że dorastam, a po drugie, dlatego że coraz mniej osób daje się na to nabrać.

Ostatnim razem nawet się udało. Leżałam przy schodach, udając, że spadłam i skręciłam sobie kark. Mama mnie znalazła i wpadła w szal.

– Pat! – wrzasnęła. W jej głosie słychać było przerażenie. Jej strach mnie uspokoił i uszczęśliwił.

Nie zmieniła tego nawet reakcja mojego ojca, który powiedział:

– Ona się uśmiecha, Angie. Trupy się nie uśmiechają. Się, kurwa, w życiu naoglądałem. Trupy wyglądają straszliwie. Widziałem umarlaków, którzy wyglądali tak, że się można było posrać w gacie.

Podobało mi się, jak tak stali oboje i o mnie rozmawiali. Dawało mi to poczucie bezpieczeństwa. Sprawdzałam tylko, czy mnie kochają.

Gdy dziś mama znajduje mnie leżącą na podłodze i udającą trupa, nie wygląda na zmartwioną.

– Johanna, nie podnoś mi ciśnienia i wstawaj w tej chwili! – Otwieram w tym czasie jedno oko. – Nie wydurniaj się i zrób Lupinowi śniadanie – mówi i wychodzi do płaczących bliźniąt.

Ociągając się, wstaję z podłogi. Lupin jeszcze reaguje strachem, kiedy udaję umarlaka. Siedzi na sofie z szeroko otwartymi oczami.

– Jojo czuje się już lepiej – mówię, dziarsko krocząc w jego stronę, żeby go przytulić. Sadzam go na kolanach, a on przywiera do mnie, wciąż lekko przerażony. Trzyma mnie w mocnym uścisku. Im bardziej dzieci się boją, tym mocniej się przytulają.



Po tych pokrzepiających uściskach idę do kuchni, wydaję ogromne pudło płatków ryżowych, czterolitrowy karton mleka, cukier, trzy talerze, trzy łyżki i zanoszę to wszystko do dużego pokoju, karton z mlekiem taszcząc pod pachą.

Talerze układam w rzędki na podłodze, napełniam je płatkami i mlekiem. Za mną na ekranie telewizora Maria wyciera ręcznikiem seksownie mokrą Liesl.

– Pora karmienia! – krzyczę radośnie.

– Zastaniasz mi – mówi Krissi, nerwowo machając ręką, żebym się przesunęła.

Lupin skrupulatnie, łyżeczka po łyżeczce sładzi swoje płatki. Gdy talerz jest już pełen cukru, Lupin przewraca się na boki i udaje, że nie żyje.

– Umarłem!

– Nie wydurniaj się i jedz śniadanie! – mówię szybko.

Po dwudziestu minutach oglądania *Dźwięków muzyki* zaczynam się nudzić. Kiedy Maria wychodzi już za mąż za Kapitana, wszystko zaczyna się trochę rozwlekać. Na kilku poziomach jednak mogłabym się z tą historią identyfikować. Jako osoba pochodząca z równie licznej rodziny doceniam na przykład, że fabuła bardziej koncentruje się na Marii, która wkłada wszystkim dzieciom buty i wyrusza z wycieczką w góry, a nie na nieuchronnie zbliżającym się nazistowskim anszlusie.

Idę więc do kuchni i zabieram się do obiadu. W dzisiejszym jadłospisie zapiekanka z mięsem mielonym. Będą potrzebne ziemniaki. Cały gar ziemniaków. Jemy ich bardzo dużo. Można by rzec, że jesteśmy ziemniakarianami.

Staruszek siedzi skacowany na schodkach przed domem w moim różowym szlafroku, spod którego wystają mu jaja. Oczywiście, że jest skacowany. Zeszłej nocy spił się do tego stopnia, że ukradł betonowego lisa.

Skończył palić papierosa i wlażł do domu – jaja i fiut wciąż zwisają mu spod podomki.

– Pat *mit* kawa – mówi, przyrządzając lepka neskę.

Czasami mówi po niemiecku. W latach sześćdziesiątych był z zespołem na tournée po Niemczech. Opowieści o tamtych wyprawach zawsze kończyły się zdaniem: „... i wtedy poznaliśmy pewne, ekhm, miłe panie, które okazały się bardzo sympatyczne”, na co moja matka rzucała mu to dziwne spojrzenie, które po części wyrażało dezaprobatę, a częściowo – co zrozumiałam już później – podniecenie.

– Angie! – drze się. – Gdzie są moje spodnie?!

– Nie ma! – krzyczy matka z łazienki.

– Muszą gdzieś być!

Matka nie odpowiada. Sam musi sobie poradzić z tym problemem.

Dalej obieram kartofle. Uwielbiam tę obieraczkę. Tak dobrze leży w dłoni. Razem obrałyśmy chyba z tonę kartofli. Tworzymy zgrany duet. To mój Ekskalibur.

– Dziś jest wielki dzień. Muszę mieć spodnie – rzecze staruszek, sącząc kawę. – Mam kolejne przesłuchanie do roli Pata Morigana, nędznego kaleki. To będzie moja największa rola. – Odkłada kubek z kawą i chodząc po kuchni, ćwiczy utykanie. – No i co myślisz? – pyta.

– Kulejesz wspaniale, tato – przyznaję szczerze.

Próbuje kuśtykać inaczej, ciągnąc stopę za sobą.

– Tak robię Ryszarda III. – Pokazuje i dalej ćwiczy utykanie.

– Twoje spodnie są chyba w praniu – mówię.

– Myślisz, że powinienem dodać jakieś efekty dźwiękowe? – pyta. – Pojęć albo postękać trochę? – Mój ojciec uwielbiał tę teatralność badań lekarskich. Zwykła wizyta kontrolna przed komisją lekarską była dla niego czystą przyjemnością. – Zastanawiałem się, czy nie dodać trochę bólu w krzyżu. Gdybym miał tak kuleć od dwudziestu lat, już dawno miałbym garba. Może chociaż taki lekki przykurcz, co?

Ktoś dzwoni do drzwi.

– To pewnie położna! – woła mama z góry.

Trzy tygodnie temu mama wydała na świat Niespodziewane Bliźniaki. Przez całą jesień narzekała, że tyje, zwiększyła więc swój i tak już szaleńczy dzienny reżim biegania – najpierw z ośmiu do jedenastu, a potem do szesnastu kilometrów. W strugach deszczu przemierzała ulice naszego osiedla – biały duch, blady jak Krissi, z dziwacznie wydętym brzuchem, który za nic nie chciał się zmniejszyć bez względu na to, jak szybko biegła.

Po czym w czasie świąt Bożego Narodzenia zorientowała się, że to ciąża. „Święty Mikołaj jest kurewsko szczodry w swym poczuciu humoru” – powiedziała, wróciwszy w Wigilię z kursu naturalnego planowania rodziny. Resztę wieczoru spędziła, leżąc na kanapie i wpatrując się w sufit. Wzdychała tak rozpaczliwie i ciężko, że aż lameta

ruszała się na choince.

Teraz cierpi na depresję poporodową – tyle że jeszcze nie jesteśmy tego świadomi. Tata obwinia o nastroje mamy jej dalekich hebrydzkich przodków. „Ty masz to zapisane w tym swoim maskonurskim DNA. Bez urazy, ale oni wszyscy mają skłonności samobójcze”. To oczywiście przyprawia mamę o jeszcze większe huśtawki nastrojów.

W każdym razie dwa dni temu, kiedy okazało się, że skończył nam się ser, płakała przez godzinę, a łzy kapały wprost na jednego z bliźniaków.

– Nie tak się nawilża dziecięcą główkę! – próbował ją rozweselić tata.

Gdy nie przestawała płakać, poszedł do sklepu i kupił jej bombonierkę, na której napisał „Kocham Cię” w miejscu na dedykację, a ona, chlipiąc i oglądając *Dynastię*, zjadła wszystkie czekoladki.

Zanim przyszły na świat bliźnięta, mama była bardzo pogodną osobą – gotowała wielkie gary zupy, grała z nami w Monopol, a po trzech drinkach upinała sobie włosy w dwa baranie rogi i udawała księżniczkę Leię z *Gwiezdnych wojen* („Pat, zrób mi jeszcze drinka. Jesteś moją jedyną nadzieją”).

Jednak odkąd urodziła bliźnięta, ma usta zaciśnięte w wąską linię, nieuczesane włosy i wypowiada jedynie słowa pełne sarkazmu albo zdanie: „Jestem taka zmęczona”. I właśnie dlatego bliźniaki nie mają jeszcze imion. Dlatego Lupin tak często płacze i dlatego ja spędzam tyle czasu na obieraniu ziemniaków, zamiast czytać dziewiętnastowieczne powieści albo się masturbować. Na chwilę obecną nie mamy matki. Zostało nam tylko miejsce po kimś, kto kiedyś nią był.

– Jestem zbyt zmęczona, żeby zawracać sobie głowę imionami – odpowiada za każdym razem, gdy pytamy ją, jak nazwie bliźnięta. – Urodziłam je. Czy to za mało?

Tymczasem Krissi, Lupin i ja mówimy o nich David i Mavid.

– Dobra, czas się ogarnąć – mówi tata i idzie włożyć swój szlafrok, omijając przy tym drzwi wejściowe. – Nie będę nikomu za darmo jaj pokazywał.

Jeden z bliźniaków – Mavid – zapłakał w podwójnej gondoli w przedpokoju. Wyjęłam go, kiedy szłam otworzyć drzwi.

W progu stała pielęgniarka środowiskowa. Tym razem przyszła jakaś nowa. Mavid nie przestawał płakać, zaczęłam więc nim lekko potrząsać.

– Mamy tu małe zamieszanie – powiedziałam z uśmiechem.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

– Zechce pani wejść do salonu? – spytałam, świadoma swoich manier. Pokażę jej, że u nas dzieci mają dobrą opiekę, zapewnianą przez całą rodzinę, choć ich matka funkcjonuje chwilowo jako duch.

Wchodzimy do dużego pokoju, a Lupin i Krissi swoimi błękitnymi oczami patrzą na intruza z nieskrywaną niechęcią. Krissi chwytą za pilota i ostentacyjnie wciska pauzę, przerywając Von Trappom kawałek *Edelweiss* na słowach *Bloom and grow*.

Po krótkiej chwili, wymownie wzdychając, Krissi i Lupin przesuwają się łaskawie na kanapie, robiąc miejsce położnej, która siada, gładzi spódnicę i kładzie ręce na kolanach.

– I jak się miewa mamusia? – pyta.

– Fizycznie całkiem dobrze – odpowiadam. Bo mamie fizycznie naprawdę nic nie dolega. No może z wyjątkiem ciśnienia. Ale to moja wina, bo udawałam martwą. Dlatego o tym nie wspomina.

– Dzieci dobrze śpią?

– Tak. Budzą się kilka razy w nocy, ale wiadomo, taka już niewymowna natura niemowląt! – mówię. Kobieta będzie pod wrażeniem tego, jak sprawdzam się w roli starszej siostry. Nie mówiąc już o mojej elokwencji.

– A mamusia dobrze śpi?

– Raczej tak. Dzieci się budzą, to i mama wstaje, ale potem znów można się położyć.

– A jak tam... szwy?

To pytanie trochę mnie zaskoczyło. Wiedziałam, że po porodzie matka był szyta i ma czterdzieści dwa szwy. Widziałam, że codziennie przemywa je ciepłą wodą z solą – bo kazała mi przynieść ciepłą wodę z solą – ale więcej informacji o swojej pochwie mi nie przekazywała. Z książki *Duchowe położnictwo* wiem, że kobiety w okresie połogu niechętnie mówiły o szczegółach okołoporodowych dziewczynom ze swego plemienia, więc nie martwiło mnie zbytnio milczenie mojej mamy. Miałam jednak co nieco informacji i zamierzałam się nimi podzielić.

– Są przemywane codziennie wodą z solą! – odrzekłam tym samym radosnym tonem.

– A czy szwy bołą, krwawią albo ropieją? – dopytywała pielęgniarka. Wpatrywałam się w nią milcząco. – Może mamusia wolałaby nie rozmawiać o tym przy dzieciach? – odezwała się w końcu. Obie spojrzaliśmy na moje rodzeństwo porośnięte na sofie, każde miało teraz oczy wielkie jak spodki. – Dzieci, mogłybyście zostawić nas same na chwilę. Chciałybyśmy zamienić kilka słów na osobności.

W tym momencie ogarnęło mnie przerażenie.

– O mój Boże. Ale odjazd! – powiedział Krissi. – Tego jeszcze nie było!

– To nie jest moje dziecko! – wydusiłam histerycznym głosem. Czy ona myślała, że urodziłam pięcioro dzieci? Bardzo, kurwa, śmieszne. – To nie są moje dzieci. – Spojrzałam na maleńką, czerwoną buźkę Mavida. Jego paluszki kurczowo trzymały się niestosownie różowego kocyka, w który był owinięty.

– Pani nie nazywa się Angie Morrigan? – spytała pielęgniarka, w panice spoglądając w dokumenty.

– Nie. Nazywam się Johanna Morrigan i jestem jej czternastoletnią córką – powiedziałam z największą powagą, na jaką mogłam się zdobyć.

Mama wreszcie pojawia się w drzwiach, krocząc nieco ostrożnie z powodu szwów, które ma w swojej waginie. Tych, których nie ma w mojej.

– Przepraszam, pani Morrigan, ale zaszło małe nieporozumienie – mówi spanikowana pielęgniarka, wstając z kanapy.

Moi bracia wyparzyli z pokoju jak wystrzeleni z procy. Oddałam mamie Mavida.

– Nie zadbałam należycie o mojego małego braciszka – powiedziałam ostentacyjnie i pognałam za nimi.

Weszliśmy do ogrodu, przeszliśmy przez dziurę w płocie i pobiegliśmy na pole.

Krissi całą drogę krzychał: „Aaaaaaaaaaaaaaaaaa!”. Kiedy usiedliśmy w kole, ukryci w wysokiej trawie, wreszcie dokończył:

– ...aaaaaaaaaaaaaaaa, jesteś naszą mamą!

Obaj wyli ze śmiechu, aż Lupin się popłakał. Leżałam twarzą do ziemi, jęcząc z frustracji.

To dlatego, że jestem gruba. Kiedy jesteś otyłą nastolatką, ludzie mają trudności z określeniem twojego wieku. Ledwo osiągniesz rozmiar biustonosza 85 DD,

a wszyscy myślą, że jesteś aktywna seksualnie i regularnie odbywasz stosunki w celach prokreacyjnych z samcami alfa na jakimś zadupiu. Marzenia. Ja się nawet jeszcze nie całowałam. A myślę, że byłabym w tym całkiem dobra. Kiedy zacznę się całować, cały świat będzie o tym wiedział. Moje pocałunki zmienią wszystko. Będę Beatlesem całowania.

Tymczasem, pozbawiona tej przyjemności, zostałam uznana za dziewicę matkę pięciorga dzieci. Tak naprawdę jestem więc cztery razy lepsza od Matki Boskiej. Oto ja i moje dowodzące Jezuski drące ze mnie łacha.

– Mamo, mogę trochę tego pysznego mleczka? – mówi Lupin, udając, że chce, bym karmiła go piersią. Och, nigdy by się to nie stało, gdybym była chuda jak Meg. Moja kuzynka Meg już pięć razy miała palcówkę. Powiedziała mi to w autobusie do Brewood. Nie do końca wiem, co to takiego palcówka. Obawiam się, że może mieć coś wspólnego z tyłkiem. Meg nosi ogrodniczki. Jak w ogóle ktoś mógł się tam dostać?

– Mamo, mogę wrócić do twojego brzucha?! – krzyczy Lupin, wciskając głowę w moje krocze, a wszystkich dopada histeryczny śmiech. Tak żenujące, że aż zapomniałam, jak się klnie.

– A... chromolę was wszystkich! – krzyczę, a oni śmieją się jeszcze głośniej.

Słychać, jak ktoś nas woła. To mama. Nasza prawdziwa mama. Ta, która naprawdę urodziła pięcioro dzieci.

– Możecie poszukać spodni taty?! – drze się z okna łazienki.

Godzinę później jadę przez centrum Wolverhampton z tatą, który ma już na sobie spodnie. Znaleźliśmy je pod schodami. Pies na nich leżał.

W latach dziewięćdziesiątych Wolverhampton wygląda, jakby przytrafiło mu się coś złego.

– Bo naprawdę przytrafiło mu się coś złego – wyjaśnia tata, gdy akurat jedziemy Cleveland Street. – Margaret Thatcher. – Mój ojciec żywi bardzo osobistą i głęboką nienawiść do pani Thatcher. Domyślam się, że gdy byli jeszcze podlotkami, w dalekiej przeszłości, musiała pokonać mojego ojca w bójce, z której ledwo zdołał uciec. I kiedy dojdzie do następnego spotkania, będą walczyć na śmierć i życie. Coś jak Gandalf i Balrog. – Chętnie bym ją, kurwa, zabił, tę Thatcher – mówił, oglądając strajk

górników w wiadomościach. – Pozbawiła ją wszystko, co kocham w tym kraju. I byłby to czyn w obronie własnej. Bo Margaret Thatcher weszła do waszego domu i pozbawiła was chleba, żeby, kurwa, postawić na swoim. Zabrała wasz pieprzony chleb. – I jeśli akurat jedliśmy chleb, zabierał nam go z rąk, żeby zobrazować to, o czym mówi. – Thatcher – mówił, jego oczy płonęły, a my płakaliśmy. – Pierdolona Thatcher. Jeśli któreś z was stanie kiedyś w drzwiach mojego domu i powie, że głosowało na torysów, to dostaniecie ode mnie takiego kopa w dupę, że się nie pozbieracie. U nas głosuje się na laburzystów!

W centrum miasta zawsze jest cicho i spokojnie, jakby połowa tych, co mają tu być, już dawno odeszła. Motyli krzew wyrasta z górnych okien wiktoriańskich domów. W kanale wala się pełno starych pralek. Cała masa fabryk została zamknięta: huty żelaza, stali, wszystkie zakłady ślusarskie, z wyjątkiem producenta zamków Chubb. Splajtowały firmy produkujące rowery: Percy Stallard, Marston Sunbeam, Star, Wulfruna i Rudge. Zamknięto zakłady biżuterii ze stali tytanowej i wyrobów lakowanych. Nie ma już handlarzy węglem. Po sieci trolejbusów – niegdyś największej na świecie – została tylko seria onirycznych arterii na starych mapach.

Dorastając w czasach zimnej wojny i w ciągłym zagrożeniu nuklearną apokalipsą, zawsze myślałam, że katastrofa jądrowa już dawno nawiedziła to miejsce.

Wolverhampton przypomina ruiny Charnu z *Siostrzeńca czarodzieja* C.S. Lewisa. Miasto dotknięte traumą, o której teraz nikt nie wspomina. Miasto, które umarło na ich oczach. Teraz łączy ich poczucie nieuzasadnionej winy. Tym właśnie cuchną umierające miasta przemysłowe – winą i strachem. Starsi milcząco przepraszają swoje dzieci.

Wjeżdżając do centrum, tata rozpoczyna ten sam oklepany monolog:

– Kiedy byłem dzieckiem, o tej porze dnia słyhać było tylko stukot butów mężczyzn idących do fabryki. Autobusy były przepełnione, na ulicach wrzało. Ludzie przyjeżdżali tu za pracą i ją dostawali, jeszcze tego samego dnia. A popatrz teraz.

Rozglądam się dokoła. Rzeczywiście nie słyhać stukotu męskich butów. Młodych mężczyzn można spotkać jedynie przed biurem pośrednictwa pracy przy stadionie Molineux. Z daleka widać długą kolejkę cierpliwie czekających panów – wszyscy w obcisłych niebieskich dzinsach, z długimi nogami, włosami różnej długości, palą

skręty.

Stoimy na światłach, tata opuszcza okno i krzyczy do jednego z facetów w kolejce, który wygląda na jakieś czterdzieści lat i ma na sobie wypłowiałą koszulkę z napisem „Simply Red”.

– Macks! Wszystko w porządku, chłopie?!

– Szukam jakiejś roboty, Pat – odpowiada Macks spokojnie. Przed nim jakieś dwadzieścia chłopa.

– Widzimy się w pubie – mówi tata i rusza dalej.

– Jasne. Zostaw jakąś laskę dla mnie.

Jesteśmy w ścisłym centrum – Queen’s Square, miejsce spotkań młodzieży z Wolverhampton. To nasz Lewy Brzeg, nasze Haight-Ashbury, nasze Soho. Po prawej – pięciu skate’ów. Po lewej troje gotów siedzących wokół posągu Man On ’is ’Oss – mężczyzny na koniu. To jedyny charakterystyczny obiekt w Wolverhampton, nasz odpowiednik Statuy Wolności.

Tata opuszcza okno.

– Głowa do góry! Nie będzie tak źle! – krzyczy do gotów, jadąc czterdzieści mil na godzinę w strefie zamieszkania.

– Dobra, Pat – odpowiada najmniejsza. – Sprzęgło ci skrzypi jak cholera.

Tata śmieje się i jedzie dalej. Mnie zaś ogarnia zdumienie.

– Znasz ją? – pytam. Myślałam, że goci nie znają nikogo na tej płaszczyźnie egzystencjalnej. Goci nie zaliczają się do kategorii ludzi, którzy mają na przykład sąsiadów.

– To twoja kuzynka Ali – mówi tata, zamykając okno i jednocześnie kierując.

– Serio? – pytam i wyciągam szyję, żeby przyjrzeć się małej gotce znikającej we wstecznym lusterku. Nie poznałam jej.

– Taaa. Została gotem w zeszłym roku. Coś ci powiem, dziecko. Wkrótce nie będziesz już miała żadnych powalonych kuzynów w tym mieście.

Jedziemy dalej. Chociaż mój ojciec ma dziewięćcioro rodzeństwa i dwadzieścioro siedmioro bratanków i siostrzenic różnego pokroju, rodzaju i intelektu (kuzyn Adam słynie z tego, że kiedyś podczas przyjęcia połknął żarówkę), nie wiedziałam, że mamy kuzynkę, która poszła w kontrkulturę. Nie widzimy zbyt często wuja Aleda, bo



mieszka w Gosnell i okantował kiedyś mojego ojca, sprzedając mu używane akwarium.

To nieoczekiwane egzotyczne doznanie – mieć kuzynkę gotkę. Wszystkie kuzynki, które do tej pory spotkałam, nosiły różowe ogrodniczki i były fankami Ricka Astleya.

Dzisiaj nasz tatuś ma, jak już wspomniał, kolejne przesłuchanie do swojej największej roli: Pata Morigana, nędznego kaleki. Prawdę mówiąc, tata rzeczywiście jest niepełnosprawny – zdarzają się tygodnie, kiedy nie potrafi wstać z łóżka – ale, jak powiada, nie można być za bardzo niepełnosprawnym. Ludzie różnie postrzegają niepełnosprawność. Chodzi o to, by zaprezentować kalectwo tak, żeby nie znalazł się jakiś szczególnie czepialski inwigilator, który zleci dalsze badania, zawieszając nasz zasiłek na sześć miesięcy i skazując w ten sposób piątkę dzieciaków i ich dwoje rodziców na przytułek.

– Jestem tu po to, żeby wyeliminować wątpliwości – mówi, parkując naszego vana na krawężniku przy ośrodku pomocy społecznej. Dzisiaj przejdzie przez komisję, która oceni, czy przez następne dwanaście miesięcy może zatrzymać znaczek osoby niepełnosprawnej. Znaczek – jasnopomarańczowy, z ludzikiem na wózku inwalidzkim – pozwala mu parkować prawie wszędzie. Żółte linie, chodniki, prywatne miejsca parkingowe z nazwiskami osób, które je opłaciły. Jakby należał do rodziny królewskiej, był gwiazdą albo superbohaterem. Inwalidztwo taty jest w naszych oczach wyraźną zaletą i niewątpliwie powodem do dumy.

Idzie przez plac, kulejąc powoli.

– Nigdy nie wiadomo, czy cię nie obserwują – mówi, pokazując głową w kierunku okien na piętrze. – Czy nie trzymają cię na celowniku jak w *Dniu szakala*. Muszę kuśtykać aż do jedenastej.

Do ośrodka chodzi się po prośbie wszelkiego rodzaju: o odroczenie czynszu, o zasiłek, o rozwiązanie różnorodnych problemów lokalnej biedoty. Ktokolwiek udaje się do tego budynku, próbuje coś wyciągnąć od jego pracowników.

W rezultacie panuje tam atmosfera jak w średniowiecznym zamku podczas wyjątkowo ospałego, pasywno-agresywnego oblężenia. Zamiast wylewać wrzący olej na zbliżających się mieszczan, wręcza się im do wypełnienia stertę formularzy w niezrozumiałym języku albo odsyła do innej instytucji. Obiecują przesłać odpowiedź

pocztą w ciągu czternastu dni, łagodnie przeciągając sprawę w nieskończoność. Często przypomina mi się rada Grahama Greene'a z *Podróży z moją ciotką*, gdzie ciotka Agatha poucza, żeby na każde wezwanie do zapłaty odpowiadać pismem zaczynającym się od słów: „W związku z wysłanym przeze mnie do państwa listem z dnia siedemnastego lipca...”. Oczywiście żadnego listu z datą siedemnastego lipca nie było. Takie pismo jednak powoduje poważny, niemal nieskończony zamęt w obozie wroga.

Tata wita każdego, kogo tu spotyka, z radosną, niemal estradową poufałością: „Siemasz, Barb. Czołem, Roy. Nieźle, Pamela!”, którą, jak teraz na to patrzę, ewidentnie zapożyczył od Joeya Boswella z *Bread*.

Tak czy owak, jego podejście różni się zupełnie od podejścia prawie każdego innego petenta w tym budynku. Tamci reprezentują służalczość, załamanie, wściekłość, nawet groźby w stylu „jestem u kresu wytrzymałości i jeśli nie dacie mi tej dopłaty do mieszkania, zostawię tu swoje dzieci i pójdę zarabiać pod latarnią”. Od czasu do czasu pojawia się jakiś pojedynczy emeryt albo ktoś z domu opieki, cichutko płaczący na krześle.

Tymczasem mój ojciec zachowuje spokój w stylu zen. Otacza go lordowska aura. Uśmiecha się do wszystkich i kroczy niczym król.

– Ci ludzie za biurkiem zostaliby bez pracy, gdyby takich ludzi jak ja zabrakło – mówi. – W pewnym sensie to ja jestem ich pracodawcą.

Ponieważ czytam teraz o związkach przyczynowo-skutkowych – dotarłam do działu „Filozofia” w naszej bibliotece – ucinamy sobie krótką pogawędkę o porządku chronologicznym tej logiki.

– Biedni zawsze będą po naszej stronie, Johanna – wyjaśnia beztróskim głosem tata.  
– Zanim Nye Bevan doszedł do władzy, moja matka wychowała dziewięć dzieci z datków wyżebranych pod kościołem. Mieszkańcy wioski, przygnębieni widokiem żebrzącej o chleb, zagłosowali na państwo opiekuńcze, jak tylko druga wojna światowa dobiegła końca. Poleganie na przypadkowych aktach miłosierdzia jest poniżające dla społeczeństwa, córeczko. Wyobraź sobie, że mielibyśmy chodzić i pukać do drzwi pani Forsyth co tydzień i prosić ją o... szynkę.

Pani Forsyth, nasza jędzowata sąsiadka z naprzeciwka – służbistka w pantoflach, z trwałą ondulacją na głowie. Pierwsza na naszej ulicy nabyła dom w ramach programu

wykupu mieszkania spółdzielczego i od razu wyasfaltowała cały ogród przed domem. A szkoda, rósł w nim najlepszy do szabrowania krzak malin na osiedlu.

Ojciec ma absolutną rację. Pani Forsyth byłaby bardzo zła, gdybyśmy nieustannie zjawiali się u jej progu, prosząc o ciastka i papier toaletowy.

– Koniec końców, moje dziecko, chodzi o to, że nikt nie chce w drodze do sklepu potykać się o płaczące, kurwa, jednookie sieroty. Bo to wkurzająco działa na społeczeństwo. Cierpiąca biedota zawsze była i będzie. Państwo opiekuńcze zapłaciło, żeby się pozbyć tego problemu. Żeby już nigdy więcej dzieci nie zamarzały w drzwiach sklepu. Żeby było weselej. Czytałaś Dickensa, prawda?

– Widziałam *Opowieść wigilijną Myszki Miki* – odpowiadam z powątpiewaniem.

– Aha. No dobrze. Widzisz, ustalono, że należy oddać biednym największego indora ze sklepu rzeźnika. Tak postępują porządni ludzie. I ja właśnie zamierzam upomnieć się o mojego indora.

Kiedy tata poddawany jest badaniu w gabinecie lekarza orzecznika, ja siedzę w poczekalni, przyglądając się każdemu po kolei i zastanawiając się: a) do jakiej sławnej osoby jest podobny, b) z którym z nich na tej podstawie chciałabym uprawiać seks. Dla mnie sprawa utraty dziewictwa jest o wiele bardziej nagląca niż podupadający przemysł w Wolverhampton. Sprawa jest już niezwykle pilna i w zasadzie ma wpływ na całą naszą rodzinę. Ubzdurałam sobie, że powinnam odbyć pierwszy stosunek jeszcze przed osiągnięciem pełnoletności – czekanie aż do szesnastki, kiedy będzie to legalne, wydaje się... nieuczciwe. W wieku szesnastu lat każdy może uprawiać seks. Spróbuj to zrobić, jak masz czternaście lat, gdy włączysz się tylko ze swoimi braćmi i nosisz staniki po mamie. Nawet Anneka Rice by się na to nie zdobyła.

Przeprowadzam swój sekstest na pozostałych ludziach w poczekalni. Jest jeden gość w puchowej kamizelce, który wygląda jak Mark Curry z *Treasure Houses* – odpada. Facet z frędzlami na butach wyglądem przypominający Mike'a Reada z radiowej Jedynki – nie. Gość z wystającymi z nosa włosami, który wygląda jak karykatura Spike'a Milligana – nie wchodzi w grę.

Doliczam się pięciu facetów, którzy wyglądają jak Freddie Mercury.

W Wolverhampton w latach dziewięćdziesiątych wąsy i skórzana kurtka wciąż są jeszcze deklaracją heterocyklofilii. Nie przespałabym się z żadnym z nich. Chociaż, szczerze mówiąc, może bym to zrobiła, gdyby mnie o to poprosili. Ale to mało prawdopodobne.

Dziś jak zawsze pójdę do łóżka, nadal będąc grubą dziewicą, która pisze dziennik w formie wymyślonych listów do seksownego Gilberta Blythe'a z *Ani z Zielonego Wzgórza*.

Wciąż myślę o Gilbercie, gdy później tego samego dnia wyprowadzam psa na spacer. Bianka jest znerwicowanym wilczurem, który w przeciwieństwie do naszego poprzedniego psa nie daje się ubierać w dziecięce łauszki. Nie pozwala też przywiązywać do swego grzbietu maskotek, które miałyby pełnić funkcję małych, wypchanych dżokejów – ale i tak ją kocham.

– Trzymamy sztamę, prawda? – pytam Biankę, przemierzając Marten Road. W wielu dziewiętnastowiecznych powieściach, które czytałam, młode kobiety przygarniały dzikie zwierzęta – takie jak wilk, lis albo pustułka – z którymi łączyła je paranormalna, parapsychologiczna więź.

Gdy więc przechodzę przez ulicę, komunikuję się z Bianką tak jak zawsze – wyłącznie za sprawą umysłu.

– Nie mogę się doczekać dnia, kiedy wreszcie zamieszkamy w Londynie – mówię do Bianki, która trzęsie się, stojąc w rynsztoku i załatwiając swoje potrzeby. Odwracam głowę, żeby zapewnić jej trochę prywatności. Wydaje się dość zamkniętym w sobie psem. – Gdy już będziemy w Londynie, wtedy zacznę być sobą – dodaję.

Sama do końca nie wiem, co to dokładnie oznacza. Jeszcze nie nazwano tego, kim chciałabym być. To, do czego dążę, jeszcze nie istnieje. Jeszcze tego nie wynaleziono.

Po części oczywiście wiem, jaka chcę być. Po pierwsze, chcę przenieść się do Londynu i być pociągająca. Wyobrażam sobie Londyn jako wielki pokój, do którego wchodzi, a całe miasto krzyczy: „Kurczę! O w mordę! Niezła sztuka!” – jak Sid James w filmach z cyklu *Do dzieła*. Tego chcę. Żeby każdy: mężczyzna, kobieta czy Minotaur – czytam dużo mitologii greckiej i jestem otwarta na wszystko i wszystkich – zapragnął uprawiać ze mną seks absolutny, totalny, na wszelkie możliwe sposoby. Drogą płciową. To jest moja najpilniejsza misja. Moje hormony buzuja jak płonące zoo. Mandryl

z głową w płomieniach otwiera klatki pozostałych zwierząt i krzyczy: „O mój Boże – na zewnątrz! Out! Out!”. Jestem w samym centrum seksualnego stanu wyjątkowego. Od onanizowania się ręce mi już więdną.

Z drugiej strony jednak, pomijając kwestię moich narządów płciowych, chcę też być... szlachetna. Głęboko szlachetna. Pragnę oddać się jakiejś sprawie. Chcę być częścią czegoś. Chcę gwałtownie wkroczyć do akcji jako jednoosobowa armia. Arm-ja. Kiedy już wreszcie znajdę coś, w co chciałabym wierzyć, uwierzę w to, jak nikt nigdy dotąd w nic nie wierzył. Będę w to wierzyć żarliwie.

Ale nie chodzi mi o szlachetność i oddanie, jakie cechowały większość kobiet w przeszłości – co zawsze łączyło się albo ze spłonieniem na stosie, umieraniem ze smutku, albo z byciem zamurowaną żywcem w wieży przez jakiegoś hrabiego. Nie chcę poświęcić życia za coś. Nie chcę za coś umierać. Nie chcę nawet wspinać się po żadnym wzgórzu w deszczu, w spódnicy, która lepi mi się do ud. Chcę za to żyć dla jakiejś sprawy – tak jak to robią mężczyźni. Chcę się dobrze bawić. Chcę bawić się tak dobrze jak tylko się da. Chcę chodzić na imprezy, jakby był już 1999 rok. Pragnę entuzjastycznych poszukiwań. Chcę oddać się radości. Zmienić świat na lepsze, choć odrobinę.

Kiedy już wejdę do tego londyńskiego pokoju i wszyscy wykrzyczą te swoje „O kurczę! Niech mnie!”, chcę, żeby potem zerwał się huragan braw – taki, jaki witał Oscara Wilde’a, gdy wchodził do restauracji w dniu premiery swojej kolejnej śmiałej sztuki. Oczywiście wyobraźni widzę, jak wszyscy ludzie, których podziwiam – Douglas Adams, Dorothy Parker, French & Saunders i Tony Benn – podchodzą do mnie i mruczą: „Kochana, jak ty to robisz?”.

Na razie sama nie wiem, jak to robię. Nie mam pojęcia, gdzie ulokować to niepokojące, dręczące uczucie. Ale jeśli wymagałoby to ode mnie opowiadania anegdot, które sprawią, że krąg palących papierosy hedonistów będzie pękać ze śmiechu, to jestem na to gotowa. Już widzę, jak Stephen Fry i Hugh Laurie, ocierając łzy, mówią: „Ty naprawdę jesteś niezła. Mają tam więcej takich jak ty w Wolverhampton? To jakiś tygiel rozkoszy?”. A ja na to: „Nie, Stephenie Fry i Hugh Laurie. To tylko ja. Chłopaki w szkole wołali na mnie «tłusta Cyganka»”. A Stephen Fry odpowie: „A to tępaki. Chrzań ich. Jeszcze szampana?”. O tak, wchodzę w to.

Do tej pory jedyny plan, jaki przyszedł mi do głowy, to pisanie. Umiem pisać, bo pisanie – w przeciwieństwie do choreografii, architektury albo podbijania królestw – można uprawiać, gdy jest się samotnym i biednym i bez żadnej infrastruktury, grupy baletowej czy armat. Biedni ludzie mogą pisać. To jedna z tych niewielu rzeczy, w których bieda ani brak znajomości nie ograniczają cię.

Piszę książkę w wolnych chwilach, gdy nie mam co robić w ciągu dnia. To książka o bardzo grubej dziewczynie, która podróżuje w czasie i czyni dobro, objeżdżając świat na swoim smoku. Pierwszy rozdział opowiada o tym, jak cofa się do 1939 roku i pokazuje Hitlerowi, które błędy popełnił. Jej przemowa jest tak żarliwa, że ostatecznie Hitler wybucha płaczem.

Jest tam też spory kawałek o dżumie, której zapobiegam przez wprowadzenie rygorystycznej kwarantanny na statkach handlowych przybywających do głównych brytyjskich portów. Bardzo mnie kręci idea rozwiązywania problemów przez papierologię wyższego kalibru. To moja ulubiona moc przemiany.

Trzy dni temu napisałam scenę miłosną między dziewczyną i młodym namiętym czarodziejem, z której byłam bardzo dumna – do momentu gdy okazało się, że Krissi oczywiście znalazł rękopis i nabazgrał na marginesie: „Ożeż ty, dziwko”. Krissi jest jednocześnie surowym i niechcianym redaktorem.

– Tak czy siak, myślę, że zanim skończę szesnaście lat, wyjedziemy z Wolverhampton, bączku – mówię z ufnością do Bianki. – Do tego czasu bieda i upokorzenie nauczą mnie życia i będę miała świeże spojrzenie, którego inni ludzie na ceremonii rozdania Oscarów są pozbawieni. Oczaruje ich moja entuzjastyczna szlachetność – co niewątpliwie skończy się seksem.

Moja pełna seksu i szlachetności zaduma zostaje przzerwana okrzykiem „Ej!”. Ignoruję go i idę dalej. Z takiego „Ej!” nie wynika nic dobrego. Jednego tata nas nauczył – uciekać jak najdalej od „Ej!”.

– Ej! – znów ktoś woła. – Ty suko! – Oglądam się za siebie i w ogródku przed domem widzę mężczyznę w koszulce naszej lokalnej drużyny Wolves. – Twój pies! – krzyczy. Rozglądam się za Bianką, ale jej nie widzę. – Twój pies jest, kurwa, w moim ogrodzie!

Cholera. Straciłam mentalne połączenie z Bianką, kiedy myślałam o pieprzeniu się.

Gdzie ona się podziała? Gwiżdżę i po chwili Bianka wybiega z ogrodu krzyczącego mężczyzny jak oparzona.

– Bardzo pana przepraszam – mówię nieco piskliwym głosem, który na pewno wzbudzi w nim niechęć do mojej osoby. Głos mam po matce – typowy dla klasy średniej. Dźwiękiem przypomina rżnięte szkło, a w stanie zdenerwowania robi się jeszcze bardziej piskliwy. – Najmocniej pana przepraszam, to absolutnie niewybaczalne. Jeśli to pana pocieszy, ten pies ma bardzo łagodne usposobienie.

– Zaraz wezmę siekiere i rozwalę mu łeb! – drze się.

Trzęsąc się, idę dalej do domu Violetty. Jestem dość przerażona wzmianką o siekierze i muszę z kimś o tym pogadać, a Violetta jest moją nowo poznaną i najlepszą koleżanką. Jest także moją jedyną przyjaciółką – nie licząc Emily Pagett, która przypomina mi Babę z *Czekając na miłość*, bo często rozsiewa na mój temat plotki. Co jednak toleruję, ponieważ opowiada mi też plotki o innych – a to jest fascynujące. Nawet jeśli wszystko jest nieprawdą. W końcu trzeba sobie zapewniać jakąś rozrywkę.

Tak więc idę się spotkać z Violettą – siedemdziesięciodwuletnią kobietą, która mieszka na końcu naszej ulicy ze swoimi dwoma kotami syjamskimi: Tinkiem i Tonkiem.

Od ostatnich kilku miesięcy odwiedzam Violettę kilka razy w tygodniu. Myślę, że to cudownie, kiedy młoda nastoletnia dziewczyna przyjaźni się z kimś z innego pokolenia.

Ona jest jak okno na przeszłość, myślę sobie. Jest też wdową z przeszłością – bo jej mąż nie żyje.

Violetta ma puszkę na słodycze w kształcie świnki, pełną pysznych, drogich ciastek. Muszę szczerze przyznać, że chodzę tam nie tylko dla Violetty, ale też dla tych ciasteczek. Kiedyś przyszłam, a ciastek nie było, akurat się skończyły. I dla nas obu było to trudne popołudnie.

Ale dzisiaj wszystko idzie dobrze.

– Co powiesz na herbatę i ciasteczka? – pyta, nakrywając do stołu. Zanurzam rękę w puszcę, która wydaje przy tym dźwięk chrumkającej świnki. Chrumka za każdym razem, kiedy wyjmuję się ciastko – co nawet ja, przy całej mojej żywiołowości, uważam za uwłaczające. Mimo wszystko. – Cudną mamy dziś pogodę – mówi Violetta.

– Tak. Nadzwyczaj umiarkowaną – odpowiadam. Tink i Tonk wchodzą do pokoju i wiją się wokół nóg mojego krzesła jak brązowy dym. – Czy Dennis lubił taką pogodę? – ciągnę.

Czytałam kiedyś u Davida Nivena w książce *Księżyc jest balonem*, że najgorsze, co można zrobić, gdy komuś umrze małżonek, to bać się wspominek o nim w towarzystwie pogrążonego w smutku partnera.

Ucząc się na błędach hollywoodzkich przyjaciół Davida Nivena – z wyjątkiem Clarka Gable’a, który zawsze wspominał nieżyjącą żonę Nivena, ponieważ kilka miesięcy wcześniej w katastrofie lotniczej sam stracił własną żonę, seksowną aktorkę komediową Carole Lombard – zawsze gdy tylko mogę, przypominam Violetcie o Dennisie, tak by pamięć o nim pozostała.

Czasami bywa trudno. Kiedyś spróbowałam wspomnieć o Dennisie w rozmowie o ludziach, którzy mi się podobają.

– Myślisz, że Dennis byłby w moim typie?

Kiedy jednak Violetta pokazała jego zdjęcie, nie zdołałam ukryć reakcji, jaką zdradzała moja twarz – nie, Dennis absolutnie nie był w moim typie.

Spodziewałam się jakiejś czarno-białej fotki z przystojnym żołnierzem ruchu oporu z drugiej wojny światowej, siedzącym w myśliwcu. A tu Violetta pokazuje mi ostatnie zdjęcie Dennisa z wakacji nad morzem, gdzie wygląda jak Wielkomilud z *Wielkomiluda* Roalda Dahla. I chociaż jestem wyluzowana i wolna od uprzedzeń, nie mogłabym mieć ochoty na Dennisa – faceta z uszami długimi jak dwa plastry bekonu.

Tego dnia Violetta się popłakała, a mnie minęła ochota na jej ciasteczka, ograniczyłam się do jednego – o smaku burbona.

Dziś Violetta mówi, że Dennis uwielbiał taką pogodę.

– Myślę, że lubił umiarkowaną pogodę ponad wszystkie inne.

Z radością wgrzynam się w ciasteczko kokosowe. Dennis uwielbiał umiarkowaną pogodę. Naprawdę pomagam tej starej, pogrążonej w żałobie kobiecie ze świńskim pudełkiem na ciasteczka. Ten dzień jednak dobrze się skończy.

Dwadzieścia minut później dość zwawym krokiem idę do domu. Ostatnie minuty były tak dziwne, że aż kręci mi się w głowie. Mam wrażenie, że moja głowa to balon, który



zaraz oderwie się od szyi i odleci, a reszta ciała powoli opadnie na chodnik.

Boże, naprawdę dziwnie się czuję. Zatrzymuję się i siadam na trawniku, chowając głowę między nogi. Właśnie popełniłam największy błąd w moim życiu, myślę. Gdy tak siedziałam w ciszy domu Violetty, a ona milcząco potakiwała i wszystko było okej, nagle poczułam wielką, nieodpartą chęć zwierzenia się. Opowiedzenia o położnej, która myślała, że miałam szytą pochwę, o ośrodku pomocy społecznej, o tym, że nikt się ze mną nie całuje, a do tego jeszcze ten gość groził mi, że zarąbie Biankę siekierą.

Zawsze pytam Violetkę o tego cholernego nieżyjącego Dennisa, pomyślałam sobie, ale ona nigdy nie pyta o moje życie. Uważa pewnie, że jestem szczęśliwa. Ha, ha! Pojęcia nie ma, ile ta wiecznie radosna postawa kosztuje mnie odwagi i dobroćliwości.

Wszyscy wkoło mają jakichś przyjaciół, którym się zwierniają. Nastolatki opowiadają o tym, co je gryzie. Tak czy siak, myślałam sobie, Violetta jest moją przyjaciółką, opowiem jej o swoich problemach. Miło duszy, gdy się nad nią druga wzruszy!

W ciągu kolejnych trzech minut miałam się przekonać, że wcale tak nie jest, że to wszystko wielka ściema, jedno z największych kłamstw, jakie słyszałam. Bo kiedy powiedziałam Violetcie, jak bardzo nienawidzę tego osiedla, jak nie mogę się doczekać, aż tata przestanie pobierać rentę inwalidzką i stanie się sławny, staruszka zeszywniała na krześle. Tink i Tonk wskoczyli jej na kolana i siedząc, wpatrywali się we mnie równie chłodnym wzrokiem.

Mój głos zaczął się załamywać i gdy akurat byłam przy „...bo my nigdy nie będziemy tu pasować, póki Lupin wciąż nosi poncho”, Violetta przemówiła tonem, jakiego jeszcze nie słyszałam.

– Nie miałam pojęcia, że pobieracie zasiłek – powiedziała. Zamilkłam. – Nie miałam pojęcia, że jesteście na zasiłku – powtórzyła. – Dennis został postrzelony w nogę podczas wojny. Był straszliwie ranny i przez całe życie nie upomniał się o rentę inwalidzką. Nawet o jednego pensa.

No nie wierzę. Dennis już drugi raz mnie rozczarował. Ten pieprzony duch z bekonowymi uszami stał się moim wrogiem.

– Widziałam, jak twój ojciec naprawia samochód przed domem! – ciągnie. – I to dzisiaj rano! Wyglądał na całkiem zdrowego. Nie miałam pojęcia, że pobieracie

zasiłek – powtarza, już ostatni raz.

Dalej siedzę na trawie, gryząc się w kolana. Dobrze wiem, co teraz będzie. Ojciec mówił nam z milion razy, żeby uważać, co i komu mówimy. Violetta zadzwoni teraz do opieki społecznej i powie, że widziała, jak ojciec naprawiał auto – w jeden z tych dni, kiedy akurat czuł się dobrze! W jeden z tych niewielu dni, kiedy czuje się dobrze! I powie im, że nasz tata jest zdolny do pracy. Po dwóch tygodniach poślizgu – papierologia – ktoś zapuka do naszych drzwi albo przyśle nam pismo, a potem... a potem nie wiem, co się stanie. Co się dzieje z rodzinami, którym odbiera się zasiłek? To jedna wielka niewiadoma.

Analizuję w myślach wszystkie możliwe opcje, które znałam lub do tej pory wykorzystałam, cokolwiek, co może w tej sytuacji pomóc. Tylko jedno przychodzi mi do głowy.

Drogi Panie Jezu, myślę pospiesznie, zbliżając się do domu. Wiem, że ostatnio w ciebie nie wierzyłam, i mam nadzieję, że nie bierzesz tego do siebie, ale jak już pewnie wiesz z monitoringu, który, jak sędzę, ma szeroki zasięg, nasza sytuacja jest dość patowa, więc chciałam ci zaproponować pewien układ. Jeśli sprawisz, że nie odbiorą nam zasiłku, obiecuję, że... Tutaj przerywam, zastanawiając się, co największego mogłabym ofiarować.

Lista wygląda dosyć żałośnie. Nie mogę nic dać na Kościół. Nie mam żadnych dzieci do ochrzczenia. Co jeszcze mogłoby interesować Jezusa? Mogłabym zaproponować, że spędzę resztę życia w klasztorze, ale jestem niemal pewna, że w Wolverhampton nie ma żadnego klasztoru.

Chyba że to ten dziwny budynek koło hipermarketu Argos, otoczony wysokim murem, gdzie ciągle przywożą mięso ciężarówką.

W akcie desperacji, kombinując na poczekaniu, ostatecznie proponuję Jezusowi coś, co jest najbliższe poświęceniu życia jako oblubienica Pańska. Jezu, jeśli nas z tego wyciągniesz, to znaczy jeśli rozwiążesz ten problem, obiecuję, że nie będę się onanizować przez sześć miesięcy.

Zastanawiam się jeszcze. Sześć miesięcy to, policzmy, jedna dwudziesta ósma mojego życia.

Przez miesiąc – wprowadzam szybką korektę. Zdecydowanie przez miesiąc. Przez miesiąc się nie dotykam. Nawet podczas kąpieli. Nawet kiedy będę oglądać „The Whole Earth Catalog”, gdzie dwoje hipisów uprawia seks oralny i widać, jak on wkłada jej palce do środka. To będzie moja święta ofiara, jaką składam ci, Panie.

Zostaliśmy wychowani na zdeklarowanych ateistów, ale jestem pewna, że właśnie to Jezusowi się podoba – dzieci, które się nie onanizują. Myślę, że przystanie na tę propozycję. To dobry układ. Sukces gwarantowany.

Teraz powiem „Amen”. Umowa stoi. Myślę, że to uczciwa propozycja. Violetta nas nie sypnie. Zajmiesz się tym. Amen.

## Rozdział trzeci

Możecie sobie wyobrazić mój strach przed skrajnym ubóstwem, kiedy powiem wam, że zdołałam wytrzymać dziewięć dni bez autoerotyzmu. Nie ukrywajmy – to było dziewięć okropnych dni. Dziewięć dni, w których dręczyła mnie frustracja seksualna, często na granicy fizycznego bólu.

Jako czternastolatka upajałam się moim pierwszym żarliwym związkiem z własną seksualnością. To była pierwsza bezgraniczna przyjemność, jakiej kiedykolwiek doświadczyłam. Wszystko się kończyło: jedzenie, książki; albumy z czasem obojętniały, ciuchy niszczały, a w telewizji po północy leciał już tylko teletekst. Z masturbacją mogłam zamknąć się w swoim pokoju i dochodzić tyle razy, ile tylko zapragnęłam, myśląc o milionie różnych ludzi, nie przestając ani na chwilę, nie licząc krótkich przerw na drzemkę czy małą przekąskę.

Przez kilka sekund byłam nieobecna – poza czasem, przestrzenią i myślą. Zegary nie istniały, fruwałam ponad słońcem, w świecie, w którym nie było jeszcze słów. Nic, tylko jasne światło i radość. Nawet Rik Mayall w roli lorda Flashhearta w *Czarnej zmi*, człowiek, którego uwielbiałam ponad wszystko na świecie, nie mógł się równać tej jednej pozbawionej głodu sekundzie.

Na początku moim zaufanym sprzymierzeńcem była nasza domowa szczotka do włosów. Za dnia czesałam się nią (jeszcze zanim nożycami kuchennymi obciąłam sobie grzywkę). A pod osłoną nocy bez końca ujeżdżałam jej trzonek, nadając naszej szczotce jeszcze jedną funkcję. Pod tym względem szczotka była trochę jak Bruce Wayne i Batman. Bruce Brandzman – wielozadaniowa. Dwa totalnie odmienne style życia. Zawsze w przebraniu. Odważna stara szczotka. A w *Gotham* o niczym nie mieli pojęcia.

Jednakże szczotka – choć bardzo kochana miłością niestosowną – nie była doskonała. Już po kilku tygodniach stało się jasne, że jest za wąska i nazbyt spiczasta i że nawet dodatkowa wielka korzyść, jaka płynęła z jej używania – możliwość

przyczesania boberka, tak by wyglądał elegancko, jakbyśmy szli na ślub – już nie wystarcza.

Na szczęście akurat wtedy postanowiłam zwalczyć swoje nieprzyjemne zapachy spod pachy, kradnąc ze sklepu dezodorant o nazwie Mum. W autobusie w drodze do domu ku mojemu zaskoczeniu odkryłam, że opakowanie ma kształt rażąco przydatny – przypomina ochoczy, okazały kutas. Za tą dokładnie wyprofilowaną buteleczką z różową, obłą nakrętką, najpopularniejszym w latach osiemdziesiątych dezodorantem dla brytyjskich nastolatek, kryje się oczywista prawda: firma Procter and Gamble sprzedawała dorastającym dziewczynkom startową wersję dilda za siedemdziesiąt dziewięć pensów.

Czy wiedzieli o tym? Oczywiście, że tak. Wiedzieli – i grali z nami w te psychologiczne gierki. No bo po co coś, czym miliony nastolatek brandzłują się nieprzytomnie, nazwaliby Mum – jeśli nie z sadystycznych pobudek? W ten sposób nami, do cholery, manipulowali. Żeby sprawdzić, jak bardzo jesteśmy napalone. Jesteś aż tak zdesperowana, że mogłabyś uprawiać seks z własną Mum? Na to pytanie oczywiście odpowiadałam „tak” i zamknąwszy drzwi łazienki, kładłam się na podłodze.

Miałam jednak pewne zasady. Nigdy nie kupiłabym (nie zwędziłabym) dezodorantu Mum z niebieską czy zieloną zakrętką – wyglądałoby to jak uprawianie seksu ze smerfem albo kosmitą. Jak na kompulsywną onanistkę byłam naprawdę dość pruderyjna. Pozostawałam też pod względem seksualnym całkowicie wierna swojej Mum przez prawie trzy lata. Ile osób może tak o sobie powiedzieć?

A więc tak. Dziewięć dni. To było gorące popołudnie – włożyłam letnią sukienkę na ramiączkach i przez przypadek się skusiłam. Obiecałam sobie, że zostanę tylko przy delikatnych pieszczotach, ale potem poniosło mnie i skończyłam na brandzłowanku. Z poczuciem winy, ale intensywnie. Myśląc o małpach uprawiających seks, które widziałam kiedyś w programie Davida Attenborough.

Wiedziałam, że nie ma sensu nawet próbować wyjaśniać tego wszystkiego Jezusowi – całą naszą umowę szlag trafił – zwróciłam się więc do niego bezpośrednio, tonem nieco biznesowym.

Przykro mi, Jezu, że zwracałam ci głowę fałszywą umową. Rozumiem, że oznacza

to, że wycofujesz się z układu i że teraz w sprawie ratowania mojej rodziny przed ubóstwem jestem zdana całkowicie na siebie. Znowu zamierzam w ciebie nie wierzyć. Zajmijmy swoje dawne stanowiska. Przepraszam za wszystko. Trzymaj się. Uściski dla Boga Ojca. Amen.

I z żalem uśmierciłam Jezusa w swojej głowie, tak jak dziewięć dni wcześniej wskrzesiłam go na końcu Eastcroft Road. Od tej chwili wprowadzam nowy plan ochrony naszej rodziny: będę stała na straży.

– Co robisz? – pyta mama, wchodząc do przedpokoju. Jest początek wakacji i wszyscy biegają w kółko, wrzeszcząc. A ja znowu siedzę na schodach i zajadam płatki.

– Tak sobie... siedzę – odpowiadam. – Tu są dobre linie geomantyczne.

Mama bacznie mi się przygląda, ewidentnie od jakiegoś czasu coś jest na rzeczy. Z drugiej strony przecież po prostu siedzę na schodach. Praktycznie rzecz biorąc, nie dzieje się nic złego. Matka pięciorga dzieci powinna zająć się poważniejszymi problemami, inaczej umrze z wycieńczenia.

– To nie siedź, tylko... – zaczyna, po czym milknie. W dużym pokoju rozlega się płacz dziecka, matka natychmiast traci zainteresowanie moją osobą i idzie do bliźniaków.

Plan wygląda następująco. Z doświadczenia wiem, że wszystkie złe wieści przychodzą w brązowych kopertach. Każdego dnia zamierzam więc czekać na listonosza i przechwycić pocztę, sprawdzając, czy nie ma tam jakiejś koperty ostemplowanej przez urząd miasta Wolverhampton. Jeśli tak, na pewno jest to list wieszczący klęskę – list, w którym oznajmiają, że „otrzymali pewne informacje” dotyczące naszej rodziny i wstrzymują nam zasiłek.

A jeśli taki list nadejdzie, zamierzam go spalić. A kiedy przyjdzie kolejny – zrobię to samo. I będę tak palić te listy jeden za drugim, dopóki nie wymyślę czegoś lepszego, co z pewnością się zdarzy, o ile dam radę grać na zwłokę, powiedzmy, do września. Do tego czasu będę o wiele mądrzejsza. Do września opracuję lepszy plan wybawienia mojej rodziny z opresji.

Moje czuwanie przy drzwiach nie uchodzi jednak uwadze rodzeństwa, ponieważ: a)

przestałam uczestniczyć w ich zabawach i b) muszą przechodzić przede mną, żeby dostać się do toalety na piętrze.

– Chodź, pobaw się z nami – błaga Lupin trzeciego dnia wakacji, zwisając z poręczy, po której wspina się jak Spiderman.

– Zejdź ze schodów, gamoniowata zawalidrogo – mówi Krissi i wchodząc na górę, popycha mnie z całej siły.

Pozostaję jednak niewzruszona. Jestem jak Greyfriars Bobby, pies czuwający przy grobie swojego pana. Ciągłe na straży. Zamierzam ocalić swoją rodzinę. Zapowiadają się najbardziej ponure wakacje mojego życia. Zeszłego roku w dniu zakończenia szkoły zalaliśmy podwórko wodą z węża ogrodowego; nisko zwisające gałęzie leszczyny odbijały się w brązowej zupie. Było tropikalnie – jak w Bayou.

Cali przemoczeni skakaliśmy z okna kuchennego wprost do wody, która Lupinowi sięgała aż do kolan. A potem wspinaliśmy się po drzewie i ssaliśmy kostki zamrożonej oranżady Ribena, przeraźliwie głośno nucąc *I Get Around* Beach Boysów, aż sąsiedzi wyglądali z okien i kazali nam się zamknąć. Wtedy mieliśmy jakiś plan.

To lato, no cóż, to lato już jest zmarnowane. Nie mogę się zatracić w zabawie z dziećmi, bo mogłabym nie usłyszeć dźwięku otwieranej i zamykanej skrzynki na listy. Patrzę, jak się bawią, i z wymuszonym entuzjazmem dołączam do nich, ciągle zrywając się i biegając do drzwi, po czym wracam z chwilowym poczuciem ulgi, z obawą przed następną wizytą listonosza. Za dnia jestem rozkojarzona.

W nocy leżę obok szukającego azylu Lupina, setki razy odgrywam w głowie moment, gdy listu już nie da się powstrzymać i rodzice dowiadują się prawdy, a wtedy załamani i przerażeni mówią: „Johanna, co ty nam zrobiłaś? Coś ty narobiła?”.

Co zrobiłam? Co będzie dalej?

Prawdę mówiąc, odchodzę od zmysłów. Dręczy mnie poczucie, że zdradziłam rodzinę. Lęk przed tym, że naraziłam swoją biedną, chwiejną rodzinę – z duchem w roli matki i nieodkrytą gwiazdą rocka w roli ojca – na niebezpieczeństwo, sprawia, że ciągle źle się czuję. Jakbym miała straszne zapalenie opon mózgowych. Jestem przeładowana adrenaliną. Adrenalina mnie zalewa, tonę w niej i jest mi od niej niedobrze. Czuję się, jakbym nieustannie była trzydzieści sekund przed apokalipsą pukającą do naszych drzwi.

Cały ten wzrost adrenaliny powodowany jest czymś jeszcze: szalonym hormonalnym przypływem – złym, ponurym okresem dojrzewania. Tak jak wtedy, gdy miałam dwanaście lat i testosteron z estrogenem wypaliły nowe ścieżki neuronowe, tak teraz, gdy mam lat czternaście, adrenalina wypala całą nową mapę – wiadukty i przejścia podziemne pod tym, co już zbudowane, miejsca, gdzie przerażające myśli mogą się ukryć albo biec prędzej, coraz prędzej. Przerazenie sprawia, że myślę szybciej, jak w szalonym galopie, który czasem mnie przytłacza – mam wrażenie, że nigdy się nie skończy.

Siedzę w dużym pokoju i przysłuchuję się, jak domownicy snują plany na przyszłość – zakup nowych drzwi, odwiedziny wujostwa w Walii. I myślę: kiedy przyjdzie brązowy list, żadnej z tych rzeczy nie zrobimy. Skończymy w przytułku dla ubogich i będziemy opieką nad świeczką. A wszystko przeze mnie.

Adrenalina powoduje, że czuję ciągły niepokój. Pięści mam zaciśnięte i zgrzytam zębami podczas snu. W późniejszych latach będę umiała rozpoznać kogoś, kto zaliczył ten zastrzyk strachu we wczesnym dzieciństwie – inne dzieci z dysfunkcyjnych domów, dzieciaki, którym grunt zapadał się pod nogami, dzieciaki, które nie spały w nocy, wyobrażając sobie, że w pożarze ginie ich rodzina, i zastanawiały się, kogo najpierw uratować od płomieni i przyszłości, jak w *The Amazing Mr. Blunden* Antonii Barber. Dzieci wychowane na kortyzolu. Dzieci, które myślą za szybko.

Tak zapewne czuje się ktoś ukąszony przez radioaktywnego pająka, myślę posępnie w drugim miesiącu mojego załamania nerwowego. Naprawdę czuję się jak jakiś insekt. Mam błyszczące czarne oczy. Adrenalina sprawia, że źrenice mam ciągle rozszerzone – jak ćpun.

Zwierzam się odrobinę Krissiemu z mojego nowego zmartwienia nie-do-ogarnięcia, a on radzi mi przeczytać *Przemianę* Kafki. Czytam dwa rozdziały i ze strachu zaczynam świrować do tego stopnia, że muszę trzymać książkę z dala od łóżka. Przeistoczenie się w coś innego wydaje się przerażające.

Z pewnością całe to moje cierpienie nie pójdzie na marne. Ktoś musi prowadzić zapis, ile razy serce wali mi jak młot, liczyć te beczki adrenaliny, w których się nurzam – nie mówiąc nikomu ani słowa. Strach dał mi solidną nauczkę: nigdy więcej nie powiem nikomu, jak mi źle. Nigdy nie przyznam się do słabości. To wcale nie pomaga.



To tylko pogarsza sprawę.

Najlepiej nie mówić nikomu, że ma się doła. Dorastanie polega na tym, by mieć jakieś tajemnice i udawać, że wszystko jest w porządku.

W końcu udaję się tam gdzie zawsze, gdy potrzebuję informacji na temat czegoś zaskakującego, obrzydliwego albo przerażającego: do biblioteki. Odpowiedź musi być gdzieś tutaj, pośród tych dwudziestu tysięcy książek w spokoju czekających na półkach. Siadam na podłodze w dziale medycyny i po przejrzeniu czterech tytułów wreszcie dowiaduję się, że to dręczące mnie uczucie nazywa się „lęk”.

To zaskakujące. „Lęk” objawia się tym, że załamujesz rękę, bo mleczarz przyjeżdża spóźniony. Ja używałam słowa „lęk”, gdy mówiłam, że nie zdążyłam na początek *Watchdoga*, albo gdy zastanawiałam się, co dostanę pod choinkę. A okazuje się, że jest wiele rodzajów lęku. Po dwóch godzinach odnośniki zaprowadziły mnie do woluminu *Męstwo bycia* teologa Paula Tillicha.

Tillich dzieli lęk na trzy kategorie: „lęk ontyczny”, czyli strach przed śmiercią i fatum, „lęk moralny”, a więc lęk przed poczuciem winy i potępieniem, oraz „lęk duchowy”, wywołany poczuciem, że nasze życie jest puste, pozbawione sensu i celu.

Gdy już określiłam swój lęk jako moralny i z lekka ontyczny, z zapalem wertuję strony, aby znaleźć rozwiązanie tego okropnego uczucia. Na samym końcu wyczytuję ostateczny wniosek Tillicha: lęk trzeba po prostu zaakceptować. Lęk jest rzeczą ludzką – wyjaśnia spokojnie autor.

Opieram się o półki z książkami i przez kilka minut rozważam radę Tillicha. Rozważam zaakceptowanie tego rodzaju uczucia przez resztę moich dni. Kąpanie się w tej wrzącej, naładowanej rtęcią zupie do końca życia – z nerwami zszarganymi jak stare sznurówki, jakbym była jedyną ocalałą po wybuchu wojny nuklearnej, otoczoną martwymi ciałami.

Rzecz w tym, mówię w myślach do Paula Tillicha, rzecz w tym, Paul, że mój lęk nie jest ontyczny, moralny ani duchowy.

Patrzę na niego.

Koniec końców ja po prostu potrzebuję pieniędzy.

Paul Tillich potakująco kiwa głową.

Gdybym była bogata, wszystko inne nie miałyby znaczenia.

Ja po prostu potrzebuję pieniędzy.

## Rozdział czwarty

Oto jak można zarobić pieniądze na utrzymanie siedmioosobowej rodziny, gdy jest się czternastolatką.

A więc tak.

Przez jeden dzień byłam sprzątaczką – odpowiedziałam na ogłoszenie w „AdNews”, w którym szukali kogoś do sprzątnięcia dużego domu przy Penn Road w sobotę. Włożyłam swój najlepszy kapelusz, uwiązałam psa przed domem i zapukałam.

Spędziłam trzy godziny, czyszcząc ich kuchnię, łazienkę i wykafelkowany na biało i czarno przedpokój. Właścicielka kazała mi zeskrobywać kamień z kranu szczoteczką do zębów i dezynfekować wielkie kubły na śmieci przed domem. Fusy z porozrywanych torebek herbaty oblepiały mi ręce, tworząc wzorek, z którego mogłam wyróżnić swoją przyszłość: będę śmierdzieć.

A na sam koniec kobieta spytała mnie, ile mam lat. Powiedziałam, że czternaście. Po czym, stwierdziwszy, że nielegalne byłoby mnie zatrudnić, wręczyła mi dychę i odesłała do domu. Myślę, że od początku wiedziała, że jestem za młoda, ale nie chciała mnie wprowadzać w tajniki prawa pracy, póki nie dam nura do jej śmietnika.

W amerykańskich filmach dzieciaki, które chcą skombinować forszę, robią lemoniadę i przed domem sprzedają ją spragnionym przechodniom.

Przedyskutowałam taką możliwość z Krissim. Spojrzał na mnie, potem wyjrzał przez okno na naszą ulicę i powiedział:

– Przecież nie mamy cytryn.

– Kiedy Bóg pozbawia cię cytryn i nie możesz zrobić lemoniady, sprzedawaj niemoniadę – odparłam radośnie.

Tak więc tego wypełnionego lękiem lata 1990 roku nie sprzedawałam lemoniady przed naszym domem.

Siedząc z rodzicami w dużym pokoju i czekając na teleturniej *Catchphrase*, podnoszę kwestię potencjalnej pracy dla nastolatki.

– Możesz roznosić gazety – mówi mama. – Sama kiedyś tak pracowałam i zarobiłam na adapter. Za te pieniądze kupiłam moje wszystkie płyty Stonesów.

Matka ma pierwsze siedem płyt The Rolling Stones, które trzyma na osobnej półce. To jedyny zespół, jaki kiedykolwiek lubiła. Czasem, kiedy wyciera podłogę w kuchni, słucha *You Can't Always Get What You Want* i śpiewa ze złością.

– Zawsze ci się podobali sprośni rock'n'rollowcy – mówi tata, ściskając górną część jej uda, w miejscu, gdzie graniczy to z nieprzyzwoitością. Mama też ściska go za udo. Gapią się na siebie ckliwie w lekkim napięciu, wyglądają trochę głupkowato. Chrząkam głośno. Przystają mizdrzyć się do siebie na kanapie i z powrotem zwracają swoją uwagę w moją stronę. – Cały myk z roznoszeniem gazet polega na tym, żeby się zatrudnić w ostatnim kwartale – tłumaczy tata tonem profesjonalisty. – Na jesień. Wtedy pracujesz trzy miesiące, zgarniasz napiwki w okresie bożonarodzeniowym i rzucasz robotę w Nowym Roku, kiedy jest już bardzo zimno i nieprzyjemnie. Właśnie zaczyna się najgorętszy okres.

Niestety, kiedy następnego dnia zgłaszam się do kioskarza, żeby wprowadzić w życie ów wspaniały plan, odkrywam, że wielu innych było już przede mną – jest już cała lista oczekujących na roznoszenie gazet, aż do wiosny przyszłego roku.

– Chyba że chcesz roznosić w Wordsley – mówi z powątpiewaniem kioskarz.

Wordsley to niebezpieczna dzielnica – trzy szare wieżowce na porośniętym krzakami pustkowiu jak trzybolcowa wtyczka, która czeka, aż znów ktoś ją włoży do gniazdka i będzie mogła zapomnieć o otaczającej ją martwej okolicy. Krąży plotka, że w Wordsley kogoś ukrzyżowano – przybili mu ręce do deski i zostawili za przychodnią. To jedna z tych rzeczy, które „wiemy” o Wolverhampton – tak samo jak „wiemy”, że gość zwany Kowbojem, który chodzi przebrany po mieście, mieszkał kiedyś w Ameryce. Albo że ten włóczęga z brodą, który mieszka w namiocie na rondzie Penn, tak często odmawiał przeniesienia, że miasto pociągnęło prąd do jego namiotu, żeby mógł mieć lodówkę i oglądać telewizję.

Wolverhampton to zaskakująco interesujące miejsce do mieszkania, jeśli wiesz, gdzie szukać.

Lato płynie, a ja wciąż próbuję się wzbogacić. Mój plan z wisiorkiem z czterolistną koniczyną się nie powiódł. Jeden z dzieciaków, którym go sprzedałam, rozkłada na części pierwsze kawałek tekturki na sznurku z czterolistną koniczyną, przyczepioną taśmą klejącą, i odkrywa, że wzięłam po prostu trójlistną koniczynę i dokleiłam czwarty listek. Muszę zwrócić pieniądze poprzednim (sześciu) klientom.

Potem, pewnego niezwykle ekscytującego dnia, w „Express & Star” ogłaszają przesłuchanie. „Poszukujemy dzieci do jesiennej inscenizacji *Annie* w Grand Theatre”.

Nie dość, że ogłoszenie ewidentnie oferuje zatrudnienie dzieciom – ostatni raz widziałam coś takiego na reprodukcjach wiktoriańskich gazet, apelujących do dziewcząt o zwinnych paluszkach, by zgłosiły się do pracy w przedalni – to jeszcze trafia w jedną z niewielu kwalifikacji, jakie posiadam, a mianowicie znajomość całej ścieżki dźwiękowej z *Annie*.

Biorę „Express & Star” do ogrodu. Dzieciaki są pochłonięte naszym najnowszym wynalazkiem – farmą ślimaków. Na starej blasze do pieczenia pokrytej trawą, ziemią i stokrotkami mamy ponad trzydzieści ślimaków różnych rozmiarów. Rozpoznajemy każdego z nich. Każdy ma inną osobowość i każdy nosi imię któregoś z naszych bohaterów.

– To Archimedes – mówi Lupin o ślimaku, którego kąpie w starej puszcze po tytoniu wypełnionej wodą. – Udziela dobrych rad.

Archimedes wygląda na dość zmęczonego. Już jakąś chwilę „moczy się w wannie”.

Tymczasem Krissi – z nożyczkami w ręku – wygląda na zajętego.

– Nie zgadniesz, co znalazłam w „Express & Star”! – zagajam, machając mu gazetą przed nosem.

– Jestem w trakcie operacji – odpowiada z gniewną miną.

– Z Lesbijką Dennis i Księżną Yorku jest kiepsko – mówi Lupin, wskazując dwa ślimaki leżące na desce.

– Mają dość skomplikowany rodzaj nowotworu – dorzuca Krissi.

Podchodzę i patrzę. Lesbijka Dennis i Księżna Yorku doprawdy wydają się mieć „skomplikowanego raka” – są złączone dwiema tajemniczymi rurkami. Krissi wkłada pomiędzy nie nożyczki.

– Były w tym stanie, gdy je znaleźliśmy – mówi Lupin.

– Są związane od trzech godzin. Obserwowaliśmy je. – Krissi podwija rękawy.

– Nie mogą się od siebie uwolnić! – wyjaśnia Lupin. – Są w pułapce!

– Cicho, Lupin – mówi Krissi. – Zaczynam operację. – Nacina białe rurki. Ślimaki wiją się i skręcają, trzeba przyznać, że dość gwałtownie jak na ślimaki, po czym chowają się w swoich muszlach, wypuszczając ogromne bańki. Wszyscy oddychamy z ulgą.

– Są wolne! Pewnie się cieszą – mówi Lupin. Bierze każdego z nich i kładzie na liściu bzu.

Lupin układa wokół nich kwiatki, żeby – jak twierdzi – szybciej wyzdrowiały.

– To czego ode mnie chciałaś? – pyta Krissi i z miną profesjonalisty wyciera nożyczki o spodnie.

Ślimaki wciąż wypuszczają kłęby pełnej cierpienia piany.

– Wystawiają *Annie* w teatrze! – mówię, wymachując mu przed oczyma „Express & Star”. – Cały tekst znamy już na pamięć! W Wolverhampton nie ma nikogo, kto znałby *Annie* lepiej niż my! Powinniśmy wszyscy pójść na przesłuchanie! Moglibyście zagrać chór sierot w domu dziecka!

Krissi przygląda mi się uważnie.

– „Moglibyście zagrać chór sierot”? – pyta. – „Wy”? To kogo ty w takim razie miałabyś zagrać?

– No... Annie.

Krissi wybucha histerycznym śmiechem. Gdy rechocze, czuję, jak fale dźwiękowe jego śmiechu odbijają się o moją wielką, okrągłą twarz. O moje wielkie, zbite jak u futbolisty ciało. O maminy biustonosz pod koszulką – o wiele za duży, przerobiony przeze mnie ścięciem dzierganym, którego nauczyłam się z przewodnika po szyciu dla młodych dziewcząt (*Young Girl's Guide To Sewing*, 1979). Krissi uważa, że nie mogłabym zagrać na wpół wygłodzonej, aczkolwiek pogodnej ośmioletniej amerykańskiej sieroty z czasów Wielkiego Kryzysu.

– Annie – powtarzam, próbując przybrać stanowczy i optymistyczny ton.

– Chyba Piggy – szydzi Krissi.

Ale wiem, choć się do tego nie przyznaje, że sam chciałby zagrać Annie. I dlatego się ze mnie śmieje.

Cały ranek spędzamy w ogrodzie na próbach do musicalu. Dziwi mnie, że Krissi, chociaż jest już taki stary, też w nich uczestniczy. Nie tylko wspaniale wcieli się w postać Peppera, ale także recytuje wszystkie kwestie panny Hannigan. W drugiej roli jest bardzo przekonujący. I znowu czuję się dumna z mojego starszego brata. Ten ranek to ciężka harówka. Jestem przekonana, że będziemy najlepiej przygotowaną grupą sierot, jaka kiedykolwiek pojawiła się w tym teatrze.

Robimy sobie przerwę na lunch. Oparci o drzewo jemy krakersy z serem, przekazując sobie paczkę między gałęziami, jak stado grubych, poszarpanych ptaków.

Potem dalej ćwiczymy aż do czwartej po południu, kiedy dzwonię do teatru.

Wszyscy gromadzą się wokół telefonu.

– Dzwonię w sprawie przesłuchania do *Annie* – mówię moim najwytworniejszym głosem, takim samym zwróciłam się do gościa, który chciał rozrąbać Biance głowę siekierą. To mój głos do rozmawiania z ludźmi. Wkładam go, tak jak wkłada się kapelusz do kościoła, za każdym razem gdy rozmawiam z kimś spoza domu. – Jest nas pięcioro. Niezła z nas ekipa! Banda Morriganów! Od noworodka do piętnastolatka! No i nie trzeba nas za bardzo przesłuchiwać, bo znamy już cały tekst!

Nie będę was zanudzać, opowiadając o tym, jak kobieta poinformowała, że musielibyśmy mieć ukończony kurs trzeciego stopnia w stepowaniu i rozległe doświadczenie w produkcjach amatorskich i nie być bandą grubych stukniętych dzieciaków, i w ogóle żebyśmy spierdalali.

– Zapewniam panią, że mamy bardzo duże doświadczenie w byciu amatorami! – mówię, kiedy wspomina o doświadczeniu w produkcjach amatorskich.

Ale jej to nie bawi. Nikt nigdy się nie śmieje, kiedy zapodaję tego rodzaju żart. Kiedy Bill Murray palnie coś w tym stylu, ludzie kompletnie tracą rozum. Żałuję, że nie jestem Billem Murrayem. Mam nadzieję, że wszystko, co przeczytałam o ewolucji, to pomyłka i że w końcu kiedyś się w niego zamienię. To jeden z zaledwie trzech planów, jakie mam w zanadrzu.

Odkładam słuchawkę i patrzę na moje rodzeństwo. Oni patrzą na mnie.

– Pamiętajcie, co mówi Annie? Byle do jutra! – pocieszam ich.

– Mówiłem ci, że to głupi pomysł – powiada Krissi, ściągając perukę panny Hannigan.

Następnego dnia Krissi musi przyznać, że Lesbijka Dennis i Księżna Yorku nie żyją. Leżą wyschnięte w swoich muszlach i nie reagują – nawet gdy dźgamy je patykami, a potem szpilkami.

Kiedy jest już jasne, że Księżna Yorku nie żyje, Krissi przebija ją igłą na wylot. Robi to z opanowaniem i spokojem – domyślam się, że jako nasz główny chirurg ślimaczy musi przeprowadzić badanie kliniczne.

Grzebiąc w ziemi martwego ślimaka, znów nucimy *Tomorrow* z musicalu *Annie*. A Lupin płacze.

Ale jak mówi Matka Przełożona do Marii w *Dźwiękach muzyki* – kiedy Bóg zamyka drzwi, otwiera okno. Dwa tygodnie później w „Express & Star” – naszym jedynym źródle wiadomości o wszystkim, co dzieje się na świecie – pojawia się ogłoszenie.

Opatrzony nagłówkiem „Wzywamy młodych poetów!”, konkurs zaprasza do udziału „początkujących młodych poetów ze środkowej Anglii”, zachęcając do nadsyłania wierszy o tematyce „Przyjaźń”.

Nagrodą jest czek na dwieście pięćdziesiąt funtów, publikacja w „Express & Star” i możliwość odczytu swojego wiersza w *Midlands Weekend* – piątkowym wieczornym magazynie, który oglądają wszyscy w środkowo-zachodniej Anglii.

– Powinnaś wziąć udział w tym konkursie poetyckim – mówi matka, gdy pałaszuję zapiekanekę z konserwą wołową.

Ponieważ dopiero co odkryłam w sobie pełną niepokoju wojowniczość, postanawiam nie mówić, że mam już dwie trzecie wiersza. Chcę teraz jak najwięcej spraw trzymać w tajemnicy, naprawiając zdradę tak wielkiego sekretu, która może być fatalna w skutkach. Skoro dochowuję tajemnic, wiem, że dojrzewam.

Od dwóch dni jednak potajemnie podwajam wysiłki, starając się uratować swoją rodzinę. Od siódmej rano do dwunastej w południe pilnuję skrzynki na listy, chroniąc nasz dom przed jakąkolwiek próbą zesłania nań klęski, a jednocześnie wypełniam kartki notatnika poezją. Jak dokładnie policzyłam, mój wiersz ma już ponad dwa tysiące dwieście słów. Udało mi się nawet zrymować „przyjaźń” z „wyłaź”, co uważam za bardzo epickie.

Jeśli ktoś w hrabstwie West Midlands miałby zgarnąć wygraną w tym roku,



z pewnością będę to ja. To naprawdę muszę być ja. Wygram te dwieście pięćdziesiąt funtów.

No i wygrywam! To ja, ja wygrywam. Przychodzi list i wszyscy piszczą z radości, a mama od razu zaczyna się martwić, w czym wystąpię w telewizji.

– Będziesz musiała włożyć dzinsy ojca. W swoje stare już się nie wbijesz.

Tata dzwoni do wuja Jima, żeby pożyczyć czterdzieści funtów na benzynę.

– Trzeba dzieciaka zawieźć do Birmingham – tłumaczy.

Za dziesięć funtów nalewa do baku, a za resztę kupuje buty dla Lupina. Wszystkim stawia rybę i frytki, żeby uczcić wygraną. No i dobrze.

Cały tydzień się denerwuję, a gdy przychodzi piątek, wkładam dzinsy taty, siedzę na krześle i wpatruję się w zegar. Dosłownie nic innego nie robię, tylko gapię się w zegar, aż wreszcie wybija siedemnasta i trzeba wziąć teczkę podpisaną „Teczka Johanny: WIERSZ” i pojechać do Birmingham.

Gdzieś w połowie drogi do Brierley Hill ojciec wyłącza płytę *Brothers in Arms* i pokazuje na cichą, spowitą światłem lamp dolinę w dole. Same puste osiedla przemysłowe i krótkie pasma domów wybudowanych wzdłuż jezdnii.

– Kiedy byłem dzieckiem, wjeżdżało się na tę górkę i to wszystko – gestem wskazuje dolinę – płonęło. Odlewnie, kuźnie i huty żelaza. Zakłady ceramiczne. Od tego miejsca biła łuna. Iskry leciały w górę na piętnaście metrów. Ogień nigdy nie wygasał. Ten widok przypominał piekło. Mordor. To o tym jest ten twój cały *Władca Pierścieni*. Tolkien był stąd. Pisał o tym, jak rewolucja przemysłowa przemieniła środkową Anglię z Hobbitonu w Mordor. Ktoś, kto pracował cały dzień w kuźni albo w kopalni, szedł do knajpy i wypijał czternaście piw. I wcale nie był pijany. Uzupełniał tylko wodę w organizmie. Tak się człowiek wypocił – opowiadał ojciec. –

W kącie siedzieli mężczyźni: jeden bez nogi, drugi ze zmiażdżoną ręką. Albo krzesło stało puste. To była brutalna praca. Ludzie jak małe kolumny mięsa pośród walących młotów, płomieni i wybuchów.

Kiedy tak opowiadał historie o swoim ojcu, jego pracy i kolegach, nie bardzo było wiadomo, czy to dobrze, czy źle, że mężczyźni już nie stoją, pocąc się w środku ognia.

Jak wielu innych mężczyzn, których znałam, nie potrafił się zdecydować, czy to

dobrze, czy źle, że przemysł w Wielkiej Brytanii upadł. To jak ze śmiercią niestabilnej i bezwzględnej matki. Co prawda była niestabilną i bezwzględną matką. Ale przynajmniej miałaś matkę. Każdy potrzebuje matki. Tak myślę.

– Jeśli jesteś z klasy robotniczej i chcesz się stąd wyrwać, to albo zostajesz bokserem, albo piłkarzem, albo gwiazdą muzyki pop – puentuje. – To jedyne wyjście. Ja oczywiście wybrałem bycie gwiazdą rocka. – Tutaj następuje krótka chwila milczenia, podczas której oboje zastanawiamy się nad jego dotychczasową karierą w muzyce pop. – Za to ty – ciągnie – ty masz swoje pisanie.

– To tylko jeden wiersz, tato.

– Skoro umiałaś napisać jedną rzecz dobrze, to możesz napisać cokolwiek – mówi stanowczym tonem. – Będziesz codziennie ćwiczyć i tak się wyrobisz, że będziesz umiała napisać tekst na tysiąc słów o... żarówce. Albo o... mojej dupie.

– O twojej dupie.

– Albo o swojej. Znalazłaś swoją inną drogę, dziecko! – mówi tata, waląc otwartą dłonią w kierownicę.

– Inną drogę, żeby wyrwać się z tego gówna. Dwieście pięćdziesiąt funtów za jakiś, kurwa, wiersz. Niezły bajer. Dobra robota.

Wiję się ze szczęścia, jak to robią koty, gdy ktoś obcy pochyla się i dotyka ich twarzy na ulicy.

Studio *Midlands Weekend* tonie w białym świetle i zgiełku. Przejście z naszego ponurego, bezsensownego domu do tego... ula przyprawia mnie o niepokój. Tutaj wszyscy są elegancko ubrani, w nowych butach; sprawiają wrażenie, jakby brali wypłatę, szli do restauracji, a potem uprawiali seks.

Nigdy nie byłam w budynku z ludźmi, którzy chodzą do restauracji i uprawiają seks. Nigdy nigdzie nie byłam ani nic nie robiłam. Odurzające, ile tutaj się dzieje.

Kobieta o imieniu Amanda sadza nas w green roomie, który wcale nie jest zielony, a ja wypijam cztery szklanki soku i odczuwam lęk będący mieszanką wszystkich lęków, o których słyszałam, tyle że ze zdwojoną siłą. Wszystko wydaje się całkowicie nierealne. Czuję, że zaraz zemdleję.

– Wszystko wydaje się całkowicie nierealne. Czuję, że zaraz zemdleję – mówię Amandzie, kiedy w końcu prowadzi mnie do studia, zostawiając za kulisami tatę

z kciukami uniesionymi w górę.

– Och, nie mdlej, proszę cię! – mówi Amanda. – Po tobie występuje ptak-nimfa, który nauczył się jeździć na deskorolce, i jeśli zemdlejesz, będziemy musieli go przetrzymać sześć minut. Już zdążył zaatakować naszego analityka prasowego.

Występ jest nadawany na żywo. Kiedy dadzą mi znak, mam podejść do prezentera. Kamery krążą wokół mnie, idę. Spoglądam w dół na monitory ustawione wzdłuż podłogi i widzę siebie oczami kamery.

I naprawdę wolałabym nigdy nie zobaczyć tego, co widzę.

Nie mamy w domu luster – ani jednego. Mama się nie zgadza, bo w razie stłuczenia mogą przynieść pecha.

Przez ostatnie czternaście lat musiałam się więc domyślać, jak wyglądam. Żeby się zobaczyć, ciągle rysuję swój portret na szkicownikach – z dużymi oczami, długimi włosami i w pięknych sukienkach przyozdobionych futrem i perłami. Jest przecież szansa, że właśnie tak mogę wyglądać – no i z pewnością lepiej narysować siebie taką niż inną.

Oczywiście, że się widziałam – niewyraźnie w ciemnych oknach wystawowych na mieście. Ale te okna mnie nie znały, widziały tylko, jak idę, i to przez sekundę. Więc skąd mogły wiedzieć, jak wyglądam? Czy szkło może odbijać z taką szybkością? Szkło, w całym swym pośpiechu, myli się i tyle.

Ale tutaj na monitorach w studiu po raz pierwszy w życiu widzę się w całej okazałości i w kolorze. I choć powinnam doświadczyć tego uczucia gdzieś indziej i z innego, bardziej dramatycznego i szlachetnego powodu, a nie na widok siebie na ekranie – czuję, że ogarnia mnie rozpacz. Bo moim największym ze wszystkich skrywanych sekretów, takim, którego nie wyjawiałabym nawet w pamiętniku, nawet gdyby mnie poddawano torturom, jest ten, że naprawdę, szczerze i z całego serca pragnę być piękna. Bardzo, ale to bardzo chcę być piękna – zapewni mi to poczucie bezpieczeństwa, przyniesie szczęście, a poza tym bycie niepiękną jest wyczerpujące.

I gdy tak tu stoję i z wielkim przerażeniem patrzę na siebie w monitorze, widzę to, co miliony ludzi zauważą od razu. Że nie jestem piękna. Wcale nie jestem piękna.

Jestem strasznie bladą, okrągłą dziewczyną ze zrosniętymi brwiami, zbyt małymi oczami i prostymi włosami w kolorze zdechłej myszy. I wcale nie jestem piękna.

I w dodatku jestem gruba – potężny kawał bladej tuszy. Wyglądam jak tania biała chłodziarkozamrażarka, którą ktoś wtoczył na scenę, a potem z czystej złości namalował na niej twarz zatroskanego dziecka.

Spoglądam na siebie w monitorze i widzę, że szybko kieruję wzrok na wiersz, który trzymam w ręku. Czytam go z wielką uwagą, nie obchodzi mnie, jak wyglądam. Jestem poetką, pisarką i zajmuję się sercem, duszą i słowem, nie ciałem, próżnością i kieckami, w których mogłabym lepiej wyglądać. To nieważne, że jestem brzydka.

Będę tylko musiała wykombinować, jak udowodnić, że naprawdę w to wierzę. Później dowiodę, że to nieistotne, że jestem brzydka.

I kiedy prezenter *Midlands Weekend*, Alan „Wilko” Wilson, zmierza w moim kierunku – kamery śledzą każdy jego krok, kłaniają się i cofają jak dworzanie – zaczynam parować z nerwów i nagle przypominam sobie niezwykle ważną rzecz na temat *Midlands Weekend*. Rzecz w zasadzie kluczową: *Midlands Weekend* to znieawidzony przez wszystkich w środkowej Anglii program. Ludzie oglądają go tylko po to, żeby obsmarować występujących w nim gości.

Wystąpić w *Midlands Weekend* to jak złożyć siebie w ofierze przed każdym zwyczajnie złośliwym i znudzonym przeskakiwaniem z kanału na kanał widzom środkowej Anglii. Zlinczują mnie.

I w tym momencie mój mózg eksploduje.

Johanna Morrigan, PRZYJAŹŃ

Kto moim kompanem, kamratem i druhem?

Kto moim przyjacielem jest?

Mój pies.

Mój pies, co podobny jest do Limahla.

Nie dla mnie człowiek, co zdradza sekrety

Co wygada wszystko, co mu powiem, niestety.

Co złamie ci serce, a potem się z tego cieszy.

Z moją wilczycą, ona i ja, wataha na (sto) dwa,

Znamy się jak łyse konie.  
Zostanę ci wierna, psinko, i ty o tym wiesz,  
Czyż nie?  
I choć nie dasz rady łapami objąć mnie.  
Wiem, próbowałam nie raz  
Bianko, twe oczy zawsze utulą mnie  
w smutny, ponury czas.

– Moim dzisiejszym gościem jest Johanna Morrigan z Vinery w Wolverhampton – mówi Alan, wchodząc w mój kadr. – Johanno, pozwól, że zadam ci pytanie.

– To byłoby niestosowne, gdybyśmy poszli razem na randkę, Alan – odpowiadam.

Nie wiedziałam, że to powiem, dopóki słowa nie wyszły z moich ust. Mózg zbladł mi ze strachu. Odpowiedziałam automatycznie. W takich sytuacjach ja i Krissi mówimy, że dowcip po prostu sam się powiedział.

Ku mojemu zdziwieniu Alan sprawia wrażenie bardzo podenerwowanego. Wiele lat później w ramach operacji Yewtree policja prowadziła w jego sprawie śledztwo i znalazła kolekcję dziewczęcych majtek. Z perspektywy czasu wiem, dlaczego tak się wtedy zaniepokoił.

– Ha, ha, ha! Widzę, Johanna, że masz poczucie humoru – mówi Alan, dochodząc do siebie i patrząc do kamery. – Więc kochasz swojego psa, tak?

– Tak, Alan.

– Zawsze kochałaś swojego psa?

– Tak, Alan.

– Johanna, w zeszłym tygodniu gościliśmy zaprzyjaźnioną z naszym programem Judith Trevalyn z rady miejskiej Redditch, która sugerowała, żeby wszystkie tak zwane diabelskie psy – rottweilery, doberman, pitbulle i owczarki niemieckie – usypiać. Jak byś zareagowała, gdyby twojego „wilczura” uspiono?

– Tak jak napisałam w wierszu, Bianka jest moim najlepszym przyjacielem – mówię szczerze. – Uśpić Biankę to jak zabić mojego najlepszego przyjaciela.

– I co byś wtedy czuła?

– Zwariowałabym! – mówię po krótkim namyśle. Nie chcę, żeby to, co mówię,

zabrzmiało zbyt poważnie, nakładam więc teatralną maskę wariata. Robię zęza i wykrzywiam twarz. Kręcę kółka palcem przy uchu. To chyba za mało. Alan milczy, jakby czekał, aż powiem coś więcej. No to proszę. – Jesteśmy jak Kudłaty i Scooby Doo – ciągnę. – Najlepsi przyjaciele aż do grobowej deski.

Żeby dokładniej pokazać, o co mi chodzi, robię coś, czego, jak już teraz wiem, nigdy nie powinno się robić w telewizji na żywo, jeśli jest się świrniętą tłustą nastolatką w okowach pierwszej fali absolutnej egzystencjalnej nienawiści do samej siebie i na oczach ultrakrytycznie nastawionych widzów z twojego rodzinnego miasta.

Bez wyjaśnienia zaczynam naśladować odgłosy Scooby Doo.

– Johanna kocha, hau, hau, swojego psa! – I dodaję: – Wszyscy kochamy, hau, hau, mojego psa! – Biorę oddech i już wiem, co będzie dalej. – Scooby Dooby Doooooooooooo! – kończę, wyjąc. Daję z siebie wszystko, parodiując Scooby’ego. – Scooby Dooby Doooooooooooo!

W samochodzie, w drodze do domu, tata niemal cały czas milczy. Z Pebble Mill do Vinery jest godzina jazdy, a on nie odzywa się ani słowem. Dopiero gdy jesteśmy już prawie na miejscu i skręcamy z Penn Road w nasze osiedle, postanawia zagadać.

– Johanna – mówi.

Spogląda na mnie. Całą drogę płakałam, dogłębnie oczyszczając sobie zatoki. Jestem cała rozpalona. Chcę się spalić.

W tym celu zapinam kurtkę aż po szyję – żeby wytwarzać ciepło. Chcę, by na siedzeniu została po mnie tylko kupka popiołu i coś na kształt zwęglonej świńskiej nogi, którą widziałam na zdjęciach przedstawiających samospalenie w *Beyond Explanation?* Jenny Randles. Płakałam tak bardzo, że od łez zamokła kartka z wierszem i musiałam położyć ją na deskę rozdzielczą, żeby wyschła.

– Johanna – mówi, jakby miał przekazać wiadomość, którą powinien był mi przekazać już dawno temu, może nawet przy porodzie, ale kompletnie zapomniał. Brzmi tak, jakby obwiniął się o wszystkie dzisiejsze wydarzenia i chciał uniknąć podobnej sytuacji w przyszłości. – Johanna, nasze nazwisko to Morrigan, a nie Palant.

Muszę zapamiętać. Nazywam się Morrigan. Nie Palant.

Następne kilka tygodni do łatwych nie należy. Ponieważ jesteśmy w książce telefonicznej, niewielka, ale bardzo zaangażowana grupka dzieciaków z naszej szkoły co jakiś czas postanawia do nas wydzwaniać. Krzyczą do słuchawki: „Scooby Doooby Dooooo!”, a potem się rozłączają. Radzę sobie z tym, uruchamiając wszelkie znane mi mechanizmy obronne: leżę z psem pod łóżkiem, czytam *Małe kobietki* i jem kanapki z dżemem maczane w gorącej czekoladzie z torebki.

I kiedy już myślę, że wszystko ucichło, dwa tygodnie później, we wtorek, tata przyjeżdża do domu zły jak osa. Ktoś namalował Scooby’ego na naszej tylnej bramie czarną świecącą farbą i napisał „Wehikuł tajemnic” na drzwiach naszej furgonetki.

– Ludzie malują jakieś pierdolone amerykańskie psy na naszym domu – mówi do mnie ostrzegawczym tonem, jakby dawał mi ostatnią szansę. – Znaczą, kurwa, mój samochód.

Jedyną znaną nam osobą, która może przemalować furgonetkę, jest Johnny Jones. Swego czasu udało mu się gwizdnąć zestaw lakierniczy ze sklepu budowlanego, w którym kiedyś pracował – ale akurat jest w Leicester w odwiedzinach u swojej byłej żony.

Przez następne dwa tygodnie jeździmy więc po mieście „wehikułem tajemnic”, a tata musi parkować blisko murów i żywopłotów, żeby nie było widać napisu. I to strasznie tatę wkurza.

Zwłaszcza gdy blady na kacu wysiada z furgonetki przed mięsnym i słyszy od rzeźnika: „W nogi! Duch!”.

No i oczywiście nie mogę się teraz pokazywać na osiedlu. Znużona czekaniem i pilnowaniem drzwi wejściowych, nie czuję już takiej ulgi, gdy dostarczają ostatnią pocztę. Przed moim przypałem w *Midlands Weekend* zwykle wołałam psa gwizdnięciem, szłam prosto do biblioteki i spędzałam tam całe popołudnie w towarzystwie wszystkich moich ulubionych autorów.

Ale teraz ani ja, ani reszta dzieciaków nie możemy wyjść z domu za dnia, bo grupka gówniarzy krzyczy za Lupinem: „O, Kudłaty! Idzie Kudłaty!”. Ja w moich okularach na kasę chorych jestem „grubą Velmą”. Nie mogłam wybrać gorszej kreskówki jako punktu odniesienia. Pod względem dostarczania amunicji wrogowi jestem, kurwa, genialna.

Gdy więc lato się rozkręca, my siedzimy uwięzieni w domu, jeden na drugim. Wszyscy traktują mnie jak wielkiego dupka. Tu akurat ich rozumiem.

Jedyną dobrą rzeczą, jaka przydarza się przez ten cały okropny czas, jest nagroda – czek na dwieście pięćdziesiąt funtów.

Na widok koperty wznosimy gromki okrzyk. Otwieram ją – wciąż zażenowana, ale przynajmniej bogata. Wiążę z tymi pieniędzmi wiele nadzwyczajnych planów. Przynajmniej wiem, że całe cierpienie nie poszło na marne. Po czym tydzień później w samochodzie nawala sprzęgło i w drzwiach mojego pokoju pojawia się ojciec.

– Będziemy potrzebować tej forsy, mała – powiada.

Wydaje sto dziewięćdziesiąt funtów na remont vana, a reszta idzie na spłatę debetu (trzydzieści funtów) i piwo w barze Red Lion (trzydzieści funtów).

Teraz, znów załamana, leżę pod łóżkiem i gapię się w sprężyny wiszące parę centymetrów nade mną.

Na dole dzwoni telefon. Odbiera mama.

– Bardzo śmieszne. Czy nie jesteś przypadkiem dzieckiem Barbary Lemon? Aaa, chrzań się.

Znowu telefon ze Scoobym.

Czuję się jak Scout Finch, gdy Atticus prześladowuje całe miasteczko. Tyle że zamiast próby ocalenia niesłusznie oskarżonego czarnoskórego człowieka przed krzesłem elektrycznym napisałam wiersz, z którego można by wywnioskować, że jestem samotną trędowatą dziewczyną, gotową uprawiać seks ze swoim psem, a potem na żywo w telewizji sparodiowałam postać z jednej z najbardziej znanych kreskówek.

Nie dość, że nie zarobiłam fortuny, która miała zapewnić mojej rodzinie bezpieczeństwo, to w dodatku przyczyniłam się do tego, że uznają nas za jeszcze większych dziwaków i jeszcze bardziej będą się z nas wyśmiewać. Co – biorąc pod uwagę, że przez stojącego w oknie wielkiego Buddę mówią na nasz dom „dom Wielkiego Taty” – mówi wszystko.

Jestem kroplą trucizny w studni czystej wody, której za nic nie da się już stamtąd wydobyć, myślę sobie zasmucona. Uwielbiam cytować własną poezję. Jestem zarodkiem niesionym przez wiatr nad murem cytadeli... I jestem najgrubszą osobą, jaka kiedykolwiek wystąpiła w *Midlands Weekend*.



Leżę tak przez minutę, aż wreszcie dociera do mnie prawda i doznaję olśnienia – jakby w borsuczej jamie przy akompaniamencie szczękającej łopaty zapłonęła pochodnia.

Będę musiała umrzeć. To nie ulega wątpliwości.

CZEŚĆ DRUGA

**DZIEWCZYNA, KTÓRĄ NIGDY NIE BYŁAM**

## Rozdział piąty

Podnieca mnie myśl, że mam się zabić. Wydaje się to przyjemne i szlachetne. Miasto nawiedził potwór – ja – i jest tylko jeden bohater, który jest w stanie go zabić: ja.

Tak naprawdę oczywiście nie zamierzam się zabić. Myślę, że na początek będę walczyć zaciekle i nieczysto – być może będę gryźć – a poza tym właściwie wcale nie chcę umierać. Nie chcę być martwym ciałem leżącym na łóżku i nie chcę, żeby to był koniec wszystkiego. Nie chcę nie żyć.

Ja po prostu... już nie chcę być mną. Wszystko, czym jestem w tej chwili, nie działa, nie sprawdza się.

Chcę żyć jak w reklamie banku z piosenką *Easy like Sunday morning* w tle. Londyn, duży loft, a w środku ja – w puszystym szlafroku czytam sobie gazetę. A potem wychodzę w pięknej zielonej sukience i mówię coś śmiesznego, i ktoś w końcu chce się ze mną przespać. Tego właśnie chcę. Tak ma wyglądać moje życie w przyszłości.

Leżąc pod łóżkiem, zastanawiam się, jakie szanse ma ten scenariusz z obecną Johanną Morrigan w roli głównej. Przejmująco małe. Nie mam odpowiednich środków.

Będzie potrzebna większa łódź, myślę sobie.

Tak więc zaczynam wszystko od nowa. Wielokrotnie spotykałam się z wyrażeniem *self-made man*, ale nie rozumiałam jego znaczenia. Myślałam, że wcale nie chodzi o młodego przedstawiciela klasy robotniczej, który o własnych siłach osiągnął sukces w biznesie, a teraz pali cygara i chodzi w trochę nazbyt błyszczących butach – ale o coś bardziej żywiołowego i baśniowego. Kogoś na kształt maga czy czarodzieja, który utkał siebie ze srebrnej nici, ambicji i czarów.

*Self-made man* – nie zrodzony z kobiety, lecz powstały w wyniku alchemicznej przemiany, siłą woli, samoistnie. Taka chcę być. Chcę utkać z siebie nową, inną, zorientowaną na sukces kobietę. Chcę wyczarować siebie z każdej błyskotliwej,

szybko zmieniającej się rzeczy, jaką zobaczę. Chcę siebie wykreować. Zamierzam zrodzić się na nowo.

Najpierw pozbywam się swojego imienia. „Johanna Morrigan” już się dobrze nie kojarzy. „Johanna Morrigan” to w naszej okolicy odpowiedź na pytanie: „Kto twoim zdaniem ostatnio dał plamę?”.

Sporządzam listę potencjalnych nowych imion i idę z nią do Krissiego.

Jest w swoim pokoju i robi sobie na drutach czapkę z pomponem, pogwizdując i słuchając wypożyczonej z biblioteki kasety z kryminałem Agathy Christie. Wielkie blade chłopaczysko zgarbione nad parą drutów. Krissi bardzo się złości, gdy słyszy, że robótki ręczne są dla dziewczyn.

– Robienie na drutach było pierwotnie domeną mężczyzn – mówi, a druty w jego wielkich dłoniach stukają o siebie. – Wielu szkockich rybaków wpadłoby w szal, gdybyś im powiedziała, że to dziewczęce hobby. Dostałabyś od nich po łbie wielkim solonym dorszem, a ja jeszcze bym im dopłacił, żeby to zobaczyć. – Wyłączam kasetę, akurat gdy Poirot pije ziółka. – Poirot nie będzie miał problemu z dotarciem do tego, kto cię zabił – mówi Krissi, udając, że przebija mnie na wylot jednym z drutów, i z powrotem włącza kasetę.

A ja znów ją wyłączam.

– Krissi, wymyślam dla siebie nowe imię. Które twoim zdaniem do mnie pasuje?

– Hamburgerla. A teraz spieprzaj.

– Pytam poważnie, Krissi.

Krissi wie, jakiego mam doła. Dwa dni temu znalazł mnie z twarzą na podłodze, z podpaską podłożoną pod oczy, co miało wyrażać rozmiar mojego cierpienia. Śmiał się, ale też chyba trochę mi współczuł. Przynajmniej tak mi się wydawało.

– W dalszym ciągu uważam, że Hamburgerla – mówi. Ale dzierga ciszej, jakby mnie słuchał.

Próbowałam wybrać imię, które jest rzadkie, lekkie i jednocześnie mocne jak aluminiowy szybowiec. Chcę się wspiąć na to imię i czekać na ciepły prąd termiczny, i polecieć nim do Londynu, tam gdzie moja przyszłość.

Musi dobrze wyglądać w druku – musi pasować do czarnego atramentu – ale musi

też brzmieć radośnie, gdy ktoś będzie je krzychał w barze. Musi przypominać radosny okrzyk.

Sporządzona przeze mnie lista imion i nazwisk sama w sobie jest dowodem na to, że zasadniczo lepiej, by nastoletnie dziewczyny nie zostawały matkami.

Bo o ile nastoletnie dziewczęta są oczywiście w stanie całkiem dobrze wychować dziecko, o tyle imiona, jakie im wybierają, są raczej kiepskie.

– Co powiesz na Juno Jones? – pytam.

Krissi od razu odpowiada:

– Będą cię wołać Jumbo Bones <sup>2</sup>.

– Eleanor Vulpine? – Spojrzenie. – Kitten Lithium?

– To ma być imię dla człowieka? Nie chcesz chyba jakiemuś kotu dać na imię Iggy Pop, co?

– Nie, to ma być imię dla mnie. No to może Laurel Canyon? Tam w latach sześćdziesiątych mieszkali Crosby, Stills, Nash & Young. Raj dla hipisów. Mogłabym być Laurel Canyon.

– Nienawidzę Crosby, Stills, Nash & Young. Uważam ich za skurwieli. – Mrugam. O rety! Krissi się uśmiecha. – Nie bardzo! – mówi.

Ale w jego oczach nadal jest chłód.

– Moje dwa ulubione to Belle Jar i Dolly Wilde. Belle Jar od *Szklanego klosza*, wiesz, Sylvii Plath. A Dolly Wilde jak bratanica Oscara Wilde’a, ta niesamowita lesbijka i alkoholiczka, a do tego skończona skandalistka, co młodo umarła.

Krissi patrzy na mnie.

– I te imiona mają cię niby doprowadzić do lepszego, szczęśliwszego życia?

– Krissi, ale na poważnie: które ci się podoba najbardziej?

– Nie możesz po prostu zostać Johanną Morrigan? – pyta.

– Nie, nie mogę być Johanną Morrigan – odpowiadam.

Krissi wzdycha.

– Bzz, bzz, bzz, były sobie pszczołki trzy. Maja, Gucio, Klementyna i wypadasz ty.

Półtorej godziny później jestem w drogerii na Queen’s Square i kradnę czarną kredkę do oczu firmy Rimmel. Gdy wkładam ją do kieszeni płaszcza, czuję nagły ogromny przypływ nadziei. Po raz pierwszy, odkąd wyszłam z domu Violetty, czuję się

szczęśliwa. Kradzież kredki jest w porządku z moralnego punktu widzenia – ponieważ jej potrzebuję. Potrzebuję jej, żeby na własnej twarzy narysować twarz Dolly Wilde.

## Rozdział szósty

Uwielbiam Dolly Wilde. To moje nowe zwierzątko, maskotka. Prototyp tamagotchi z lat dziewięćdziesiątych. Jestem swoim własnym wymyślonym przyjacielem. Pod wieloma względami mój nowy konik, czyli ja sama, to najlepsze i najzdrowsze hobby, jakie w tej chwili mogłam dla siebie wymyślić. Zamierzam zabrać się do swojego podniszczonego pancerza i go ulepszyć.

Na ścianie nad łóżkiem przyklejam wszystko, co przyda mi się do tego zadania – kolekcję atrybutów, którymi chciałabym siebie obdarzyć teraz, gdy znowu zaczynam wszystko od nowa. Jak w tej scenie z filmów detektywistycznych, kiedy przypinają wszystkie wskazówki do ściany, potem gapią się na nie, a muzyka narasta, nasila się, aż – nagle! – już wiedzą, kto jest mordercą, chwytają płaszcz i wybiegają z pokoju.

Zamierzam zamieścić na tej ścianie wszystkie wskazówki, które pomogą mi stworzyć lepszą mnie, i będę się w nie wpatrywać, słuchając *The Best Of The Hollies*, aż nagle... odkryję, kim jestem, chwycę płaszcz i wybiegnę z pokoju, żeby uprawiać seks.

Wycinam zdjęcia z „Radio Times”, z używanych książek i gazet z wyprzedaży. Zdjęcia kobiet: Barbry Streisand z *Hello, Dolly!*, Ani z Zielonego Wzgórza i Mirandy Richardson w roli królowej Elżbiety I w *Czarnej żmii* – triumwirat żywiołowych rudzielców. Potem idą brunetki: Dorothy Parker, w tych swoich futrach, Kate Bush w koszuli nocnej i Elizabeth Taylor w okresie swojej świetności. Wygląda na to, że na blondynki nie starcza mi już czasu – nie licząc Królika Bugsa przebranego za kobietę (gdy uwodzi tego głupka Fudda). Taką kobietą mogłabym być, zdecydowanie – człowiekiem-królikiem z kreskówki przebranym za dziewczynę, który chce uprawiać seks z łysym chłopkiem-roztropkiem. Tak, na to mnie stać.

Na swojej ścianie gromadzę też mężczyzn: wymaginaną koterię moich umiłowanych braci. Dylan Thomas palący szluga. Młody Orson Welles, który nabrał świat swoją *Wojną światów* i gównem go to obchodziło. George Orwell – tak wielki! tak

mądry! tak przedwcześnie zmarły! Tony Benn, który wymyślił pamiątkowe znaczki pocztowe i dokonał otwarcia Post Office Tower. Rik Mayall w roli lorda Flashhearta w *Czarnej żmii*, gdzie szczeka i rozwała drzwi. Zdjęcie Lenina za młodu – do końca nie wiem, co później zrobił, ale jedno wiem na pewno: na tym zdjęciu wygląda bardzo ponętnie – brązowe oczy, szykowny szal i opadające włosy. Ktoś, kto jest tak przystojny, z pewnością nie mógł być aż tak zły.

No i słowa – resztę miejsca na ścianie zajmują słowa. Strona *W drodze* z fragmentem o płonących bajecznych racach. Przysięga Scarlett O’Hary: „Bóg mi świadkiem, że nigdy więcej głodna nie będę”, na którą gapię się z namysłem, jedząc kanapki z serem. Teksty piosenek *Rebel Rebel* i *Queen Bitch*. Kiedy Bowie krzyczy: „Boże, mogłem to zrobić lepiej!”, słyszę inną młodą osobę, która tkwi gdzieś, wygląda przez okno i wyobraża sobie, że potrafiłaby ten świat urządzić lepiej, gdyby tylko dano jej szansę wziąć ów mechanizm w swoje ręce. Gdyby tylko na dwadzieścia cztery godziny wpuszczono ją do maszynowni ze skrzynką na narzędzia.

Niektóre z tekstów wypisuję bezpośrednio na ścianie, żeby nigdy nie znikły ani nikt ich nie zerwał. Tworzę na ścianie kolaż z samej siebie.

I kiedy tak układam sobie wszystko w głowie jak nowe miejsce spotkań, równolegle zmieniam też swój wygląd. Na wyprzedazach porzucam stare zwyczaje zakupowe, wszystko to, co moi rodzice określiliby jako źródło dobrych fluidów. Jak większość hipisów starzy uwielbiają jasne kolory – mięsisty, ręcznie robiony sweter w odcieniach tęczy powitaliby okrzykiem: „W tym będziesz wyglądał zajebiście, synu!”.

Ale ja już nie zamierzam się tak nosić. Koniec z kolorami. Teraz ubieram się na czarno. Czarny ubiór do pracy, jak zły rozbójnik. Buty, rajstopy, bluza, szorty – wszystko czarne. Do tego czarna marynarka z dłuższym tyłem, nieco przyciasna w biuście, ale nieważne. Jestem Chick Turpin. Jestem Madame Ant. Zamierzam zatrzymać dyliżanse jadące w kierunku Londynu i kraść nowe życie temu, kto w nich siedzi.

Farbuję też włosy na czarno zwiniętą ze sklepu farbą marki Movida – ochrona w drogerii wydaje się współdziałać z napisem na drzwiach: „Tu jest ochroniarz i patrzy na złodzieja”. Ktoś ujmująco zmienił jego treść, zamazując niektóre litery tak,



że zostało tylko: „Jest nadzieja”. To moje nowe motto.

Z drogerii możesz wynieść wszystko, czerwoną szminkę też. Aplikuję ją obficie na usta, jakby świat miał się zaraz skończyć.

Kiedy we wrześniu zaczyna się szkoła, moje nowe czarne włosy wywołują komentarze.

Najlepszy jest autorstwa Emmy Pagett: „Świetnie, wyglądasz jak skóra zdjęta z Winony Ryder!”.

Najgorszy – Craiga Millera: „Raczej jak z krzyża zdjęta Winona Ryder. Ha, ha!”.

Jego uwaga nie robi na mnie wrażenia. Craig Miller to chłopak, co dziewczynom, które wpadną mu w oko, daje do powąchania dłoń, na którą właśnie puścił bąka. To nie Giacomo Casanova (*Historia mojego życia*), któremu wiem, że bym się podobała, bo on kocha mądre kobiety, ale też kobiety z wielkim tyłkiem.

Miesiąc po występie w *Midlands Weekend* schodzę na dół, żeby odsiedzieć swoje przy drzwiach wejściowych w oczekiwaniu na pocztę. Wyglądam jak Edward Nożycoręki dorabiający jako kelner. Godziny mijają mi na wyszywaniu „Dolly Wilde” na ciuchach: z przodu kurtki, na podwiniętych nogawkach moich szortów i na udzie. Wyszywać nauczyłam się z poradnika *Traditional and Folk Designs* (Alan & Gill Bridgewater, Search Press, 1990). Zacznę wyszywać samą siebie, bo nie chcę zapomnieć, jak się nazywam.

Mam teraz własną działalność. Decydowanie o tym, kim chcę być, budowanie swojej marki – kreacja Dolly Wilde to moja praca. Jako jedyna w domu mam pracę. Czuję, że poziom lęku znacznie mi się obniżył.

Dziś jest wtorek i na ten dzień zaplanowałam, że zadbam o networking, sieć wzajemnych kontaktów. Bardzo poważnie traktuję swoją firmę, czyli siebie. W *The Practice of Management* (Peter F. Drucker, Harper & Row, 1954), biblii biznesu, wyczytałam, że należałoby „poszukać ludzi z tej samej branży i nawiązać z nimi kontakt”.

Kuzynka Ali ostatnio przeszła przemianę, rok temu została gotką. Jadę więc do miasta, żeby nawiązać z nią korzystny kontakt.

Aha, i zabieram ze sobą współlnika.

– Czego chcesz?

Nerwowo mrugam oczami.

Stoję przy pomniku Man On 'is 'Oss, z kuzynką Ali i bandą czterech innych gotów, wśród których rozpoznaję chłopaka z naszej szkoły. Olivera. Jestem przekonana, że to jedyny dzieciak w Wolverhampton, który ma na imię Oliver. Pamiętam go jeszcze z czasów, gdy nie był gotem – codziennie w kolejce w stołówce ustawiał się wokół niego łańcuszek dzieciaków i każdy drżącym głosem mówił: „Proszę o dokładkę!”, a potem pchał go na ścianę. Po takich doświadczeniach zostanie gotem było tylko kwestią czasu.

Mówię „Hola!” najradośniej, jak potrafię, ale to najwyraźniej nie działa.

– Chcesz czegoś? – dopytuje się Ali.

Zaczynam nerwowo przestępować z nogi na nogę. Chyba dobrze odczytałam, że to miejsce spotkań samotników. Że kulturowo pasuję do tych gotów siedzących pod posągiem czy pomnikiem ku czci poległych w czasie wojny. Ludzi bez siły mięśniowej w górnej części ciała, którzy czytają poezję. Ludzi takich jak ja. Przecież mam na sobie moją czarną marynarkę, czarne buty, rajstopy i tyle kredki wokół oczu, że wyglądam jak miś panda.

Biorąc pod uwagę wysiłek, na jaki się zdobyłam, sądziłam, że ta subkultura przyjmie mnie do siebie. Nie wiedziałam, że trzeba najpierw przejść rozmowę kwalifikacyjną.

Znowu mrugam nerwowo.

– Jestem Johanna, twoja kuzynka. Córka Pata.

Ali przygląda mi się przez chwilę – ciężkim, krytycznym spojrzeniem.

– Przypominasz naszą Grubą Babkę – mówi wreszcie.

– Dostałam po niej łóżko!

– A ja kłatkę dla ptaków. Wsadzę do niej chomika – mówi Ali przez zaciśnięte usta.

Zapada cisza.

Parę metrów dalej mój współnik, Lupin, goni gołębia. Wygląda genialnie – strój odzwierciedla jego aktualną obsesję – tygrysy. Zrobiłam mu tygrysie uszy i tygrysi ogon, który przypięłam mu do spodni. Ugania się za gołębiem, krzyząc: „Rrr!”.

Jeden z chłopaków podnosi głowę i pyta:

– Ona jest z tobą, Ali?

Ali wzrusza ramionami. Ja też wzruszam ramionami. Potem ramionami wzrusza chłopak i na końcu znowu ja.

No ja pierdolę, czy na tym polega bycie nastolatkiem? Bez urazy, ale już lepiej się bawiłam, ucząc Lupina korzystania z nocnika, gdy robił kupę za kanapą, a potem wkładał ją do nocnika i prosił o nagrodę. To w sumie było nawet zabawne.

– Jesteś gotem? – pyta chłopak, patrząc na mój cały czarny strój.

– Czy bycie gotem jest kwestią zero-jedynkową? Czy można to rozpatrywać w kategoriach czarne–białe? – pytam jak jakiś starszy profesor w popołudniowych wiadomościach, wskazując palcem ich białe twarze i czarne ciuchy. Nic. Cisza. Matko, widziałam, jak Gilda Radner takimi tekstami rozkładała publiczność *Saturday Night Live* na łopatki. Czy jest w tym mieście ktoś, kogo bawią moje żarty? Nikt tu nie łapie dekonstrukcji semiotycznej. Chyba będę musiała się przeprowadzić do Nowego Jorku.

– Powiedziałabym, że ciekawi mnie ta subkultura – mówię.

Nadal nic.

– Jakich zespołów słuchasz? – pyta ten sam chłopak. Ali, całkowicie niewzruszona, pozwala mu mnie testować.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Beatlesów, oczywiście. Zeppelinów, no i najlepszych kawałków Simona and Garfunkela. Całego tego... – przez chwilę się waham – gówna – kończę.

Chłopak gapi się na mnie. Ewidentnie mu to nie zaimponowało.

– A coś nowego? – pyta wreszcie.

– A tak, jasne! – odpowiadam bez wahania. – Roachforda. Dire Straits. No i Michaela Jacksona, chociaż muszę przyznać, że wygląda na palanta. – Lubię też Tinę Turner, wymyśliłam cały układ do *Steamy Windows* z miotłą zamiast laski, ale tego mu nie mówię, bo patrzy na mnie, jakby ta rozmowa była grą, w której sromotnie przegrywam. – ...ale lubię też Johna Coltrane'a i Charliego Mingusa – wtrącam pospiesznie. – Całą tę jazzową śmietankę.

Kłamię. Nie znoszę jazzu. Uważam, że to muzyka pisana przez szaleńców i opętańców. Ale tata dużo tego puszcza w domu i przypomina mi się jego mądra rada: „Jeśli chcesz wygrać w jakiejś dyskusji, moje dziecko – zacznij gadać o jazzie. Jazz

ludzi dezorientuje”.

Chłopak wciąż wpatruje się we mnie wielkimi oczami. Ali lekko odsuwa się ode mnie. Postanawiam odczekać jeszcze minutę, choć wydaje mi się, że to już jest koniec rozmowy.

– No to... – mówię, nie wierząc w to, że jazz mnie zawiódł. Zastanawiam się, w czym jeszcze mój tata się myli. – No to ja już sobie... – Wstaję. Lupin jest dwadzieścia metrów ode mnie i goni kuśtykającego jednonogiego gołębia. – ...pójdę.

Ali lekko kiwa głową, a chłopak zupełnie mnie ignoruje. Moje pierwsze spotkanie z subkulturą Wolverhampton wypadło źle. Zero na dziesięć możliwych punktów. Źle się do niego przygotowałam.

Będzie mi potrzebna o wiele większa łódź. To mój powracający problem.

Patrzą na sklep po drugiej stronie skweru – Record Locker, niezależny sklep muzyczny w Wolverhampton – i podejmuję decyzję.

– Chodź, Lupin – mówię, wyciągając rękę w jego stronę. – Czas zmienić coś w życiu.

To było tradycyjne pożegnanie krytyka z „New Yorkera”, Alexandra Woollcotta, zwykle wypowiedziane po jakiejś katastrofie, takiej jak upadek po pijaku albo wielkie faux pas w towarzystwie. Lupin bierze mnie za rękę – nadal próbując kopnąć kulawego gołębia – a ja idę w stronę sklepu. Gdyby te kutafony wiedziały, kim był Alexander Woollcott, toby mnie szanowały, nawet gdy już sobie poszłam. A tak słyszę tylko, jak się ze mnie śmieją.

– O mój Boże – mówi Ali.

Zamierzam zrobić coś, co niewątpliwie będzie najodważniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Sklepy płytowe nie są dla kobiet. To powszechnie znany fakt. One są jak domek na drzewie z tabliczką „Dziewczynom wstęp wzbroniony” – taki odpowiednik klubu dżentelmenów dla młodej osoby kochającej muzykę. W moich najbardziej paranoidalnych fantazjach otwieram drzwi, muzyka cichnie, a wszyscy patrzą w moją stronę – jak w knajpie na Dzikim Zachodzie, gdy wchodzi do niej ktoś obcy.

Kiedy otwieram drzwi, muzyka rzeczywiście przestaje grać i wszyscy zwracają głowę w moim kierunku. To, że muzyka milknie, jest akurat zbiegiem okoliczności –

płyta się skończyła – ale że wszyscy spoglądają w moją stronę, przypadkowe nie jest. Ludzie tu zgromadzeni, zgarbieni nad półkami, to długowłosi chłopcy w wojskowych kurtkach z demobilu i martensach; kilku ma na sobie podniszczone skórzane kurtki. Widzę też kogoś w dzwonach w stylu muzyków Madchester. Oni wszyscy są pełnoprawnymi członkami kontrkultury. Im wolno tu być.

A ja jestem grubaską w czarnej bluzce pod marynarką, trzymam za rękę rudego sześciolatka z tygrysimi uszami i ogonem, patrzącego na gołębia i drącego się na całe gardło: „Nadlatuje orzeł!”.

Zaczyna się druga strona albumu *Bummed* i wszyscy znów odwracają wzrok. Kilku uśmiecha się znacząco. Nie obchodzi mnie to. Regularnie uprawiam seks ze szczotką do włosów i jestem bękartem bękarta Brendana Behana. Oni jeszcze będą przeklinać ten dzień. W końcu.

– Mogę jakoś pomóc? – pyta gość za ladą. Ma czarne, tłuste włosy i koszulkę z napisem „Sepultura”, która, co widać po samym logo, jest międzynarodowym znakiem rozpoznawczym: kto ją nosi, zabija, a następnie zjada kobiety.

– Tylko się rozglądam! – mówię wesoło i podchodzę do pierwszego stojaka z płytami, jakbym szukała czegoś konkretnego. Wykonawcy na literę M. Patrzą na okładki płyt, co mam nadzieję dowodzi, że znam się na rzeczy, i próbuję dojść, jakie zespoły mogłyby mi się spodobać, na podstawie okładki. Album *Viva Hate* Morrissey’a. Trochę mroczny. Zespół Mega City Four. Kolczyki w nosie. To musi boleć. Zastanawiam się, czy przez te dziurki wychodzą smarki, gdy dmuchasz nos.

Lupin bierze do ręki płytę Vana Morrissona, która wypada mu z ręki na podłogę.

– Szukasz czegoś konkretnego? – pyta gość zza kontuaru wkurzonym tonem. Kilku chłopaków znów patrzy w moją stronę. Mam jeszcze raz wyjechać z jazzem?

– Płyty *Escalator over the Hill* Carli Bley – powiadam. To zdecydowanie najgorsza z płyt mojego ojca, eksperymentalny podwójny album z nowoczesną operą jazzową. Gdy ojciec go puszcza, wszyscy wkurwieni wychodzą z pokoju. Nawet on sam nie jest w stanie słuchać tego dłużej niż pół godziny bez wydawania jęków, jakby go coś bolało. Wręcz porykuje. – Jest dosyć mało znany, więc pewnie go nie macie – mówię z żalem w głosie. Wpraw ich w zakłopotanie, mówiąc o jazzie. – To jazz – wyjaśniam uprzejmie.

– Johnny Hates Jazz? – pyta gość głośno. – Nie, nie mamy żadnej płyty Johnny Hates Jazz.

– Nie – mówię lekko spanikowana. – Nie chodziło mi o Johnny Hates Jazz. – Nawet ja wiem, że Johnny Hates Jazz to gówno. Dziewczyny z trwałą ondulacją ich lubią. Wejść do tego sklepu i spytać o Johnny Hates Jazz to jak skazać się na pewną śmierć. Ale jest już za późno, chłopcy się zaśmiewają. – Nie, nie Johnny Hates Jazz. Carla Bley – mówię znowu zdesperowana. – To opera jazzowa. Dobra, pierdolić to, poszukam gdzie indziej.

Już mam wyjść ze sklepu, ale widzę, że Lupin wziął do ręki jakiś magazyn. Pospiesznie próbuję mu go wyrwać. Papier się drze. Przejęta patrzę na gościa, czekając, aż każe mi za to zapłacić. Nie mam ani grosza. Będzie musiał mnie... zabić i zjeść na zapleczu, aż mu się zwróci.

– Jest darmowy – mówi facet, gestem wypraszając nas ze sklepu. – Za darmo. To bezpłatny magazyn. Weź go sobie, weź.

– Chodź, Lupin – mówię, otwierając drzwi z największą godnością, na jaką mnie stać. – Chodźmy zobaczyć, czy Alexander Woollcott na nas czeka.

Chłopak przy stojaku najbliższej wejścia schyla się i podaje mi coś.

– Syn zgubił ogon – mówi, wręczając mi tygrysi ogon Lupina.

Ten znowu z tym synem. Jezu. On nie jest moim synem! Tak właściwie to jestem dziewicą, naprawdę! Ale tego oczywiście nie mówię.

W autobusie w drodze do domu Lupin tępym wzrokiem patrzy przez okno, a ja wyjmuję lepki, podarty magazyn z jego rąk i zaczynam go przeglądać. Jest to darmowy miesięcznik dla muzyków pod tytułem „Making Music”. Okładka obiecuje zaspokoić żadnego informacja czytelnika wiedzą o tym, z jakich efektów dźwiękowych korzysta grupa Del Amitri w czasie swojego tournée, ujawnić tajemnice mikrofonu Midge’a Ure’a i oprowadzić po kalifornijskim studiu legendarnego basisty sesyjnego Pina Palladina. Czuję się, jakbym zobaczyła na papierze zawartość głowy mojego ojca. I chociaż zasadniczo czytam wszystko, co mi w ręce wpadnie – jeśli chcecie, mogę wam wyrecytować listę składników biszkoptu truskawkowego marki Birds, którą przeczytałam na opakowaniu – tego nie jestem w stanie przeczytać.

Na czwartej stronie jest jednak kolumna *J Arthur Rank*, w której drukuje się „kompletne bzdury wypisywane przez dziennikarzy”.

Wściekli muzycy-czytelnicy przesyłają cytaty z prasy muzycznej, które uznali za zjadliwie pretensjonalne.

Craig Ammett, recenzujący kawałek *The Touch* Stana Busha w „Melody Maker”, twierdzi, że jest to „głos powoli eksplodującego Boga, którego szczątki uderzają Dalego w twarz”.

Tymczasem Ian Wilkinson w „Disc & Music Echo” obrywa za to, iż w recenzji longplaya zespołu Sore Throat napisał, że muzycy „...nagle ewoluowali z hermetycznych muzycznych ameb w wielkie akustyczne delfiny”.

Z kolei David Stubbs, we wspomnianym już „Melody Maker”, pisze, że Henry Cow, zespół grający progresywnego rocka, brzmi, jakby „...ktoś ciągnął łośia po scenie, a potem robił mu loda”.

„Dowalcie tym durniom! – nawołuje felietonista *J Arthur Rank*. – Zabierzcie się za tych palantów z za maszyny do pisania!”

To są naprawdę złe teksty. Prasa muzyczna jest najwyraźniej czymś w rodzaju Wersalu, pełnego dekadencjonalnych dandysów z koronkowymi mankietami wypisujących wielce górnolotne bzdury o muzykach, którzy ciężko pracują w swoich zespołach. To nadęte fircyki, pasożyty jedne, jadące po dobrych rockmanach jak po łysej kobyle.

Leserzy, pozerzy – lekkoduchy, bez sensu drący łacha z innych. Dzięki nim świat jest tylko gorszy. Ci ludzie to najgorsze męty i szumowiny.

I wtedy myślę sobie: podoba mi się to. Mogłabym to robić. Pieprzyć tę książkę o grubasce i smoku. Mogę być przecież dziennikarką muzyczną. Z łatwością mogę pisać podobne rzeczy. Dla mnie to bułka z masłem.

Lepsze to niż wiersze o psie i tyłku mojego taty. To jest właśnie to, na co czekałam. To jest moja droga, moje wyjście z sytuacji, moja ucieczka.

## Rozdział siódmy

Tydzień później. Biblioteka miejska. Piękny wiktoriański budynek, a w nim pełno zdezelowanych plastikowych półek z lat osiemdziesiątych – plus ja. Na górze, w wypożyczalni materiałów audio-wideo, jest ogromny drewniany stół, na którym porozkładano gazety i czasopisma do poczytania.

Kiedyś żał mi było tych starych gości siedzących przy stole w bibliotece, czytających „The Sun” i patrzących na cycki na trzeciej stronie.

Panie Bevan, myślałam sobie, gdybyś żył, zobaczyłbyś, na co idą państwowe pieniądze!

Ale teraz sama chętnie korzystam z tych możliwości, bo na stole leży też prasa muzyczna z tego tygodnia: „Melody Maker”, „NME”, „Disc & Music Echo” i „Sounds”.

W weekend, po skończonej warcie przy drzwiach i czekaniu na poranną pocztę, idę do miasta i spędzam czas przy biurku, czytając prasę muzyczną. Nie – ja studiuję prasę muzyczną. To jest teraz moja praca. Zajmuję się swoją przyszłością. Wciąż mam przy sobie swojego współnika. Lupin siedzi przy stole, przebrany za tygrysa, i czyta książki z wypożyczalni dla dzieci. Czasem, gdy mama ma zły dzień, muszę też zabierać ze sobą bliźniaki, „żeby zaczerpnęły świeżego powietrza”.

No więc siedzę i czytam. Jest jeszcze tyle do nauczenia. Wychodzi na to, że od rozpadu Beatlesów sporo się wydarzyło. Że istnieje ktoś poza Dire Straits i Tiną Turner. W notesie zapisuję nazwy zespołów, które wydają się najbardziej niesamowite – The Smiths, My Bloody Valentine, Teenage Fanclub, Primal Scream, Pixies, Stone Roses, The Fall, Pavement.

Wszystkie brzmią tak świeżo, jakby to były nazwy miejsc, a nie zespołów. Miejsc pełnych ludzi, którzy żyją i wciąż robią muzykę. Jest taka wytwórnia płytowa, która nazywa się Creation i w której każdy wygląda na wygadanego, hałaśliwego Celta. Jest taka knajpa w Camden, która nazywa się The Good Mixer, dokąd wszyscy chodzą się



napić. A w Astorii jest miejsce zwane The Keith Moon Bar, gdzie imprezy po koncertach trwają do pierwszej w nocy. Do pierwszej w nocy!

Mogłabym po prostu wejść do takiego miejsca i z kimś pogadać. Mogłabym w to wejść i być częścią tego wszystkiego. Czuję się jak Marco Polo, który usłyszał o Chinach. Wiem, że muszę tam pojechać. Wiem, że to coś dla mnie. Odnalazłam swoje przeznaczenie. Moi ludzie będą tam na mnie czekać. Te czasopisma opisują moje przyszłe życie. Próbuję zainteresować Krissiego swoją nowo odkrytą obsesją na punkcie muzyki – doniesieniami z nowo odkrytego lądu. Wchodzę do pokoju Krissiego i padam na łóżko.

– O mój Boże, ten nowy singiel Sonic Youth brzmi niesamowicie. Kim Gordon udaje Karen Carpenter. Tylko że z paskudnie brzmiącą gitarą à la piła tarczowa. Jakby przepowiadała swoją klęskę.

– Kim jest Karen Carpenter? – pyta Krissi.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam radośnie.

– A co to jest ta „paskudnie brzmiąca gitara à la piła tarczowa”?

– Nie wiem, pojęcia nie mam – przyznaję. – Ale z tego co piszą, musi być niezła.

Wkrótce się dowiem. Już niedługo będę wiedziała, jak brzmią brzęczące à la piła tarczowa gitary – zamówiłam album. W bibliotece można zamówić dowolny album za dwadzieścia pensów. Kilka dni temu, grzebiąc w kieszeniach spodni ojca – który zalany w trupa leżał w przedpokoju – znalazłam trochę drobnych i zamówiłam dziesięć płyt spośród zespołów najbardziej polecanych przez „Disc & Music Echo”.

– Trzeba będzie na nie poczekać od sześciu do ośmiu tygodni – uprzedza mnie bibliotekarka, spoglądając na kartki, na których swoją pulchną dziecięcą ręką wypisałam bardzo niebiblioteczne nazwy: *Jane's Addiction: Nothing's Shocking*, *Babes In Toyland: Spanking Machine* i *Bongwater*.

– Och, nie szkodzi – odpowiadam. – Będę miała czas, żeby je sobie wyobrazić.

Kobieta wpatruje się we mnie.

To moja nowa pasja – wyobrażanie sobie muzyki na podstawie słów. Leżę na kołdrze i zastanawiam się, jak te albumy mogą brzmieć. Proces przypomina trochę magię albo rzucanie zasłyszonymi gdzieś myślami.

Tworzę całe albumy w swojej głowie, czekając, aż przyjdą te prawdziwe. Patrzę na

okładki płyt i domyślam się melodii po kolorach – płomienna czerwień zachodzącego słońca na płycie *Heaven or Las Vegas* Cocteau Twins. Albo czerwony diabelski motyw na okładce *Ritual de lo Habitual* Jane's Addiction. Podekscytowana, zainspirowana, zaczynam je synestetycznie włączać do moich fantazji seksualnych. Szczytując w barwach miedzi, zanurzona w tureckich wzorach, w eksplozjach królewskiej czerwieni z domieszką błękitu jak z okładki *Scar* grupy Lush.

W miarę jak jesień staje się chłodniejsza i coraz trudniejsza do zniesienia, tak gdzieś w listopadzie, odwiedzam tę swoją bibliotekę wymyśloną muzyki. Z głową pełną kolorów wpatruję się w zimny księżyc za oknem, starając się nie obudzić Lupina leżącego obok mnie.

Oczywiście można się przez jakiś czas masturbować do całkowicie wymyśloną kolekcji płyt, ale w końcu ogarnia cię desperacja, żeby je wreszcie usłyszeć, i musisz podjąć jakieś działanie.

W czasopiśmie, które czytam, ciągle przewija się jedno nazwisko – John Peel. Legendarne sesje Johna Peela w radiowej Jedynce, gdzie wszystkie te zespoły prędzej czy później się pojawiają: klub muzyczny na falach radiowych, do którego możesz wejść bez względu na wiek i to, w co jesteś ubrany.

Nawet czternastolatka w wiktoriańskiej koszuli nocnej może tam wejść, gdy wszyscy w domu już dawno śpią.

O północy podłączam do radia wielkie słuchawki ojca i leżąc obok śpiącego Lupina, próbuję znaleźć Jedynkę według częstotliwości z „Radio Times”. Kręcę gałką, przelatuję po pasmach i słyszę przebłyski znajomych głosów Kylie, Simply Red i Gladys Knight. Ale kręcę dalej, bo to nie te droidy, których szukam.

W końcu na 97,2 FM słyszę, jak ktoś z charakterystycznym liverpolskim akcentem mówi, że usilnie próbował dotrzeć do terminów koncertów podczas tournée Jacob's Mouse, rozchwytywanego trio z Ipswich, ale mu się nie udało.

To jest to! Znalazłam! To wuj Peel, o którym wszyscy mówią! Wreszcie po raz pierwszy usłyszę underground lat dziewięćdziesiątych! To tutaj spotykają się jego przedstawiciele!

Tonem Kłapouchego Peel kończy swoją posępną tyradę o terminach trasy

koncertowej i przedstawia kolejną płytę.

– Ostrzegam was, że w tym kawałku chłopaki nie tracą czasu na delikatny subtelny wstęp – mówi lakonicznie, zapowiadając piosenkę.

Nagły łomot w słuchawkach od razu budzi mój niepokój – ciężka, groźnie brzmiąca gitara, jakby ktoś specjalnie grał tak, żeby przerazić każdego, kto jeszcze nie zaznał podobnie brutalnego doświadczenia dźwiękowego, jakiego można doznać, przejeżdżając na trójkołowym rowerku pod zepsutą betoniarką pełną umierających dzieci.

Potem wchodzi wokal – głos gościa, który brzmi, jakby go opętał diabeł. Krzycząc, ostrzega: „Jest przed twoim domem! Jest przed twoim domem!”.

Nigdy w życiu bardziej się nie bałam. To na pewno nie jest *Steamy Windows* Tiny Turner. Cały ten program to najwyraźniej rodzaj CB-Radia, przez które demony komunikują się ze sobą, chcąc zniszczyć Ziemię. A głos nadal ostrzega: „Jest przed twoim domem! Jest przed twoim domem!”.

Wyłączam radio i cała się trzęsąc, ściągam z uszu słuchawki. Jezu Chryste. Muszę się napić wody. Wychodzę z łóżka i podchodzę do biurka. Mijając okno, spoglądam przez nie i widzę... mężczyznę. Jest przed moim domem. Jakiś mężczyzna stoi pod latarnią. Wygląda tak groźnie, jak tylko człowiek może wyglądać. Czego tam szuka? Dlaczego tam stoi? Dlaczego?! Po naszym osiedlu nigdy nikt się nie kręci. Och, przecież to czysty demonizm. Widząc ruch w moim oknie, mężczyzna podnosi głowę. Twarz ma bladą. Patrzy prosto na mnie. Z przerażeniem zauważam, że jego twarz zaczyna się lekko wykrzywiać i przypomina tę z *Krzyku* Edvarda Muncha, którą widziałam w *The Key to Modern Art of the Early Twentieth Century* (Lourdes Cirlot, Bateman, 1990).

Tłumiąc krzyk, wracam do łóżka i chowam radio pod stertą ciuchów na podłodze. Zakopuję ustrojstwo głęboko, na wypadek gdyby miało promieniować szatańskością.

Przytulam się do śpiącego Lupina – z jednej strony odczuwam komfort, a z drugiej coś, co jestem absolutnie gotowa oddać tamtemu mężczyźnie w ofierze, gdyby nagle miał się pojawić w drzwiach.

Chyba jestem za młoda na muzykę alternatywną. Nie ogarniam jej. Jeśli uda mi się przeżyć tę noc, nie dokonując żywota ze strachu – w co mocno jak na razie wątpię –

jutro od razu wracam do Beatlesów. Kochani Beatlesi, co tak pięknie śpiewacie, że miłość jest stara, że miłość jest nowa! Powinłam była się was trzymać! Już nigdy nie posłucham audycji Johna Peela. Nie chcę być dziennikarką muzyczną, jeśli mam słuchać czegoś takiego jak to.

\* \* \*

Oczywiście kilka lat później zrozumiałam, że nie było żadnych demonów – to tylko całkiem spokojny speed metal, a facet przed domem był jedynie mężczyzną czekającym na przystanku na autobus numer 512.

Ale zajęłam już stanowisko jako rodzący się nastolatek i trudno będzie się teraz wycofać. Moja niedawna przemiana w gotkę – odrzucona przez innych gotów – nie uszła uwadze członków mojej rodziny.

– Zmieniłaś się. Ciągłe ubierasz się na czarno. Jakbyśmy więzili w domu wielką grubą wronę – mówi mama pewnego dnia, gdy schodzę na dół. – Wielka tłusta wrona, objijająca się skrzydłami o okna. To jest dołujące. Nie możesz włożyć jakiejś ładnej sukienki?

– Wewnątrz też jestem czarna, bo w ludzkim ciele nie ma światła – odpowiadam.

Patrzy na mnie obojętnie i tylko wzrusza ramionami.

Nigdy nie kuma tego rodzaju żartów, w których próbuję zadać kłam klasycznym nastoletnim komunałom. Już kiedyś próbowałam jej to wytłumaczyć, ale wydaje z siebie tylko krótkie, beznamienne, lekceważące „och”. Jakby była Królową, której ktoś powiedział entuzjastycznie: „Patrz, kurwa, ile mam kasy – dwadzieścia funciaków”.

– Och. – Makijaż tej jej się nie podoba. – Kiedyś omal sobie oka nie wydłubałam szczoteczka do rzęs – mówi, patrząc frasobliwie na moją czarną kredkę.

Chętnie zwróciłabym uwagę, że to źle świadczy o niej, nie o mnie. Równie dobrze mogłaby mi powiedzieć, jak to pomyliło jej się „pchać” z „ciągnąć” na drzwiach sklepu, a potem kazać mi unikać drzwi, bo może ja też się na nich zawiodę.

I potem następuje cała seria rozmów na temat mojej metamorfozy – jakbyśmy próbowali utworzyć jakiś zbiór.

– Zmieniłaś się – mówi, gdy schodzę po schodach ubrana w krótki czarny koronkowy welon.

– To chyba dobrze, mamo, no nie? Inaczej nadal wydalalabym przez twoją pępowinę.

– Zmieniłaś się – mówi, kiedy oglądam teledysk Happy Mondays w telewizyjnej liście *Top of The Pops* i ćwiczę mój taniec w stylu Madchester.

– Cóż, taka to już natura upływającego czasu.

– Zmieniłaś się. – Kiedy rozjaśniam sobie wąsa w łazience.

– Tak. Stwierdziłam, że wygląd „hinduskiego Hitlera” do mnie nie pasuje.

Za to dzieciakom podoba się mój nowy image.

– Wyglądasz jak zła księżniczka – mówi Lupin z podziwem w głosie, bawiąc się moim czarnym welonem.

Zła księżniczka. Podoba mi się to określenie. Przynajmniej jest lepsze niż to wcześniejsze – tustawa zakała.

Myślę, że ze „złą księżniczką” mogłabym coś zdziałać.

Następnego wieczoru znowu słucham Johna Peela, jak na złą księżniczkę przystało. Drugi raz już nie jest taki straszny. To tak jak z burzą. Trzeba tylko poczekać, a kiedyś się skończy.

Tak, dużo tam muzyki tanecznej – Peel uwielbia acid house, który, jak uznałam, zdecydowanie nie jest dla mnie: nie mam do tego odpowiednich ciuchów. Nie znam też nikogo, kto ma samochód i mógłby mnie zabrać na rave i tego typu imprezy. Dlatego właśnie jestem niemodna. Jestem jak te zamknięte w sobie nastolatki, które w 1963 roku, słysząc Beatlesów, kręciły nosem i mówiły: „Co za harmider! Wolimy wesołe brzmienie muzyki skiffłowej!”.

Czasami jednak niespodziewanie jakaś część mnie potrafi dostrzec, że pod tym łomotem kryje się coś zachwycająco pięknego i przydatnego dla mnie i mojego serca, i mojej obecnej sytuacji. Pochylam się wtedy i naciskam przycisk „record”, żeby zatrzymać te nagrania na zawsze – tyle że bez pierwszych siedmiu sekund.

Trzymam te taśmy latami. Mazzy Star. The Sugarcubes. Dużo afrykańskich gitar hi-life, które – jak lekceważąco uznaję – brzmią niemal tak dobrze jak to, czego Paul Simon dokonał na płycie *Graceland*.

Nagrywam ze względu na nabożny cel „posiadania szerokiego gustu”, chociaż jeśli mam być szczerą, często nie słucham ich potem w całości, tylko przewijam.

Lecz wszystko to jest na kasecie, gdybym chciała i miała potrzebę posłuchać. A chcę i mam taką potrzebę – pragnę i potrzebuję tych wszystkich kolorów, głosów i idei na małych, szarych kasetach, które trzymam w kieszeni jak talizmany. Jak niegdyś książki, tak teraz każda z tych piosenek mogłaby ostatecznie okazać się tym, czego potrzebuję: ucieczką. Moim przeznaczeniem.

John Peel to moje z kraju i ze świata, moja świetlica w eterze, gdzie spotykam się z innymi dzieciakami, takimi jak ja, które ściskają w rękę puste kasety, chcąc usłyszeć skrót najważniejszych wiadomości: ktoś w Bostonie, Tokio czy Perth napisał genialną piosenkę!

Bo takie właśnie emocje budzi Peel i jego audycja – odkrywasz, że tuż pod chodnikiem jest inny świat. Kontrkultura. Underground. I zawsze tam był – jak podziemne rzeki płynące pod Londynem. I kiedy nadchodzi moment, że już nie możesz znieść swojej powierzchowności, i gdy czujesz, że nie ma już dokąd pójść, możesz zatrzymać się w miejscu, w którym stoisz, wyjąć z kieszeni młotek, uderzać nim między nogami i zejść w dół. Zejść głębiej.

Przejść jak Alicja do całkiem nowego świata Szalonych Kapeluszników, władczych Królowych i zagadkowych Myszy, do wojen toczonych bez końca od niepamiętnych czasów. Punkci nienawidzą hipisów, modsi nienawidzą rockmanów, a fani rave’u nie znoszą dzieciaków słuchających muzyki alternatywnej. Patti Smith chłodno sprzeciwia się Jezusowi, Primal Scream są wyżej od słońca, a Ivor Cutler stoi z akordeonem na kamienistej plaży, śpiewając surrealistyczne hebrydzkie historie o dziewczynach, które wyciskają miód z pszczoł.

A czasami – jakby od święta – Peel puszcza wielkie przeboje. Gdy po raz pierwszy słyszę *I Am The Resurrection* The Stone Roses, tańczę, leżąc w łóżku, twarzą do materaca i ze słuchawkami na uszach – ramiona rozłożone szeroko, po raz pierwszy podekscytowana tym, że pochodzę ze zubożałego przemysłowego miasta. W tych miasteczkach dzieje się coś, co nie mogłoby się wydarzyć nigdzie indziej – dumne dzieciaki z biednych rodzin dokonują rzeczy z większym zapalem, intensywnością i rozmachem, na które nikt w jakiejś miłej i sympatycznej wiosce czy zadbanym

ogródka nie mógłby się zdobyć.

Nareszcie rozumiem mojego ojca, gdy mówi: „Jestem bękartem Brendana Behana – i jeszcze będziecie mi się kłaniać”. W klasie robotniczej wszystko jest inne. To słychać. Widzę, że my się nie mylimy. Nie jesteśmy po prostu biedotą, która jeszcze nie ewoluowała w coś innego – w ludzi, którzy mają kasę.

Jesteśmy inni – tacy, jacy jesteśmy. Klasa robotnicza działa inaczej. Jesteśmy przyszłością. Siłą napędową popkultury – tak jak kiedyś wprowadziliśmy w ruch rewolucję przemysłową. Przeszłość należy do nich, ale przyszłość do mnie. Oni nie nadążają. Oni stracili tempo.

– Johanna! – mówi Krissi przez zaciśnięte zęby. Zdejmuję słuchawki. Wygląda na to, że woła do mnie ze swojego piętrowego łóżka już od jakiegoś czasu. – Jeśli masz atak, to chętnie przyjdę i włożę ci drewnianą łyżkę w usta. Przestań się wić.

– Ja się nie wiję – odpowiadam, zakładając słuchawki. – To taniec. Ja tańczę, Krissi.

## Rozdział ósmy

Jestem w domu wujka Jima. Niezły tu tłok. Jest dwudziesty ósmy listopada 1990 roku. Margaret Thatcher właśnie zrezygnowała z urzędu premiera po wewnątrzpartyjnym przesileniu, dzięki któremu wieczorne wydania wiadomości w ostatnim tygodniu były niebywale ekscytujące.

W miarę rozwoju sytuacji mój ojciec siedział w napięciu na kanapie, jakby właśnie oglądał drużynę Liverpoolu w finale Pucharu Anglii, krzycząc: „Dalej! Dowalcie tej krowie! Dopierdolcie jej!”.

Gdy po pierwszym głosowaniu Thatcher nagle pojawia się za reporterem BBC Johnem Sergeantem, który wygląda na wyraźnie zaskoczonego, tata krzyczy:

– Za tobą! Stoi za tobą! Ja pierdolę. Wyskakuje, kurwa, spod ziemi jak te kościotrupy w *Jazonie i Argonautach*, no nie? Tebbit sieje, kurwa, swoje zęby. Ona jest jak Meduza, co nie? Z węzami we włosach. Dzieci, spójrzcie tylko na te węże w jej włosach.

Patrzymy i czujemy, że widzimy te węże.

A teraz nie ma jej.

– Zrezygnowała? Chyba raczej ją wykopali. Wywalili ją i tyle. I co teraz powiesz, co? Nie lubisz, jak ktoś ci grozi, co! Nie podoba ci się, co! – ojciec triumfuje, otwierając puszkę guinnessa. Wszyscy wznoszą puszki z piwem w geście toastu, mówiąc: „Nie podoba jej się, gdy ktoś jej grozi!”.

Kuchnia pełna jest wujków i ciotek, którzy palą i piją. Całe wujostwo w jednym pomieszczeniu – jak na prawdziwym spotkaniu plemiennym. Są nawet ci z Walii i z Liverpoolu – przyszli na świat w różnych częściach kraju, gdy w czasie wojny Gruba Babka i Zły Dziadunio przenosili się z miejsca na miejsce, uciekając przed bombardowaniem albo, po wojnie, za pracą.

Wujkowie, górnicy z Walii, zawsze budzili we mnie przerażenie: na zdjęciach w albumie mieli czarne twarze i świecące białe zęby. Jako dziecko zawsze myślałam ich



z czarno-białymi minstrelami i bałam się, że są rasistami. Wyobrażałam sobie, że ich domy to podziemne, wydrążone w głównym szybie jaskinie, w których ciotki, w ciemnościach i świetle lamp, usilnie starają się zachować czystość koronkowych serwetek i obrusów.

Kiedy wreszcie odwiedziłam dom wuja Jaretha w Swansea, zdumiało mnie, że to normalny budynek komunalny ze ścianami, dachem i ogrodem, i ogarnął mnie niepokój – aż wreszcie pokazali mi komórkę na węgiel. Uznałam, że to pokój i że wujek Jareth śpi na tym węglu jak smok na swoich skarbach, i poczułam ulgę. Wróciłam do gry w berka z moimi walijskimi kuzynami, którzy o dziwo mieli włosy w kolorze złocisty blond. Jakby skradli całe słońce, z którego wuj Jareth nie skorzystał za dnia. Zauważyłam też, że dzieci górników są zawsze bardzo czyste.

– Oni wszyscy wylecą na zbity pysk jeszcze przed Nowym Rokiem – mówi ojciec, patrząc na pozostałych członków gabinetu torysów. – W porównaniu z nią to nędzna banda urzędasów. Bez swojej mamuśki są niczym. Zagazowali ul! Królowa nie żyje! Torysi zawisną na latarni jeszcze przed walentynkami!

Wujowie zgodnie mu wtórują. Ciotki jak jeden mąż patrzą z dezaprobatą, ściągając folię samoprzylepną z talerzy z kanapkami. Wujowie opuszczają kuchnię tylnym wyjściem, nie przestając mówić o polityce. Tylko o tym mogą gadać, bo nikt nie zapyta: „Jak tam w pracy?”.

Oprócz wuja Jima – którego nazywamy Bogatym Wujkiem, ponieważ jest przedstawicielem związków w fabryce samochodów – żaden z pozostałych wujków nie ma teraz pracy. Stocznioowcy, pracownicy fabryki samochodów, górnicy – wielkie chłopcy siedzące niespokojnie na małych sofach w swoich małych domkach na zasiłku.

Niektórzy z nich dorabiają na boku; wuj Stu stanął kiedyś w drzwiach naszego domu, sprzedając domowe środki czystości. Tata kupił od niego jakiś wybielacz, po czym obaj usiedli w dużym pokoju i się upili. Później słyszałam mamę – mówiła, że widziała, jak wujek Stu płakał.

Trzej synowie wuja Chrisa wstąpili do wojska. „By walczyć dla kraju, który zrobił ich w chuja”, jak z goryczą stwierdził tata – ale w twarz im tego nie powie. Każdy z nich jest wyszkolony w obsłudze śmiercionośnej broni. Mój tata, choć sprawia wrażenie lekkomyślnego, ostrożnie dobiera sobie wrogów.

Skoro mężczyźni wyszli, kobiety mogą porozmawiać na swoje tematy. Kobiety zawsze mają inne tematy – bo mogą porozmawiać o swoich rodzinach, macicach i o tym, jak rodzenie poszczególnych członków ich rodzin wyniszczyło ich łona. Ciotka Viv opowiada historię, jak to będąc w kuchni, zaczęła tak potwornie kichać, że macica wypadła jej do majtek. Za każdym razem, kiedy o tym mówi, pozostałe kobiety zapalają papierosa i proszą: „Opowiedz, jak to było dokładnie!”. Potwornie przerażające.

– Widzę, że twoja Johanna została dzieckiem nocy – mówi ciotka Viv do mamy, wskazując głową w moim kierunku. Jak zwykle jestem ubrana cała na czarno, na wpół ślepa od czarnego tuszu.

– Tak naprawdę protestuję przeciwko brytyjskiej ingerencji w konflikt na linii Nigeria–Biafra. A także przeciwko temu, że *Cold Turkey* słabo sobie radzi na liście przebojów – mówię, układając krokiety na talerzu.

Nikt tu nie czytał słynnego listu Johna Lennona do królowej, który Lennon wysłał, gdy oddawał swój Order Imperium Brytyjskiego. Znowu kolejny świetny żart się marnuje, muszę zacząć je spisywać.

– Założę się, że jej farba do włosów powłaziła ci w fugi, Angie – mówi ciotka Soo, strzepując popiół do zlewu.

– Czuję się, jakby wielka czarna wrona z nieszczęśliwą miną snuła mi się po domu – potwierdza moja matka.

– Tego porównania już użyłaś – mówię.

– Jestem twoją matką – odpowiada. – Mogę cię nazywać wielką tłustą wroną dziesięć razy dziennie, jeśli będę chciała.

– Och, ona nie jest czarną wroną, tylko czarnym łabędziem, prawda, Johanna? – mówi ciotka Lauren. – Czarny łabędź w naszej rodzinie.

Ciotka Lauren jest super. Ciotka Lauren jest „kobietą z przeszłością” – w latach sześćdziesiątych była jednym z tych hipisów, którzy wleli płyn do mycia naczyń do fontanny na Queen’s Square i wypełnili ją pianą. Pisano o tym na pierwszej stronie „Express & Star”. Na zdjęciu w rogu można zobaczyć torebkę cioci Lauren. Pokazywała nam to wiele razy.

W zeszłe święta Bożego Narodzenia wymyśliła Bałwana – to klasyczna Śnieżka, czyli koktajl z lemoniady i adwokata, ale zalana wódką.

– Wypijcie kilka takich, a rano wasze dzieciaki obudzą się i zobaczą, że się roztopiliście – rechotała. – Będą płakać, stojąc w piżamach z waszymi mokrymi szalikami w ręku. Dlatego właśnie ten drink nazywa się Bałwan!

Godzinę później potknęła się o sofę, tańcząc do Fleetwood Mac.

– Więc co teraz porabiasz, Johanna? – ciągnie ciotka Lauren. – Masz piętnaście lat, co nie? Wiesz już, kim chcesz być?

– Chcę zostać pisarką. Dziennikarką muzyczną – odpowiadam.

W wielu filmach widziałam, co się dzieje, kiedy przedstawiciel klasy robotniczej oznajmia, że chce zająć się czymś z dziedziny artystycznej – chce zostać pisarzem, piosenkarzem albo poetą. Wszyscy zgromadzeni krewni spoglądają na niego ze wściekłością i zaczynają mówić rzeczy w stylu: „Porzuć te marzenia, kochana. Musisz zarobić na chleb!” albo „Zawsze uważałaś się za kogoś lepszego od nas, zgrywając się na londyńczyka”. Jestem absolutnie przygotowana na to, by zostać wyrzutkiem. Jestem gotowa być jak młody Tony Hopkins, wypaść z pokoju jak burza i samotnie zacząć szukać swojej muzy.

Tak się jednak nie dzieje.

– Och, brawo, Jo! – mówi ciotka Lauren. – Bardzo dobrze, że chcesz na tych dyrdymałach zarobić kasę.

– Wspaniale! – wtóruje jej cioteczka Viv. Co jest dosyć zaskakujące, biorąc pod uwagę, że kiedyś skrzyczała mnie, bo kazałam jej małemu Stephenowi udawać ze mną duet Barbara Dickson i Elaine Paige w piosence *I Know Him So Well*. Twierdziła, że Stephen „wyglądał pedałowato”.

– Wiesz co – mówi ciotka Soo – miałam w szkole kolegę, który potem pisał recenzje płyt z muzyką pop dla „Express & Star”, i to była klawa robota. Pojechał nawet kiedyś do Edynburga z zespołem Moody Blues.

Nagle wszyscy w kuchni zaczynają mówić o znajomych, którzy zostali pisarzami albo poszli w kierunku branży muzycznej, że to wspaniały zawód dla młodego przedstawiciela klasy robotniczej i że jak najbardziej należy do tego dążyć. Czuję się wyraźnie pokrzywdzona. Czy moja rodzina może choć raz zrobić coś normalnie? Powinnam się teraz czuć odrzucona, powinnam się czuć jak outsider. A zamiast tego ciotka Soo dorzuca, że jak się jest pisarzem w branży muzycznej, to – jak słyszała –

można mieć dragi za darmochę.

– Johanna nie potrzebuje narkotyków, ma krokiety z mięsem – mówi moja matka ostentacyjnym tonem. Siedzi w kącie, pobladła, i świdruje mnie spojrzeniem, gdy wkładam całego krokietka do ust.

Z największą godnością, na jaką umiem się zdobyć, biorę talerz z krokietami i niosę go do pokoju, żeby nakarmić kuzynostwo.

– Hej! Piłkarzyki! – krzyczę, a resztki ciasta naleśnikowego wypadają mi z ust i lądują na talerzu.

Nigdy nie liczyłam, ile mam kuzynek i kuzynów. Tu jest ich chyba z dwanaścioro – grają w grę, w której trzeba przemieszczać się po pokoju bez dotykania podłogi, łażąc po kanapie, krzesłach, półce nad kominkiem et cetera.

Ali, moja kuzynka gotka, siedzi w kącie pokoju z walkmanem na uszach, z pogardą patrząc na resztę. Robię szybką rundę po pokoju: wdrapuję się na sofę, krzesło, parapety, kominek i z powrotem do punktu wyjścia, wciąż jedząc krokietka, i krzyczę do oniemiałych z wrażenia maluchów: „Tak to się robi!”, po czym siadam obok Ali.

– Hejka – mówi.

Tak jak przypuszczałam, Ali jest dziś o wiele miłsza – teraz nie musi popisywać się przed żadnym chłopcem i tak jak ja jest otoczona małymi dziećmi, od których chce się zdystansować, bo przecież jest ich starszą siostrą.

Mimo to nie zamierzam się po raz drugi totalnie zhańbić dla jej sympatii. Mając w rękach władzę, obracam talerz tak, że zmuszona jest wziąć jeden z rozwalających się krokietów. Wybiera taki gówniany. Skinieniem głowy daję jej do zrozumienia, że te zawołane przeprosiny zostały przyjęte. Ona to ignoruje. Przez chwilę siedzimy w milczeniu, patrząc, jak dzieciaki naporzają się poduszkami.

– Idziesz zajarać? – pyta nagle.

Jestem tak zaskoczona, jakby powiedziała: „Idziemy wydoić bizona?”.

– Dobra – mówię.

Przedzieramy się przez bandę walczących dzieciaków i siadamy na progu. Ali wyjmuję z kieszeni paczkę silk cutów.

– Takie palą kobiety z klasy robotniczej – wyjaśnia.

Wkłada jednego do ust i wręcza mi paczkę.

Biorę jednego.

– A twoja mama wie? – pytam.

– To są jej fajki – mówi, wzruszając ramionami i zapalając papierosa. Wkładam mojego do ust, ale nie dostaję ognia, więc trzymam niezapalonego. Ali wydycha pokąźną chmurę dymu, który wpada do domu. – Jak tam Tina Turner? – pyta po chwili.

– Ja już nie słucham Tiny Turner – odpowiadam, choć poprzedniego wieczoru tańczyłam do *Nutbush City Limits*, a Lupin płakał ze śmiechu. – Czytuję „Disc & Music Echo” – dodaję – i zaczynają mnie wciągać Stone Roses, Happy Mondays i Bongwater. To znaczy jeszcze nie słyszałam Bongwater, ale to moi ulubieńcy. – Ali wpatruje się we mnie. – Czekam, aż przyślą ich płytę do biblioteki – tłumaczę. – No i słucham też Johna Peela.

– A podoba ci się John Kite? – pyta, jakby chciała mnie sprawdzić.

– A kto to?

Znowu wypuszcza dym – najwyraźniej zastanawia się, czy w ogóle jest sens mi o nim mówić. Szybkie spojrzenie w jedną i drugą stronę ulicy utwierdza ją tylko w przekonaniu, że nic lepszego nie ma w tej chwili do roboty.

– To ten genialny pijaczyna z walijskiej komunalki – mówi wreszcie. – Jest jak skrzyżowanie American Music Club z Harrym Nilssonem. Taki awanturnik. Właśnie nagrał album koncertowy, gdzie między piosenkami robi stand-up, a potem śpiewa o tym, że ma matkę wariatkę.

– To tak jak ja – dodaję, gasząc niezapalonego papierosa niczym stary kowboj.

– Narysowałam go – mówi Ali i wyjmuję swój szkicownik. – Rysuję wszystkich moich ulubionych piosenkarzy.

Pokazuje mi swoje rysunki. Ali słabo rysuje. Spoglądam na jedną kościstą blondynkę.

– Czy to Zuul z *Pogromców duchów*? – pytam.

– To Debbie Harry – odpowiada Ali. – Naprawdę trudno narysować jej podbródek. A to John Kite. – Pokazuje palcem obscurnego gościa narysowanego ołówkiem, palącego szluga. Wygląda jak grubaśny młodzieniec zbudowany z zepsutych sprężyn do łóżka. – Uwielbiam Johna Kite’a – mówi Ali. – To on na innym rysunku. Ale włosy mi nie wyszły, więc zrobiłam z niego Slasha z Guns N’ Roses.

Przewracamy kartki jej szkicownika, a ona nadal pali.

– Dużo tu tych Slashów – zauważam.

– Za każdym razem jak ktoś mi nie wyjdzie, zamieniam go w Slasha z Guns N’ Roses – mówi Ali. – Wystarczy nagryzmolić dużo włosów, dodać cylinder i gotowe. Ten tu – wskazuje na Slasha w puchowej kurtce, za syntetyzatorem – miał być Chrisem Lowe’em z Pet Shop Boys. – Ali kończy fajkę i gasi ją na progu. – Więc nie masz jeszcze żadnych płyt, ale chcesz być dziennikarzem muzycznym? – pyta, jakby była tym zainteresowana.

– Nie, nie mam. I tak, chcę.

Ali milknie i zamyśla się.

– Jak to mówią, mała, musisz udawać, aż kiedyś ci się uda – mówi w końcu. To znakomite motto gejowskich drag queen zostaje wypowiedziane beznamiętnym, monotonnym głosem ustami zdołowanej gotki z Wolverhampton.

„Udawaj, aż ci to wejdzie w krew”.

Wciąż myślę o tym, jaki to wspaniały pomysł – trzecia wielka prawda, którą pojęłam w tym roku, obok „Nigdy nikomu nie zdradzaj swoich sekretów” oraz „Nie udawaj Scooby Doo w telewizji na żywo” – kiedy nagle wujkowie jeden po drugim wysypują się przez frontowe drzwi do ogródka.

Wuj Jareth właśnie wrócił z monopolowego, gdzie kupił wino musujące Asti Spumante. Pozostali wujkowie są teraz zajęci kopaniem dziury w trawniku przed domem wuja Jima.

– Zakopimy tu to szlachetne wino! – mówi wuj Jareth. – Tu je pogrzebiemy, a w dniu, w którym umrze Thatcher, wykopimy je i wzniesiemy toast nad jej trumną.

Pozostali wujkowie ryczą z aprobatą. Jareth szaleńczo zasypuje dół, nie przejmując się potem, który ścieka mu z czoła.

Wuj Jim spogląda na dziurę, gdy Jareth kładzie torf z powrotem na wierzch, i wbija patyk, żeby zaznaczyć miejsce.

– Wszystko, co możemy zrobić, to przeżyć tę sukę – powiada cicho. – Widzieliśmy, jak przyszła, i zobaczymy, jak odejdzie. Wyprzedzimy ją. Wszystkich ich wyprzedzimy.

Milkną na chwilę, gapiąc się w ziemię, paląc papierosy, tak jak to tylko mężczyźni potrafią. Potem tata krzyczy: „Bo jesteśmy bękartami Brendana Behana i oni kiedyś

tego pożałują!”, wszyscy wiwatują, a wuj Jim idzie do domu, by przynieść więcej piw i krzesel z kuchni. Robi się ciemno. W domu po drugiej stronie ulicy impreza też zaczęła się przenosić na ulicę. Ktoś puścił *Tramp The Dirt Down* Elvisa Costello. Zapowiada się niezła zabawa.

Jeśli chcecie wiedzieć, dlaczego jesteśmy biedni i dlaczego tata nie ma pracy, to już wyjaśniam. Wracamy więc do domu. Przy łóżku taty stoi wielka biała puszcza z tabletkami. To tabletki taty.

Tata miał zespół i kiedy zespół przestał zarabiać, tata najął się do pracy jako strażak. No i pewnego dnia – to był bardzo pechowy dzień – utknął na szczycie płonącej fabryki.

A kiedy obudził się w szpitalu, powiedzieli mu, że skacząc, złamał niemal jedną czwartą wszystkich kości w swoim ciele. Operowali go szesnaście razy i teraz jest jak Blaszyński – pełen śrub, blaszek i drobnych metalowych złączek, które udajemy, że oliwimy olejarką, ilekroć tata leży na kanapie.

Pokazał nam wykaz wszystkich pękniętych kości, zdjęcia rentgenowskie – i było to nawet interesujące tak zajrzeć do środka stopy albo barku.

Kawałek jego prawej stopy wyglądał na sproszkowany – wszystkie kości zamieniły się w piach. A śruby wyglądały jak ze skrzynki na narzędzia – tyle tylko że były wewnątrz człowieka, prawdziwego człowieka, który był naszym tatą.

Tata był w bardzo kiepskim stanie i musieliśmy uważać na jego nogi: nie można się było po nim wspinać ani po nim skakać. Nie mógł nas nosić na barana ani się z nami ścigać. Kiedy padał deszcz, trzeba było tatę nakrywać kocem, bo wtedy bolało go jeszcze bardziej, a deszczowe dni były wyjątkowo posępne – zajmował całą sofę, knykcie miał zbieleiałe i dało się wyczuć, że zaraz będzie krzyczał, że krzyk jest tuż-tuż, że jest już na progu.

„Nie mogę, mam w nodze kość – mówił, gdy przychodziliśmy do niego, żeby nam poczytał albo się z nami pobawił. – Jestem Art Retyk”.

A usta miał zaciśnięte, nogę sztywną od metalu i przykrytą kocem. Ten deszcz, ten deszcz. I mrówki pod kanapą, i ten deszcz.

I w te najgorsze dni mówił jeszcze: „Zbiorę nasz zespół do kupy i wyrwę nas stąd,

dzieciaki. Obiecuję wam. Przysięgam. Nie zostaniemy tu. Za rok o tej porze nie będzie już tostów z fasolką. Wykuśtykam stąd do limuzyny, która zawiezie mnie do hotelu Ritz. A wy pojedziecie tam razem ze mną!”.

To było w 1982 roku, kiedy rodzice mieli tylko mnie i Krissiego. Teraz mamy 1990 rok i jest jeszcze Lupin, no i bliźniaki. Potrzebowalibyśmy zatem bardzo dużej limuzyny. Takiej długiej jak te w Ameryce, które można zobaczyć w serialu *Whicker's World*, i takiej, jakiej nie będziemy mieli, ponieważ pobieramy zasiłek inwalidzki, zasiłek dla osób o niskich dochodach i zasiłek rodzinny.

Niektóre części taty doskwierały mu jednak bardziej niż inne. Wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy, ale kilka lat później (któregoś wieczoru w pubie The Bell – to dlatego pijemy; cała prawda jest chowana za barem! Pytaj śmiało!) jeden z kolegów ojca opowiedział nam, co tak naprawdę stało się tamtej nocy.

Okazuje się, że zanim skoczył z dachu – gdy dokoła niego jeden po drugim wybuchały pojemniki z gazem – tata krzyczał ciągle te same słowa: „Dopadło mnie! Dopadło mnie! Dopadło mnie! Dopadło mnie!”.

Podobno krzyczał tak, aż spadł na parking. A kiedy „to” cię dopadnie, wtedy coś dzieje się z twoimi oczami. Gdy jesteś wściekły, robią się bladoniebieskie, jak porcelana kostna z prawdziwych kości, a twój gniew zaczyna narastać, aż wreszcie wypełnia cały dom i atmosfera udziela się wszystkim jego mieszkańcom.

Zaraziłeś się nim od tej eksplozji. Teraz to ty wybuchasz. Próbujesz być większy niż ten wybuch. Bo nigdy nie przestałeś się go bać.

Bo gniew to tylko strach doprowadzony do wrzenia. A z ludźmi, którzy się boją, jest tak, że gdy w jakiegokolwiek sprawie poprosisz ich o radę, mają ci tylko jedno do powiedzenia: „Uciekaj stąd”.

### Zły dzień

Siedzę na murku w ogrodzie i płaczę. Minęły dwa tygodnie, odkąd Thatcher zrezygnowała z funkcji przewodniczącej partii – ale nie to jest, rzecz jasna, powodem moich łez.

Tata siedzi na schodach przy trawniku i pali zawzięcie. Przyszłam do niego z pytaniem, a jego odpowiedź okazała się długa i gwałtowna. Wybrałam zły dzień na



rozmowę – dzień zbielełych kłykci. Dzień, w którym tata cierpi. To dlatego jego odpowiedź trwa już pół godziny i wypowiada ją coraz głośniejszym, coraz bardziej wściekłym tonem. Zaczęłam płakać jakieś dziesięć minut temu. Teraz ogarnia mnie histeria, ale czuję, że przemowa powoli ma się ku końcowi: „...więc jeśli naprawdę chcesz być pisarzem – mówi przez zaciśnięte, pobladłe ze wściekłości usta – jeśli chcesz być, kurwa, pisarzem, to nim, kurwa, zostań. Po prostu, kurwa, pisz. Napisz coś! NAPISZ COŚ. Przestań, kurwa, o tym gadać. Nie mogę już tego dłużej słuchać. Weź się do roboty. Na co czekasz? Wynoś się stąd!”.

Po czym wstaje i utykając, z trudem idzie do domu, cicho pojękując z bólu: „Jebane nogi”.

Za bardzo szlocham, żeby powiedzieć to, co chcę mu powiedzieć: to nie takie proste! To nie takie proste, tato. Mam dopiero piętnaście lat i to nie takie proste, jak się wydaje. Nie mogę tak po prostu zostać pisarzem. Jeszcze nie słyszałam żadnej nowej muzyki! Ogarnia mnie przerażenie na myśl o podróży autobusem! Siedzę przy biurku i nie wiem, gdzie ukryły się słowa!

To nie takie proste!

To nie takie proste.

## Rozdział dziewiąty

Październik 1992

Dolly Wilde siedzi na murku przed siedzibą wydawnictwa IPC w Londynie, na Południowym Brzegu. Jest umalowana czarną kredką, a włosy ma upięte w osiemnastowieczny ozdobny kok, podtrzymywany długopisami. W tle szeroko i spokojnie płynie brunatna Tamiza, wydając niski, szumiący dźwięk, jak gong, a w dali na horyzoncie majaczy kopuła katedry Świętego Pawła. Oto Londyn. Miasto, w którym w 1967 roku John Lennon i Paul McCartney – oko w oko, gitara przy gitarze – bawili się w najwspanialszą grę, jaka kiedykolwiek powstała na ziemi: w Beatlesów, i gdzie zespół Blur upija się teraz w pubie The Mixer. Oto najwspanialsze miejsce na świecie.

W najwspanialszym miejscu na świecie Dolly siedzi z notesem na kolanach i udaje, że pisze, bo ma jeszcze prawie godzinę do umówionego spotkania i próbuje się czymś zająć, żeby wyglądać na zajętą. Siedzi na murku, bo nigdy nie była w żadnej kawiarni ani pubie i nie wiadomo czemu boi się, że mogłaby tam zrobić coś nie tak. Co do jednego jednak jest pewna, siedzenie na murkach ma opanowane, więc to właśnie robi. Oto co pisze w swoim notatniku:

*Wszyscy w Londynie wyglądają dziwnie, wszyscy noszą płaszcze w kolorze wielbłądzim – zupełnie inaczej niż w Wolverhampton, gdzie każdy ma jeden płaszcz{::}, nieprzemakalny, granatowy albo czarny.*

*Wszyscy chodzą bardzo szybko. Mają inne twarze – ich rysy rozplývają się tak, że wyraźnie widać tylko nosy – nosy przypominają czubki samolotów odrzutowych. Cechuje ich prędkość. Każdy tu ma jakiś cel. Tutaj czuje się pieniądze. Słyszysz, jak się robi pieniądze. Nigdy wcześniej nie rozumiałam, dlaczego ludzie głosowali na Margaret Thatcher – w Wolverhampton wydawało się to bez sensu – ale tutaj jest to zrozumiałe. Rozumiem, dlaczego tutejsi ludzie uważają, że dla górników i pracowników fabryk nie ma miejsca w tym stuleciu i w tym kraju. Nie wyobrażam*

*sobie tutaj żadnego z moich znajomych. Przechodnie rozmawiają ze sobą jak na filmach. Ja nie czuję się, jakbym była na planie filmowym – no chyba że mówimy tu o filmie Człowiek słoń. Może powinnam włożyć worek na głowę. Może to zadziała. Jestem taka zdenerwowana! Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wszystko byłoby prostsze, gdybym już kiedyś się z kimś całowała{:}. Całowani w ogóle mają większy autorytet.*

Dolly Wilde bierze do ust swój długopis, jakby to był papieros. Po czym uświadamia sobie, że wciąż trzyma go jak pióro, i znów zamienia się w Johannę Morrigan. Zdołała być Dolly Wilde przez mniej więcej dziewięć minut.

Martwi ją to, bo zaraz ma iść na rozmowę kwalifikacyjną jako Dolly Wilde – Johanna Morrigan w żadnym razie nie dostałaby pracy dziennikarza muzycznego w „Disc & Music Echo”.

Johanna Morrigan podpisała się na wszystkich listach do „D&ME” jako Dolly Wilde – przez telefon też rozmawiała z nimi jako Dolly Wilde, a dwadzieścia siedem recenzji płyt, które im przesłała – starannie przepisane na komputerze wuja Jima i wydrukowane na jego drukarce o nazwie Daisy Wheel (Daisy Wheel! Mogłam się nazwać Daisy Wheel!) – po jednej dziennie przez dwadzieścia siedem dni, wszystkie były opatrzone nazwiskiem autora: Dolly Wilde.

Z tą różnicą, że oczywiście nie jest to jeszcze nazwisko autora. Nazwisko nie zmienia się w nazwisko autora, dopóki nie pojawi się w jakiejś gazecie lub czasopiśmie. Wcześniej jest tylko nazwiskiem, tyle że napisanym na komputerze. A dziś jest dzień, w którym Dolly Wilde idzie do „D&ME”, żeby zobaczyć, czy stanie się nazwiskiem autora, czy pozostanie nazwiskiem napisanym na komputerze.

Ostatnie dwa lata upłynęły mi na budowaniu „Dolly Wilde – dziennikarki muzycznej” tak wytrwale, jak tylko umiałam. Do tej pory wypożyczyłam sto czterdzieści osiem płyt z biblioteki, wysłuchałam chyba każdej audycji Johna Peela i jestem ekspertem od muzyki niezależnej czy też alternatywnej z lat 1988–1992. Spędziłam sporo czasu w moim pokoju na myśleniu. Mogę wam teraz powiedzieć, jak brzmi muzyka lat dziewięćdziesiątych w uszach szesnastoletniej dziewczyny. Są trzy rodzaje tej muzyki.

Jest łomot. Biały szum. Zespoły takie jak Ride, My Bloody Valentine, The House of Love, Spaceman 3, Spiritualized, Slowdive i Levitation. Hałas, jakby przez dworzec nocą przejeżdżał pociąg InterCity. Ale zamiast patrzeć na niego z peronu, przytrzymując trzepoczącą spódniczkę, wchodzisz na tory, z twarzą zwróconą w jego kierunku, jak Bobbie w filmie *Przygoda przyjeżdża pociągiem*, i szeroko otwierasz usta, a pociąg przejeżdża ci prosto przez głowę i zaczyna szaleńczo krążyć w twoich żyłach.

Z łomotem się nie dyskutuje ani nie negocjuje – łomot nie może być lepszy ani gorszy, nie może zawieść ani zejść na psy. Takiego łomotu jeszcze nie było, więc nie można go o nic obwiniać ani go deprecjonować. Uwielbiam ten łomot. Gdyby ktoś mnie spytał: „O czym myślisz?”, wskazałabym na ten łomot.

Połykam szum jak kęsy marznącej, świetlistej mgły. Wypełniam się nim. Używam go jako paliwa. Bo czymże jest nastolatek, jeśli nie małą, srebrną, pustą rakieta. Nastolatek używa głośnej muzyki jako paliwa, a informacji w książkach jak mapy i współrzędnych, które mają mu wskazać drogę.

Drugi rodzaj muzyki z 1992 roku to muzyka chłopców z klasy robotniczej. Chłopaków z Manchesteru. Ze sceny muzycznej zwanej „Madchester”. Jej przedstawiciele to The Mondays i The Stone Roses. Uwielbiam ich płyty. Kocham tę ich pewność siebie, tę euforię – to, jak klasa robotnicza z północy odczuwa dumę pod wpływem ekstazy, jakby połowa kraju wreszcie stanęła na nogi po latach osiemdziesiątych i upajała się swoją siłą i pomysłowością. Jednocześnie boję się tych mężczyzn. To ci sami łobuzerscy chłopcy z mojego osiedla, których mijam z pochyloną głową, mając nadzieję, że nie będą na mnie krzyczeć; nigdy by się ze mną nie zaprzyjaźnili.

Ich oczy natychmiast zdradziłyby brutalną ocenę mojej osoby: nie chcieliby mnie przelecieć. Dlatego stałabym się dla nich niewidzialna. Dziewczyny takie jak ja są niewidzialne dla chłopców z zespołów takich jak te.

Nie o mnie piszą piosenki. Nie jestem Sally Cinnamon. Nie jestem cukrową siostrą Iana Browna.

Dlatego swą miłość – całe swoje dzikie serce – ofiaruję trzeciemu gatunkowi muzyki z 1992 roku – łomotom, które nie pozwalają usiedzieć w miejscu. Piosenkom, w których naprawdę się odnajduję, napisanym przez seksownych, mądrych i gniewnych

dziwaków.

W 1992 roku jest ich pełno – następuje wysyp mściwych, wykształconych osobliwości. Manic Street Preachers w sukniach ślubnych i z granatami w ustach. Śpiewają o tym, jak Trzeci Świat jest niszczone przez pierwszy. Chłopaki z Suede w bluzkach z lumpeksu śpiewający o osiedlach komunalnych. Uparcie twierdzą, że po dwudziestej trzeciej każdy jest biseksualny. Zniewieściali mężczyźni. Mężczyźni z pomalowanymi oczami i brokatem, jakby wykluci z jaj złożonych w 1973 roku przez Marca Bolana i Davida Bowie.

A najbardziej olśniewają mnie same zniewieściale niewiasty. Kobiety. Bo w Ameryce szaleje burza, a deszcz dotarł tutaj, i to w samą porę, i pada wprost na mnie, Szaloną i Wściekłą na Cały Świat Dziewczynę. Grupa kobiet, jak jakaś Liga Niezwykłych Pań, pisze fanzyny, organizuje koncerty tylko dla dziewcząt, spotyka się, próbując zarezerwować miejsce wyłącznie dla kobiet w tej gęstej, bagnistej dżungli rocka.

Każda z nich to wojowniczką, w halce i ciężkich butach. Kathleen Hanna z Bikini Kill kupiła swoją gitarę za pieniądze zarobione na striptizie, Courtney Love wali pięścią w twarz tym, którzy ją obrażają. Courtney Love przywaliła też Kathleen Hanna, ale tak już mają gwiazdy rocka – dobrze pamiętamy, jak Charlie Watts przywalił Mickowi Jaggerowi po tym, gdy ten drugi nazwał go „swoim perkusistą”. „To ty jesteś moim piosenkarzem” – warknął Watts, poprawiając swoje mankiety, po czym odszedł. W dżungli trzeba czasem walczyć ze sobą nawzajem. W dżungli jest gorąco, co potęguje gniew. Piosenki, które powstają, są jak rozmowy po pijaku z przyjaciółmi w pubie chwilę przed tym, zanim wskoczysz na stół i zaczniesz tańczyć. W kawałku *Rebel Girl* zespołu Bikini Kill Kathleen Hanna śpiewa o dumnej, dziwnej kobiecie, jakby jej nienawidziła, ale potem wyjaśnia, że dziewczyna jest jej bohaterką i tak naprawdę to chce ją przelecieć.

A kiedy Courtney Love śpiewa *Teenage Whore* – po części z nienawiścią do samej siebie, a po części z dumą – czuję, że ogarnia mnie dziwny spokój pomieszany z podnieceniem. Gdy słyszę, że kobiety śpiewają o sobie – a nie mężczyźni o kobietach – nagle wszystko staje się jasne i wszystko sprawia wrażenie cudownie możliwego.

Dotąd przez całe życie myślałam, że jeśli nie mogę powiedzieć czegoś, co

zainteresuje chłopców, to równie dobrze mogę się zamknąć. Ale teraz dociera do mnie, że istnieje druga, niewidoczna część świata – dziewczęta, z którymi też mogłabym rozmawiać. Cała druga część, równie cicha i sfrustrowana, która tylko czeka na sygnał, na odrobinę zaczynu, a wtedy wybuchnie słowami, pieśnią, działaniem i z ulgą wyda z siebie euforyczny okrzyk: „Ja też! Czuję to samo!”.

Wielką Brytanię obiegrała wiadomość, że w Ameryce powstaje „nowy gatunek dziewcząt”. Dziewczyny, które mają wszystko w dupie. Dziewczyny, które mają czelność. Dziewczyny, które zachowują się tak, bo inne dziewczyny tak robią. Dziewczyny, którym spodobałaby się taka dziewczyna jak ty.

Zimując, dojrzewając, przepoczwarzając się w moim pokoju, czuję, że bardzo dobrze znam tych dziwaków – chłopców i dziewczęta. Oni też leżeli pod łóżkiem, wiedząc, że nie mogą być tym, kim chcą, i że muszą zbudować większą łódź. Wszyscy bez wyjątku tkwią w nieładzie szaleńczego aktu samokreacji, próbując wymyślić dla siebie przyszłość, w której się odnajdą.

Wyobrażam sobie ich pokoje: teksty piosenek nabazgrane mazakiem na ścianach, płaszcze leżące na podłodze, śmierdzące stęchlizną sklepów z używaną odzieżą, reklamówki pełne wysłużonych kaset z nagraniem muzyką Bowiego, Stooges, Patti Smith i Guns N’ Roses. Zupełnie tego nieświadomi, wszyscy spotykamy się głęboką nocą w programie Johna Peela – ze słuchawkami na uszach, starając się nie obudzić innych domowników naszej licznej rodziny. Wszyscy robimy to samo. Każdy z nas stara się jakoś przeżyć te lata i znaleźć dla siebie lepsze miejsce.

Wiem, co muszę zrobić. Przyszłam na świat po to, żeby wszyscy w Wolverhampton polubili te zespoły. Taki jest cel mojego życia.

Praktycznie rzecz biorąc, z wszystkich ludzi na ziemi jestem w idealnym miejscu, żeby tego dokonać, ponieważ przystanek linii 512 po drugiej stronie ulicy to sieć, w którą wpadają ławice przyszłych fanów, zmuszonych czekać dwadzieścia minut między przesiadkami. Dwadzieścia minut przy odpowiednim nagłośnieniu wystarczy, żeby przekonać ich do tej muzyki.

Przysuwam wieżę stereo do okna – z całą plataniną czarnych, czerwonych i żółtych kabelków – i stawiam ją na parapecie. Potem siadam w oknie, wywalam nogi na

zewnątrz i kładę sobie głośniki na kolanach.

– Zamierzam wyedukować to miasto – zwracam się do psa. – Sprawię, że Wolverhampton będzie tak dobre jak... Manchester. Podnosimy status tego miasta.

Puszczam *Double Dare Ya Bikini Kill* tak głośno jak tylko się da.

Tak, wieśniacy, mówię swoją postawą, padniecie z wrażenia. Właśnie nadszedł dzień, kiedy nie musicie już słuchać Zuccherro ani Check 1-2 z Craigiem McLachlanem. Przynoszę wam coś zajebistego.

Ludzie w kolejce do autobusu robią to, co w podobnych okolicznościach zrobiliby ludzie w każdej kolejce do autobusu w Wielkiej Brytanii – odwracają się do mnie plecami i ignorują... Z wyjątkiem jednej kobiety, chyba po pięćdziesiątce, która gapi się na mnie.

Z jej miny wyczytuję, że jest zdegustowana. Ale kiedy teraz się nad tym zastanawiam, myślę, że był to wyraz żalu i współczucia. Ja w koszuli nocnej, siedząca na parapecie z magnetofonem na kolanach, puszczam z okna muzykę na cały regulator, usiłując zmienić miasto jedną płytą. Na wypadek gdyby za chwilę przyszło mi umrzeć.

Godzinę później nadal siedzę w oknie i tippexem piszę na magnetofonie: „MANIC STREET PREACHERS”. Puszczam *Hole*, kiedy zza rogu nadjeżdża volkswagen. Całkiem konkretnie zahacza o krawężnik i łomocząc, zjeżdża z powrotem na asfalt tak ciężko, że nawet tu słychać, jak wszystko w nim trzęsie się i dzwoni. Furgonetka staje przed domem i przez dobrą minutę nic się nie dzieje. Doświadczenie mówi mi, że to dlatego, że tata jest pijany i próbuje dojść, jak się otwiera drzwi.

Kiedy w końcu mu się to udaje, narąbany jak messerschmitt wysiada i początkowo nie wie, co się dzieje. Słyszy muzykę – Courtney Love, która drze się jak opętana – a potem spogląda na mnie siedzącą w oknie z głośnikiem na kolanach.

– Tata! – wołam.

– Kociaczkule! – odpowiada.

Jak w tej reklamie Renault: „Papa!”, „Nicole!”. Tyle że na osiedlu domów komunalnych.

Nagle robi mi się żal taty – wraca do domu i widzi, że wszystko, co jego pokoleniu udało się osiągnąć, wymyły wody mojej generacji. To go zaboli. Będzie mu ciężko na sercu. Wszystkie jego płyty umrą.

Tata przechyla głowę, jak pies, a jego twarz zmienia wyraz. Coś jest na rzeczy.

– Wiesz, co powinnaś zrobić? – mówi. Nie słyszę go dokładnie, więc zakrywam ucho dłonią. – Musisz podkreślić głośnik średniotonowy i ściszyć dolby! – krzyczy do mnie, kiwając głową jak fachowiec.

Po czym nabija fajkę i wchodzi do domu. Słyszę, jak się przewraca. Tradycyjnie, jeszcze zanim dotrze do schodów.

Więc to są te recenzje, które wysyłam po jednej dziennie do „D&ME”. Recenzje płyt zespołów Ride, Manic Street Preachers, Jane’s Addiction, Belly, Suede, The Stone Roses, Aztec Camera, The Lilac Time i My Bloody Valentine. A teraz zastępca redaktora wzywa mnie do swojego gabinetu. Proszę mamę, żeby napisała mi usprawiedliwienie do szkoły. „Proszę o zwolnienie Johanny ze szkoły w dniu dzisiejszym ze względu na ostry ból ucha” – pisze, dodając w moim kierunku: „Od słuchania tego cholernego łomotu” – i oto jestem przed ich siedzibą i czekam.

Przypominam sobie ostatnią radę, jakiej udzielił mi Krissi, kiedy wychodziłam z domu wczesnym rankiem, żeby złapać autobus, a potem pociąg i dojechać do Londynu. Stałam przed lustrem, malując sobie oko i podśpiewując.

– Cokolwiek zrobisz – powiedział Krissi, wychylając nos zza książki George’a Orwella – pamiętaj... nie bądź sobą. To nigdy nie działa.

Spoglądam na zegarek. Jest pierwsza po południu. Czas udać się na spotkanie. Wstaję.

– Powodzenia, mała – mówi tata.

Aha. No tak. Musiałam zabrać tatę ze sobą. Będzie tu siedział na murku przed „D&ME” i czekał na mnie. Ma na sobie swoje nowe buty.

– Nie pozwolę ci jechać samej do Londynu – rzekł kategorycznym tonem, gdy powiedziałam mu o zaproszeniu na rozmowę. – Wiem, jakim byłem dupkiem, gdy miałem kilkanaście lat, i nie pozwolę, żebyś w wielkim mieście zadawała się z dupkami takimi jak ja. Ten dupek będzie cię przed nimi chronił. – Oczywiście, że godzinami prosiłam, aby pozwolono mi pojechać samej, lecz ojciec pozostał niewzruszony. – Poza tym – dodał po trzeciej godzinie moich próśb i błagania – chętnie zobaczę, jak się miewa Stary Dym. Przejdę się po moich dawnych ulubionych



miejscach.

– To może jeszcze zabierzmy Lupina i bliźniaki – mówię sarkastycznie przez łyży. – Może pojedźmy całą rodziną na wycieczkę do Londynu, bo ja mam tam rozmowę o pracę?

– Do Londynu? Tak, tak, proszę! – krzyczy Lupin, podskakując na kanapie.

– Nie wydurniaj się, Lupin – mówię, popychając go lekko na poduszki. Zaczyna płakać, a potem wskakuje na mnie i mocujemy się na podłodze. Lubię mocować się z Lupinem. Bardzo mnie to relaksuje. Kiedy wreszcie przyciskam go do podłogi, udaję, że robię mu masaż serca, którego nauczyłam się z serialu *Na sygnale*. – Oddychaj, Lupin, oddychaj! Nie odchodź! Tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące!

Gdy robisz komuś masaż serca, wtedy ten ktoś nie może oddychać i zaczyna się histerycznie śmiać.

Nie przestaję, dopóki mama nie każe mi zostawić Lupina w spokoju i zrobić herbaty.

Redakcja „D&ME” znajduje się na dwudziestym dziewiątym piętrze, jak informuje mnie recepcjonistka. Musi sprawdzić, czy moje nazwisko jest na liście, zanim przepuści mnie przez bramkę. „Różne... typki tu przychodzą” – mówi, patrząc na mnie z odrazą.

Jeszcze nigdy nie byłam na dwudziestym dziewiątym piętrze – to największa wysokość, na jaką się wzniosłam. Windą. Właśnie przyszło mi do głowy, że dziś może być ten dzień, w którym odkryję, że mam lęk wysokości, i że wyjdę z windy, wyjrzę przez okno, wydam z siebie okrzyk i zemdleję. Lecz gdy wychodzę z windy, z radością donoszę samej sobie, że czuję się dobrze.

Biuro redakcji „D&ME” znajduje się na lewo od windy. Drzwi upstrzone są naklejkami i zniszczonymi płytami oraz listem od firmy public relations: „Drogie SKOŃCZONE pojeby. PIERDOLCIE SIĘ”.

Za drzwiami jest pokój, który swoją męskością sprawia, że sklep płytowy Record Locker wygląda przy nim jak wnętrze wspólnej damskiej przymierzalni w butiku Dorothy Perkins.

To biuro składa się głównie ze spodni, pewności siebie i jąder. Wszędzie leżą stare numery gazet – poźółłke i postrzępione. Na biurkach piętrzą się płyty winylowe i kompakty.

Wokół biurka jacyś mężczyźni – jestem zbyt spanikowana, żeby policzyć, ilu ich jest – otaczają gościa siedzącego na krześle, z brudnym bandażem na głowie, kurzącego fajkę, który kończy jakąś bardzo długą anegdotę.

– ...Taaa, więc budzę się pod stołem, a jego nie ma, całego zespołu nie ma, ale za to jest rachunek na trzysta funtów i prawdziwe ludzkie gównno w popielniczce. Tak przynajmniej mi się wydaje. Wstaję i wkurzony – totalnie wkurzony – zaczynam krzyczeć: „Tu jest gównno! Tu leży prawdziwe ludzkie gównno!”. I wtedy przychodzi właściciel klubu i wyjaśnia mi, że to cygaro. I że wcześniej próbowałem je zapalić.

– Dobra – ale co z bandażem, Rob – mówi redaktor, gdy wszyscy się śmieją. – Wciąż nam nie wyjaśniłeś, jak to się stało, że wróciłeś z Amsterdamu. Jakby w Dover coś ci się pomyliło i wybrałeś kierunek Wietnam. Założę się, że perkusista ci przywalił. Od tego w końcu są perkusiści. Żeby dowalić dziennikarzom.

– Myślę, że próbował poderwać Marianne, a ona rozwaliła mu krzesło na głowie – zgaduje inny gość.

– Niece, w drodze powrotnej przewróciłem się na promie, jak kupowałem paczkę marlboro w sklepie wolnołowym – mówi Rob, wzruszając ramionami i pokazując trzymanego w ręce papierosa. – Pielęgniarka pokładowa była urooocza. Dałem jej próbny egzemplarz albumu tego zespołu, a ona pokazała mi szafkę, w której trzymają tabletki. – To mówiąc, z zadowoleniem klepie się po kieszeniach. Nagle dopada go myśl. – Czeka – mówi, a na jego twarzy maluje się zmartwienie – mam nadzieję, że ona nie ma żadnych złośliwych braci. Bo jeśli tak, to najdalej w poniedziałek na Camden Market będzie pełno kopii tego albumu, a Ed Edwards kompletnie oszaleje.

W czasie tej anegdoty starałam się stanąć tak, żeby mnie zauważono. Chyba nadeszła już pora, by się przedstawić. Kiedy wreszcie następuje koniec opowieści, a mężczyźni znów wybuchają śmiechem, robię krok do przodu. Przez jedną straszną chwilę, wiem, jestem tego zupełnie pewna, ja – gruba nastolatka z komunalki w cylindrze na głowie – nie będę w stanie poradzić sobie z tą sytuacją. Nie wiem, co mam powiedzieć tym smukłym rock'n'rollowcom.

A potem zaliczam największy do tej pory życiowy przypływ geniuszu: będę udawać kogoś, kto wie, jak się zachować. To wystarczy. I już. Będę udawać, że bardzo dobrze pasuję do tej dziwnej sytuacji. Udawaj, aż ci się uda.

– Cześć! – mówię radośnie. – Jestem Dolly Wilde! Przyjechałam do Londynu, żeby zostać dziennikarką muzyczną!

Wszyscy mężczyźni zebrani w pokoju odwracają głowy i patrzą na mnie. Wyraz ich twarzy jest jak z filmu dokumentalnego, w którym ktoś wsadza flaminga do zagrody pełnej wielbłądów... ale nie pamiętam już dlaczego. Wszystkie wielbłądy patrzą na tego flaminga. A on na nie. Wszyscy są zupełnie zdezorientowani.

W tej niezręcznej ciszy jeden z gości sięga do swych spodni i wręcza drugiemu facetowi piątką. Mężczyzna stojący najbliżej mnie kiwa głową w ich kierunku.

– Mieliśmy taki zakład w redakcji. Kilka osób było przekonanych, że jesteś czterdziestopięcioletnim facetem z półwyspu Wirral, tylko że nieźle wkurzonym.

– Jeszcze nie! – odpowiadam, śmiejąc się. – Ale kto wie, gdzie skończę za kilka lat! Życie jest jak rzeka!

– Jestem Kenny – mówi mężczyzna, wstając. Jest bardzo wysoki, bardzo łyсы i ubrany w zaskakująco odważnie przycięte dżinsowe szorty, wygląda bardzo gejowato. Jest w nim coś zniewieściałego. Na szyi nosi sześć laminowanych wejściówek, przewieszonych jak hawajska girlanda, i najwyraźniej ma głęboko w dupie, co inni o nim myślą. Kilka lat później spytałam go, jak to się stało, że gej słuchający głównie rocka progresywnego pracuje w redakcji czasopisma poświęconego muzyce bardzo niezależnej, bardzo hetero, której czasami nie da się słuchać – czyli takiej, której nienawidzi – a on kąśliwie odpowiedział: „Nigdy nie łączę pracy z przyjemnością”. Ale wróćmy do naszego pierwszego spotkania. – To ze mną rozmawiałaś przez telefon – mówi Kenny.

– Jesteś zastępcą naczelnego? – upewniam się. I to jest dobrze zadane pytanie.

– Tak – odpowiada, po czym milknie na chwilę. – Więc – rozkłada ręce – chcesz tę pracę?

Powinnam odpowiedzieć: „Tak, poproszę!”. Zaproponowano mi pracę w niecałą minutę po przejściu przez drzwi. Udało się.

Ale wtedy wszystkie filmy, jakie obejrzałam, i książki, które przeczytałam, kazały

mi wierzyć, że jeśli tylko nadarzy się okazja, nie powinno się mówić tego, co najbardziej uprzejme albo co akurat wypada – ale coś, co zabrzmi legendarnie.

W pociągu w drodze do Londynu zaplanowałam swoją najbardziej legendarną odpowiedź na ofertę pracy. I właśnie teraz ją wypowiadam:

– Czy chcę pracować dla was? Z przyjemnością. Z największą przyjemnością! – Biorę papierową serwetkę z biurka, zanurzam ją w szklance z wodą, a potem udaję, że idę myć ściany. – Najpierw wytrę ściany – mówię do Kenny’ego – a potem podłogi, w ten sposób nawet jeśli zachłapię...

Ten dialog pochodzi z musicalu *Annie* – ze sceny, gdy Daddy Warbucks prosi Annie, żeby zamieszkała z nim przez miesiąc, a ona początkowo myśli, że chce, by została jego służącą.

Kiedy wyobrażałam sobie, jak wypowiadam tę kwestię, myślałam, że wszyscy w „D&ME” będą pękać ze śmiechu: „Zaproponowaliśmy jej pracę w najbardziej odjechanej gazecie w kraju – a ona sparodiowała zarówno swoje robotnicze pochodzenie, jak i obsesję na punkcie musicali, udając, że daliśmy jej posadę sprzątaczką w naszym biurze! Legendarne!”.

Nie ma takiej opcji, żeby ktoś z tej redakcji nie widział *Annie*. Ten cytat sprawi, że skonają ze śmiechu.

Żadna z osób w tym pokoju nie widziała *Annie*. Zapada niezręczna cisza.

– To z *Annie* – podpowiadam. – Z tego musicalu. – Jeszcze głębsza cisza. – Nie macie tu żadnych wielkich fanów musicali w redakcji?

– Musicale są wyłącznie dla kobiet i homoseksualistów – mówi Kenny w sposób tak oschły i z takim sarkazmem, że w zasadzie nie ma tu już komunikacji, zostaje tylko zakłopotanie i bezradność.

– Ja nawet lubię *The King and I* – odzywa się gość z bandażem.

– Przypominam ci, że niedawno zostałeś uderzony w głowę – odpowiada Kenny. To wszystko żarty! Gabinet żartownisiów! Oczywiście źle się czuję z tym, że mój dowcip nie wyszedł, ale nie aż tak źle – zaliczyłam tylko sześć zgonów na dziesięć możliwych. To nie Scooby Doo w telewizji na żywo. – No to teraz jesteś częścią zespołu, Annie. Chcesz wziąć udział w naszym spotkaniu redakcyjnym? – pyta Kenny. – Nie widzę powodu, żeby nastolatka u progu niesamowitego życia nie chciała być częścią procesu,

który skończy się tak, że damy na okładkę Skinny Puppy i w ciągu jednego tygodnia stracimy dwadzieścia tysięcy czytelników.

– Hej! – mówi gniewnie Rob.

– Słyszałaś kiedyś, jak grają Skinny Puppy? – pyta Kenny.

– Nie, proszę pana – odpowiadam. Postanowiłam, że będę się zwracać do ludzi per „pan” i „pani”. Widziałam raz w telewizji, że tak robi Elvis, i bardzo fajnie to wyglądało.

– Więc nie słuchaj – ostrzega Kenny. – To po prostu coś okropnego. Jakby ktoś żywcem palił dzieci.

Spotkanie redakcyjne odbywa się w sąsiednim pokoju. Palenie wydaje się obowiązkowe, tak samo jak przegadywanie siebie nawzajem. Większość osób jest ubrana na czarno, a wszyscy sprawiają wrażenie niezwykle pewnych siebie – każdy wygląda, jakby wiedział, jaki ma typ charakteru, i konsekwentnie się go trzyma: jest mężczyzna wściekły, mężczyzna cyniczny, mężczyzna mądry i mężczyzna z bandażem na głowie. To scena, którą odgrywali już wielokrotnie, wszyscy znają swoje role i całą retorykę. Ponieważ jestem tu nowa, nie mam pojęcia, jaka jest moja rola, więc siedzę i odczuwam coraz większy niepokój. Jestem bardzo cicho.

Odbywa się dwudziestominutowa dyskusja na temat przyszłotygodniowej okładki; chcą na nią wrzucić zespół Lush, grupę pijackich gawędziarzy, którzy brzmią trochę jak miniaturka My Bloody Valentine, a na ich czele stoi Miki Berenyi – na wpół Japonka, w połowie Węgierka z londyńskiego East Endu z wiśniowoczerwonym bobem na głowie.

– Ona cholernie dobrze wygląda – mówi Rob, a wszyscy się z nim zgadzają i patrzą na jej zdjęcie. – Cholernie atrakcyjna kobieta.

Taka decyzja zapada na spotkaniu. Że Miki Berenyi jest cholernie atrakcyjną kobietą. Wciąż jeszcze docierają do mnie implikacje z tym związane – a jest ich wiele – gdy Kenny nagle zwraca się do mnie następującymi słowami:

– Więc co dajemy na początek? Jakieś nowe zespoły. Masz coś? Za czym dzisiaj szaleje nieoświecona młodzież ze środkowej Anglii?

Myślę. Nie mam pojęcia. Skąd mam wiedzieć, jakie są teraz nowe zespoły?

Wszystko, co wiem, wyczytałam w „D&ME”. Gdzie w ogóle szuka się nowych zespołów?

– Jest takie całkiem interesujące trio z Derby – wtrąca się chłopak siedzący po drugiej stronie stolika, przerywając tym samym niezręczną ciszę. Nie licząc mnie, to jedyna osoba, która przez całe spotkanie milczała. Tata powiedziałaby o nim „ciemny chłopak”, może z Pakistanu? Przypuszczam, że przez cały czas milczał z tego samego powodu co i ja: czujemy, że nie pasujemy do tego miejsca. – Taka muzyka do tańca. Nakładają orkiestrowe sample na psychodeliczny breakbeat. Coś jakby Shut Up and Dance mieli nagrać składankę na święta. Główny wokalista wygląda jak Catweazle – kontynuuje z bardzo smętnym birminghamskim akcentem. – W zeszłym tygodniu grali w Klubie 69 w Wolverhampton – dodaje, ostatnie słowa kierując w moją stronę – prawda?

– Aaa tak! – mówię, udając, że ich znam. – Taa, słyszałam o nich. Taa. Chyba Peel puszczał ich w zeszłym tygodniu, proszę pana.

Nie mam bladego pojęcia, czy Peel rzeczywiście ich zagrał – ale biorąc pod uwagę, że Peel puszcza ze sto piosenek tygodniowo, jestem bezpieczna. Nikt nie jest w stanie sprawdzić, czy tak było. To solidne, utilitarne kłamstwo.

Kenny przytakuje ciemnemu chłopakowi skinieniem głowy.

– Chcesz się tym zająć? – pyta. – Sprawdź, czy wydali jakiegoś singla, i załatw to, okej?

Chłopak kiwa głową. Już wiem, kim jest – pisze pod pseudonimem ZZ Top i zajmuje się rapem, muzyką dance i hip-hopem. Nigdy nie czytam jego recenzji, bo rap, dance i hip-hop trochę mnie przerażają. Nie mam odpowiednich ciuchów, żeby je lubić. W dodatku to dosyć intensywne gatunki muzyczne. Chowam je do tej samej szuflady co heavy metal i speed metal, podpisanej: „Ludzie, którzy mogliby mnie zabić, a następnie zjeść”. Ja lubię zespoły, których wokaliści sprawiają wrażenie, że przy pomyślnych wiatrach dałabym radę pokonać ich w walce. Wydaje mi się, że mogłabym powalić Morrissey, gdyby przyszło co do czego. Mam już wprawę, bo ćwiczyłam na Lupinie. Ale jak mniemam, nie wyszłabym cało z konfliktu z Ice T.

– Dobra! – mówi Kenny na koniec spotkania. – No to spadajcie do pubu i bawcie się zajebiście. W przyszłym tygodniu o tej samej porze?

Wszyscy zaczynają wychodzić, popychając się i gadając, a ja zostaję na miejscu, ponieważ nie mam kogo popychać. Zauważam, że ZZ Top też siedzi – pewnie z tej samej przyczyny. Powoli wkładamy swoje notatniki do toreb i wychodzimy mniej więcej w tym samym czasie. ZZ otwiera przede mną drzwi, ja dygam i przechodzę.

– Dziękuję panu – mówię, tak jak powiedziała by Elvis. Zamierzam trzymać się jego stylu.

– Czy to możliwe, że widziałem cię w *Midlands Weekend*? – pyta ZZ. Moje serce opróżnia cztery komory z krwi i wspaniałomyślnie przepompowuje ją do mojej twarzy, a moje wnętrzności zaczyna pokrywać lód.

– Ha, ha, ha! – śmieję się. – Ha, ha, ha!

– Byłaś tam, prawda? – nie odpuszcza. – Mówiłaś coś o Scooby Doo? Byłem akurat u rodziców. Porządnie wkurzyłaś tego Wilko. Powinni to puścić w *It'll Be Alright on the Night*.

Sprawia wrażenie, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nie mogę dłużej znieść tej rozmowy. Odczuwam głęboki niepokój.

– Najwyraźniej jestem wam wszystkim winna przeprosiny. Paaa!

Po tych słowach biegnę do damskiej toalety, zostawiając go na korytarzu z plecakiem w rękę.

Jestem jedyną osobą w damskiej toalecie. Koło kosza na śmieci leży sterta „BMX Weekly”. Redakcja tego czasopisma jest na tym samym piętrze co „D&ME”.

Jak widać, tego pomieszczenia używa się głównie jako przechowalni, ponieważ nie ma tu żadnych dam, które mogłyby korzystać z damskiego WC.

Wchodzę do kabiny, bo wspomnienia *Midlands Weekend* wywołały u mnie biegunkę, po czym zauważam, że zaczął mi się okres, jak zwykle w jakimś głupim, najmniej spodziewanym momencie.

– Ożeż kurwa, świetnie – mówię do moich majtek, ścierając z nich krew najlepiej, jak potrafię, i wkładając w nie okazały kawał papieru toaletowego. *Annie, Midlands Weekend*, milczenie podczas spotkania, a teraz jeszcze ciotka: to najbardziej efektowny i udany dzień w moim życiu. Spuszczam wodę i jak kaczka drepnę do umywalki; kroki utrudnia mi prowizoryczna pielucha w majtkach. Myję ręce, patrząc na siebie w lustrze. – No powiedz coś mądrego – mówię na głos. – Widzę Dolly Wilde

namalowaną na swojej własnej twarzy – dwa z trudem współistniejące oblicza – ale może inni tego nie zauważają. Jeśli będę szybko chodzić i mówić, to może nikt niczego się nie domyśli. Potrzebuję tylko chwili, żeby wziąć się w garść. Tylko chwili, żeby się pozbierać. A może następnych osiemnastu lat. – Coś mądrego – powtarzam.

Nic jednak nie przychodzi mi do głowy. Wyglądam jak Dolly Wilde, ale nadal zachowuję się jak Johanna Morrigan. Koniecznie trzeba coś zmienić, bo przyjdzie mi to miejsce jeszcze odwiedzać. Muszę być w stanie tutaj wracać i uczynić je moim własnym, tylko tą drogą mogę dojść do spotkań z muzykami, zarabiania pieniędzy i zaistnienia w branży muzycznej. To jedyne drzwi do przyszłości, jakie kiedykolwiek przede mną otwarto.

Kiedy wreszcie wychodzę na korytarz, nikogo już tam nie ma.

Samotnie zjeżdżam dwadzieścia dziewięć pięter w dół.



## Rozdział dziesiąty

A więc jestem pisarzem. Pisarzem! W tym tygodniu mam do napisania trzy recenzje – każda na dwieście słów – za które dostanę zawrotną sumę osiemdziesięciu pięciu funtów i dwudziestu trzech pensów. I to jest zawrotna sumka. Jednakże codzienne obowiązki w mojej nowej pracy okazują się niespodziewanie trudne. Nasz komputer – commodore 64, prezent od wujka Jima – stoi w dużym pokoju podpięty do telewizora. W sobotę, moim pierwszym dniem pracy, wkraczam do pokoju z notesem i płytami CD gotowa odbić kartę, a tu Lupin gra sobie w najlepsze w *Dungeon Master*.

– Spadaj, mały – mówię wcale nie niegrzecznie. – Muszę połączyć się z moją żoną. Zmykaj.

– Ale teraz jest moja kolej. – Lupin pozostaje nieugięty. Nie odrywając wzroku od ekranu, pokazuje mi „Grafik korzystania z komputera” – skrupulatnie ustalony plan rozpisany na kartce A4, przyczepiony z boku telewizora, opracowany przez nas rok temu po miesiącach krwawej wojny. Tak, to prawda. „Lupin: 9.00–11.00” tuż przed „Johanna: 11.00–13.00”.

Ale przecież teraz wszystko się zmieniło.

– Tak, Lupin, tylko że ja potrzebuję komputera do pracy – wyjaśniam, siadając na krawędzi krzesła, trochę Lupina przygniatając. – Jo-Jo musi napisać dwieście słów o albumie Milltown Brothers, a Lupin pójdzie się teraz przez chwilę pobawić klockami.

– Teraz jest moja kolej – mówi zawzięcie.

– Już nie – odpowiadam, wciskając się na krzesło obok niego i zmuszając go, żeby wyskoczył jak z procy. – Przewyższam cię stopniem. Wypad stąd!

– Mamo! – krzyczy Lupin, spadając z krzesła.

– Tak. Mamo! – krzyczę, nie ruszając się z krzesła.

Kiedy mama wchodzi do pokoju z jednym z bliźniąt na ręku, niespodziewanie opowiada się po stronie Lupina.

– Teraz jest jego kolej, Johanna – mówi stanowczo.

– Ale on tylko... się obija. On tylko – patrzę na ekran monitora – zabija ducha. I to nawet nie prawdziwego, tylko wyimaginowanego. A ja jestem w pracy.

– Nie możemy wszystkiego zmienić tylko dlatego, że ty dostałaś pracę – powiada mama. – Wszyscy w tym domu mają równe prawa.

– Z wyjątkiem taty – mówię posępnie. – Zawsze dostaje największego kotleta. I zawsze zaklepuje telewizor, gdy puszczają futbol amerykański, a my wtedy nie możemy obejrzeć następnego *That's Life*.

– Johanna, będziesz po prostu musiała poczekać na swoją kolej – tłumaczy mama. – Nie mogę cię traktować wyjątkowo. W tym domu mieszka wiele osób i musimy być fair względem każdej z nich.

– Nie chcę, żeby mnie traktowano wyjątkowo, tylko zgodnie z logiką. Moja potrzeba jest większa. Jako zawodowy pisarz jestem teraz po prostu bardziej uprawniona do dostępu do komputera niż Lupin. To tak, jakbyśmy... jakbyśmy teraz próbowali wypracować politykę zagraniczną. Gdybym się nazywała Butrus Butrus Ghali, bardziej słuchałabyś mnie niż tego... Karate Kida.

– Nie będę z tobą dyskutować, Johanna. Nie jesteś Butrusem Butrusem Ghalim – mówi moja matka i wychodzi z pokoju.

– Proszę, dopuść mnie do komputera – szepczę do Lupina. Ale Lupin, mając poparcie mamy, jest teraz przekonany o własnej nieomyślności.

– Teraz ja – mówi uparcie, siadając przed komputerem.

Siadam na Lupinie, nie ustępując, i syczę: „Ale jesteś podły!”, a potem idę do kuchni przyrządzić sobie bardzo mocnego drinka – napój słodowy firmy Horlicks – piję go, gdy mam kryzys. Zamierzam go sączyć wściekle, pielęgnując w sobie coraz bardziej senne poczucie niesprawiedliwości.

W kuchni w moim różowym szlafroku stoi tata, smaży sobie bekon.

– Przyszedł nasz Hunter S. Thompson w spódnicy – mówi, gdy otwieram słoik. – Jak tam życie w okrutnych i płytkich okopach rocka?

– Lupin zachowuje się jak dupek – odpowiadam naburmuszona. – Przez niego mogę usiąść przy komputerze dopiero za godzinę.

– Ej, nie przejmuj się nim – mówi beztrosko, polewając chleb tłuszczem z bekonu. –

Muszę z tobą obgadać nasz plan.

– Nasz plan? – pytam.

– Tak. Nasz szturm na cytadelę, skoro już masz tam wtyki – wyjaśnia. Patrzę na niego bezradnie i nie wiem, co mam powiedzieć. Tata tłumaczy dalej: – Johanna, spędziłem dwadzieścia lat, czekając, aż ktoś przyjdzie i załatwi mi nagranie płyty – mówi, wydrapując nożem z butelki resztki sosu do grilla. – Czekałem w pubach, wysyłałem taśmy demo i włączyłem się po studiach nagraniowych, rozmawiając z technikami, którzy twierdzili, że znają kogoś, kto zna kogoś, kto jest technikiem gitarowym Petera Gabriela. Czekałem na tę jedyną osobę, która może nas stąd wyrwać. A przez cały ten czas ten ktoś, kto mógłby mi załatwić kontrakt płytowy, był tak blisko, tuż obok, tutaj. – Spogląda na mnie. – To byłaś ty.

– Eee – mówię.

– Johanna. O to chodzi, mała! – Gryzie swoją kanapkę. Tak szczęśliwego nie widziałam go od lat. – Musimy nagrać jeden hit i wtedy już nas tu nie ma. Jedną nędną piosenkę. Niech będzie hitem przez jeden sezon. To nawet lepiej. Popatrz, co robi Noddy Holder. Wystarczy, że raz w roku włoży czapkę Mikołaja, krzyknie *It's Christmas!* i znów jest na topie, farciarz jeden. Wystarczy, że wymienisz moje nazwisko, wspomnisz o mnie w tej swojej gazecie – mówi. – To wszystko, czego mi potrzeba. Tylko umów mnie na spotkanie z jakimś wielkim kutasem.

Zastanawiam się nad tym, co powiedział. Spotkanie z wielkim kutasem? Ale to jest właśnie plan, jaki mam względem siebie. Wracam do pokoju, w duchu śmiejąc się z tego, jaka jestem seksualnie wyzwolona. Jak na dziewczinę, która nigdy się nie całowała i popija podwójnego drinka z Horlicksa, jestem totalnie odjazdowa. Dziękuję swoim starszym siostrom zza Atlantyku za te lekcje pyskówki. Nie zamierzam zaprzętać sobie głowy tym, jak pomóc mojemu ojcu.

Jest wpół do trzeciej i wreszcie jestem tam, gdzie powinnam być – przed komputerem – stukam w klawisze, kiedy to moje starania nadania nowej dynamiki naszej rodzinie napotykają kolejny problem. Jestem w połowie trudnego akapitu, próbuję opisać niekwestionowanie brzęczące gitary zespołu Milltown Brothers, używając innego słowa niż „brzęczące” – do tej pory opisałam je jako „nieco dzwoniące” – gdy z kuchni zaczyna dochodzić zawodzący głos. Słyszę, jak matka idzie

sprawdzić, co się stało, potem dochodzą do mnie jej kroki w przedpokoju. Wściekła staje w drzwiach.

– Prosiłaś, żeby Lupin zrobił ci kanapkę? – pyta, kipiąc z wściekłości.

– Szczerze mówiąc, milion razy w ciągu ostatnich kilku lat – odpowiadam. – Pomyślałam sobie, że chętnie nauczy się czegoś nowego. A ja umieram z głodu i gonią mnie terminy!

– Właśnie odciął sobie pół kciuka tarką do sera – mówi. Unoszę głowę nad klawiatury: tak, ten jęczący głos może wskazywać na ośmiolatka, który odciął sobie kawałek palca tarką do sera. Dokładnie tak to brzmi. – Johanna. Jesteśmy rodziną, a nie organizacją „Johanna Morrigan i jej podwładni” – rzecze matka. – Nie możesz tyranizować dzieci.

Oczywiście nie mogę jej powiedzieć, że w pojedynkę próbuję ocalić naszą rodzinę od potencjalnej ruiny, bo wtedy musiałabym wyjaśnić, co to za zagłada i że to ja sama ją spowodowałam.

– Jeśli nie uda mi się utrzymać tej posady, to pozostaje mi tylko praca w supermarkecie Argos. Albo prostytutka – buntuję się.

– Może mogłabyś pracować w Argosie w charakterze prostytutki – beztrako zagaduje matka, jakby ta rozmowa sprawiała jej przyjemność. – Mogliby cię umieścić w katalogu, a ludzie ustawialiby się w kolejce, w oczekiwaniu, aż pojawisz się na taśmie.

Ponieważ jestem osobą czytana, powstrzymuję się przed wykrzyknięciem tego oklepanego frazesu, który wykrzykują nastolatki: „NIENAWIDZĘ CIĘ. Ja się na świat NIE PROSIŁAM”.

Poza tym już kiedyś użyłam tej kwestii, na co moja matka odpowiedziała ze stoickim spokojem: „Cóż, jako buddyści wierzymy, że dzieci, owszem, proszą się na świat. Tak naprawdę wybrałaś mnie na matkę. Więc jeśli coś jest nie tak, obawiam się, że to z powodu złej energii, która towarzyszyła ci przy wyborze mojej osoby. Przykro mi”.

W tej chwili nakładam słuchawki i puszczam *Mother* Johna Lennona, interpretując to najbardziej sarkastycznie, jak potrafię. I tak mijają mi tygodnie.

Dzwoni telefon. To Kenny z „D&ME”.

– Dawno się nie słyszeliśmy – mówi lakonicznie. – Byłaś zajęta?

Nie mogę mu powiedzieć, że nikt nie może teraz u nas korzystać z telefonu, bo na komodzie leży niezapłacony rachunek na siedemdziesiąt osiem funtów, i że gorliwie się modliłam, by to on do mnie zadzwonił z jakimś nowym zleceniem.

– Tak! – mówię radośnie. Wzięłam sobie do serca to, co usłyszałam na spotkaniu redakcyjnym, i już teraz wiem, co mówić. Wiem, jaką osobą muszę być w rozmowie z Kennym. – Mocno imprezowałam, Kenny! Trudno ze wszystkim nadążyć, jak się cały czas bzyka i pije.

Siedzę na schodach w koszuli nocnej, patrząc na jedno z bliźniąt w wózeku, któremu cichutko, spokojnie ulewa się po brodzie.

– No to gdybyś mogła odłożyć chłopców na bok na chwilę, Wilde – mówi Kenny wyraźnie rozbawiony – mamy dla ciebie trochę więcej tego pisania, do którego się tak palisz. Smashing Pumpkins grają w Birmingham, w jakimś pubie o zawilej nazwie Edwards Number 8. Miałabyś ochotę napisać o tym coś na sześćset słów? Na następny czwartek. Pomyśleliśmy, że czas dać ci coś większego. Promować cię szczebel wyżej. To jest awans! Masz sporo czasu, żeby pobzykać i pochlać na zapas, zanim zabierzesz się do roboty. Okej?

– Tak jest, proszę pana! – mówię. Potem będę kombinować, jak bez grosza przy duszy – dopóki nie dostanę mojej pierwszej wypłaty – dostać się do Birmingham. Może w przyszłym tygodniu Birmingham przybliży się do Wolverhampton i będę mogła po prostu pójść tam na piechotę!

– Rzecznik prasowy tej firmy płytowej nazywa się Ed Edwards. Kompletnie beznadziejny gość, ale oni wszyscy tacy są – wzdycha Kenny, po czym daje mi numer telefonu Eda. – Wpisz się na listę gości. Możesz nawet zaliczyć kilka drinków, kiedy tam będziesz! Zachowaj paragony. Niestety, nie sądzę, żeby firma IPC zwracała koszty bzykanka – chociaż możesz się postarać i spróbować się upomnieć.

Koszty? Czuję się, jakby ktoś mnie walnął w łeb workiem złota. Koszty?

To jest magiczne słowo. Koszty. Och, najpiękniejsze słowo! Koszty oznaczają jedno... więcej pieniędzy.

– Więc można ubiegać się też o zwrot kosztów podróży? – pytam, krzyżując palce

u rąk, u nóg i same nogi, licząc, że powie „tak”.

– No, może powieka im zacznie lekko drgać, jeśli pojedziesz pierwszą klasą albo na wynajętym rowerze wodnym w kształcie... łabędzia, ale generalnie tak. IPC miłosiernie uznaje, że nie jedziesz do Birmingham do Edwards Number 8 dla przyjemności – mówi Kenny, a potem się rozłącza – zostawiając mnie leżącą na podłodze, wpatrzoną w sufit, bezgłośnie krzyżującą „Taaaaaaaak!”. Mam nowe zlecenie. Zostałam awansowana.

Podczas gdy Lupin niechętnie pomaga mi w odgrywaniu mojej nowo odkrytej roli – funkcji „ważnego pracownika czasopisma o zasięgu krajowym” – ojciec, traktując moją zawodową pozycję jako „coś, co może pomóc mu w jego własnej karierze”, jest o wiele bardziej pomocny, co budzi u mnie mieszane uczucia.

Teraz, w czwartkowy wieczór, próbuje wjechać tyłem na miejsce parkingowe przed Edwards Number 8, które jest nieco za małe, żeby zmieścił się tam nasz van. Uporczywie szturcha przy tym kubły na śmieci stojące mu na drodze, prawdopodobnie głośno tłukąc się przy tym i hałasując na zewnątrz – ale w aucie leci *Buffalo Soldier*, więc mogę się tylko domyślać. Basy wprawiają w wibrację dźwignię zmiany biegów.

Ostatni tydzień był ekscytujący. To znaczy okropny. Gdy prosiłam tatę o gotówkę, żeby móc zapłacić za bilet kolejowy do Birmingham, od razu odmówił, tłumacząc, że pamięta, jak za młodu zachowywał się w nocnych pociągach, i że nie chce, bym spotkała po drodze takich dupków jak on.

– Już kiedyś mi to mówiłeś – powiadam.

– A ty już prosiłaś o kasę swoją matkę – odgryza się. Nalegał, że zawiezie mnie do Birmingham. – Możesz mnie chyba wpisać na listę gości, no nie? – mówi. – Pat Morrigan z osobą towarzyszącą. Jak za starych, dobrych czasów. Zobaczą, co tam porabia konkurencja. Co rozwścieczona młodzież dzisiaj grywa. To mnie utrzyma w ryzach.

Entuzjazm, z jakim odnosi się do współczesnego alternatywnego rocka, i jego rycerskie zapędy byłyby bardziej godne podziwu, gdyby nie to, że wyszedł z propozycją podwózki, dopiero kiedy usłyszał, że dziennikarzom zwracają kasę „za napoje”.

– No to czas się napić – mówi, zamykając furgonetkę, i zaciera ręce.

Dzięki nalepce z wózkiem inwalidzkim parkuje przed samym wejściem, w miejscu, które, jak sądzę, mogło być przystankiem autobusowym. Fakt ten – jak również to, że objaliśmy się o kubły – sprawił, że ludzie w kolejce do Edwards Number 8 patrzą na nas z nie lada zaciekawieniem. To ten rodzaj przybycia, które wywołuje na ustach pytanie: „Kim wy, kurwa, jesteście?”.

Tata, dziarsko kuśtykając, podchodzi do biletera. W gruncie rzeczy to błaga, a on zawsze błaguje na najwyższym poziomie, jest wtedy w swoim żywiole. Kiedyś bujda nazwał swoje oświadczenia. „Zbajerowałem waszą matkę na plaży w Brighton – powiedział, wychylając szklanę guinnessa. – Zbajerowałem ją”.

– Mamy zaproszenie – mówi swoim protekcyjnym tonem, jakby tłumaczył coś wieśniakowi. – Johanna Morrigan z osobą towarzyszącą.

Bileter spogląda na listę gości.

– Eee, nie – mówię, zwracając się do taty, a potem do bramkarza. – Na nazwisko Dolly Wilde. Dolly Wilde z osobą towarzyszącą.

– Dolly Wilde? – Tata spogląda na mnie we właściwy sposób po raz pierwszy od miesiąca. Jestem oczywiście cała na czarno i dodatkowo mam na sobie czarny cylinder, który kupiłam na wyprzedaży ku czci Slasha z Guns N’ Roses. Wyglądam dosyć niesamowicie. Albo przynajmniej nie wyglądam tak jak w zeszłym roku. – Dolly Wilde?

– To mój pseudonim artystyczny – wyjaśniam. – Dolly Wilde.

– Aaa – powiada staruszek z uznaniem. – Aaa. Pseudonim artystyczny. Ładny.

– Wilde była osławioną lesbijką alkoholizką – dodaję radosnym tonem.

– Ekstra! – mówi tata, a bileter odpina czerwony sznur i wpuszcza nas do środka.

Jeszcze nigdy nie byłam na koncercie. To mój pierwszy w życiu koncert i na dodatek mi za to płacą. Wszystko jest dla mnie nowe. Jesteśmy bardzo wcześnie, nikt jeszcze nie przyszedł, a światła na widowni wciąż się palą. Z tego co widzę, znajdujemy się w dawnej hali koncertowej z epoki edwardiańskiej, z długim, obskurnym barem wzdłuż tylnej ściany. Wnętrze pomalowano na czarno, mrocznie i „rockowo”, a wszystko – podłoga, ściany i sufit – jest odrapane, wyszczerbione, cuchnie dymem papierosowym i kostką toaletową.

Oto miejsce, gdzie gra się rocka! Gdzie przychodzą młodzi ludzie! Muzyka rockowa śmierdzi kibelem i papierosami! Uczę się! Jestem bardzo podekscytowana. Czuję, że to jakiś przełomowy moment w moim życiu.

– Jak już mówiłem, idę po te napoje orzeźwiające – informuje mnie tata, po czym kieruje swoje kroki do baru i po męsku skinieniem przywołuje barmana.

Idę naprzód pod samą scenę. Chcę sobie zaklepać najlepsze miejsce, żeby dobrze widzieć oba zespoły – rozgrzewający imprezę Chapterhouse są teraz całkiem dobrzy – i żeby moja recenzja okazała się najlepszą recenzją, jaką kiedykolwiek wydrukowano w „D&ME”.

Jestem tuż na wprost głównego mikrofonu, przed którym wkrótce stanie lider zespołu Billy Corgan, i umacniam swoją pozycję, wyjmując pióro i notes, w którym na pierwszej stronie zapisuję te oto słowa: „SMASHING PUMPKINS – BIRMINGHAM EDWARDS NO. 8, BIRMINGHAM, 19 listopada 1992 roku”.

Odwracam się i widzę tatę. Oparty o bar, pije guinnessa i rozmawia z jakimś gościem obok. Na mój widok tata podnosi szklankę w geście toastu i niemym szepciem woła w moją stronę: „Orzeźwiam się”.

Przytakuję skinieniem głowy.

Pierwszy zespół pojawi się na scenie dopiero za jakąś godzinę i trzydzieści siedem minut. Wzdycham. Może przyszłam trochę za wcześnie.

„BIRMINGHAM EDWARDS NO. 8, BIRMINGHAM, ŚRODKOWO-ZACHODNIA ANGLIA, WIELKA BRYTANIA, EUROPA, ZIEMIA, DROGA MLECZNA, NIESKOŃCZONOŚĆ” – nanoszę poprawki w notatniku piśmem pełnym zawijasów.

Mam szesnaście lat i płacą mi od słowa.

Jest dwudziesta druga jedenaście. Cóż, zaczynam się w tym wszystkim gubić. Udaje mi się utrzymać swoją pozycję na wprost statywu z mikrofonem Billy’ego Corgana – ale łatwo nie jest. A to dlatego, że jak już zdążyłam zaobserwować, fani Smashing Pumpkins wykonują jakiś dziwny energiczny taniec polegający na popychaniu się i skakaniu w rytm piosenek.

Z początku myślałam, że to taka tradycja, że robią tak tylko do pierwszej piosenki na



koncercie. No wiecie, zupełnie jak na weselach, gdy zagrają *Oops Upside Your Head*, a wszyscy goście siadają na podłodze i wiosłują. Sądziłam, że po pierwszej piosence skończą z wygłupami, uspokoją się i po prostu przestaną wskakiwać mi na głowę. Ale Smashing Pumpkins grają już trzeci utwór i okazuje się, że te podrygiwania to nie jest tradycja tylko jednej piosenki. Fani ciągle się rzucają, ocierając się o siebie, jakby chcieli wykrzesać ogień przy użyciu bawełnianych koszulek jako rozpałki.

Zapisywanie moich wrażeń z koncertu na gorąco („Corgan sprawia wrażenie bardzo poważnego! D’Arcy popija wodę”) staje się coraz trudniejsze, bo przez większość czasu notes mam w ustach, a rękami przytrzymuję cylinder. Ta publiczność nie ma szacunku dla kogoś, kto nosi odważny kapelusz.

Kiedy wybrzmiewają akordy czwartej piosenki, tłum zaczyna mocno napierać z tyłu, a ja gubię i notes, i kapelusz.

– Jezu Chryste! – krzyczę. – Oni są jacyś obłąkani!

Klękam, żeby odzyskać swój kapelusz, po czym usiłuję wyjść z tłumy i przyglądać się wszystkiemu z boku. Ci ludzie są nienormalni. Żeby tylko! Zawsze bałam się fanów rave’u, myśląc, że są spoceni i za głośni. To, co tu się wyrabia, jest z pewnością o wiele gorsze.

Stoję z boku. Postanowiłam, że dziś moja rola ograniczy się do obserwatora kultury młodzieżowej. Poza tym czy można coś zanalizować, jeśli się w tym bierze udział? Jestem krytykiem muzyki rockowej, nie jakimś zwierzęciem. Moje miejsce jest z boku. Mam stać i patrzeć.

Koncert wydaje się ciągnąć w nieskończoność. Jestem bardzo zmęczona – już po dwudziestej trzeciej, a o tej porze zwykle leżę w łóżku i słucham programu z udziałem słuchaczy w Beacon Radio. W każdy piątek rozmawiają o siłach nadprzyrodzonych, zawsze jest bardzo interesująco. Jest taka kobieta w Whitmore Reans, u której w przedpokoju zamieszkał duch, a ona co piątek dzwoni, żeby powiedzieć o jego ostatnich wyczynach. „Harry – bo tak ma na imię duch – miał w tym tygodniu focha. Pozrzucał mi ze stołu wszystkie książki telefoniczne”.

Nie znam żadnej z piosenek, które dziś zegrali Smashing Pumpkins. Wprawdzie ukradłam dwadzieścia pensów, żeby zamówić przez bibliotekę album *Gish*, ale nie

dotarł na czas. Na pewno jakiś gość w Brewood wypożyczył go przede mną. Sukinsyn. Można się jednak pokapować, które kawałki są najsztywniejsze, bo gdy zaczynają je grać, tłum ogarnia jeszcze większe szaleństwo. Część osób uprawia crowdsurfing, który, jak dotychczas sądziłam, uprawiało się tylko w Ameryce. Tu, w Birmingham, wygląda to dość dziwnie – jakby nagle wszyscy zaczęli mówić *gasoline* zamiast *petrol* i podniecali się, że idą na Junior Prom.

Mam ochotę powiedzieć im: „To nie wasza kultura! Powinniście tańczyć tak, jak się tańczy do *Tiger Feet* zespołu Mud w *Top of the Pops*! Albo zrobić układ z *Lambeth Walk*! Tak się tańczy na Wyspach!”.

Podczas nudnego wolnego kawałka idę na tyły, żeby zobaczyć, jak się miewa tata. Wygląda na to, że znalazł sobie kompana do picia i jest już mocno zalany.

– To jest Pat – mówi, przedstawiając mnie równie pijanemu mężczyźnie. – Bo ja też jestem Pat! Pat i Pat, za pan brat! On jest protestantem – dodaje pretensjonalnym szeptem – ale już to między sobą załatwiliśmy.

Mówi to w taki sposób, jakby właśnie rozwiązali konflikt z Irlandią Północną – i gdy tylko wyjdą z koncertu, odbędą jedną rozmowę z budki, a między oboma narodami znów zapanuje pokój.

– Jesteś w stanie prowadzić? – pytam.

– Czuję się tak dobrze jak nigdy – odpowiada. Próbuje odstawić szklanekę na kontuar, ale nieco chybi.

– Zanim wyjdziemy, muszę jeszcze iść za kulisy przywitać się z zespołem – mówię.

Nie wiem dlaczego uważam, że powinnam tak zrobić. Może dlatego, że traktuję tę imprezę jak przyjęcie zorganizowane przez Smashing Pumpkins i że byłoby niegrzecznie nie pójść się przedstawić i podziękować za zaproszenie, zanim wyjdę.

Daję tacie mój kapelusz i notes i wracam do przodu na ostatnie dwie piosenki. Chociaż nie bardzo przepadam za Smashing Pumpkins – myślę, że trochę smęca – nie mogę przepuścić takiej okazji, aby w pełni przeżyć swój pierwszy w życiu koncert. Niezręcznie i nieco niechętnie zaczynam robić to, co robią inni. Sztywno podskakuję w miejscu, ostrożnie, jakbym rozgrzewała się przed wuefem.

Do muzyki rockowej potrzeba staników mocno podtrzymujących biust, zauważam, trzymając się za piersi i wytrwale skacząc w górę i w dół. O tym w prasie muzycznej

nigdy nie wspomniano. Tak mało jest wskazówek dla dziewcząt.

W czasie refrenu ludzie stojący z tyłu napierają na mnie, a ja popycham ich; ocieram się o chłopców, co – jak zauważam z uciechą – jest moim największym doświadczeniem seksualnym do tej pory.

W jakichś siedmiu procentach straciłam dziewictwo, myślę sobie, czując na plecach kościany ksylofon żeber jakiegoś chłopaka.

Nie mija dziesięć minut, a ja ociekam odurzającym koktajlem swojego i cudzego potu. Chmury pary unoszą się nad sceną moshingowego szaleństwa, mieszając się z suchym lodem.

Kiedy wreszcie chwiejnym krokiem schodzę z parkietu, wybrzmiewają jeszcze ostatnie akordy. Włosy mam mokre, jakbym wyszła spod prysznic, i ogarnia mnie fascynujące wrażenie częściowego niedosłuchu. Czuję się jak wtedy, gdy w szkole biegłam na przełaj i poczułam dopływ adrenaliny – z tą różnicą, że tutaj nikt nie krzyczy na mnie: „Szybciej, Morrigan!”. Już teraz wiem, dlaczego to się może ludziom podobać.

Zaskakująco łatwo można się dostać za kulisy. Doprawdy, w przyszłości już nigdy więcej nie udało mi się tak łatwo tam przedostać, bez względu na to, ile miałam wejściówek i identyfikatorów. Może dlatego, że ochroniarze w Edwards Number 8 zupełnie nie przywykli do grubych, mokrych, nakręconych adrenaliną dziewczyn, które podchodzą do nich, mówiąc: „Jestem dziennikarką i przyszłam zobaczyć się z zespołem!”, i to bardzo głośno, bo mają uszkodzony słuch.

Jeżeli szesnastoletnie dziewczę w cylindrze – trzymające w ręku postrzępiony notes odnaleziony gdzieś między głośnikami, pijanym ojcem i pijanym przyjacielem jego ojca o imieniu Pat – przedostanie się do garderoby muzyków, można spokojnie przyjąć, że ochrona poważnie nawaliła.

Członkowie zespołu siedzą pochyleni, spoceni i wyczerpani. Atmosfera w pokoju jest napięta – po latach, gdy będę czytać o ich karierze, dowiem się, że mniej więcej w tym czasie gitarzysta James Iha i basistka D’Arcy Wretzky są w trakcie poważnego rozpadu ich związku, perkusista Jimmy Chamberlin zaczyna mieć problemy z narkotykami, co przerodzi się potem w poważne uzależnienie od heroiny, a Billy

Corgan wpada właśnie w depresję – po części spowodowaną faktem, iż jest akurat tak spłukany, że mieszka w garażu.

– Hejka! – mówię, wchodząc do pokoju.

Nie za bardzo wiem, jak się rozmawia z zespołami – nie bardzo umiem rozmawiać z ludźmi – i z jakiegoś powodu zakładam, że można do nich dotrzeć, okazując im „nieco współczucia”. The Pumpkins zdecydowanie wysyłają raczej złe fluidy; podejrzewam, że to dlatego, iż przybyli do Birmingham z Ameryki, kraju wielkich samochodów, *Dynastii* i Elvisa, i właśnie przez to są tacy smutni. Oczywiście wtedy jeszcze nie wiem, że Billy Corgan mieszka w garażu. Zakładam, że wszyscy Amerykanie mają ogromne domy. Nawet w serialu *Roseanne* rodzina bohaterki mieszka w dużym domu z werandą – choć Roseanne pracuje tylko w salonie fryzjerskim, gdzie zamiata włosy.

Siadam obok D’Arcy, ponieważ jest dziewczyną, i robię życzliwą minę.

– To był długi dzień, co? – zagaduję. – Na pewno z chęcią napiłabyś się czegoś. Na przykład herbaty. Naszej angielskiej *brew*. Nie mylić z browcem, czyli piwem. –

D’Arcy patrzy na mnie zdezorientowana. – Wyglądasz na wykończoną – ciągnę. Wygląda na jeszcze bardziej zmieszaną i zrozpaczoną. – Ale daliście czadu! – dodaję pospiesznie. – Byliście niesamowici! Boże! Nigdy wcześniej nie widziałam takiego koncertu! – To akurat prawda. Nigdy nie widziałam takiego koncertu. W ogóle nie widziałam żadnego koncertu. – Jak mija tournée? – pytam. – Sporo wrażeń?

– No wiesz... – mówi z amerykańskim akcentem. Po raz pierwszy słyszę amerykański akcent na żywo. Wcześniej słyszałam go tylko w telewizji. – Fantastycznie, słuchaj, przyjeżdżasz do Europy i spotykasz ludzi, którzy znają twoją muzykę.

Wymawia *Europe* jak „Yuurp”. Ekscytujące. Naprawdę zagranicznie. Lecz wciąż wzrok ma utkwiony w podłodze. Zapada niezręczna cisza. Wszyscy członkowie zespołu mają szkliste oczy – jakby byli na granicy traumy wywołanej zagranym właśnie koncertem. Nie mam pojęcia, co mogłabym jeszcze powiedzieć. Nagle od drzwi dobiega jakiś głos.

– Coś wam powiem. Jesteście małą zwartą załogą! – To mój tata. Mówi bardzo autorytatywnie. Wszyscy zwracają ku niemu swój wzrok. Opiera się o framugę drzwi,

w dłoni wciąż dzierżąc guinnessa. – Małą. Zwartą. Załogą – powtarza. – Masz dobrego perkusistę, bracie – mówi do Billy’ego Corgana, idola muzyki grunge’owej. – Jest w nim coś z jazzmana. A twoja panienka – tu wskazuje na D’Arcy Wretzky, idolkę muzyki grunge’owej – twoja panienka jest w kurewsko dobrej formie.

Wszyscy gapią się na tatę.

– Chłopaki! Chłopaki! – szczebiocze Pat. – Było dobrze, naprawdę dobrze, ale nie znacie jakichś imprezowych kawałków? Na przykład *Protestant Boys*? To jest dopiero piosenka. Zawsze porywa wszystkich na sali. *The Protestant Boys / Are loyal and true / Stout-hearted in battle / And stout-handed too...*

Postanawiam, że czas pójść zrobić w życiu coś nowego. Już chyba wystarczy tego spotkania ze Smashing Pumpkins.

W recenzji piszę o nich w samych superlatywach – po części dlatego, że chcę im zrekompensować to nieoczekiwane spotkanie z moim ojcem i Patem, ale też dlatego, że gdy tylko wrócę do furgonetki i uda mi się z pijanym tatą za kierownicą dojechać do naszego miasteczka, chcę znów tu zawitać i poczuć, jak potęga dźwięków wypełnia moje wnętrze.

Teraz już wiem, jak wyglądają koncerty, i jestem na nie gotowa. Następnym razem przyjadę w samej koszulce, szortach i glanach, dopcham się na sam przód, po cichu, jak zdeterminowany żołnierz, i pozwolę, aby zespół rozwalił mi głowę. Chcę co wieczór chodzić w miejsca takie jak to, poczuć, że coś się dzieje.

Koncert, jak teraz już wiem, to miejsce, gdzie ludzie się zbierają i zgodnie myślą: niech się dzieje, co chce. Słowa można wypowiedzieć, wykrzyzczyć bądź wyśpiewać; ludzie mogą się całować, mogą drinkować. Program obejmuje wspólne oddawanie się radosnemu szaleństwu. Oto spotkania zarządu młodych ludzi, tu właśnie zapadają decyzje o wibracjach.

Dokładne przeciwieństwo tego, co robię w tej chwili – siedzenia i czekania.

Boże, jak ja znowu chcę gdzieś wyjść.

Kiedy w gazecie pojawia się moja recenzja – opatrzona nagłówkiem: „MOSHING PUMPKINS!” – zajmuje pół strony i towarzyszy jej wielkie zdjęcie zespołu. „Właśnie tego wieczoru zaczęła się ogromna popularność Smashing Pumpkins na Wyspach” –

napisałam.

Wszystkie cool dzieciaki ze środkowej Anglii przybyły złożyć hołd nowym Cesarzom Żalosego Grunge'u. To nic, że styl, w jakim śpiewa Billy Corgan, przypomina miauczenie kota na deszczu, który właśnie się zorientował, że klapka w drzwiach się nie otwiera i nie można wejść do środka. Od pierwszych trzeszczących akordów utworu *Siva* twarz każdego dzieciaka na sali mówiła to samo: „Ja też kiedyś czułem się jak kot, który utknął na deszczu, Billy Corgan! Mieszkam w Bilston i muszę czekać 45 minut na autobus numer 79! Dziękuję, że napisałeś piosenkę, która doskonale oddaje to uczucie!”.

Patrzę na recenzję i ogarnia mnie wielka radość. Mogę już teraz zająć całe pół strony. Jestem warta tyle co pół strony. Bardzo fajnie jest oznaczyć postęp swoich umiejętności jako pisarza – jak na tym kawałku ściany w kuchni, na którym co pół roku zaznacza się, jak rośniemy, i powstaje nabazgrana kredkami wielokolorowa tęcza. „Lupin – Halloween 1991”. „Kriss – Gwiazdka 1990”. „DOLLY, pierwsza duża recenzja, «D&ME», 1992”.

Kenny mówi, że jak dojdę do pięćdziesięciu recenzji, będę już na tyle „doświadczona”, by móc przeprowadzić swój pierwszy wywiad.

Do stycznia 1993 roku przeprowadzam dziewiętnaście wywiadów z lokalnymi zespołami.

Dostarczam kopię, upewniając się, czy nie ma błędów. Korzystam ze słownika oraz najlepszych znanych mi słów i zwrotów. Nakładam je na tekst jak berecik, pelerynkę i klejnoty, żeby cieszyły oko i wzbudzały podziw.

W lutym, gdy mój dochód sięga zawrotnej sumy stu funtów tygodniowo, przychodzę do szkoły na jedenastą, siadam przed sekretariatem, słuchając *Jane's Addiction* na walkmanie, i delikatnie stukam palcami w powietrzu, aż wreszcie pojawia się sekretarka.

– Rezygnuję ze szkoły – oznajmiam radosnym tonem, ściągając słuchawki z głowy na szyję, tak że teraz obie słyszymy, jak Perry Farrell wrzeszczy, że „seks jest brutalny!”. – Nie mogę się już dalej kształcić, ponieważ uciekam do cyrku. Sprzedałam

swoją duszę rock'n'rollowi.

– A twoi rodzice o tym wiedzą? – pyta spokojnie sekretarka, jakby już kiedyś to słyszała.

– Jeszcze nie – mówię śmiało. – Ale spoko, oni się zgodzą. – I wręczam jej mój szkolny krawat. – Niech go pani da Timowi Wattsowi z dziesiątej klasy – mówię. – Przyda mu się, bo swój ciągle wkłada do buzi. On chyba nadal żąbkuje. Jeszcze nie przeszedł mutacji. Może mieć jakąś aberrację chromosomową. Aha, a tak przy okazji to Andy Webster uruchomił alarm przeciwpożarowy w zeszłym roku, Annette Kennedy daje się za dwadzieścia pensów obmacywać chłopakom na boisku, a pani Cooke nie radzi sobie na zajęciach z religii – gdy pisze coś na tablicy, Tim Hawley, ten ewangelik z zajęczą wargą, wchodzi na ławkę i odstawia taniec węża. Poza tym Hawley często opuszcza spodnie i pokazuje innym swoje przyrodzenie. Myślę, że jest dosyć zaburzony. No i asymetryczny. Jedno jajco ma dwa razy większe od drugiego. Nie mam pojęcia, czy to normalne, ale wkrótce się dowiem, bo zamierzam zacząć używać życia, póki jeszcze jestem młoda.

Sekretarka wydaje się niewzruszona tym klasycznym cytatem Rizzo z *Grease*, beznamiętnie wkłada krawat do kieszeni i mówi:

– Poinformuję dyrekcję i wyślę list do twoich rodziców.

Wychodzę na przerwę powiedzieć kolegom, że rzucam szkołę.

– Nie gadaj. Ty farciaro – mówi Emma Pagett i wybałusza oczy, zając ziemniaka na patyku. – Jesteś fantastyczna.

Widzę, że po drugiej stronie szkolnego podwórka Krissi patrzy na mnie z dezaprobatą.

Droga do domu zajmuje mi dużo czasu – zatrzymałam się na boisku, gdzie banda trzydziestu dzieciaków wypisywała mi mazakami pożegnalne hasła na koszuli. Na ramieniu mam myszkę, która mówi: „SKANDALISTKA!”, na plecach napis „MADCHESTER SZALEJE”, a na kołnierzyku „WYDUPIAJ STĄD”. Wyglądam jak ściana w ubikacji dla dziewcząt.

Kiedy wchodzę do domu, jest już po osiemnastej. Mama, tata i Krissi siedzą w dużym pokoju. Wyglądają jak wściekły międzygalaktyczny senat tuż przed

wypowiedzeniem wojny podłemu Jedi, czyli mnie.

– W co ty pogrywasz, Johanna? – pyta tata. – Rzuciłaś szkołę?

– Jutro tam wrócisz i powiesz, że popełniłaś błąd – mówi mama.

– Nie mogę. Oddałam im swój krawat. A to jest moja jedyna koszula. – Wskazuję na napis „WYDUPIAJ STĄD” na kołnierzu.

– Możesz siedzieć do nocy i to spierać, a po drodze opowiesz nam, co ty, do cholery, wyprawiasz – mówi mama. – Nie możesz rzucić szkoły.

– Ale przecież do szkoły się chodzi, żeby dostać pracę. A ja już mam pracę – tłumaczę. – To znaczy, jeśli zostanę w szkole, nie będę w stanie jej wykonywać. Koncerty kończą się po dwudziestej trzeciej, w zeszłym tygodniu zasnęłam na lekcji pływania. Unosiłam się na wodzie twarzą w dół, jak to martwe ciało w *Bulwarze Zachodzącego Słońca*, a ludzie rzucali we mnie deskami do pływania. Jestem zmuszona odmawiać i nie biorę niektórych zleceń z powodu jakiejś głupiej matematyki, która w ogóle nie będzie mi potrzebna! Będę tak dobra z angielskiego, że zarobię fortunę. I wtedy zatrudnię sobie księgową! Wszystko już zaplanowałam. Głupia nie jestem.

Jeszcze nigdy nie widziałam mamy tak złej. Jest nawet gorzej niż wtedy, gdy byliśmy młodszy i Krissi włożył na lalkę wielkości dziecka ubranka Lupina. Kiedy mama podjeżdżała pod dom, Krissi wyrzucił lalkę z okna sypialni, krzycząc: „Nie, Lupin, nie!”. Opierdół trwał cały dzień.

Teraz ciągnie się przez tydzień. Tego wieczoru kłócimy się do północy, przy czym ja płaczę histerycznie już od dwudziestej pierwszej.

O siódmej następnego dnia mama budzi mnie, ściągając ze mnie kołdrę.

– Do szkoły!

Ale ja odmawiam pójścia. Dostyc szybko przechodzimy do wrzasków.

– Ponieważ moim narzędziem pracy jest język angielski, nie mam ochoty posługiwać się frazesami w stylu: „Mam już szesnaście lat i teraz to ja decyduję o swoim życiu” – mówię rezolutnie, nie ruszając się. – To by zabrzmiało banalnie. Dlatego zamiast mówić, będę pokazywać. – Naciągam z powrotem kołdrę. – Oto ja nieidąca do szkoły – wyjaśniam, na wypadek gdyby nie załapała, o co chodzi. – Sama decyduję o swoim życiu. Poproś Lupina, żeby zrobił mi kanapkę z kciukiem.



Mamy nie śmiesz to nawiązanie do wcześniejszego przekroczenia norm społecznych. Po dwudziestu minutach wychodzi, a jej miejsce zajmuje tata.

– Jo, musisz zdobyć wykształcenie – mówi, siadając na łóżku. Jego postawa ma charakter bardziej pojednawczy. Delikatny. Niemal... powątpiewający. – No wiesz, zdać te wszystkie egzaminy. Dostać papierek.

– Ale ty tak nie zrobiłeś – odpowiadam. Tata rzucił szkołę w wieku piętnastu lat, żeby wstąpić do zespołu. Znamy te historie na pamięć: koncerty w robotniczych domach kultury, granie w rozbieranym klubach i bazach dla żołnierzy amerykańskich, jedzenie steków i nauka gry w pokera z prostytutkami. I że jeszcze pół roku, a udałoby się – naprawdę by im się udało.

– To prawda, nie zrobiłem.

Przez chwilę nic nie mówimy i oboje w wyobraźni objeżdżamy wzrokiem nasz dom. Dywanik na schodach, postrzępiony i odrywający się na każdym stopniu. Szafki na książki zrobione z cegieł i desek – mebel, który w programie *The Antiques Roadshow* nazywają sekretarzykiem komunalnym. Ciekący prysznic, wózek dziecięcy ze złamanym pałakiem i mysie gówna z tyłu w szafkach kuchennych. Jedno z bliźniąt płacze na dole.

Tata wzdycha. Jego twarz nagle przybiera smutny wyraz. Wstaję i przytulam go. Przyciąga mnie i sadza na kolanie, po raz pierwszy od lat.

– Do końca spieprzysz sobie kolana – mówię, świadoma tego, o ile jestem cięższa od ostatniego razu, gdy to robił.

Kładę głowę na jego ramieniu. Śmierdzi fajkami, szarym mydłem ze smoły węglowej i potem.

– Och, córeczko.

Chcę powiedzieć: „Nie spieprzę tego. Nie spieprzę tego... tak jak ty, tato. Wyciągnęłam wnioski z twoich błędów. Wiem, że mi się uda”.

Ale to by tylko potwierdzało, że tata naprawdę spieprzył sprawę, że mu się nie udało, i jeszcze trudniej byłoby patrzeć na jego twarz.

Więc w zamian mówię tylko:

– Doobra. Puść mnie.

Słyszę, jak wraca na dół i rozmawia z mamą. Słyszę, jak ich szept przechodzi w głośniejszą i bardziej zaciekłą rozmowę, aż wreszcie zamienia się w kłótnię.

– Wiesz, że to bardziej skomplikowane! – krzyczy mama w którymś momencie.

Zakładam słuchawki i włączam *Teenage Whore* Courtney Love. Courtney wyszła z domu w wieku czternastu lat i została striptizerką – i teraz miewa się doskonale. Nie wiem, o co oni się martwią.

Kłótnia między mamą a tatą trwa tydzień. Mama upiera się, że powinnam zostać w szkole i zdać egzaminy, a tata wciąż mówi: „Pozwól jej spróbować, Angie”, na co ona znowu wymachuje mu przed nosem niezapłaconymi rachunkami z komody i marudzi, że „spieprzę sobie życie, zadając się z bandą ćpunów”.

Cały czas siedzę w pokoju i piszę swoje recenzje – na dole pojawia się ostentacyjnie tylko po herbatę, starając się robić wrażenie osoby niewinnej i pokrzywdzonej. W końcu po tygodniu kłótni mama się poddaje:

– Niech będzie, ale na waszą odpowiedzialność. Tylko pamiętajcie, że was ostrzegałam. – Po czym, spoglądając na tatę, dodaje: – Chyba tego do końca nie przemyślałeś. To będzie trudniejsze, niż ci się wydaje. To duże obciążenie dla Johanny.

Przytulam ją, piszcząc ze szczęścia. Potem tulę tatę – jego o wiele dłużej.

– Obiecuję, zrobię wszystko, żeby mi się udało! – mówię. – To będzie z pożytkiem dla nas wszystkich! Będę dokładać się do utrzymania domu! Będzie tak jak w *Małych kobietkach*, kiedy Jo March pisała opowiadania, żeby wybawić Marmee z kłopotów! Albo kiedy Pauline Fossil dostała rolę Alicji w *Alicji w Krainie Czarów* i w *Zaczarowanych baletkach*. Będę wam dawać piętnaście szylingów tygodniowo, na wikt i opierunek! Jeśli tata pójdzie na wojnę, możemy wysłać mu koce i brandy!

– Jedyna walka, do jakiej się zaciągnę, to walka klas – powiada tata. Cytuje swoją ulubioną kwestię filmową: – Twój ojciec chce wystrzelać rodzinę królewską i skuć łańcuchem wszystkich, którzy chodzili do prywatnej szkoły. Jestem idealistą. – Po czym dodaje: – Ale z brandy zdecydowanie byśmy skorzystali.

Wygłąda na to, że tę swoją brandy dostanie szybciej, niżbyśmy się spodziewali. Dzień później dzwoni Kenny i mówi: „Gratulacje, Wilde. W przyszłym tygodniu jedziesz do Dublina na wywiad z Johnem Kite'em”.

## Rozdział jedenasty

Jestem w samolocie. Jestem w samolocie. Jestem w samolocie. Jeszcze nigdy nie leciałam samolotem. Oczywiście Ed Edwards się o tym nie dowie – Ed Edwards, rzecznik prasowy wytwórni muzycznej, z którą legendarny walijski ochlapus John Kite podpisał kontrakt. Nie chcę, żeby się nade mną użalał. Nie chcę, żeby widział, jak wyglądam, kiedy robię coś po raz pierwszy. Nie chcę, żeby ktokolwiek był świadkiem mojej przemiany. Wszelkie transformacje zamierzam przechodzić bez świadków. Publicznie pokażę się, gdy przemiana będzie już zakończona. Wszystko w odpowiednim czasie i miejscu. Poczwarzka zawsze wisi w ciemności.

Byłam zaskoczona tym, jak niewielki opór stawiali moi rodzice na wieść o moich planach samotnej podróży do Irlandii. Mama powiedziała: „Jedziesz sama włączyć się z jakimś zespołem w obcym kraju? Nie jestem pewna, czy mi się ten pomysł podoba. Co to za ludzie?” – pewnie przed oczami miała członków Led Zeppelin w trakcie rozpusty, jak wyrzucają czternastoletnie dziewczęta przez hotelowe okno i wkładają żywe ryby do telewizora.

Ale pokazałam jej wywiady z Johnem Kite'em – w których mówi o dobrobycie, Beatlesach i swoich ulubionych ciasteczkach – a ona tylko prychnęła i powiedziała: „Och, czyli nie jest prawdziwą gwiazdą rocka. Jest tylko muzykiem”. Zabrzmiało to tak, jakby uznała, że muzycy nie mają penisów i dlatego nie są dla mnie żadnym zagrożeniem. Tatę natomiast interesowały głównie bajery: „Załatwili ci ładny hotel? Lecisz pierwszą klasą? I jeszcze taksówką z lotniska? Ach, te wytwórnie płytowe. Są dla nas jak łaskawe matki”.

Kiedy wyliczył sobie, że mój wyjazd do Irlandii musi kosztować firmę fonograficzną Johna Kite'a prawie pięćset funtów, z chęcią pozwolił mi jechać. „Wielkie firmy pokazują ci, jak bardzo cię kochają, przez to, jak dużo na ciebie wydają – stwierdził rozsądnie, paląc papierosa. – Nie wydaliby przecież pół tysiąka, żeby rzucić cię wilkom na pożarcie”.

Oto więc jestem – tylko ja i mój maleńki plecak – na pasie startowym, by za chwilę wyruszyć do innego kraju. Przypominam sobie, uśmiechając się na tę myśl, że w zeszłym tygodniu moja była klasa pojechała na swoją pierwszą wyprawę za granicę: wymiana angielsko-francuska. Emma Pagett została zakwaterowana u rodziny, która umieściła ją na łóżku piętrowym z dwunastolatkiem bez końca powtarzającym „Kenny Everett” „wytwornym” angielskim akcentem, a na śniadanie podali jej ser i salami. W swoim liście z podróży aż kipiała z oburzenia. „Wszyscy poszliśmy do miasta zobaczyć, czy można gdzieś kupić płatki kukurydziane. Tim Hawley aż się popłakał” – zauważyła z satysfakcją.

Ja dla porównania zostałam zakwaterowana w hotelu z basenem i z gwiazdą.

– Bono też został zaproszony i umieszczony na liście gości na dziś wieczór. Bono! – mówi Ed, siedząc w fotelu, jakby to było krzesło w pubie.

Na kolanach trzyma gazetę. Zamierza czytać podczas lotu. Będzie rozwiązywał krzyżówkę. W ramach rozrywki dla znudzonych!

Ja nie będę czytać podczas lotu. Siedzę z twarzą przyklejoną do okna. Kiedy będziemy lecieć, nie ujdzie mej uwadze żaden przebyty metr ani żadna chmurka. Nikt przede mną ani po mnie nie odbędzie tak świadomego lotu.

– Bono! To wspaniale – mówię. – Będzie mógł mnie osobiście za wszystko... przeprosić.

Teraz udaję, że nienawidzę U2 – głównie dlatego, że zauważyłam, iż wszyscy w „D&ME” nienawidzą U2, i podejrzewam, że chyba... przejrżeli ich na wylot.

Potajemnie jednak uważam U2 za jeden z moich ulubionych zespołów. Kiedy słyszę *Who's Gonna Ride Your Wild Horses?*, dostaję spazmów i nie mogę przestać. Przystaję, dopiero gdy wyobrażę sobie, że Bono mnie przytula. Tak bardzo chciałabym, żeby mnie przytulił i odstawił tę „gadkę w stylu Bono” – tak jak wtedy, gdy bierze na bok te rozpalone, młode i oszołomione istotki i pociesza je, i przysięga ich bronić jak dobra wróżka Glinda.

Kiedy Bono do ciebie przemówi, znaczy, że jesteś uratowany. Tak bardzo chciałabym, żeby ktoś mnie uratował. Chciałabym, żeby ktoś dokładnie powiedział mi, co powinnam zrobić. To zgadywanie, ciągłe improwizowanie jest takie wyczerpujące.

– Ma tam być o dwudziestej drugiej, wszystko zaczyna się dość późno, więc

najpierw pójdziemy coś zjeść – ciągnie Ed, wypełniając kratki hasła „dziewięć pionowo”. – A po koncercie masz Johna tylko dla siebie.

Samolot zaczyna kołować wzdłuż pasa startowego. Nie wiedziałam, że one jeżdżą tak szybko. Tak szybko jeszcze nigdy nie jechałam. Już jedziemy zbyt szybko, a wciąż przyspieszamy. Samoloty latają z prędkością dziewięciuset kilometrów na godzinę. Czy to jest dziewięćset kilometrów na godzinę? To nieludzka, potworna prędkość. Jest porywcz. Samoloty, zanim polecą, muszą wpadać we wściekłość. Odpychają się od ziemi i piszcząc, uderzają w chmury. Torujemy sobie drogę przez niebo. Ziemia spada, jakbyśmy ją upuścili. Raz, dwa, trzy i drzewa oraz ulice robią się malutkie. Cztery, pięć, sześć i miasteczka kurczą się do rozmiarów szarego skrawka przyczepionego do autostrady.

– ...nie jest zadowolony z tego artykułu w „NME” – mówi Ed z ufnością. – Napisali tam te rzeczy o jego byłej dziewczynie, które miały nie ujrzeć światła dziennego, no i matka zadzwoniła do niego z płaczem...

Zamknij się, Ed – świat pod nami zamienił się w mapę. Prawdziwą mapę! Lasy wyglądają jak na znaku „lasy liściaste” urzędu kartograficznego. Jakby je narysowano! Kto by pomyślał! Kto by pomyślał, że można cały świat zmieścić na papierze! Malarze mieli rację! To takie uspokajające!

– ...a jak przyjechaliśmy do MTV, to jedynym bagażem, jaki miał, była reklamówka, w której trzymał słuchawki, paszport i butelkę miodu pitnego ze sklepu wolnocłowego. Miód pitny! Kto pije miód? – Ed chichocze rozbawiony. – John to wariat.

Za oknami robi się bladoszaro. Wlecieliśmy w chmury. Chmury deszczowe są brudne i mokre – gdy spoglądasz na nie przez okno, masz wrażenie, że na chwilę straciłeś wzrok. Wnętrze chmury deszczowej jest jak pęcherzyk nocy. A potem samolot pnie się wyżej – nosem rozdzierając chmury – i nagle gwałtownie wpada w jasność, olśniewającą słoneczną jasność.

I tak jak dwa lata temu przeszła przeze mnie pierwsza fala adrenaliny i lęku, teraz doznaję kompletnie przeciwnego uczucia.

Siedząc na miejscu 14A, w słońcu, unoszę się na fali przypływu rozkoszy, której z niczym nie da się porównać. Doznaję euforii spowodowanej jednym zdumiewającym faktem: ponad chmurami zawsze świeci słońce. Zawsze. Każdego dnia na ziemi –

każdego dnia, jaki do tej pory przeżyłam – gdzieś tam potajemnie świeciło słońce. Mimo wszystko. Bez względu na to, jak gównianie i deszczowo było w Wolverhampton, w te dni, gdy chmury wisiały tak nisko jak ciemne, ciężkie wieko – tam u góry zawsze było słonecznie.

Czuję się, jakbym z prędkością dziewięciuset kilometrów na godzinę zderzyła się z najpiękniejszą metaforą mojego życia: jeśli polecisz wystarczająco wysoko, jeśli przedostaniesz się ponad chmury, dotrzesz tam, gdzie lato nigdy się nie kończy.

Postanawiam sobie, że przez resztę życia co najmniej raz dziennie będę sobie o tym przypominać. To chyba najweselsza myśl, jaka kiedykolwiek pojawiła się w mojej głowie. Kiedy wreszcie lądujemy w Dublinie, gdy idę na spotkanie z Johnem Kite'em, jestem w zasadzie pijana niebem.

John. Nie był to chłopak ani wysoki, ani przystojny. Kragły jak beczka, ubrany w sfatygowany brązowy, własnoręcznie cerowany garnitur. Twarz miał lekko podniszczoną, włosy koloru nijakiego, a ręce trzęsły mu się za bardzo jak na dwudziestoczterolatka – choć, jak później to ujął, licząc w psich latach, jego wątroba miała już sześćdziesiąt osiem. Lecz kiedy zawiął wiatr, dawało się dostrzec bicie jego serca pod koszulą, a gdy rozmowa nabierała tempa, słychać było, jak jego umysł tyka głośno jak zegar. Miał umysł jasny jak światło latarni nad pubem w listopadową noc – sprawiał, że chciało się tam wejść i już na zawsze zostać. Chciało się być w jego towarzystwie. Bo było to dobre towarzystwo. Jedyne towarzystwo dla mnie, o czym wkrótce miałam się przekonać.

Kiedy ujrzałam go po raz pierwszy, stał przy barze w jakiejś knajpce niedaleko Temple Bar, kłócąc się z gościem, który przechwalał się, że wypala osiemdziesiąt papierosów dziennie.

– A po chuj to liczyć? – spytał Kite, rozpinając mankiety.

Każdego papierosa palił ceremonialnie – jakby żaden z nich nie był dostępny w pierwszym lepszym sklepie, pakowany w paczki po dwadzieścia sztuk, lecz był ręcznie wyrabiany i zawierał niewielkie ilości złota.

Wszedł do pubu – spóźniony ponad godzinę – jak sędzia na salę rozpraw. Było to oczywiście miejsce, gdzie trzeba wykonać robotę – ale był to też teatr ludzkiego serca,

w którym wszystko mogło się zdarzyć i wszystko mogło wyjść na jaw, jeśli tylko czas na to pozwoli.

Wciąż kłócił się z tym gościem: „Śmierdzisz mi, jakbyś palił mniej niż pięćdziesiąt dziennie, mój przyjacielu. Jak na nałogowca jesteś prawie bezzapachowy”, kiedy Ed podszedł do niego i dotknął jego łokcia.

– John – powiedział. – Jest tutaj ktoś z magazynu „D&ME”!

– Dobrze – odparł John i skinął głową w moją stronę.

– To jest Dolly – przedstawił mnie Ed.

– Witaj, księżno. – Odwrócił się, spojrzał w moją stronę i od razu okazał mi pełne zainteresowanie. Zapalono wszystkie światła: jakby ktoś podłączył do prądu wurlitzera. Parkiet zapełnił się tancerzami. – Miło cię poznać, Dolly. Potraktujemy się dzinem?

John promieniował uśmiechem – szczerym. Gdy się uśmiechał, wyglądał, jakby całe życie nie pragnął niczego innego, niż tylko siedzieć ze mną przy tym stole, palić, rozmawiać i patrzeć na przechodniów za oknem.

Uśmiechnął się, gdy powiedziałam, że napiję się tylko coli.

– Ale dziękuję – dodałam.

I zaśmiał się, gdy powiedziałam, że nie palę.

– Podziwiam cię, Dolly. – A mówiąc to, zapalił papierosa. – Podziwiam cię, jesteś kurewsko mądra. Chodzi o to, że kiedy zaczynasz palić, wydaje ci się, że kupiłaś sobie fajnego małego smoka. I myślisz sobie, że uczyniłaś z tego bajkowego potwora swoją zabawkę, która robi wrażenie na każdym, kto ją zobaczy. A potem, dwadzieścia lat później, budzisz się z płucami pełnymi popiołu i innego gówna, łóżko płonie, a ty orientujesz się, że smok urósł – i spalił ci, kurwa, dom.

Na dowód tego zakasłał jak wielki włochaty mężczyzna. Po czym stuknął w moją szklankę coli swoją szklanką dzinu, uśmiechając się tak promiennie, że jego oczy ułożyły się w dwie radosne kreski. I zaczęliśmy ze sobą rozmawiać, a rozmowie tej nie było końca. Gadaliśmy o rodzinie, obłędzie, *Pogromcach duchów* i naszych ulubionych drzewach („Ogólnie rzecz ujmując, nigdy nie spotkałem drzewa, które by mi się nie podobało – no może z wyjątkiem lipy, która jest zatwardziałą pizdą”). O Larkinie, Tolstoj i psach. I o tym, czy „przedpoście” jest lepszym słowem bądź wyrażeniem niż

„miesiąc sydereyczny”, i o osiedlach komunalnych, o tym, jak to jest pojechać pierwszy raz do Londynu i wstydzić się swoich butów („Chociaż już nie – powiedział, kładąc nogi na stół. – Półbuty ręcznej roboty. Za dwadzieścia funtów w Oxfamie. Uwierają, tylko gdy się w nich chodzi. Ale zobacz, jak pięknie błyszczą. Przyszwa zrobiona jest z cielej skóry, a tutaj takie niby zapięcie – i derby”).

Przez te dwadzieścia minut – a potem jeszcze przez następne dwadzieścia lat mojego życia – poczułam coś bardzo ważnego: że wszystko, czego pragnę, to być blisko Johna Kite’a. Że wszystko da się teraz łatwo podzielić na dwie kategorie: to, co związane z Johnem Kite’em, i to, co się z nim nie wiąże. I że chętnie zrezygnuję z wszystkiego z drugiej kategorii na rzecz tej pierwszej.

Poznałam dobrego chłopca, który potrafił rozmawiać, i co jakiś czas spoglądałam na nas odbitych w lustrze, oświetlonych złotym światłem barowych lamp, gdy za oknem unosiła się połyskująca mgła, i było to najpiękniejsze zdjęcie, którego mi nigdy nie zrobiono. Wyglądaliśmy razem na tak szczęśliwych.

John Kite był pierwszą osobą, jaką poznałam, przy której czułam się normalna. Kiedy zaczynałam za dużo gadać, John nie odchodził ode mnie, mówiąc: „Jesteś jakaś dziwna” albo „Zamknij gębę”, lecz właśnie wtedy rozmowa zaczynała się rozkręcać. Im większe niedorzeczności opowiadałam, im bardziej zaskakujące rzeczy wyznawałam, tym mocniej ryczał ze śmiechu albo walił ręką w stół, wołając: „Właśnie tak, tak jest, ty skandalistko!”.

Opowiedziałam mu o tym, jak chciałam ocalić świat, że chciałam być szlachetna. Oraz jak pobyt w redakcji „D&ME” spowodował, że poczułam się jak dziwoląg i gówniara w jednym. Opowiedziałam o kapeluszu na koncercie Smashing Pumpkins, o tym, jak mój ojciec i Pat pijani jak bela zjawili się za kulisami – a John walił ręką w stół, płacząc ze śmiechu.

Ośmielona jego reakcją wyznałam, że podobał mi się Gonzo z *Muppetów*, a on wziął to na poważnie i odrzekł:

– No to, koleżanko, spodobały ci się Serge Gainsbourg. Kojarzysz gościa? Wygląda dokładnie jak Gonzo. Zupełnie podobnie. Śmiem twierdzić, że Gonzo jest właśnie na nim wzorowany. Och, ty i Serge jesteście sobie pisani! Wyślę ci jego płytę, jak tylko wrócę do domu! A jeśli o mnie chodzi, to zawsze podejrzewałam, że Mary



Poppins miała kosmate myśli.

– To najszczęśliwszy moment twojego życia – powiedziałam do odbicia w lustrze w bogato zdobionej wiktoriańskiej łazience dwie godziny później. Odbywałam właśnie małą dziewczęcą pogawędkę sama ze sobą, zasięgając dodatkowej opinii. Goose czy Maverick? – Znalazłaś przyjaciela! Właśnie się zaprzyjaźniasz! Spójrz na swoją twarz w trakcie nawiązywania przyjaźni! Wykluwa się z ciebie przywiązanie! Bo chodzi o to, że John Kite jest – najważniejsze, że John Kite jest...

Drzwi otworzyły się i wyjrzała z nich głowa Johna Kite'a – włosy lekko zmoczone dżinem, przyklejone do czoła, w ręku papieros.

– Królowo, nastawiłem Guns N' Roses w szafie grającej. Wyobraź sobie, że mieli czelność opróżnić naszą popielniczkę. A ty nie trać już więcej czasu na sikanie. Jest już czwarta po południu.

Zanim zrobiło się wpół do szóstej, postanowiliśmy przejść w inne miejsce – jakiś gość w zniszczonym kapeluszu, sprawiający wrażenie, jakby zgubił świnię, którą niedawno trzymał pod pachą, poinformował nas, że w pubie o nazwie Doran's leją najlepsze whisky w Dublinie.

Nie dotarliśmy do tego pubu – wędrowaliśmy ulicami, podekscytowani widokiem opadającej mgły, podekscytowani tym, że w jednej chwili coś się z niej wyłaniało, by za sekundę znowu zniknąć. Wszystko przypominało atmosferę *Po drugiej stronie lustra* – nie zdziwiłabym się, gdyby wielka, ospała wieża albo owca robiąca na drutach zjawiała się, a potem zdematerializowała na tym niewidzialnym taśmociągu, wzdłuż którego idziemy.

W pewnej chwili, idąc, prawie weszliśmy do rzeki Liffey – pojawiła się przed nami tak niespodziewanie. Usiedliśmy na chłodnym kamieniu przy brzegu i patrzyliśmy na niewyraźne, jasne kontury budynków po drugiej stronie.

O ósmej, gdy zapadła delikatna ciemność, John spojrzał na mnie; grzywka w kolorze mysi blond wchodziła mu do oczu. „Królowo, to jest to jedno z tych wspaniałych popołudni, kiedy zawiera się przyjaźnie na całe życie, prawda? Wydaje się, że mamy ze sobą... wiele wspólnego”.

\* \* \*

Przyszliśmy na koncert z godzinnym opóźnieniem. Kite pojawił się w drzwiach w swoim sztucznym futrze jak jakiś boski zalany alfons rodem z Walii. Trzymałam go za rękę, gromadząc zazdrosne spojrzenia, aż zrobiła się z nich dość pokaźna kolekcja. W garderobie Ed próbował podać Johnowi czarną kawę, ale John dalej spokojnie popijał whisky, jednocześnie opędzając się od Eda jak od ćmy. Ja tymczasem rozejrzałam się dookoła i pomyślałam sobie: jestem kulisami! Nie za kulisami, ale kulisami. Kulisy to ja. Już nie jestem widownią. Jestem z zespołem.

Spojrzałam na „zespół”. Próbował zdjąć swój wełniany krawat, ale było mu trudno.

– Na występ chcę założyć muszkę – powiedział John stanowczym tonem – bo wierzę, że do śpiewania piosenek o złamanym sercu trzeba mieć strój nieco bardziej oficjalny. Autorytet daje poczucie komfortu szlochającym.

Sala wypełniła się po brzegi – wszędzie głośno i gorąco, ludzie trochę źli na pozostałych, że też lubią tego piosenkarza, który miał być przecież pilnie strzeżoną tajemnicą – i nie było miejsca, gdzie mogłabym stanąć i oglądać występ.

– Siądziesz tutaj – rzekł Kite, teatralnym gestem wskazując krawędź sceny, gdy czekaliśmy za kulisami.

– Nie ma mowy – odparłam, ale on wziął mnie za rękę i razem weszliśmy na scenę.

Huragan braw wypełnił całą salę i miałam wrażenie, że staje się widoczny. Pojawiając się na samym środku, w białym świetle rzuconym w twarz, poczułam się, jakbym otworzyła drzwi i ujrzała czekające w progu białe klify w Dover – piętrzące się od parteru po balkon, loże i galerie. Potężne białe klify w Dover stały cierpliwie nad nami.

– Poznajcie księżną. Jest z zespołem – powiedział, wskazując na mnie. Pomachałam publiczności, usiadłam na samym brzegu sceny i skoncentrowałam się na podziwianiu Kite’a, jak przystało na profesjonalistkę. – A zespół to ja – ciągnął Kite. – Dotarły do mnie wiarygodne informacje z „Melody Maker”, że dziś złamię co wrażliwsze serca, więc włóżcie odzież ochronną.

Siedziałam na scenie i przepłakałam cały koncert. Musiałam wyglądać jak jakaś artystyczna instalacja Płacząca Dziewczyna Poruszona Smutnymi Piosenkami. Próbowałam się powstrzymać, ale przy drugiej piosence było już po mnie. Piosenki

Johna miały w sobie coś kruchego, przerażającego, coś, co już kiedyś czułam, gdy siedząc sama w nocy, lękałam się przyszłości.

Zaczął się od utworu o załamaniu nerwowym jego matki, *Subject to Melody*, w którym śpiewał: „Biedny chłopiec, całkiem sam / W domu, co w płomieniach stał / Decydować miał, kto z niego wyjdzie ostatni”. A gdy krótkie białe palce Johna zagrały *We are the Cavalry* – „Przypominasz mi plac ukrzyżowanych świętych / Dobroć jest raną / A w godzinie zamknięcia / Zmywamy krew / Włosami moczonymi w winie” – głuły spływały mi do ust i musiałam je zjadać, cicho drząc.

W pewnym momencie spojrzał na mnie i zobaczył, że szlocham; wydawało się, że był tym przez chwilę poruszony. Myślałam, że zaraz przestanie śpiewać. I wtedy posłałam mu śmiały uśmiech, a on odwdzieczył mi się tym samym – uśmiechem tak radosnym jak te, które posyłał mi w pubie – i wrócił do śpiewania smutnego, bardzo smutnego refrenu.

I właśnie w tamtej chwili poczułam, że kocham tego brzydkiego, ordynarnego, gadatliwego faceta w futrze, który po dniu spędzonym na włóczędze po mieście w poszukiwaniu jasnych światła i śmiechu wieczorem wchodzi na scenę, grubymi, niezdarnymi palcami odpina dwa guziki kamizelki i odsłania swoje serce.

Po koncercie John został jeszcze na zapleczu, żeby wypić trzy drinki – które, jak na Johna Kite’a przystało, wchłonął jak gąbka w niecałe dziesięć minut – po czym, lekceważąc wszystkich, radosnym tonem oznajmił: „Muszę lecieć. Księżna będzie mnie teraz maglować” i zabrał mnie do hotelu na wywiad.

Miałam tylko jedną kasetę, dziewięćdziesiątkę do nagrywania, bo przez myśl by mi nie przeszło, że przegadam z nim pięć godzin, od północy do piątej nad ranem. Wypił na tyle dużo, że gęba mu się nie zamykała, a mnie w zasadzie gęba nie zamyka się nigdy.

Opowiedział mi o swojej matce, którą wzięli do szpitala psychiatrycznego, gdy miał dziewięć lat, o ojcu pijaku i o tym, jak został sam z trojgiem młodszego rodzeństwa pod opieką. I o tym, jak wkładał płaszcz matki, sadzał na kolanach swych małych braci i tulił ich, by mogli poczuć ten płaszcz i myśleli, że to ona.

– Czytałem, że tak się robi ze szczeniętami – wyjaśnił. – A oni, księżno, wyglądali jak takie małe szczeniaki. Szczeniaki porzucone w kartonie pod mostem.

I o tym, że byli tak biedni, że kradli drewno z miejskiego ogniska przygotowanego na Bonfire Night i wkładali to drewno do wózka, sadzając na nim dziecko. O tym, jak odwiedzał matkę w szpitalu i było mu tak smutno, czuł się taki mały, a jednocześnie stary. A ona nigdy go nie przytuliła ani nawet nie dotknęła. Nie mogła zdobyć się na żaden fizyczny kontakt i tylko na koniec wizyty całowała opuszki swoich palców, przystawiała je do ust i mówiła: „A to dla Johna na do widzenia”.

Ja z kolei opowiedziałam mu o swojej rodzinie – o tacie pijaku i naszym ponurym osiedlu. O tym, jak doprowadziłam nasz dom do nieuchronnie zbliżającej się ruiny i że teraz stoję na głowie, by jej uniknąć. Jak mama zamieniła się we wściekłego ducha, któremu nie podoba się moje nowe oblicze. Że mama uważała, iż Dolly Wilde to wcale nie jestem prawdziwa ja.

– Boże, inni zawsze wiedzą lepiej, jaka jesteś naprawdę – rzekł z lekceważącą pogardą – jakby to było jakieś odrażające hobby, jak taniec moreska albo koci onanizm. – Zapalił papierosa i dodał: – Ludzie potrafią być kurewsko nudni. –

Gadaliśmy aż do świtu, a potem John wyłożył poduszkami wannę w łazience przy pokoju, żebym mogła się przespać. – Posłanie jak w piosence *Norwegian Wood*, kochanie – powiedział, gdy ładowałam się do wanny. Kiedy się już w niej znalazłam, a było tam niespodziewanie miękko i przytulnie jak w skorupce jajka, Kite podszedł i nakrył mnie swym futrem. Biała wanna pełna futra. – Mamy jeszcze czas? – spytał z nadzieją w głosie, siadając na brzegu.

– John, jest piąta nad ranem.

– No to możemy rozmawiać dalej – powiedział po namyśle.

Zabrzmi banalnie, jeśli powiem, że cały czas się śmialiśmy. On leżał w swoim łóżku, opowiadając różne historie, potem milknął – może zasypiał? – potem chichotał, a potem ja chichotałam, a on mówił: „Odłóż słuchawkę”. A ja na to: „Nie, to ty odłóż słuchawkę”.

W pewnej chwili wszedł chwiejnym krokiem do łazienki, żeby się odlać – metr od miejsca, w którym leżałam – głośno pozbywając się whisky, guinnessa i dzinu.

– Odłóż słuchawkę – powiedział.

– Nie, ty odłóż słuchawkę.

– Kocham cię, mała.

Spuścił wodę i wrócił do łóżka.

Byliśmy jak dwoje dzieciaków na wakacjach pod namiotem.

Najpierw taksówka, potem lotnisko. Samolot. Cień, jaki rzuca na Morze Irlandzkie, przypomina wieloryba. Z uciechą patrzę, jak śledzi nas aż do Anglii. Potem Heathrow i metrem do Piccadilly. Przesiadka na linię Victoria i pociągiem do Wolverhampton.

Autobus linii 512. Spadłam z nieba na autobus numer 512. Moje ubrania wciąż pachną Irlandią, ale już wróciłam na Penn Road. Ulico z monstrualnymi, splątanymi drzewami! Witam cię!

Mój plecak leży na siedzeniu obok, ciężki od trzech popielniczek, które ukradłam za namową Kite'a. Dwie z pubu, a jedną z hotelu.

Na tę hotelową nalegał najbardziej. Obudziłam się o dziewiątej i zastałam go siedzącego przy stole pod oknem. Wokół resztki śniadania.

– Nie było kwiatów na tacy ze śniadaniem – wyjaśnił zirytowany. – Ani jednego goździka. Żadnej róży! To wymusza na mnie dodatkowy, czasochłonny zakup czegoś do butonierki. – Wskazał na pustą klapę marynarki, w której zwykle był jakiś kwiatek. – Muszę wyrazić swoje niezadowolenie. – I teatralnym gestem włożył popielniczkę do mojego plecaka. A potem dodał miniaturowe butelki szamponu, emulsji i mydła. Chciał włożyć jeszcze ręcznik, ale powstrzymał się. – To jest negatywna opinia klienta dla menedżera hotelu – powiedział, opróżniając zawartość minibaru i przekładając ją do bocznych kieszonek plecaka.

Autobusem mocno trzęsie, gdy jedzie się Penn Road, co utrudnia mi utrzymanie w ręku szklanki guinnessa.

Guinness to moja wielka pamiątka z Dublina.

Dziś rano o dziesiątej, w drodze na dublińskie lotnisko, poprosiłam Eda Edwardsa, by zatrzymał taksówkę przed pubem. Wbiegłam do środka i kupiłam dużego guinnessa, po czym, zdobywszy się na legendarność, poprosiłam barmana, żeby zapakował mi go na prezent, bo muszę dowieźć wszystko do Anglii.

Ustaliliśmy, że ja włożę na górę podkładkę pod szklankę jako wieczko, a on owinie całość folią samoprzylepną z kuchni. Kolejne siedem i pół godziny spędziłam, delikatnie trzymając tę lepka, brązową mumię, wioząc ją z lotniska w Dublinie aż do

Wolverhampton.

Zrobiłam to, bo odkąd pamiętam, mój ojciec co jakiś czas rozprawiał o wielce niezadowolającej jakości guinnessa w Wielkiej Brytanii. „Dobrego guinnessa, z lekką kremową pianką, robią jedynie w Dublinie – powiadał. – Tam jest inna woda. Dałbym sobie jaja uciąć za kufel dobrego guinnessa”.

Wiozę więc ten kufel dla niego – prawdziwe irlandzkie piwo z Irlandii. Ten kufel leciał po niebie, ponad morzem. Wreszcie kupiłam mojemu staruszkowi szklanekę dobrego guinnessa.

Gdy z piwem w ręce wchodzę do domu, dzieciaki rzucają się na mnie, jedno już prawie płacze. Wręczam tacie prezent i mówię, żeby wziął łyka.

Zdziera folię, spoglądając na mnie zdziwiony, i próbuje.

– Chryste. Ale zwietrzałe – mówi.

Godzinę później idę na górę do swojego pokoju i na cały regulator włączam *Forestry*, album Johna. Słuchając, przypominam sobie, jak wyglądał, kiedy opowiadałam mu o swoich wrażeniach z pierwszej podróży samolotem. „O, kochana! Żałuję, że nie widziałem, kurwa, twojej twarzy! Pewnie ci się podobało, ty pojebana zaradna dziwko! Założę się, że eksplodowałaś!”.

Lubiłam opowiadać Johnowi o swoich pierwszych razach. Chyba podobała mu się ta moja niewinność. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym powiedzieć to komukolwiek innemu. Mój brak doświadczenia dla wszystkich był kulą u nogi. John Kite jest pierwszą osobą, przy której nie czuję się dziwaczką. Zaczynam sporządzać listę rzeczy, o których chcę mu opowiedzieć, bo nikomu innemu nie mogę. Lista ma mocny nagłówek: „Kolejne pięćdziesiąt rozmów z Johnem Kite’em”.

W bibliotece ukradkiem wydzieram zdjęcia Johna z „Melody Maker”, „D&ME”, „NME”, „Select” i „Sounds”, a potem przyklejam je do ściany obok Manic Street Preachers, Bretta Andersona z Bernardem Butlerem i Kurta Cobaina w sukience. Mój dziennik adresuję odtąd do Johna, przestaję pisać do Gilberta Blythe’a. Kładę trzy popielniczki na biurko i wpatruję się w nie.

Gdybym paliła, mogłabym korzystać z popielniczek Johna – to prawie jakbyśmy palili razem. Może powinnam zacząć palić. Może to właśnie należałoby zrobić.

Cztery dni później dostaję list. Podłużna kremowa koperta z moim adresem nabazgranym zawijasami szarym długopisem, a w środku kaseta podpisana tym samym kolorem: „Gonzo Gainsbourg”. Nigdy wcześniej nie widziałam szarego długopisu. Kto, do cholery, wie, gdzie można dostać szary długopis? Wkładam kasetę do magnetofonu i wciskam *play*, jednocześnie czytając liścik.

Zaczyna się od słów: „Cześć, Królowo” – dwóch najlepszych słów, jakie kiedykolwiek przeczytałam. Mój pierwszy i jedyny chrzest. „Cześć, Królowo”.

Pomyślałem, że może chciałabyś wiedzieć, że zakończyłem nasze świętochlanie na leżaku przy hotelowym basenie o jedenastej rano, wciąż w tym samym wielkim futrzanym płaszczu. Pomyślałem, że pójdę się zamoczyć dla otrzeźwienia, a potem poleżę trochę i może nawiedzi mnie któraś z tych twoich zastrzeżonych „głębokich myśli”. Gdy się obudziłem, wokół mnie stały jakieś dzieciaki w strojach kąpielowych i kąpielówkach, a ich matka z tyłu krzyczała: „Zostawcie tego pana w spokoju! Trzymajcie się od niego z daleka!”.

Nikt wcześniej nie nazwał mnie panem – poczułem się taki dumny i poważny. To mogło być moje przejście w dorosłość.

Miło było Cię poznać, Księżniczko – do zobaczenia wkrótce. Spotkajmy się niedługo, dobrze? Nie chcę czekać kolejne dwadzieścia cztery lata, żeby znów Cię spotkać. Idę się przejść. Od trzech dni nie wychodziłem z domu.

Z wyrazami miłości

Zespół

Kaseta, którą John dla mnie przegrał, to album *Melody Nelson Gainsbourga*. Brzmi niesamowicie i nieznośnie seksualnie. Mrocznie i zaskakująco. Jak przyszłość, której jednocześnie się boję i do której biegnę. Treść listu i muzyka wdzierają się w mój dziecięcy umysł i nagle wybucham płaczem.

Płaczę chyba z pół godziny – a płacz przypomina deszcz: nagły, gwałtowny, taki, który przychodzi bez zapowiedzi, lecz kończy się feerią tęcz, wdzięcznym śpiewem kosów lądujących na mokrych trawnikach. Płacz, który przynosi ulgę.

Bezwiednie przyciągam list do twarzy i sprawdzam, czy nie ma na nim śladów

zapachu rąk Johna – rąk, które tworzą muzykę. Palców, które pociągają za struny jego gitary. Nie wiem czemu, ale widok jego dłoni chwytą mnie za serce.

O Boże, dziękuję ci, dziękuję, dziękuję, mówię do siebie w myślach. A więc nie umrę, nie otrzymawszy nigdy żadnego listu. Dostaję korespondencję. Ktoś do mnie pisze. Mam przyjaciół w branży muzycznej. Mogę wyjść do świata i poznawać nowych ludzi. Udało się. Jestem z Zespołem.



## Rozdział dwunasty

Kilka następnych tygodni należy do najgorszych w moim życiu, ponieważ odkrywam coś niesamowitego. A mianowicie, że ludzie to nie tylko ludzie, ale także miejsca – cały świat. Czasami znajdujesz kogoś, w kim mógłbyś mieszkać przez resztę życia.

John Kite jest dla mnie jak Narnia. Przedarłam się przez jego futro do kraju, gdzie jestem Księżniczką, Wielką Gadułą z Ker-Paravel. W kraju o nazwie John Kite ludzie chodzą po ulicach, tuląc świnie, a my wkraczamy na scenę w blasku świateł, trzymając się za ręce. Ja natomiast latam nad małutkimi mapami do wielkich lądów i sypiam w wannie, nie przestając rozmawiać. Chcę na zawsze pozostać obywatelem Johna Kite'a, chcę się tam natychmiast przeprowadzić. Wiem, że jest najbardziej niesamowitą osobą na świecie. Wokół niego zawsze coś się dzieje.

– Już nie mogę tu dłużej mieszkać – ze smutkiem zwierzam się psu. Wdrapałam się na dach szopy, namawiając Biankę, by mi towarzyszyła. – Nie mogę tu dłużej zostać – ciągnę. – Nie potrafię. Dom jest za mały, nic się nie dzieje. Tutaj nigdy nie będę miała więcej niż dwanaście lat.

Ponieważ leciałam samolotem i widziałam, jak domy nagle zaczynają przypominać pudełka od zapalek, mam wrażenie, że całe Wolverhampton się skurczyło. Jestem jak Alicja w Krainie Czarów, kiedy staje się większa, a potem maleje i znów rośnie. Zmieniła mi się perspektywa. Wciąż mam dziesięć tysięcy metrów wzrostu. Nie mieszczę się w maleńkich drzwiach. Śni mi się, że wstaję i stąпам po domach, płaszcząc je, a potem uciekam. Muszę uciec do Londynu, gdzie mieszka John Kite, gdzie zostanę Księżną i będę pomieszkiwać w przeróżnych barach.

Ale nie mogę. Co gorsze, choć wiem, czego chcę – być nie dalej niż pięć metrów od Johna Kite'a przez resztę mojego życia – nie mogę tego mieć. Odkąd wysłałam Kenny'emu artykuł o Johnie, nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że nasza współpraca zupełnie przygasła. Przez telefon Kenny rozmawia ze mną w trochę dziwny sposób.

– Podoba ci się tekst? – pytam.

– Cóż, nie mamy wątpliwości, jaki jest twój stosunek do tego mężczyzny – mówi Kenny i zmienia temat.

Idę do kiosku i patrzę: jest mój artykuł. Na osiemnastej stronie! Na jedynce zapowiedź, w której Kenny opisuje mój wieczór z Johnem: „Dolly Wilde leci do Dublina, nabija rachunek w barze na dwieście siedemnaście funtów, ląduje w wannie Johna Kite’a i wyjaśnia, dlaczego Kite jest teraz «ważniejszy od Beatlesów» [Czyżby? – red.]”.

W tekście starałam się opowiedzieć, jak to jest być tak blisko muzyki – trzymać ją za rękę, stać obok niej na scenie, rozmawiać z nią i słyszeć, jak idzie do toalety. Pisząc, miałam jeden cel: sprawić, żeby każdy, kto ten artykuł przeczyta, chciał kupić płytę Johna Kite’a. Nazywam go „sprośnym, wojującym aniołem”, „niegrzecznym chłopcem z chóru kościelnego” oraz „bijącym, krwawiącym sercem w podartym garniturze”. Po każdym z tych epitetów Kenny dopowiada: „[No ładnie, ładnie, proszę pani – red.]” albo „[O rety! – red.]”, co trochę mnie niepokoi.

Kenny nie dodał jednak ani słowa po akapicie, w którym opisuję twarz Johna podczas koncertu, gdy śpiewa – jak mokra grzywka wchodzi mu do oczu i jak swoją postawą mówi, że zaśpiewa tę piosenkę dla ciebie, a potem wyskoczy za burtę i popłynie do Paryża, żeby zacząć tam nowe życie, bo jest mu głupio, że był tak szczery i prawdziwy. Może nie jest tak źle z tym tekstem.

Artykuł o Johnie to mój pierwszy list miłosny. Tyle że wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy, choć może powinnam się była zorientować po tym przestylizowanym, na wpół histerycznym tonie. Albo – mówiąc bardziej prozaicznie – po tym fragmencie, w którym napisałam: „Jestem zakochana w Johnie Kicie. To znaczy w jego muzyce”.

Myślałam, że to, co piszę, jest subtelne i wyważone. Równie dobrze mogłam jednak powtórzyć dwa i pół tysiąca razy to samo zdanie: JESTEM PO USZY ZADURZONA W JOHNI KICIE.

Po ukazaniu się artykułu Kenny przestaje do mnie dzwonić z ofertą pracy. Zapada złowieszczą cisza. Nie ma już wyjazdów do Londynu, bez względu na to, jak często się do niego odzywam.

Może nie powinnam rzucać szkoły, tylko zaliczyć egzaminy końcowe i pogodzić się z tym, że Craig Miller, który wcale nie ma żadnego zespołu, zrobi mi palcówę. Może

jednak popełniłam błąd.

Pierwsze dwa tygodnie mijają nie najgorzej. John jest w trasie koncertowej po Stanach Zjednoczonych, a ja, otoczona prasą muzyczną, leżę na łóżku i czytam recenzje z takim przejęciem, jakby to były listy od syna walczącego na froncie.

– Co tam u niego słyhać? – pytam czule i otwieram gazetę na stronie, gdzie piszą o jego koncercie w Nowym Jorku. Podobno „oczarował tłum swoimi chaotycznymi żarcikami między utworami”, a utwory te „były nie tyle zapowiedzią (nie)przebojów, ile występem Withnaila śpiewającego o nieszczęśliwej miłości”.

Wiem, jaki z niego zabawny człowiek, jest moim przyjacielem, myślę. Bywał zabawny tylko dla mnie. Słyszałam żarty, których nie słyszał nikt inny. Widziałam, jak się odlewał. Nikt z nich nie widział, jak John się odlewa.

Tydzień później pojawia się kolejny artykuł, autorstwa Roba Granta, dziennikarza towarzyszącego Kite’owi w tournée po Stanach. I właśnie wtedy, w trzecim tygodniu anno Domini nostri Kite, wszystko zaczęło się pieprzyć. O Boże, jaka to była męka czytać ten tekst.

Leżąc na łóżku i jedząc rodzynki, dowiaduję się, jak Grant po prostu przyszedł i sprzątnął mi sprzed nosa cudowny wieczór. Wieczór, który byłby moim ostatnim życzeniem, gdybym następnego ranka miała zginąć na krześle elektrycznym.

Otóż po koncercie do trzeciej nad ranem włączyli się razem po knajpach, aż w końcu Kite, siedząc na balkonie swego pokoju, skoro świt, o szóstej zaśpiewał Grantowi swoje nowe piosenki. A pod nimi Nowy Jork klaksonami budził się do życia.

Jedli śniadanie w barze. „Przepraszam panią, ale ta szafa grająca nie działa”. „Bo to automat z papierosami, proszę pana”. A potem popłynęli promem do Statuy Wolności, popijając whisky z miniaturowych butelek i paląc marlboro jednego za drugim na górnym pokładzie, pod błękitnym niebem.

Z każdym akapitem robię się coraz bardziej wściekła. Gryzę rodzynki na miazgę, drobną, czarną miazgę. Grant tego nie potrzebuje – on nawet tego, kurwa, nie chciał! Jego ulubionym zespołem jest Can. Pewnie spędził cały ten pieprzony weekend, marudząc, że chce już wrócić do żony i dzieci!

Jeśli o mnie z kolei chodzi – wykorzystałabym ten dzień w pełni, zachłysnęłabym

się nim. Wycisnęłabym światło z każdej pieprzonej gwiazdki na niebie, a o świcie zjeżdżałabym po poręczach balkonu. Moglibyście mnie potem w południe zastrzelić, umarłabym z uśmiechem na twarzy. Dlaczego mnie tam nie było? Te wyrefinowane tortury zadają mi ludzie piszący o życiu, którego miałam być częścią. A ja siedzę tu beczynn timer; czekam i umieram. Kto inny pisze teraz mój pamiętnik, nie uwzględniając w nim mojej osoby.

Dopóki jestem w tym pokoju, nie istnieję.

– Bo tak naprawdę nie istniejesz, gdy jesteś w swoim pokoju – mówię do psa, żeby uświadomić mu tę ważną rzecz. – Nastoletnie dziewczęta w swoich pokojach nie istnieją naprawdę.

Podciągam kolana do klatki piersiowej, zwijając się w kulkę, albo raczej kulę armatnią, i spoglądam na moją ścianę, gdzie wszystkie zdjęcia Elizabeth Taylor, George'a Orwella i Orsona Wellesa zostały zakryte nowymi zdjęciami Johna Kite'a. Ten widok doskonale oddaje, co się dzieje w mojej głowie.

– Muszę wyjść z tego pokoju – mówię do Kite'a. – Proszę, czekaj na mnie. Poczekaj z tą dobrą zabawą. Nie opychaj się ludźmi, którzy nie są mną. Nie psuj sobie apetytu.

Gryzę się w rękę. Ostatnio częściej to robię: gryzę się w kłykcie na kciukach. To taka wersja ssania palca dla dorosłych, gryzienie się w kciuk. Właśnie to robią dorośli, gdy potrzebują spokoju – gryzą się w palce, cichutko, w swoich pokojach. To poskramia lęk – sprowadza go do dwóch małych, księżycowych śladów zębów na mojej skórze.

Wychodzę z pokoju.

I już wiem, co zrobię. W przyszłym tygodniu z okazji powrotu z trasy John Kite daje koncert w Londynie, w klubie Falcon. Wychodzę z tego pokoju, wsiadam w pociąg do Londynu i wracam do gry.

Skaczę radośnie po schodach, idę na dół, żeby oznajmić mamie, że wyjeżdżam do Londynu spotkać się z Johnem Kite'em. Już obmyślam strój na tę okazję – może kwiecista sukienka ze sklepu z używanymi rzeczami? Johnowi spodobałaby się dziewczyna w sukience w kwiaty. Skonałby, widząc mnie w kwiecistej sukience. W pozytywnym tego słowa znaczeniu.

W połowie schodów widzę, że stało się coś złego. Mama i tata wychodzą z domu –

mama płacze, tata w pośpiechu trzaska drzwiami – a Krissi stoi z brązową kopertą w ręku. Pewnie myślicie, że wiem, co zrobić w tej sytuacji, bo przecież tak często wyobrażałam sobie ten moment. Ale nie, nie wiem. Wyobrażałam sobie wszystko do tej chwili. Dalej nie byłam w stanie wybiec wyobraźnią.

– Co się stało? – pytam.

– Już po nas, Johanna – mówi Krissi. – Zmniejszają nam zasiłek.

– Dlaczego? – pytam. Czuję, że chyba zaraz się posikam. Jak dziecko, które się czegoś przestraszyło albo zrobiło sobie krzywdę. I jednocześnie zapłacę się na śmierć, tym samym składając siebie w ofierze.

– Otrzymali „pewne informacje” – mówi Krissi ponurym tonem.

## Rozdział trzynasty

Po sześciu tygodniach w związku z „informacjami o możliwych nieprawidłowościach” opieka społeczna obcina nam zasiłek. Mama z tatą liczą coś na starych kopertach i wychodzi im, że nasz dochód zmniejszy się o jedenaście procent.

Początkowo czuję ulgę; spodziewałam się pięćdziesięciu procent, dziewięćdziesięciu... Że zabiorą nam ostatni grosz, a potem co? Nie załapiemy się nawet na przytułek dla ubogich. W 1993 roku być może musielibyśmy wprowadzić się do ciotki, tak jak rodziny z dziewiętnastowiecznych powieści, gdy nastaly dla nich ciężkie czasy. Dodatkowa rodzina w dodatkowym pokoju. Wszystkie utrzymujące się z jałmużny. Siedem Jane Eyre, każda innych gabarytów, na garnuszku u ciotki Reed. Musiałabym spać w kartonie, a Lupina straszylby duchy.

W porównaniu z tą skrajną nędzą jedenaście procent wydaje się... do zniesienia, prawda? Bądź co bądź nawet nie zauważyłabym, gdyby skrócono mi włosy o jedenaście procent. Przez chwilę myślę, że jedenaście procent to nie aż tak zła wiadomość.

Na moment zapominam, że przecież już teraz żyjemy na krawędzi. Żadnych inwestycji, które moglibyśmy spieniężyć – co pozwoliłoby nam przetrwać tę jedenastoprocentową stratę – zero obligacji, oszczędności, akcji. Żadnych małych luksusów, które moglibyśmy ograniczyć, jak chodzenie do fryzjera czy prenumerata jakiegoś czasopisma. Sami ścinamy sobie włosy, a gazety czytamy w bibliotece. Nie ma żadnych planów, które moglibyśmy tymczasowo, na okres przerwy w dostawie gotówki, odłożyć na półkę, jak kupno nowego samochodu albo wyremontowanie dużego pokoju. Nigdy nie planowaliśmy wymiany samochodu ani remontu dużego pokoju.

Nie mamy też od kogo pożyczyć – bo jedna z prawd o biednych ludziach głosi, że znają oni tylko innych biednych. Ich też nie stać na jedenastoprocentową obniżkę i nie mogą nas dotować.

Co tu dużo mówić: kiedy jesteś bardzo biedny, jedenaście procent uderza w absolutnie każdą dziedzinę twojego życia. Jedenastoprocentowe cięcie oznacza, że trzeba będzie wybierać między prądem a jedzeniem – które i tak są już ograniczane i o które ciągle marudzimy. Jedenaście procent to niedużo, ale gdy jest się bardzo biednym, może decydować o przeżyciu.

I oto masz do dyspozycji jeszcze mniej niż do tej pory. Tracisz grunt pod nogami. Grozi ci upadek.

Nasza egzystencja została teraz przeliczona na nowo, a jej wynik spisany na kartce wisi na ścianie. Od tej chwili to nasz nowy budżet, żadnego pola manewru, nic ponad – ani słoika dżemu, ani nowej pary butów. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko zachować spokój. Kasy, której i tak od zawsze było za mało, mamy o jedenaście procent mniej.

Nazajutrz rano po tym, jak rodzice ustalili nowy budżet, wchodzę do ich pokoju, gdy jeszcze leżą w łóżku, i siadam na brzegu.

– Posłuchajcie – mówię. – Nie jest tak źle, jak się wydaje. Teraz przecież zarabiam! Kiedy wreszcie przyjdzie czek, mogę dać wam te pieniądze!

Proponując to, mam mieszane uczucie ulgi i strachu. Czuję ulgę, że mogę dać rodzicom pieniądze i położyć kres wszystkim zmartwieniom. Poza tym z pewnością im więcej kasy dostaną ode mnie teraz, tym mniej będą wściekli, kiedy w końcu dowiedzą się, że to ja dałam dupy. Jeśli zarobię, a potem wręcę im, powiedzmy, tysiąc funtów, może w ogóle nie będą się na mnie gniewać! Może uda mi się kupić ich przebaczenie! Zrobię z nich swoich dłużników! To jest bardzo dobry plan!

Tyle że mama natychmiast dostrzega w nim luki.

– Kiedy przyjdzie czek, jeżeli w ogóle przyjdzie, połowę tych pieniędzy wpłacisz sobie na konto oszczędnościowe – mówi stanowczo. – I połowę z tego, co przyjdzie później, też. Już to z tatą przedyskutowaliśmy.

– Co?

– Nie wiesz, co przyniesie przyszłość, Johanna – mówi tata. – Rzucanie szkoły to ryzyko...

– Wcale nie! – zaprzeczam. – Wszyscy w redakcji są koło trzydziestki i mają już swoje własne domy. To jest po prostu normalna praca!

– Jesteś dopiero na początku kariery zawodowej, Johanna – mówi mama. – Potrzebujesz oszczędności.

Tata wstaje i idzie do toalety.

– Idę zobaczyć, czy rowery stoją, kochanie.

A mama przysuwa się do mnie i szepcze. Przez chwilę wygląda jak wtedy, gdy bliźniaków nie było jeszcze na świecie.

– Gdyby twój tata miał oszczędności, nie musiałby rezygnować z muzyki, kiedy zespół się rozpadł – mówi pospiesznie. – Kiedy coś pójdzie nie tak, będziesz potrzebowała tych pieniędzy, żeby nie zostać na lodzie. – Spogląda na bliźniaki śpiące na materacu przy łóżku.

– Co się stało z naszą zapomogą? – pytam.

– Jestem pewna, że wkrótce się dowiemy – odpowiada. Mówi smutnym, beznamiętnym głosem, słysząc w nim zmęczenie i poczucie beznadziei. Bije od niej ten rodzaj smutku, który budzi paniczny strach u dziecka, gdy tylko dostrzeże go na twarzy rodzica.

Wtedy do pokoju wraca tata, a mama opada na poduszki, udając, że znów wygląda normalnie.

Następnego dnia zjawiają się w domu dwaj panowie, którzy zabierają nam telewizor. Był wypożyczony – wszyscy na naszym osiedlu mają pożyczone telewizory. Kto by tam miał trzysta funtów, żeby sobie kupić własny? No i jesteśmy świadkami pierwszego z drastycznych cięć.

Dzieciaki ustawiają się w rzędzie ciągnącym się z dużego pokoju aż do drzwi wejściowych jak kondukt pogrzebowy, szlochają, gdy telewizor opuszcza nasz dom. Następnie wracamy do pokoju i stajemy wokoło pustego miejsca – jak leśne zwierzątka wokół ciała Królowy Śnieżki.

– Czuję się, jakby nam matka zmarła. Nasza prawdziwa matka – mówi Krissi. Nawet Krissi trochę popłakuje. A Krissi nigdy nie płacze. Ostatni raz płakał, gdy spadł na plecy z łóżka piętrowego wprost na klocki, a z ucha zszedł mu płat skóry.

Lupin wpadł w prawdziwą histerię – jest w połowie pierwszego sezonu *Twin Peaks*, na którego punkcie wszyscy mamy obsesję.



– Już teraz nigdy się nie dowiemy, kto zabił Laurę Palmer! – jęczy Lupin, a z ust wycieka mu strużka śliny.

Nawet moja propozycja zabawy w Twin Peaks, polegającej na tym, że owijamy Lupina workami na śmieci i zostawiamy go w ogrodzie, nie poprawia nastroju. Po dwudziestu minutach Lupin zaczyna narzekać, że nie może normalnie oddychać – mimo że zrobiliśmy sporo dziurek w folii – i zabawa się kończy. Siedzimy na drzewie, posępnie kontemplując przyszłość bez telewizji.

– Nie będzie już *Blue Petera* ani *Saturday Superstore* – lamentuje Lupin.

– Ani *Crimewatch* – dodaje Krissi. Uwielbiamy oglądać *Crimewatch*. Regularnie spisujemy numery rejestracyjne każdego samochodu przejeżdżającego naszą ulicą, na wypadek gdyby jechał nim morderca i mógł to być ważny trop. Dziwnie groźne powiedzonko Nicka Owena, prezentera *Crimewatch*: „Proszę, nie miejcie koszmarów. Śpijcie dobrze, proszę was” – to nasze tradycyjne słowa na dobranoc dla Lupina, gdy już opowiemy mu jakąś długą, straszną historię.

Teraz to pożegnanie dźwięczy nam w uszach, ponieważ koszmar ostatecznie nastął i jest gorszy od jakiegoś tam morderstwa.

Musimy zrezygnować nie tylko z telewizora, ale też z wszystkiego innego. Wszystko musi być poddane cięciu. Nie ma już skrzynek z hurtowni pełnych owoców i warzyw. Tata kupuje pięćdziesięciokilogramowy worek mąki razowej i co najmniej jeden posiłek dziennie to *chapati* – mąka zagnieciona z wodą i solą, ręcznie rozwałkowana na placki wielkości talerza, które potem pieczemy i smarujemy margaryną.

Odkrywamy, że jeśli przed pieczeniem porządnie się je ponakłuwa widelcem, wchłaniają dwa razy więcej roztopionego tłuszczu i robią się dzięki temu trochę smaczniejsze. Urządzamy zawody: kto dostanie najwięcej margaryny na swoje *chapati*. Zawody wygrywam ja, mam ponad łyżkę tłuszczu. Aż wreszcie mama odkrywa prawdę i margarynę też zaczyna ograniczać. „Ta nalepka z ceną siedemdziesiąt dziewięć pensów oznacza siedemdziesiąt dziewięć pensów, a nie gratis dla małych świnek” – złości się.

Stajemy się ekspertami w wynajdywaniu produktów z upływającym terminem ważności. Przez jakiś czas lokalny supermarket przecenia ogromne puszki parówek w zalewie, jemy je więc trzy razy w tygodniu razem z gotowaną białą kapustą, solidnie

polane tanim keczupem albo sosem majonezowym do sałatek. Żywimy się głównie keczupem i majonezem. Bez nich naprawdę można byłoby oszaleć. Przy życiu trzyma nas jeszcze wiara w kilogramowe opakowania sosów marki własnej.

Przychodzi rachunek za gaz, a potem za prąd. Żeby je opłacić, mama załatwia drugi kredyt w rachunku bieżącym. Teraz jesteśmy dwa razy bardziej do tyłu. Lupin ma zniszczone buty, ale ponieważ brakuje pieniędzy na nowe, nosi stare kalosze po Krissim. Ma ciągle miękkie, wilgotne i białe od potu stopy.

Moje kradzieże w sklepie przybierają na intensywności. „Jest nadzieja” – przypomina mi napis w drogerii, gdy napycham kieszenie tamponami i dezodorantem. Jak niegdyś Robin z Locksley, kradnę podpaski bogatym, żeby wyścielić majtki biednym. Teraz trudniej jest mi kraść ze sklepu, bo nie mam pieniędzy na autobus do miasta. Muszę więc chodzić piechotą tam i z powrotem, dziesięć kilometrów w jedną i dziesięć w drugą stronę, wzdłuż drogi szybkiego ruchu, a przejeżdżające ciężarówki co rusz zdmuchują mi z głowy kapelusz.

Często, żeby nie czuć się samotna, sadzam bliźniaki w wózku i zabieram je ze sobą. Albo biorę Lupina i psa i śpiewam im całą drogę. Śpiewam *I Am The Resurrection* i *Cemetery Gates* The Smiths.

Teraz gdy pieniądze się skończyły, piosenki te nabierają dla mnie jeszcze większego znaczenia. Nie mam już nawet skąd wziąć tych dwudziestu pensów, żeby wypożyczyć nowe płyty – moja kolekcja liczy ostatecznie sto czterdzieści osiem sztuk. Sto czterdzieści osiem płyt przegranych z kompaktów bibliotecznych to cały mój świat. Latarnia w oddali, do której tylko ja płynę. Miejsce, do którego w końcu kiedyś dotrę.

Jestem w bibliotece – kieszenie wypchane kradzionymi tamponami, pies uwiązany na zewnątrz, bliźniaki śpią w wózku – i czytam magazyny „D&ME”, „Melody Maker” i „NME”, dla których przeszłam dziesięć kilometrów. By w pełni wykorzystać to, że mam do nich dostęp, czytam każde słowo – nawet harmonogram imprez z pierwszych stron, który jest niczym innym jak tylko wykazem pomniejszych klubów, gdzie odbywają się koncerty w Wielkiej Brytanii w 1993 roku. Pink Toothbrush w Rayleigh, Warehouse w Derbyshire, King Tut’s Wah-Wah Hut w Glasgow, Tivoli w Buckley, Old Trout w Windsorze. Mogę je wszystkie wyrecytować jak litanię miejsc, do których ludzie wciąż chodzą i gdzie coś się dzieje. I dokąd i ja pewnego dnia się udam; ja też

będę się tam dzać. Nie będę tu wiecznie siedzieć. Nie zgadzam się na to.

Któregoś tygodnia w „D&ME” pojawia się wywiad z Johnem Kite’em, z zapowiedzią na okładce. Myślę sobie, że to bardzo przydatne, gdy twoi przyjaciele są trochę sławni i udzielają wywiadów dla gazet. W ten oto cudowny sposób można w wolnym czasie dowiedzieć się najnowszych wiadomości z ich życia. To takie praktyczne. Cały czas jesteśmy w kontakcie!

Już z samego początku tekstu dowiaduję się, że John otrzymał od jakiegoś fana w Niemczech nowy naszyjnik z krzyżykiem („Na wypadek gdybym nagle znalazł się na łożu śmierci i musiał szybko obudzić w sobie mój zastały katolicyzm”), napisał piosenkę o grzybkach pod tytułem *Increase The Lexicon* i zrobił sobie mały tatuaż z walijskim smokiem na swym bladym, miękkim ramieniu („Ale będę z wami szczerzy i powiem, że to miejsce nie ma dobrej renomy i tatuaż przypomina raczej długiego kota z egzemą”).

Główna część wywiadu dotyczy jednak spraw klasowych, które obecnie stanowią gorący temat. Wszystkich sławnych ludzi pyta się ostatnio o recesję, o rząd Johna Majora, o świadczenia, politykę i biedę. Każdego pytają, jakie w tych sprawach zajmuje stanowisko.

Pytanie to zadano również Johnowi Kite’owi – walijskiemu ochlapusowi z rodziny robotniczej słynącemu z knajpianych monologów – w wywiadzie z Tonym Richem dla „D&ME”. Czytam, siedząc w bibliotece, a deszcz leje za oknem.

Między bogatymi a biednymi jest jedna wielka różnica – mówi Kite, zaciągając się papierosem. Jesteśmy w pubie w porze lunchu. John Kite zawsze, chyba że zaznaczono inaczej, pali papierosy w pubie w porze lunchu.

Bogaci ludzie nie są źli, jak powiedziałyby ci wielu moich braci. Znam bogatych ludzi – grywałem na ich jachtach – i nie są niesympatyczni czy wrogo nastawieni, i wcale nie nienawidzą biednych, jak wiele osób sądzi. No i nie są głupi – albo przynajmniej nie są głupszy od tych biednych. Chociaż bawi mnie to, że mówi się o klasie rządzącej jak o ludziach z wyższych sfer, którzy nie są sobie w stanie sami włożyć skarpetek i potrzebują do tego służby, wiem, że to nieprawda. Budują banki, zawierają umowy z maklerami i opracowują strategie polityczne, bo mają ku temu

doskonałe kompetencje.

Nie – podstawowa różnica między bogatymi a biednymi jest taka, że bogaci żyją bez troski. Uważają, że nigdy nie może być aż tak źle. Rodzą się w cudownej aksamitnej powłoce bez troski, która jest jak meszek płodowy na noworodku – nigdy nie zedrze jej żaden niezapłacony rachunek ani dziecko, któremu nie można zapewnić wykształcenia, ani dom, z którego trzeba się wyprowadzić do schroniska, kiedy czynsz robi się za wysoki.

Ich życie jest takie samo od pokoleń. Żadne przemiany społeczne tego nie zmieniają. Jeśli żyjesz sobie dostatnio jako przedstawiciel klasy średniej, jaka najgorsza rzecz może cię spotkać ze strony rządu i jego polityki? No jaka? Mogą dowalić ci dziewięćdziesięcioprocentowy podatek i nie opróżnić twoich kubłów stojących na chodniku. Ale ty i wszyscy twoi znajomi dalej będziecie pić wino – może tańsze – nadal będziecie jeździć na wakacje – ale może gdzieś bliżej – i spłacisz ten kredyt hipoteczny, choć może później, niż planowałeś.

A teraz przyjrzyjmy się biednym. Co najgorszego może ich spotkać ze strony rządu? Rząd może odwołać im operację, zostawiając ich bez szansy na skorzystanie z prywatnego leczenia. Może zamknąć im szkołę – nie dając im szans na opłacenie niepublicznej. Może ich eksmitować i zakwaterować w domu socjalnym do końca roku. Kiedy klasa średnia podnieca się polityką, toczy spory o korzyści: ulgi podatkowe i inwestycje. Kiedy biedota zaczyna z pasją mówić o polityce – walczy o swoje życie.

Polityka zawsze więcej znaczy dla biednych. Zawsze. Dlatego strajkujemy i maszerujemy, i rozpaczamy, gdy nasze pociechy mówią, że nie pójdą głosować. Dlatego biedni postrzegani są jako bardziej energiczni i bardziej zwierzęcy w swoim zachowaniu. Nie dla nas muzyka poważna – nie dla nas spacer po zabytkach i rezerwatach przyrody albo podłoga z naturalnego drewna. Nie jesteśmy nostalgiczni. Nie oglądamy się za siebie. Nie znosimy przeszłości. Nie chcemy, żeby nam o niej przypomniano, bo kiedyś było okropnie: ludzie ginęli w kopalniach i slumsach, jako analfabeci, bez prawa do głosowania. Pozbawieni godności. Przeszłość kojarzy nam się z jednym wielkim koszmarem. Dlatego teraźniejszość i przyszłość należą do biednych – to jest nasze miejsce w czasie: przeżyć dziś z nadzieją, że jutro będzie lepiej. My żyjemy dniem dzisiejszym – dla tych małych, szybkich przyjemności, które

mają dodać nam animuszu: cukru, papierosa, jakiejś nowej szybkiej piosenki w radiu.

Kiedy rozmawiasz z kimś biednym, nigdy, przenigdy nie zapominaj o tym, że komuś, kto urodził się pod złym adresem, jest dziesięć razy trudniej gdziekolwiek dotrzeć. To cud, jeśli komuś, kto urodził się pod nieszczęśliwą gwiazdą, uda się coś osiągnąć, synu. Cud, jeśli w ogóle mu się cokolwiek uda...

Artykuł idzie dalej. Kite – jak zwykle podczas wywiadów – robi się coraz bardziej pijany i atmosfera rozluźnia się, gdy opowiada o nadchodzącym tournée po Europie i o tym, jak niedawno zaadoptował leniwca w zoo w Regent's Park („Fizycznie jesteśmy do siebie uderzająco podobni. Życzyłbym sobie, żeby w odwrotnych okolicznościach męskie osobniki leniwców były równie uprzejme wobec mnie”).

Nie chcę, by wszyscy w bibliotece widzieli, że płaczę, próbuję więc ten fakt jakoś ukryć. Właśnie o to chodzi! Urodziłam się pod złym adresem! To o mnie są te słowa! Kocham Johna Kite'a. On wie o tych jedenastu procentach. Chcę zostawić wózek z bliźniakami przy stoliku i po prostu stąd wybiec – pobiec tam, gdzie jest Kite, gdziekolwiek by był, i uścisnąć jego rękę, podwinąć rękaw i pokazać mu mój nowy tatuaż, który bym sobie zrobiła i który wyglądałby tak: WV4 – Zły Adres.

Chcę zabrać ten wywiad ze sobą i nosić go wszędzie jak zaświadczenie – do supermarketu, do urzędu miasta, do redakcji „D&ME” – i pokazywać go ludziom, mówiąc: „Tak to właśnie wygląda. Na tym polega mój problem. To dlatego jestem taka zmęczona”.

Jestem taka zmęczona. Zmęczona, ale jednocześnie taka rozdrażniona. Bo nikomu jeszcze nie wyznałam, że wiem, doskonale wiem, że to wszystko moja wina. Że ta przeraźliwie skrajna bieda, która tak nagle na nas spadła, to moja wina.

Atmosfera w domu i tak jest już straszna – trzy razy musiałam zaganiać Lupina i bliźniaki do mojego pokoju i włączać im *Bridge Over Troubled Water* Simona i Garfunkela na cały regulator, bo mama i tata darli się na siebie na dole. Takie kłótnie zawsze kończą się tym, że tata wychodzi do Red Liona, gdzie Johnny Jones go upija, a mama zostaje i bez końca przetasowuje rachunki z komody, jakby każdy dotyk jej ręki miał pomniejszyć ich sumę.

Krissi jest oczywiście bardzo przygnębiony. Chciał iść na studia – ale teraz nie jest

chyba odpowiednia pora na dyskusję o czymś, co wiąże się z wydatkami i ogólnym zamieszaniem, więc prawie wcale się nie odzywa. Jakby udawał martwego.

A wszystko to moja wina – wyłącznie moja wina – i ten lęk mnie dobija. Skoki adrenaliny, których doświadczałam, warując przy skrzynce na listy, są niczym w porównaniu z tym, co teraz się ze mną dzieje. Drętwieją mi czasem ręce. Mam sraczkę. Myśli kołaczą się w głowie i są tak przerażające, że często przypomina mi się fragment autobiografii Boba Geldofa *Is That It?*, w którym opisuje on, jak po śmierci matki opierał się o gwóźdź wystający ze ściany – wciskając go sobie w czoło, jakby przeprowadzał amatorską trepanację czaszki.

Myślę, że tego właśnie teraz bym chciała. Wbić sobie długi, zimny, czysty gwóźdź w sam środek głowy. To by mnie uspokoiło. I nikt by mnie nie obwiniął: dziewczyna z gwoździem wbitym w czaszkę. Zabraliby mnie do szpitala – a będąc chora i załamana, byłabym bezpieczna. Gdybym sobie połamala wszystkie kości, nikt by mnie nie nienawidził. Gdybym była w ciężkim stanie. Gdybym leżała poturbowana przy schodach. Gdybym umarła.

Jeśli nie możesz obronić się przed atakiem siłą – a ja ewidentnie nie mam siły, moje ręce są puste – to może spróbuj chronić się przez samozniszczenie. Wysadź się w powietrze, zanim wróg cię dopadnie.

Powodem mojego przeraźliwego strachu jest fakt, że już kiedyś to przerabialiśmy. Już kiedyś byliśmy tacy biedni – w domu, w którym panował gniew, a oczy taty były zupełnie zimne i wydawało się, że to koniec. Działo się to w 1986 roku, gdy tata pierwszy raz stracił pracę.

Związana jest z tym pewna historia, którą wam teraz opowiem – kiedyś mnie przygnębiała, ale dziś już mnie nie smuci. Możecie jej posłuchać.

Kiedy zbliżały się moje jedenaste urodziny, wymarzyłam sobie przyjęcie urodzinowe. Nigdy wcześniej nie miałam imprezy urodzinowej. Ale właśnie zaprzyjaźniłam się z jedną dziewczyną, Emmą Pagett, i chciałam ją do siebie zaprosić.

Mama pozwoliła i obiecała dać dziesięć funtów w prezencie urodzinowym, za które mogłam kupić jedzenie na imprezę i ugościć przyjaciółkę.

Sama upiekłam ciasto; robiłam to z takim entuzjazmem. Ucieras margarynę

z cukrem, ubijasz jajka, dodajesz mąkę, pieczesz, przekładasz kremem i dżemem i ciasto gotowe.

Krissi zrobił mi zdjęcie, gdy stół był już nakryty: ciasto na talerzu przykryte folią aluminiową czeka na wielką fetę, a ja w kaszkiecie à la John Lennon stoję przy stole i wytwornym gestem prezentuję produkty – jak Anthea Redfern komplet sztuców w teleturnieju *The Generation Game*.

W tym czasie tata leżał w łóżku. To był jeden z tych dni, kiedy po prostu... nie wstawał – leżał. Obok łóżka stała wielka biała butla z lekarstwem, a w jego oczach widać było same białka.

O trzeciej po południu mama weszła do jadalni, gdzie w oczekiwaniu na Emmę, która miała przyjść o szesnastej, siedziałam na krześle i czytałam *Przygoda przyjeżdża pociągami*.

– Tata źle się czuje – powiedziała. – Musiał się położyć. Nie chce... żeby Emma tu dziś przychodziła, na wypadek gdyby musiał... – namyślała się przez chwilę – ...wziąć kąpiel.

Nie pamiętam, w jaki sposób wytłumaczyłam Emmie przez telefon, że ma nie przychodzić. Na pewno nie powiedziałam, że gdy tata spada z budynku, nie lubi, jeśli ktoś przychodzi do domu. Że często nikogo nie wpuszcza.

Powiedziałam chyba, że źle się czuję, że boli mnie brzuch i żeby lepiej nie przychodziła.

Co ostatecznie okazało się prawdą – mam na myśli ból brzucha. Ponieważ zjadłam wszystko, co było na stole. Zjadłam całe swoje urodziny.

A potem poszłam spać.

## Rozdział czternasty

Mimo to życie w Wolverhampton nie jest teraz pozbawione wrażeń. W czwartek zabieramy Lupina do dentysty, gdzie usuwają mu pięć zębów.

Chyba właśnie poznaliśmy powód jego częstego płaczu. Może wcale nie jest z natury melancholijny i zadumany, po prostu gniją mu zęby. Dentysta musi przed zabiegiem uspić Lupina, a potem w ciągu godziny całym tym usuwaniem brutalnie dziurawi mu twarz.

– To tylko mleczaiki, synu! – pociesza go tata radosnym tonem, gdy wracamy furgonetką do domu. Lupin leży płasko na plecach, z głową na kolanach Krissiego. – Twoje pierwsze zęby! Teraz wyjdą ci dorosłe! Już niedługo będziesz mógł gryźć cegły jak Szczęki w filmach z Jamesem Bondem!

Lupin trzyma torebkę z cukierkami, które dostał w nagrodę. Nie dysponujemy innym systemem wynagradzania. Za utratę zębów zapłaciliśmy mu anyżkami, miętówkami i owocowymi gumami rozpuszczalnymi. A on za anyżki, gumy i miętówki zapłacił swoimi zębami. W pewnym sensie jest to doskonały dentystyczny krąg dla dzieci.

– Kiedy ja byłem dzieckiem, wszyscy mieliśmy popsute zęby! – mówi tata radośnie przez ramię. – Wszyscy bez wyjątku! Każdy z waszych wujków! Wujowi Jimowi to nawet jeden wyszedł od razu cały czarny. Cały czarny! Nazwaliśmy go Zębem Demona. Wasza Gruba Babka miała sztuczną szczękę, zanim skończyła trzydzieści osiem lat! Powiadała, że z każdym urodzonym dzieckiem traciła jeden ząb.

– Wygląda na to, że Lupin też – mówi Krissi chłodnym tonem, patrząc na swoje liczne rodzeństwo porozsadzane w samochodzie.

Nie możemy oderwać wzroku od Lupina – jest półprzytomny, wygląda jak pijany, a kiedy otwiera usta, odnosi się wrażenie, że brakuje mu jednej piątej twarzy. Ma czerwone, mokre prześwitki w głowie, a zamiast ust – wielką dziurę.

Krissi cichutko kładzie palec na policzku Lupina, coś mi pokazując: wargę też mu rozcięli, gdy był pod narkozą. Najpierw zęby, teraz jeszcze usta. Została tylko



papkowata miazga, a w niej jeden siekacz po prawej stronie, wystający jak wieża Martello na pustej, krwawej linii brzegowej. Biedny Lupin.

Po powrocie zastajemy dom wysprzątny na błysk. Mama sprząta tak tylko wtedy, gdy mają przyjść goście. Dziś honorowym gościem jest zmasakrowana twarz Lupina. Pozwalamy mu zająć najlepsze miejsce na kanapie, z najlepiej działającymi sprężynami; nakrywamy go najlepszym kocem, a kiedy już znieczulenie zupełnie przestaje działać, Lupin każe nam się rozbawiać, robić coraz bardziej upokarzające rzeczy w zamian za słodczy z torebki.

Krissi ma udawać orangutana uwięzionego pod fotelem. Muszę przyznać, że mnie przypada seria zenujących postaci – poczynając od pana Bennetta z *Take Hart*, a kończąc na Latającej Rękawicy z *Yellow Submarine* – aż wreszcie zaczynam płakać, przychodzi mama i beszta nas wszystkich, bo zabawa wymknęła się spod kontroli.

Udajemy, że robimy te upokarzające rzeczy, by rozbawić Lupina. Tak naprawdę robimy to dla cukierków. Chwilowo na podwieczorek jada się u nas makaron z gotowaną białą kapustą. Szukamy więc tego, co John Kite nazywa małymi, tanimi przyjemnościami. Lupin dostaje całą puszkę puddingu ryżowego z dużą łyżką dżemu. Ponieważ nie ma zębów, nie może jeść makaronu z kapustą.

– Mam najlepszy podwieczorek z was wszystkich! – mówi, a my pozwalamy mu nacieszyć się tym zwycięstwem.

– One są niesamowite – oznajmia potem Krissi. Jesteśmy w naszym pokoju, wszystkie dzieciaki siedzą w kole na podłodze. Bawimy się zębami Lupina. Krissi ma szpilkę i ostrożnie zdrapuje miękką zgniliznę z zęba trzonowego.

– Czy on śmierdzi? Śmierdzi zgnilizną? – pyta Lupin.

Krissi dokładnie obwąchuje.

– Nieee.

W pokoju jednak wyraźnie śmierdzi. Dziesięć minut wcześniej Krissi wziął zapalną i przyłożył ją do zęba, żeby wypalić przyklejoną resztkę dziąsła.

– Jak ludzki bekon – powiedział, rozpalając płomień.

Smród przypominał palone włosy, a może tak właśnie śmierdział sam ząb. Teraz z boku ma czarne ślady po przypaleniu. Kto by pomyślał, że można mieć tyle frajdy

z zabawy mleczakami!

Biorę trzy zęby i używam ich do wróżby *I Ching*. Mój heksagram to czterdzieści cztery – SPOTKANIE.

Przeoglądam książkę *I Ching*, aby zobaczyć, co to oznacza.

– Widzimy kobietę, która jest odważna i silna – czytam. To muszę być ja! Wyjdę za mąż za Johna Kite’a! Podnoszę oba kciuki na znak, że jest dobrze. Wydaję okrzyk radości i wymachuję pięścią w geście zwycięstwa. Czytam dalej: – Nie należy żenić się z taką kobietą. – Wszyscy patrzą na mnie wzrokiem „A nie mówiłem”. Spoglądam w dół na zęby Lupina. – Rzucę jeszcze raz – mówię.

Kiedyś rzucałam dziewięć razy z rzędu – aż wyszło dobrze. Rzucam tak długo, aż wyrocznia *I Ching* stwierdza, że przeprowadzę się do Londynu, zamieszkałam w mieszkaniu na Rosebery Avenue i wyjdę za Johna Kite’a, a ślubu udzieli nam Stephen Fry. Niekiedy ustalenie tej przyszłości zabiera mi całą noc. Ale teraz mam przecież dużo wolnego czasu.

Ostatnio w naszym domu często korzystamy z *Księgi Przemian I Ching*. W miarę jak śledztwo w sprawie naszych zasiłków się przeciąga, wszyscy mamy obsesję na punkcie przepowiadania przyszłości. Próbujemy odzyskać choć odrobinę poczucia kontroli nad tym, co się wkrótce stanie. Nie wiedzieć czemu mama uznaje, że Krissi ma zdolność jasnowidzenia, i co kilka dni każe mu wróżyć każdemu z nas – nieskończoną liczbę razy naciskając „odśwież” na naszej przyszłości, dopóki nie usłyszymy takiej, jaka nam się spodoba.

– Będzie dokładnie tak samo jak wczoraj – warczy Krissi, rzucając chińskimi monetami na podłogę.

Lecz z powodu presji czasu nasze sesje ostatnio koncentrują się głównie na tacie.

Wiedząc, że musi się spieszyć – światowa sława albo przytułek! podwójna wygrana albo jesteśmy na zero! – tata podwaja wysiłki, żeby wrócić do swojego Elizjum, do krainy rockiem i miodem płynącej. Za zgodą wszystkich członków rodziny wziął dziesięć funtów z tygodniowego budżetu na jedzenie, żeby wysłać dwanaście dopiero co nagranych kaset demo do wytwórni w Londynie. Znajdując wreszcie zastosowanie dla surrealistycznie niepraktycznego pióra do kaligrafii, które dostałam na Gwiazdkę, wypisuję adresy na bąbelkowych kopertach – Virgin Records, Island Records, WEA –

i wysyłam im najnowszą wersję *Dropping bombs* przerobioną na typowo britpopową wersję, coś w stylu Happy Mondays.

Ostatnio zaskoczyło mnie to, jak tata odbiera współczesną muzykę. Kiedy wszedł do dużego pokoju, oglądałam akurat notowanie *Top of the Pops*. Byłam absolutnie przygotowana na tę jego klasyczną tyradę ekshipisa o tym, jak tandetna jest dzisiejsza muzyka. Nie tylko byłam na to przygotowana, ba! wprost na to czekałam. Miałabym okazję się z nim pokłócić, oburzyć się w imieniu mojego pokolenia i poczuć się nieśmiertelnie i wściekle nastoletnia.

On tymczasem stał przez chwilę w drzwiach, patrząc, jak Happy Mondays, wyraźnie naćpani, wykonują *Step On*, i z uznaniem powiedział:

– Mają chłopaki jaja. Popatrz tylko na tych ćpunów!

Ostatnie słowo zabrzmiało niemal... czule.

Teraz, kiedy wypełnione britpopem bąbelkowe koperty zostały wysłane, Krissi – poinstruowany przez mamę – wróży przyszłość tacie. Kolejny raz.

– No to kiedy dostanę ten mój pierwszy milion? – pyta, wchodząc do dużego pokoju, i zaciera ręce.

Gromadzimy się wokół Krissiego, żeby usłyszeć, co powie. Tata po kilku minutach kładzie się na boku na podłodze, bo kolana nie są w stanie utrzymać ciężaru jego ciała.

Monety mówią, że może będziemy musieli poczekać na nasze bogactwo trochę dłużej, niż myśleliśmy. Do kurwy nędzy, mam nadzieję, że nie dłużej niż do marca. Trzeba zrobić przegląd, a Chris się żeni i musimy, kurwa, jechać na wesele do Hull. Lecz szczęście z pewnością nadchodzi. Tak powiada wyrocznia *I Ching*.

Pod koniec wróżenia wszyscy bijemy Krissiemu brawo. Wszyscy się radują.

– No to mamy sprawę wyjaśnioną – rzecze tata, powoli wstając z podłogi. – Aua! Moje kolano! Johanna, nadszedł czas, żebyśmy ruszyli do ataku. Póki auspice są dobre.

– Tak! – mówię, bo co innego mam powiedzieć. A po chwili pytam: – Jak?

– Możemy razem podbić Londyn. Powinnaś pogadać z tymi ludźmi z wytwórni płytowych. Rozesłać wici. Narobić szumu wokół mojej osoby.

– Tak! – mówię znowu. I dopytuję: – Jak?

– Nie wiem. Co teraz robią zespoły, żeby zyskać rozgłos? Może znowu spytajmy

wyrocznię – proponuje tata.

– Wyrocznia jest już zmęczona – odpowiada stanowczo Krissi. – Musicie dać jej się... zregenerować.

– Ty i ja powinniśmy się wspólnie zastanowić – mówi do mnie tata. – Obmyślić jakiś plan. Wykorzystajmy efekt Barnuma. Ja i Johanna coś wymyślimy.

Jestem prawie pewna, że niczego nie wymyślę.

Później tego wieczoru Krissi leży na piętrowym łóżku i gapi się w sufit. Lupin śpi na dolnym materacu. Widzę, że Krissi chce mi coś powiedzieć. W końcu się odzywa:

– To wszystko bzdury, wiesz? Wszystko, co powiedziałem, to kompletna bzdura. Ja nawet nie czytałem tej księgi. – I nadal wpatruje się w sufit.

– Co?

– Nie umiem przepowiadać przyszłości. Nie znam się na tych wróżbach *I Ching*. To wszystko bujdy. Oczywiście, że to bujdy, Johanna.

– Ale... ale przecież powiedziałaś, że do świąt będę miała chłopaka!

Siedzę na brzegu łóżka, ubrana w ocieplane kalessy ojca, a na twarzy mam maseczkę z płatków owsianych, o której przeczytałam w *The Brownie Guide Handbook*.

Podobno dobrze robi na przyszcze – których przybywa mi błyskawicznie, odkąd jestem na diecie składającej się w dziewięćdziesięciu procentach z gotowanej białej kapusty i *chapati* z margaryną.

Krissi przygląda mi się dłuższą chwilę. Czasami patrzy na mnie niemal ze współczuciem. Tak właśnie patrzy teraz.

– O tak. Z pewnością tak będzie – mówi wreszcie, obracając się twarzą do ściany i naciągając kołdrę na głowę.

Czekam, aż wszyscy zasną, a potem wkładam rękę w moje futerko. Fantazje seksualne miewam ostatnio w dosyć średniowiecznych klimatach – oprócz książek o wróżbach i przepowiadaniu przyszłości, które wypożyczamy z biblioteki, sięgam też po inne z działu zjawiska nadprzyrodzone; dużo czytam o czarach i siłach nieczystych.

Ze zdziwieniem odkrywam, że mnóstwo jest tam pornografii. Oczywiście nie pisze

się w nich tego wprost – to relacje historyczne kobiet, najczęściej zakonnice, które uprawiały seks z diabłem.

Wydaje się, że historia pełna jest sióstr zakonnych, które używały sobie z szatanem. Jeśli diabeł pieprzy cię w pozycji misjonarskiej, znaczy to, że jest inkubem. Jeśli ty go ujeżdżasz, wtedy mamy do czynienia z sukubem. Sporo można się dowiedzieć o technicznych detalach spółkowania z diabłem.

„Młoda neofitka, prawdopodobnie czymś odurzona, zostaje wepchnięta w sam środek zgromadzenia i zmuszona do stania nago przed kowenem – czytam w jednym z opisów. – «Młoda neofitko! – woła arcykapłan. – Dobrześ mi służyła! Wstań i dołącz do tych tu zebranych, żeby mogli ci się przyjrzeć, i rób to, czego zapragną!» Potem poddawana jest cielesnym pragnieniom każdego członka zgromadzenia, który ją o to poprosi, i uczestniczy w zbiorowych perwersjach”.

Tak czy siak. Ble, ble, ble. Chodzi o to, że często brandzłuję się, myśląc o średniowiecznych demonach.

Po stresującym dniu zaczynam wyobrażać sobie, że kładą mnie na ołtarzu, a potem zmuszają do „czynów nieczystych” z armią demonów i napalonych księży. Pszenica usycha, plony mogą być niskie i jeśli nie zerzną dziewicy podczas czarnej mszy, cała wioska wymrze z głodu.

Wyobraźcie sobie uprawianie seksu z kimś wartościowym. Każdy cię pożąda. Inaczej będzie nieurodzaj. To takie podniecające. Zbiorowe perwersje. Mmmmmmm. Mam do wyboru to albo myślenie o Johnie Kicie; a ilekroć o nim myślę – płaczę. Więc zamiast o nim myślę o czarnej mszy.

– Johanna. – Cisza. – Johanna, co ty wyprawiasz?

To Krissi. Nie śpi.

– Eee... trochę... mnie swędzi. Drapię się.

Cisza.

– Ostatnio dosyć dużo się drapiesz. Późną nocą. – Znowu cisza. – Bardzo cię musi swędzieć, Johanna.

Milczę przez dłuższą chwilę. I wreszcie mówię:

– Bo ja chyba mam... wszy.

Nazajutrz Krissi pyta mamę, czy może mieć swój własny pokój i wyprowadzić się ode mnie i Lupina.

– Oczywiście! – odpowiada radośnie mama. – Wspaniały pomysł! Zaraz ci dam piękny, duży pokój – tylko go sobie z dupy wyjmę! Chcesz też kucyka? I stajnię? Bo też mam, jakbyś chciał!

– Mógłbym przenieść się do jadalni – mówi chłodno Krissi.

To mamę kompletnie zbija z tropu.

– Do jadalni?

– Tak, przemyślałem to. I tak przecież wszyscy jemy w dużym pokoju.

To prawda. Wszystkie posiłki jemy na kanapie albo na podłodze z talerzem na kolanach. Albo na stojąco w kuchni, pałaszując kawałki sera z chlebem, na szybciocha.

– Nie możesz się wprowadzić do jadalni – mówi beznamiętnie mama.

– Muszę mieć swój własny pokój – odpowiada Krissi.

To imponujące, jaki wydaje się niewzruszony, odkąd ucichły plany jego pójścia na studia. Jakby swoją postawą chciał powiedzieć: „To ostatni raz, kiedy mi dowaliliście. Od teraz nie ustąpię. Będę walczył. Nie poddam się”.

Oczywiście wiem, że prosi o przeniesienie do jadalni, bo przez ostatnie tygodnie budziło go moje brandzlowanie się przy satanistycznych fantazjach. Ponieważ czuję się winna, w pełni popieram jego plan.

– Uważam, że Krissi powinien mieć swój pokój – mówię. – Ma siedemnaście lat i potrzebuje intymności.

– Naprawdę potrzebuję prywatności – mówi Krissi, celowo nie patrząc na mnie. – I potrzebuję więcej miejsca dla moich sadzonek.

Krissi zajął się ostatnio ogrodnictwem z zamiarem uprawiania warzyw, żebyśmy nie umarli na skorbut. Nasz pokój pełen jest różnej wielkości doniczek z opisem „rzepa”, „groszek”, „pomidory” i „chilli”.

I w ten oto sposób nasza rodzina rozpoczyna wielką debatę, czy Krissi ma wprowadzić się do jadalni, podczas której każdy dokłada swoje żądania, korzystając z tego, że jedno z rodzeństwa o coś poprosiło. W pewnej chwili Lupin zaczyna naciągać rodziców na rower, lampkę nocną i transformera.

O czwartej po południu jednak mama poddaje się i łóżko Krissiego ląduje

w jadalni, tam gdzie kiedyś stał stół. Stół trafia do mojego pokoju i posłuży mi teraz jako biurko, przy którym będę uprawiać pisanie.

Jeszcze zanim zapadnie zmrok, na drzwiach jadalni pojawia się tabliczka z napisem „Kurwidolek Alana Titchmarsha” (mojego autorstwa), a Krissi układa swoje sadzonki na prowizorycznych półkach z desek i cegieł.

A ja – ja mam biurko! Nareszcie! I nieważne, że połowa stołu zavalona jest ciuchami i pudełkami pełnymi zabawek. Druga połowa oddzielona paskiem taśmy klejącej jest dla mnie, tylko dla mnie: to miejsce, gdzie wreszcie mogę pisać.

Przenoszę wszystkie zdjęcia i cytaty znad łóżka i umieszczam je na ścianie nad biurkiem. Mam też nowe rzeczy do dodania, zdobyte przez ostatnie kilka tygodni. Fragment wiersza Larkina *Na paniński album ze zdjęciami*, w którym wersy „Rzeczywista dziewczyna w realnym pejzażu”<sup>3</sup> i „w urodzie, której czas nie zmieni” zaznaczam na czerwono. W urodzie, której czas nie zmieni. W urodzie, której czas nie zmieni. Rzeczywista dziewczyna w realnym pejzażu.

Obok wieszam duże zdjęcie Johna Kite’a. Wtedy byłam rzeczywistą dziewczyną w realnym pejzażu.

Jest też lista Moich Ulubionych Słów, które kolekcjonuję tak wytrwale, jak inni kolekcjonują motyle albo broszki. Szagryn. Pantoflarz. Mimoza. Katedra. Rtęć koloidalna. Jod. Jemiołuszka. Liliowy. Cukier trzcinowy. Absynt. Zoo.

Przez ostatnie tygodnie, gdy mam tak mało do roboty, czuję, że muszę zgromadzić broń lepszej klasy. Chcę mieć pewność, że na mojej ścianie wiszą najlepsze, najbardziej cięte i sugestywne słowa. Bym mogła zawałczyć natychmiast, bezkonkurencyjnie, kiedy znów zostanę powołana do walki. I już nigdy nie będę relegowana.

Mam też na ścianie środkowe strony przewodnika *Londyn od A do Z*, które studiuję i których uczę się na pamięć jak tabliczki mnożenia.

Chcę, by ludzie myśleli, że Londyn to miejsce, z którego pochodzę – że tam się urodziłam, tylko przez przypadek gdzieś mnie poniosło. Kiedy tam wrócę i będę w towarzystwie dorosłych, chcę sprawiać wrażenie, że znam to miejsce lepiej niż oni. Chcę móc od razu i ze swobodą powiedzieć: „Tak, Rosebery Avenue, EC1. Dojedziesz tam Clerkenwell Road. Marylebone Road wymawia się Marra-lee-bun Road, a knajpki

przy Billingsgate Market są otwarte całą noc, aż do świtu, a nawet do śniadania. Widzicie, znam wszystkie ulice w Londynie. Znam cały Londyn. To miejsce nie ma przede mną tajemnic. Zawsze wiedziałam, że tu przyjadę. To mój prawdziwy dom. Omyłkowo wiedliśmy inne życie – ale teraz jest już lepiej. O wiele lepiej”.

Wrócę do Londynu tak szybko, jak będę mogła, i znowu stanę się tam rzeczywistą dziewczyną w realnym pejzażu.

W tym czarnym miesiącu, inaczej zwanym miesiącem Golluma, wydarza się jedna pozytywna rzecz: dwudziestego dziewiątego nareszcie dostaję czek za całą pracę, jaką dotychczas wykonałam dla „D&ME”. Trzysta pięćdziesiąt dwa funty i sześćdziesiąt siedem pensów. Jadę do miasta i kupuję w komisie telewizor, po czym podłączam go w salonie ku uciechu domowników. Dzieciaki podbiegają i całują ekran, zostawiając na nim ślady ust.

– Wracamy do gry – mówi Krissi i włącza odbiornik, oświetlając przy tym pokój pięknym, migocącym blaskiem. Po raz pierwszy od miesiący oglądamy wiadomości, pogodę i programy kulinarne. W satyrycznym *Spitting Image* pojawia się John Major jako szara lalka, a ja nie mogę zrozumieć, czemu gospodarka się sypie. Nie ma już tylu żartów co kiedyś.

– Telewizja była zabawniejsza, gdy Margaret Thatcher była premierem – słusznie zauważa Lupin.

Tego wieczoru siedzimy przed telewizorem do trzeciej nad ranem, oglądając *Hammer House of Horror* i zajadając się kopiaistymi porcjami startego sera. Kocham pieniądze. To, co zepsute, da się naprawić. Wiedziałam, że kiedyś udowodnię, iż Paul Tillich się mylił. Potrzebowałam tylko trochę kasy. Pieniądze są w stanie wszystko naprawić.



## Rozdział piętnasty

Wreszcie dostaję telefon: Kenny zaprasza mnie na kolejne spotkanie redakcyjne.

– Dawno się nie widzieliśmy, Wilde.

Przez chwilę robię wielkie oczy, słysząc to nazwisko – minęło tyle czasu, odkąd wymyśliłam sobie Dolly Wilde, a nikt od tygodni tak się do mnie nie zwracał.

– Czwartek o dwunastej w południe, Wilde – mówi Kenny. – Przywieź ze sobą jakieś pomysły. Kto wie, może z nich skorzystamy.

Wygląda na to, że zostało mi wybaczone, cokolwiek złego napisałam w moim artykule o Johnie Kicie. Albo przynajmniej jest mi dana jeszcze jedna szansa.

Podeksytowana faktem, że usłyszałam imię Dolly, przypominam sobie, jak bardzo ją kochałam, i poważnie zabieram się do jej wskrzeszenia.

Przygotowuję Dolly na wyjazd do Londynu, jakbym była jej pokojówką: rozjaśniam włosy przy zlewie, po czym farbuję je na wiśniowoczerwono – kolor butów Dorotki z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, kolor włosów Miki Berenyi z zespołu Lush. Ubieram Dolly w pończochy, czarną sukienkę i cylinder, podkreślam jej oczy, mocno malując je czarną kredką.

Bo już teraz wiem, jak kreuje się dziewczynę i wysyła ją w świat. Wszyscy piją. Wszyscy palą. Nagrzana Miki Berenyi jest cholernie fajną laską. Wchodzisz do pokoju i wypowiadasz kwestię, jakbyś grała w jakiejś sztuce. Udajesz, aż ci to wejdzie w krew. Rozmawiasz o seksie, jakby to była zabawa. Miewasz przygody. Nie cytujesz musicali. Robisz to, co robią inni. Mówisz, żeby cię słuchano, a nie po to, by ktoś przyznał ci rację.

Śpiewasz pod latarnią, myśląc, że to słońce.

Dworzec w Wolverhampton. Wpadam do pociągu niczym kula wystrzelona z brudnego pistoletu. Obraz za oknem miga mi przed oczami jak kartki przeglądanej książki: dachy, podwórka, kanały – pustkowia przypominające talerze rozgotowanej kapusty. Nie mogę

się już doczekać, aż wydostanę się z tego miasta i znowu będę w Londynie. Wykorzystam każdą chwilę i zapamiętam jej smak, zatrzymam go w ustach, żeby móc się nim delektować, kiedy znów tu wrócę, by jeść *chapati* i patrzeć na brudne ściany.

Kiedy wychodzi się z tunelu na Euston Station, widać białe, wysokie ściany pokryte bluszczem. Sprawia to wrażenie, jakby się przyjechało do bogatego starożytnego Rzymu.

Redakcja „D&ME”. Winda. Korytarz. Idę prosto do zawsze pustej damskiej łazienki, do lustra.

– Cześć, to znowu ja – mówię do siebie. Tym razem jestem przygotowana. W jednej ręce trzymam paczkę fajek – silk cuty, papierosy kobiet klasy robotniczej – a w drugiej butelkę gorzały. Podjęłam śmiałą decyzję, że zacznę pić tutaj, przed moimi kolegami w redakcji. I właśnie to zamierzam teraz zrobić.

Dużo czasu zajęła mi decyzja, jaki alkohol mam kupić i przywieźć tu ze sobą. To, co wybierasz do picia, wydaje się kluczową sprawą w życiu dorosłego człowieka. W książkach ludzie oceniają twój charakter wyłącznie na podstawie tego, co pijesz.

„O tak! Miłośnik whisky!” – mówią. Albo: „Ależ oczywiście, że to ten typ, co raczy się szampanem!”.

Ostatecznie w monopolowym przy dworcu, stojąc w kolejce obok trzęsącego się kłoszarda, zdecydowałam się kupić butelkę mad dog 20/20, jasnozielonego likierowego wina, tak popularnego w latach dziewięćdziesiątych.

Jest nie tylko tanie i ma promienną barwę. Zauważyłam też, że pusta butelka po mad dogu to najczęściej spotykany typ butelek przy ogniskach, gdzie pali się stare materace i akumulatory, na zieleńcu w naszym mieście. Odbieram to jak bardzo skuteczną, taną reklamę w ramach marketingu wirusowego – okrzyknięcie mad doga najczęściej wybieranym alkoholem przez młodych ludzi takich jak ja.

Zastanawiam się, czy nie wziąć łyka, zanim pójdę na spotkanie, teraz, w toalecie, ale postanawiam, że jednak nie.

Po co mam pić, skoro i tak nikt nie patrzy.

Kiedy wchodzę, pokój konferencyjny jest pełen ludzi rozmawiających i palących

papierosy, siedzących na krzesłach i na stole.

– Panie i panowie, pan Elton John!!! – anonsuję swoje wejście. Większość osób się śmieje – nieźle w porównaniu z ostatnim razem.

– Wilde – mówi Kenny, spoglądając na mnie, na moje włosy i butelkę. – Wyglądasz jak Janis Joplin.

Odkręcam mała dogę i częstuję zebranych.

– Aperitif? – pytam. Nikt nie chce. Biorę małego łyka prosto z butelki. To pierwszy alkohol, jaki kiedykolwiek miałam w ustach. Kurewsko wstrętne, brutalnie atakuje mi oczy, które wytrzeszczam, bo wypełniają się łzami. – Aaa, już lepiej, Bogu dzięki – mówię, stawiając butelkę na stole i wycierając usta tylną częścią dłoni. Udawaj, aż ci wejdzie w krew. – Zeszłej nocy urzęnąłam się jak bydlę.

Towarzystwo znowu śmieje się rozbawione. Udawanie nagrzanego rockowego dzieciaka sprawdza się o wiele lepiej niż cytaty z *Annie*. Wreszcie odnalazłam swoją niszę.

– Dobra, lepiej już zacznijmy, zanim Wilde znajdzie, a potem wyrzuci przez okno jakiś telewizor – mówi Kenny, kopniakiem zamykając drzwi z miejsca, gdzie siedzi.

Gdybym miała zrecenzować siebie z tego zebrania redakcyjnego, porównując je z moim pierwszym, dałabym sobie siedem mocnych punktów na dziesięć.

Nie tylko udaje mi się trzy razy zażartować i rozśmieszyć wszystkich na sali – słysząc, że Prince jest symbolem seksu, mówię:

– Przepraszam, ale jako kobieta – którą już prawie jestem – chciałabym zauważyć, że Prince jest za niski, żeby być sexy. Chyba że do tyłka włoży mu się przewody rozruchowe i użyje go jako wibratora. – Na co wszyscy dosłownie ryczą śmiechem. Trzeba przyznać, że pod koniec zebrania jestem też nieźle narąbana.

Nigdy nie przypuszczałabym, że tak właśnie można się czuć, gdy jest się nawalonym: kolana ci miękną, a lęk przechodzi w coś ckiego, przyjemnego i plastycznego. Alkohol, podobnie jak wszystkie lekarstwa, smakuje ohydnie – ale zdecydowanie poprawia samopoczucie. Stajesz się lepszy. Gdybym tak piła ze cztery łyżki tego świństwa dziennie, już nigdy nie musiałabym gryźć palców. Alkohol to lekarstwo na gryzienie i wszelkie zmartwienia. Mary Poppins wypija łyżkę ponczu rumowego. John Kite patrzy na nią lubieżnie. Alkohol zaczyna przyjemnie rozkręcać

spirale moich myśli.

Pod koniec spotkania Kenny tradycyjnie daje znać, że narada zakończona:

– No to już, idziemy, kurwa, do pubu!

Teraz i ja idę z nimi, kurwa, do pubu.

To drugi pub w moim życiu – Dublin tak naprawdę się nie liczy, bo tam piłam tylko colę. Tym razem jednak, pod silnym wpływem leku o nazwie mad dog 20/20, uświadamiam sobie nagle, że ze wszystkich budynków na świecie – galerii, szpitali, bibliotek i dobrych domów – puby są najlepsze. Jak zawsze uparcie twierdził mój tata, to miejsca proletariatu. Zamki dla skurwieli. W 1993 roku puby są u szczytu swojej wspaniałości i szlachetności. W każdym mieście, na każdym rogu ulicy znajdziesz jedną z tych cudownych wiktoriańskich cytadel: obfitujących w połączane lustra, ogromne wielodzielne okna i stoły lakierowane na brązowo tyle razy, że wyglądają, jakby ktoś posmarował je ciemnym sosem pieczeniowym.

Każdy stolik ma na środku popielniczkę – i kiedy już wszyscy wokół niego zasiądą, uświadasz sobie, że to jest piasta waszej grupy.

Gdy popołudnie przechodzić będzie w wieczór, stolik zacznie coraz bardziej wirować i coraz szybciej się kręcić. Ale dopóki udaje ci się strzepnąć popiół z papierosa do piasty na środku, nie zsuniesz się pod stół ani nie wylecisz przez drzwi. To dobrze, że w pubach umieszcza się popielnice w miejscach najmniej podatnych na siłę odśrodkową. Właściciele to naukowcy, którzy znają się na bezpieczeństwie. Udowodniono, że te budynki dobrze spełniają swoją funkcję.

– Czego się napijesz, Dolly? – Pracownicy redakcji „D&ME” zajęli duży stół, a Kenny zbiera zamówienia na drinki. Mam cztery funty w torebce, po które pospiesznie sięgam, ale Kenny gestem daje mi znać, że mam je zostawić. – Co pijesz? – pyta ponownie.

– Kolejna porcja mad doga 20/20 dobrze by mi zrobiła, proszę pana – mówię. Kenny przygląda mi się przez chwilę.

– Tak, tylko nie sądzę, żeby mieli tu mad doga – odpowiada, starannie dobierając słowa. – Chociaż moglibyśmy spytać któregoś z meneli przy rondzie Waterloo, czy nie sprzedałby ci kielicha. W rozliczeniu mogłabyś mu dać... szczura albo wilgotną gazetę

czy coś w tym rodzaju.

Myślę o innych drinkach, o których kiedykolwiek słyszałam. Niewiele przychodzi mi do głowy. Przypominam sobie, że Cary Grant prosił o coś w barze na lotnisku – ale nie wiem, czy to był High Ball, czy Screw Ball, i nie chcę się pomylić. Jakie mogą być jeszcze drinki?

– Cydr z wodą sodową poproszę – mówię w końcu.

Kenny gapi się na mnie wielkimi oczami.

– Cydr... z wodą sodową?

– Tak! – odpowiadam beztrąsko. – To specjalność w naszych stronach, proszę pana.

ZZ patrzy na mnie przez chwilę. Pochodzi ze środkowej Anglii i wie, że wcale tam się tego nie pija.

– Cóż, człowiek uczy się przez całe życie – mówi Kenny i idzie do baru złożyć zamówienie.

Widzę reakcję barmana na „cydr z wodą sodową”. Kenny wzrusza tylko ramionami.

– Widocznie w środkowej Anglii tak się pije – mówi mu. – Może weźmiesz przepis, na wypadek gdyby zespół Slade przyjechał do miasta. – Kenny wraca do stołu i podaje mi drinka. – Twój cydr z wodą sodową, Wilde. – Jest wyraźnie rozbawiony całą sytuacją.

– Bardzo dziękuję, proszę pana – odpowiadam.

– Czy ty próbujesz naśladować tym Elvisa Presleya? – pyta Kenny.

– Tak, proszę pana. Bardzo dziękuję, proszę pana.

– Aha – mówi i podnosi szklankę. – Zdrówko!

– Zdrówko! – odpowiadamy.

Wszyscy stukamy się szklankami, jak trzej muszkietierowie szpadą. Należę do paczki, jestem częścią ekipy. Mam swój gang.

– Czy istnieje jakiś konkretny powód, dla którego jesteś cała na czarno? – pyta Kenny, przysiadając się do mnie.

– To dla tych wszystkich przyszłych kochanków, których zabiję – odpowiadam wesoło. Jest mi bardzo wesoło. Niezmiernie wesoło. Czuję się jak Debbie Reynolds w *Niezatapialnej Molly Brown*. Mogłabym z łatwością wykonać teraz numer musicalowy. Teraz, tu, w tej chwili. Zamiast tego po dziesięciu minutach rozmowy

o członkach R.E.M. („Znam ich od pięciu lat. To palanty” – mówi Kenny) mam wreszcie odwagę spytać Kenny’ego, dlaczego dostawałam ostatnio tak mało zleceń.

– Kenny. Dlaczego nie dajesz mi już żadnych większych artykułów do napisania?

– Cóż – zaczyna z zakłopotaniem, wiercąc się na krześle. – Eee, Wilde. Chodzi o... twój wywiad z Johnem Kite’em...

– Co? – mówię ze śmiałością króla Artura.

– Byliśmy nieco... rozczarowani, szczerze mówiąc – tłumaczy się, a w jego głosie słychać życzliwość. – Chcesz poznać prawdę?

Nie! No oczywiście, że nie chcę!

– Tak.

– Czytało się go jak wyznania... wielbicielki – mówi niemal przepraszającym tonem. – Jakbyś była jakąś rozhisteryzowaną nastolatką na lotnisku Heathrow, która wali w drzwi i krzyczy: „My chcemy Rollersów!”. – Kenny patrzy na mnie i wtedy przypomina sobie, że przecież jestem rozhisteryzowaną nastolatką i prawdopodobnie nie wiem, kim są Bay City Rollers. – Bez urazy – ciągnie, a potem łagodniejszym tonem dodaje: – Hej, czy ty przypadkiem nie zakochałaś się w Johnie Kicie?

– Nie – mówię ze smutkiem. W moim „nie” w oczywisty sposób słychać „tak”.

– Bo wiesz, ostatni akapit brzmiał dla mnie w zasadzie jak propozycja małżeństwa. Chcę powiedzieć, że wszyscy przez to przechodziliśmy. Ale, Dolly, jesteśmy krytykami muzycznymi, nie... fanami. Myślę o tobie. O tym, jak jesteś odbierana przez czytelnika.

Nie bardzo słyszę, co do mnie mówi, zbyt zajęta jestem sporządzaniem sporej prywatnej notatki w głowie: „Zapamiętaj sobie na całe życie: nie pisz jak fanka ani się nie zakochuj!”.

Kenny widzi, że jestem na granicy płaczu, więc kieruje rozmowę na inne, mniej niebezpieczne tory.

– I twoje odniesienia były trochę... nie na miejscu. Porównałaś album Kite’a do muzyki Deacon Blue, a jeden kawałek do płyty *The Best of Simon and Garfunkel*. Żadnej wzmianki o American Music Club, muzyce Nicka Drake’a albo Tima Buckleya?

Wzruszam ramionami, pogrążając się w jeszcze głębszym smutku. Nick Drake jest następnym na mojej liście albumów do wypożyczenia z biblioteki, kiedy już dostanę jakieś pieniądze. A o Timie Buckleyu nawet nie słyszałam. No iluż, kurwa, zespołów

trzeba posłuchać, żeby stać się porządnym dziennikarzem muzycznym?

Bo jeśli ponad dwustu, to może to potrwać wieki. Mam prawo wypożyczyć naraz tylko pięć albumów.

– Czy mogę otrzymać zwrot kosztów za wypożyczanie płyt z biblioteki? – pytam nagle. – Jedna kosztuje dwadzieścia pensów. Czy mogę dostać zwrot jak za podróż i „napoje chłodzące”? Byłoby to bardzo przydatne.

Przez chwilę Kenny wydaje się tak zaskoczony, że po raz pierwszy widzę go milczącego. Wreszcie mówi:

– Wilde, możesz dostać każdy album, jaki tylko zechcesz. Zadzwoń do działu PR, a oni wyślą ci kopertę pełną wszystkich zapomnianych, włochatych, żądnych uwagi onanistów, siuśmajtek i dupków w kanonie zachodniej muzyki rockowej. Możesz sobie wypełnić kufer płytami Superchunk, Ned's Atomic Dustbin i Bum Gravy, ile tylko zmieścisz. A jeśli uznasz, że któraś z tych płyt z garażowo-industrialną tandetą jest poniżej normy, możesz ją sprzedać za jakąś małą sumkę. Bryce Cannon z naszej parafii dzięki wpływom z takiego układu od czterech lat zdrowo, czytaj: śmiertelnie, uzależnia się od kokainy. To jest Club Tropicana. Linx są za friko. – Patrzy na mnie. – Linx to zespół, Wilde.

Cztery godziny później jesteśmy na imprezie gdzieś w Soho. Z pubu wyszliśmy całą grupą o siedemnastej. To wspaniałe uczucie wyjść z budynku ubzdryngoloną brygadą w sam początek długiego wiosennego wieczoru. Bładoszare budynki na Południowym Brzegu wyglądają jak brudne druhny; kobiety w jasnych sukienkach przechadzają się, by za chwilę zabawić się w innym miejscu. Londyn jest jak zabawka, którą można cieszyć się bez przerwy. Tu wieczory nigdy się nie kończą – one tylko niezauważenie przechodzą w jutro.

Mam bilet na pociąg do Wolverhampton na dziewiętnastą – ale gdy stoję na chodniku i zaczynam się żegnać, rozmowa schodzi na temat imprezy, na którą wszyscy wybierają się tego wieczoru.

– Chodź z nami – mówi Kenny. – Ujawnij się w naszej niszczycielskiej załodze. Są tu ludzie z „Disc & Music Echo”, wypijemy za piękne samochody i szybkie kobiety!

– Powinam już wracać do domu – odpowiadam, choć nie chcę jechać do domu.

– Twój facet, John Kite, tam będzie – mówi Kenny przebiegle.

– Ostatni pociąg do Wolverhampton odjeżdża za dwadzieścia pięć jedenasta – zachęca Zee.

– No i John Kite tam będzie – powtarza Kenny, patrząc mi prosto w oczy.

Oto więc jestem na pierwszej w życiu imprezie dla ludzi z branży muzycznej. Tak naprawdę to moja pierwsza impreza w ogóle – nie licząc przyjęć weselnych moich kuzynów. Na ostatnim, na którym byliśmy, siedzieliśmy pod bufetem, wylizując krem z eklerek, a potem bawiliśmy się na parkiecie w wymachiwanie nogami wysoko w górę w rytm *Star Trekkin' The Firm*, aż pospadały nam buty. Pech chciał, że Lupin miał na sobie kalosze, a kuzynka Ali nieszczęśliwie siedziała tam, gdzie siedziała, ale ogólnie rzecz ujmując, był to niesamowity wieczór.

To przyjęcie bardzo się różni od wesela naszego kuzyna. Mój główny problem polega na tym, że nikogo nie znam. Oczywiście przyszedłam tu z całą ekipą z „D&ME”, ale i tak nie wiem, co miałabym z nimi robić. Wchodzą i stają przy barze – który mimo że serwuje drinki za darmo, został porzucony przez personel – i ze zniecierpliwieniem czekają, aż ktoś ich obsłuży. Ogarnia mnie dziwne uczucie, że coś powinnam z tym fantem zrobić – tym bardziej że nie mogę się włączyć do rozmowy o zespole Faust, bo nigdy o nim nie słyszałam.

Po dwóch kolejnych minutach biorę sprawy w swoje ręce.

– Co wam podać, chłopcy? – zagaduję, przechodząc na drugą stronę baru i zaczynając ich obsługiwać. Odwagi dodaje mi wypity wcześniej cydr i mad dog.

– Dla mnie whisky z colą, Wilde. Ale, eee, myślisz, że powinnaś to robić? – pyta Kenny.

– U nas w Wolverhampton nazywamy to samoobsługą – mówię. Dobrze się bawię, robiąc coś legendarnego. – Kiedyś w Wigilię przez dwadzieścia minut prowadziłam bar w pubie Posada. Potem mi zabronili, co było chamskie z ich strony, biorąc pod uwagę, jak bardzo im pomogłam.

Cała gadka to oczywiście totalne kłamstwo – do dziś nigdy nie piłam alkoholu w knajpie – ale wszystkich chyba bawi moja legendarność, a jaki jest sens bycia siedemnastolatką, jeśli nie możesz zmyślić swojej przeszłości? Robię tylko to, co robił Bob Dylan, tyle że w sukience i z darmowymi drinkami.



Rob Grant chichocze uroczo jak dziewczyna.

– Nalej mi piwa, Wilde.

Ze zdwojoną siłą staram się tworzyć swoją legendarność i kładę orzeszki na blat.

– Ktoś ma ochotę na przekąskę? – pytam. Ale potem przychodzi barman i patrzy na mnie w bardzo nieprzychylny sposób, więc przeskakuję z powrotem. – Chciałam tylko pomóc towarzyszom w potrzebie! – mówię wesoło i wychyłam przygotowaną dla siebie wcześniej szklaneczkę dżinu, rozkoszując się widokiem chłopców z „D&ME”, którzy udają zgorszonych.

– Ktoś tu dał niezły popis – mówi Rob z uznaniem. Uwielbiam dawać popis. To zdecydowanie lepsze niż dostosowywanie się do reszty.

Mimo to kiedy mija ekscytacja rolą samozwańczej barmanki, wciąż nie jestem w stanie włączyć się we wznowioną dyskusję o Fauście.

John Kite jeszcze nie przyszedł. Kręci jakiś teledysk we wschodnim Londynie i ma być przed dziewiątą. Oddalam się więc od ekipy „D&ME”, mając przed sobą perspektywę dwóch godzin nudy, nim pojawi się ktoś, z kim będę mogła poimprezować.

Do imprezowania zdecydowanie trzeba dwojga, jak zaobserwowałam, patrząc na wszystkich dookoła – rozmawiających, tańczących i całujących się po kątach. Ech, całowanie. Patrzę, jak inni to robią, aż staje się oczywiste, że ich obserwuję, i wtedy szybko przechodzę gdzie indziej. To takie przykre być przyłapanym na podglądaniu całujących się ludzi.

Od tej chwili moje niecałowane nigdy usta sprawiają wrażenie pokrytych prochem – jeśli teraz podejdziesz do mnie ktoś, kto ma w sobie choć iskierkę pożądania, wybuchnę wielkim płomieniem. A najpierw zapłoną mi usta. Przez chwilę ogarnia mnie niepoohamowany popęd seksualny. O Boże, pozwólcie mi się ze sobą pieprzyć! Wszyscy! Każdy z osobna. Mam przeczucie, że tak naprawdę mogę być sobą tylko w łóżku, w pozycji horyzontalnej. Zrozumielibyście, o co mi chodzi, gdybyśmy tam byli.

Dobra, nieważne. Przez następne dziewięćdziesiąt minut próbuję różnych metod, by nie wyglądało, że czuję się samotna na tym przyjęciu.

Odkryłam, że imprezowanie w pojedynkę można przetrwać:

1. w bufecie. Stół suto zastawiony, żadna dziewczyna nie może powiedzieć, że jest sama, jeśli stoi obok talerza pełnego kiełbasek w miodzie! W zamyśleniu zjadam sześć sztuk, a potem martwię się, że wyglądam po prostu jak porzucona dziewczyna pochłaniająca małe kiełbaski. W błędnym, typowym dla nastolatek przeświadczeniu, że: a) wszyscy się na mnie gapią, b) wszystkich obchodzi, co akurat robię, biorę dwa papierowe talerze i ładuję na nie tyle żarcia, ile się tylko zmieści, jakbym chciała je zanieść koleżance, która jest gdzieś w drugim końcu pokoju. Realizując ten scenariusz, daję z siebie wszystko: zastanawiam się, czy wziąć te małe placuszki z kruchego ciasta, po czym jednak rezygnuję, bo moja koleżanka – załóżmy, że Claire – ich nie lubi, „przypominam sobie” natomiast, że w przeciwieństwie do mnie Claire uwielbia jajka po szkocku – a potem idę przez parkiet, rozglądając się za Claire, aż wreszcie ja i moje dwa pełne talerze ładujemy...
2. ...w toalecie, gdzie rygluję drzwi i wrzucam w siebie całą zawartość. Gdy skończę, próbuję wepchnąć oba papierowe talerzyki do kubła pełnego pod pasek, ale nic z tego, niezjedzone przeze mnie jajka w mięsie mielonym nie mieszczą się, więc układam je ładnie, równiutko na podłodze. W tym czasie przed toaletą ustawia się już całkiem spory łańcuszek oczekujących. Kobieta na przodzie kolejki zagląda do środka i patrzy na talerze z jajkami na podłodze.  
– Wkrótce się wylęgną! – mówię wesoło.  
– To smocze jaja! Powodzenia...
3. w roli zapracowanej dziennikarki. Czy będąc pisarzem, kiedykolwiek jest się po służbie? Ludzka natura nigdy nie ma wolnego wieczoru – trzeba ją relacjonować dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Siedzę w kącie z notatnikiem w ręku i zapisuję wszystkie zdumiewające obserwacje. Kiedy po latach odnajduję ten notes, okazuje się, że jest w nim rysunek kota z cylindrem na głowie, numer mojego konta bankowego, którego próbuję nauczyć się na pamięć, i napis na całą stronę: „Szkoda, że nie ma tu ze mną Krissiego”...
4. prowadząc rozmowę z nieznajomym:  
– Wiesz może, gdzie jest toaleta?

– Tak, tam.

– O, dziękuję.

Cieszę się, że wyglądam na osobę, której można zaufać i zdradzić, gdzie znajduje się toaleta. U nas w domu na imprezie, ilekroć ktoś spyta o to Krissiego, mój brat zawsze wskazuje gościom drzwi szafy, a potem patrzy i rechocze. Boże, jak mi go brakuje...

5. no i wreszcie – paląc papierosy. Nie ulega wątpliwości, że to gówno jest praktyczne. Długo przyglądałam się zastosowaniu tego specyfiku wśród społeczeństwa i doszłam do wniosku, że jest on czymś niezbędnym. Wszyscy palą – po prostu trzeba palić i już. Pogodziwszy się wreszcie z tym faktem, wczoraj wieczorem zakupiłam w kiosku paczkę dziesięciu silk cutów. Kiosk słynie ze swojego luźnego podejścia do sprzedaży papierosów nieletnim. Jeszcze do niedawna sprzedawali pojedyncze fajki w dropsach Polo Mint, piętnaście pensów za sztukę, żeby przyciągnąć tych, którzy wychodzą zapalić w przerwie na lunch, do odświeżenia oddechu, zanim wrócą na wuef. Siedząc na trawniku przed katedrą Świętego Piotra, zawzięcie uczyłam się palić. Imponuje mi moja determinacja, bo palenie jest – bez dwóch zdań – obrzydliwe. Smakuje jak najgorsza kupa. Jest jak wkładanie do ust wszystkiego, co kiedykolwiek wyrzucono do kubła na śmieci. Papierosy mają zapach popielniczki, przypalonego knajpianego dywanu, żółtego śniegu, śmierci. I taty o drugiej w nocy. W miarę jak moje cudownie czyste gardło i różowe płuca napełniały się dymem, coraz bardziej sobie współczułam: dziecko nie powinno tego robić. W dobrym świecie powinnam wydać te pieniądze na osiem batonów Curly Wurly i kilka paczek gum rozpuszczalnych.

Teraz jednak, tutaj, na przyjęciu, cieszę się, że mam te papierosy w plecaku. Przynajmniej jest do wykonania jakieś zadanie, które przez chwilę zajmie mój czas. Podchodzę do okna, wyjmuję paczkę, zapalam i zaciągam się, w zamyśleniu patrząc na ulicę w dole. Próbuję sobie przypomnieć, w jaki sposób Elizabeth Taylor paliła papierosa, i trzymam go blisko twarzy. W odbiciu w szybie widzę, że z takim ułożeniem dłoni raczej nie przypominam kotki na gorącym blaszanym dachu, prędzej

łabędzia w teatrze cieni. Opuszczam rękę i zaczynam pokasływać. Jezu, jakie to obrzydliwe.

– Aha – mówi gość stojący nieopodal i zapala papierosa. – Widać, że uwielbiasz palić.

– O tak, zdecydowanie – odpowiadam lekko zdławionym głosem. – Nie mogłam się doczekać, aż wreszcie zapalę. I przez to pewnie – dodaję z czarnym humorem, który, jak miemam, jest nieodłączną cechą wszystkich palaczy – doczekam się rychłej śmierci!

Chyba nie powinnam tego mówić.

– Taa – mówi gość i odchodzi.

No i dobrze. Mam inne sprawy, na których muszę się skoncentrować. W dole na ulicy jakiś wytwornie ubrany pijany koleś czyta wizytówkę prostytutki przytwierdzoną nad dzwonkiem. Bada ją wnikliwie, tak jak na co dzień bada kartę win, z wnikliwością, której nie powstydziliby się biegły medycyny sądowej.

Czego tam szukasz? – pytam go w mojej głowie. Jaka kobieta najlepiej pasowałaby ci do dania głównego z twojej obrzydliwej, napalonej samotności?

Jakże inaczej, myślę przez krótką chwilę, funkcjonowałby świat, gdyby rządziły nim kobiety. W takim świecie samotna, napalona kobieta jak ja – a ja zawsze jestem napalona – mogłaby pójść do Soho i na drzwiach czytać wizytówki w stylu: „Miły gość w sweterku, lat 24, pogada z tobą o muzyce The Smiths, zrobi ci tost z serem i pójdzie z tobą na imprezę. Informacja w środku”.

Ale żyjemy w innym świecie.

Patrzę, jak elegancki pijany facet – widocznie nie urzekło go to, co przeczytał – zataczając się, idzie dalej ulicą, wciąż sam. Opieram głowę o szybę i kończę papierosa.

O dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt wreszcie zjawia się John Kite – jego nadejście zwiastuje harmider przy drzwiach i głos nachlanego Walińczyka, który krzyczy:

– Muszę zrzucić z siebie ten cholerny płaszcz, od tego deszczu śmierdzi jak zoo. Jak animalarium!

Podchodzę bliżej i oto jest – zdejmuje swoje ogromne, przemoczone futro i wiesza

je na haku. Mokre włosy przyklepione do powieki, papieros w ustach.

– Księżna! – mówi na mój widok. Jego powitalny uścisk, mocny, jest czwartą najlepszą rzeczą, jaka mnie kiedykolwiek spotkała, po urodzinach, Bożym Narodzeniu i Wielkanocy, gdy na pierwsze róże spadł śnieg. Czuję, jak zniszczone złote bransolety na jego rękach wbijają mi się w plecy. – Jesteś jak zły drink w dobrym świecie. Nie wiedziałem, że tu będziesz! Ależ mam dziś, kurwa, dobrą passę. Gdzie jest mój dzin? – pyta.

Wręczam mu dzin z tonikiem. Kupiłam go dokładnie o dwudziestej pierwszej dwadzieścia dziewięć, w oczekiwaniu na jego przyjście. Lód już prawie całkiem się stopił. Drink jest dosyć wodnisty.

– Mam ci przynieść świeży z lodem? – pyta Ed Edwards. Kite przyszedł tu z kilkoma osobami.

– Nie, nie. Ten się liczy jako szklanka wody między drinkami. – I wypija połowę naraz. – Samo zdrowie. – Kaszle. Kite wciąż otoczony jest swoją świtą.

– Pójdziemy zapalić? – pytam. W ręce trzymam paczkę, to taka moja tarcza, którą bronię się przed samotnością, a każdy papieros to mała różdżka, którą mogę machnąć i przemienić pokój według uznania. Tym papierosem niepostrzeżenie zabieram Kite'a spod kurateli jego ludzi.

– Tak! – odpowiada. Jesteśmy przy oknie – jego ludzie zostawieni gdzieś tam – kiedy dociera do niego, co się dzieje. – Ty palisz, księżno?

– Pomyślałam sobie, że przyszedł czas na nowe hobby – mówię śmiało, próbując zapalić papierosa.

Kite nachyla się.

– Tylko że większość ludzi zapala je z drugiej strony. – Delikatnie wyjmuję papierosa z moich ust i wkłada go z powrotem właściwą stroną. Moje usta wypełnia smak palonego filtra. – Mimo to nigdy nie bój się eksperymentować, słodziutka – dodaje, teatralnym gestem zapalając właściwy koniec. – Jeśli ktoś miałby wymyślić papierosy palone od tyłu, to zdecydowanie tą osobą mogłabyś być ty, kochanie.

Przez dziesięć minut jestem prawie tak szczęśliwa jak niegdyś. Stoimy z Johnem w wielkim oknie, palimy fajki – ten pomysł z pójściem na papierosa to była mądra decyzja – i rozprawiamy sobie o tym, co u nas nowego. On dzieli się ze mną anegdotą

o tournée po Kanadzie, czym rozbawia mnie do łez, a ja opowiadam mu historię o zębach Lupina i też chyba udaje mi się go rozśmieszyć. W pewnej chwili bierze mnie za rękę i mówi:

– I dziękuję ci za ten cudowny wywiad ze mną twojego pióra. Wypadłem w nim jak Owain Glyndwr z dwunastostrunową gitarą, podkładający bombę pod swój własny zamek. Pięknie się to czytało w autobusie podczas trasy koncertowej. Czytałem go na głos Edowi Edwardsowi, aż w końcu powiedział mi, że zachowuję się jak jakiś małpiszon w zoo, który dotyka swojego fiuta i się z tego cieszy.

Ale potem John zgniata fajkę, wychyla drinka jednym haustem i robi coś, co można by porównać do przytknięcia lufy armatniej prosto w moje serce.

– Dobra, muszę już iść, księżno. Mały John musi już pójść spać.

Śmieję się rozbawiona.

– Wychodzisz przed czasem? Kite, jeżeli ty kiedykolwiek odejdziesz skądś przedwcześnie, to będzie to łóżko szpitalne. Sanitariusze będą robić ci masaż serca, krzycząc: „Coś ty wziął, John?! John, powiedz nam, coś ty wziął!”.

Nie wierzę, że ten jajcarz już wychodzi.

– Poważnie, księżno. Jutro o ósmej rano musimy być w holenderskiej MTV. Muszę iść – tłumaczy się. – Odczytano mi ostrzeżenie przed szaleństwami. Mianowicie nie wolno mi już nigdy przesiadywać z tobą do późnej nocy, a potem zdychać przy basenie.

Patrzę i widzę, jak Ed Edwards otwiera przed nim drzwi – czeka, aż John przez nie przejdzie, wsiądzie do samochodu i odjedzie do Holandii.

Ożeż kurwa, ty naprawdę wychodzisz.

Milczę przez prawie dziesięć sekund – to chyba najdłuższe milczenie w moim życiu. Wchodzę do trumny i gwoźdźmi zabijam wieko. Praktycznie umieram podczas tej ciszy.

– Cóż – odzywam się wreszcie. – Powodzenia. Pamiętaj, zawsze wyjeżdżaj tak, jakbyś spotkał swoje przeznaczenie.

Pochyla się i całuje mnie w usta. Nie wiem, co to oznacza. Stoję tam i jestem całowana. Jeden pocałunek. Delikatny jak śnieg.

Serce trzepocze jak oszalałe.

– Żegnaj, księżno – mówi.

I już go nie ma. Zniknął – mój cały sens przebywania w tym pokoju; w Londynie; na

tym świecie. Moje dziewiętnaście funtów wydane na pociąg, moje całe życie – wsiada do taksówki, zostawiając mi ten pokój pełen ludzi – przyjęcie – jako pożegnalny prezent.

Niczego nigdy mniej nie pragnęłam.

\* \* \*

Stoję sama przez kilka minut, wciąż czując w kościach jego pocałunek. Próbuję zebrać myśli i poukładać sobie to wszystko w głowie, zapalam kolejnego papierosa. Boże, jak one się przydają. Powinnam zacząć palić, gdy byłam młodsza! Być może gdybym zaczęła palić jeszcze w szkole, nie czułabym się tam taka samotna!

Pierwszy raz moich ust dotknął jakiś mężczyzna. Pierwszy raz. To był tylko pocałunek na pożegnanie – suchy, spokojny – ale to był pierwszy raz, gdy nie zostałam pocałowana w prawą albo lewą część mojej osoby, tylko w sam środek, w samo centrum, jak to robią kobieta i mężczyzna.

Usta są sercem twarzy, myślę sobie, biorąc lampkę darmowego wina ze stolika i wychylając ją. Ręce mi się trzęsą, w głowie szumi. Nie bardzo wiem, co mam ze sobą zrobić. Chcę więcej pocałunków. Chcę dokończyć ten pocałunek – żeby trwał i trwał aż do momentu, gdy ktoś zedrze ze mnie ubrania i mnie, kurwa, przeleci. Dlaczego ja jeszcze nie zaczęłam uprawiać seksu? Co się dzieje? To jest jakiś gigantyczny błąd operacyjny.

Rozglądam się wokół i patrzę na bawiące się towarzystwo. Powinnam wziąć w tym udział. Zee stoi przy barze z piwem w ręku i z kimś rozmawia. Zee jest fajny, tak podpowiada mi moje pięć wypitych dzinów. Dołączam do niego.

– Czeeeść! – zagaduję. – Czeeeść!

– Dolly, to jest Tony Rich – mówi Zee, przedstawiając mnie.

– Anthony, to jest Dolly.

– Cześć – mówi Rich.

Oczywiście wiem, kim jest Rich – jest gwiazdą redakcji „D&ME”. Miał tę egzotyczną przyjemność zrobienia dyplomu na Harvardzie – był w Ameryce! Tam, skąd pochodzi Marilyn Monroe! Rich to człowiek tak samo niewiarygodnie mądry, co niewiarygodnie złośliwy. Ogólnie rzecz biorąc, jest zniesmaczony muzyką obecnie

panującą na listach przebojów. W ubiegłym tygodniu o piosenkach chłopaków z The Wonder Stuff, świetnego alternatywnego zespołu ze środkowej Anglii, mówił, że to „odgłos pięciu śmiejących się idiotów”. I że „sięgnęli punktu, w którym muzyka kończy swą niesamowitą daleką podróż w przestrzeni i ląduje na opustoszałej stacji kosmicznej, po czym zaczyna dumnie kolonizować zsypy, traktując każde znalezione tam gówno jak skarb”.

Tak czy siak, nie jest to teraz ważne. Najważniejsze, że właśnie zauważyłam, jak bardzo Tony Rich jest seksowny. Wysoki chłopak z wielkimi ustami i niezwykle jasną cerą, o oczach bystrych jak rakiety – pistolety – słońce – dokładnie w kolorze coca-coli.

Jestem zdumiona, że o jego urodzie nie piszą co tydzień w gazecie. Czemu nie napiszą o tym na pierwszych stronach? Pod tym względem gazeta ewidentnie dała dupy. Tak to jest, gdy w środowisku pracują sami mężczyźni: nie dość, że ci nie doradzą, żeby włożyć sportowy stanik, kiedy idziesz na koncert, to jeszcze przez nich omijają cię możliwości uwodzenia i flirtowania z facetami kategorii A.

Nie mogę uwierzyć, że czas jest mi tak przychylny w tej kwestii: trzydzieści sekund po tym, jak John Kite, mój przysły małż, opuścił lokal – zostawiając mnie napaloną i obezwładnioną pocałunkiem – los serwuje mi drugiego przysłego męża. A może Rich zostanie moim kochankiem, kiedy wyjdę za Johna? A może po prostu z oboma będę uprawiać seks – porządny, totalny seks – a potem wezmę ślub z Gonzem z *Muppetów*, tak jak planowałam, odkąd skończyłam dziewięć lat. Jeszcze nic straconego. W tej chwili czuję w sobie wielki potencjał.

– Jesteś Żydem, prawda? – zagaduję Richa najlepiej, jak potrafię. – W zeszłym tygodniu dowiedziałam się, że też jestem w połowie Żydówką! Od strony matki!

– Mazeltov – odpowiada Rich lakonicznie. Oczywiście w zeszłym tygodniu wcale się nie dowiedziałam, że mam żydowskie korzenie – mama pochodzi z Peterborough, a jej rodzice z Hebrydów – ale przeczytałam całą autobiografię Harpo Marxa (*Harpo Speaks!*, Limelight, 1985), więc wiem, co to sziksa i binokel, i czasem bardzo chciałabym być Żydówką – a to już prawie tak, jakbym nią była.

Poza tym kłamanie okazało się dziś niezwykle przydatne. Zmyślam nową siebie po drodze! Ściemniam! Wypijam kolejną porcję dżinu.



– Nie ma nas wielu w Wolverhampton – wzdycham najbardziej po żydowsku, jak umiem. Zastanawiam się, czy nie ponarzekać na Wolverhampton jako miasto pełne gojów, ale nadal nie jestem pewna co do wymowy tego słowa. Do tej pory widziałam je tylko na papierze i myślę, że bardzo nie po żydowsku byłoby źle wypowiedzieć „goj”, więc porzucam temat mojej nowej tożsamości etnicznej i pytam: – To kogo teraz obsmarowujecie? Ja też ich nienawidzę. Wprowadźcie mnie w temat.

– Właśnie gadamy o twoim facecie, o Johnie Kicie – mówi Zee i mruga swoimi łagodnymi oczyma. – Zastanawiamy się, ile z tego, co robi, to próba zwrócenia na siebie uwagi.

– Zwrócenia na siebie uwagi? – nie dowierzam. Jestem tak zdumiona, że na chwilę przestaję podrywać Richa. Co znaczy, że moje zdumienie jest przeogromne. Czuję się urażona jak chrześcijanin, który właśnie wszedł w dyskusję, czy krzyż, który Jezus wnosił na Kalwarię, nie miał przypadkiem doczepianych kół, jak bagaż podręczny, i czy Jezus ostatecznie nie oszukiwał. – Nie sądzę, żeby John Kite udawał Johna Kite’a – mówię. – Spędzałam z nim czas. W Dublinie odlewał się przy mnie, gdy byłam w wannie, ubrany w futro, i palił fajkę. John Kite to w stu procentach John Kite, przez cały czas, na stówę. Wierzę w niego, tak jak wierzę, że Elvis w niedzielę śpiewał psalmy.

– Czy to przypadkiem nie był błędnie zacytowany w obronie Johna Kite’a kawałek Eurythmics? – pyta Zee.

– Tak. – Spanikowałam.

– Brawo! – Zee kiwa głową.

Rich skrzywił się na wzmiankę o Eurythmics – zespole, który, jak sobie teraz przypominam, opisał kiedyś jako „odgłos masturbującej się miernoty patrzącej przy tym na swoje odbicie w lustrze”.

Nie tylko uwielbiam Eurythmics – razem z Krissim świetnie odgrywamy naszą wersję *Sex Crime* (on zawsze udaje Annie Lennox) – ale też masturbowałam się, patrząc na siebie w lustrze. A raczej w wewnętrznej stronie płyty kompaktowej. Dziurka w kompakcie zrównała się z moją dziurką. Bardzo mnie wkurzył ten komentarz. Może jednak nie wyjdę za Richa.

– Ludzie dosyć szybko stają się świadomi swojej legendy – mówi Rich. – Każdy

artysta, jak już przeczyta kilka recenzji na swój temat, traci niewinność, która wcześniej była siłą jego pierwotnej osobowości. Każdy numer sceniczny jest skazany na to, że w końcu zamieni się w hołd składany na swoją cześć. ABBA stała się Björn Again lata wcześniej, zanim powstała formacja Björn Again.

– To jaka jest moja legenda? – pytam Richa.

Rich mierzy mnie wzrokiem od dołu do góry – obejmując nim mój makijaż, kapelusz, podarte pończochy, krótką spódniczkę i papierosa. Podoba mi się, jak na mnie patrzy.

– Hm, wciąż ją tworzysz – mówi, patrząc mi prosto w oczy. – Ale podejrzewam, że mogą być z nią kłopoty.

Jego usta są nieziemskie. Nieważne, co mówi, chcę mieć je na sobie. Chryste, a gdyby tak poczuć je na swoim brzuchu. A gdyby tak zeszyły jeszcze niżej i zmoczyły mi futerko. Jak na obrazkach w „The Whole Earth Catalog”, tyle że ze mną w roli głównej. Z prawdziwą mną, wszędzie.

Dobry Boże! Boże! Boże, który jesteś w niebie! Wysłuchaj mych słów! Gdyż ostrzegam cię – jeśli mam przeżyć, wkrótce będzie musiało wydarzyć się jakieś całowanko. Pocałunek musi zwilżyć moje usta i ostudzić żar, który we mnie płonie – mam w ustach coś, co trzeba wyjąć, tak jak pisklęta wyjmują ziarenka z ust swoich matek. Zastanawiam się tylko, czy usta Richa zmieściłyby się w moich – gdybym odpowiednio przytrzymała jego głowę i przylgnęła do niego. Gdybym go do tego zmusiła.

A gdybym się przeszła i namówiła kogoś, żeby się ze mną całował. Może to właśnie powinnam zrobić.

Mam fioła na punkcie całowania.

Muszę zdążyć na pociąg.

Godzinę później, siedząc w ostatnim pociągu do domu – wciąż na wpół pijana winem, dżinem, pocałunkiem i ustami Richa – zastanawiam się nad tym wszystkim. Rozmyślam o całym dniu – paleniu, picciu i ważnej informacji, że wywiady to nie listy miłosne, że teraz jestem dziennikarką, a nie fanką. I że jest ze mną jakiś kłopot. Pewnie tak – Rich mnie zrecenzował, a on jest najmądrzejszym krytykiem, jakiego znam.

W torbie mam swój notes, w którym zaczęłam już robić notatki do następnej recenzji kiepskiego zespołu o nazwie The Rational.

Ich album jest zdecydowanie przeciętny – zwykła alternatywna chałtura. Zaczęłam więc kreślić ironiczne opisy dźwięku ich gitar i zażartowałam sobie z faktu, że pochodzą z Dunedin: „Nasłuchali się jakichś śpiewek z Dunedin”. Wszystko to na wesoło, takie delikatne robienie sobie jaj z tego, że ogólnie są beznadziejni. A na samym końcu opisuję głównego wokalistę, Aleca Sancleara, raczej tępego, próżnego faceta z fryzurą na czeskiego piłkarza – krótko z przodu, długo z tyłu. „Co sprawia, że wygląda, jakby ktoś przykleił na papugę kakadu zdjęcie twarzy speszzonego faceta” – napisałam.

Skreślam wszystko, co napisałam, z wyjątkiem ostatniej linijki, i zaczynam od nowa.

„O Boże, dlaczego tego głupka z kakadu na łbie wypuszczono z klatki i pozwolono mu nagrać drugi album? – piszę. – Czy ktoś mógłby zadzwonić na infolinię i wysłać ekipę z Królewskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków z siatką, żeby go złapali i z powrotem zamknęli? A może rozsypiemy zatrute rodzyнки po jego melinie, tak jak robili to w *Dannym mistrzu świata*. W sumie mogłoby to poskutkować. Genialny plan. Do drinków w garderobie The Rational dodamy seconal. A potem zejdziemy na widownię i będziemy patrzeć, jak stada nieszczęsnych Sanclearów spadają z nieba. Jeee...but! Jeee...but! Lecą z sufitu. Tak przy okazji ostatni fragment jest doskonałym onomatopiecznym opisem każdego kawałka na tej płycie: wszystko brzmi tam mniej więcej jak jebut!”

Jadę ostatnim pociągiem do domu i mam z sobą jakiś kłopot.

## Rozdział szesnasty

Przez dwa następne miesiące ciągle jestem jak pijana. W połowie dlatego, że upajam się nagłym sukcesem mojej nowej roli: zaczepnego bandyty. Rolą kogoś, z kim są kłopoty. Przychodzę na koncerty ze swoim notesem i z sarkazmem przyglądam się kolejnym przeciętnym zespołom w nurcie muzyki niezależnej. A potem ów sarkazm przelewam w domu na papier. To o wiele prostsze niż moje wcześniejsze kadzenie zespołom. I jeśli mam być szczerą – o wiele bardziej zabawne. Po co stać, próbując grzecznie wtrącić się do rozmowy o Fauście, skoro można przeskoczyć przez kontuar i każdemu zaserwować mocnego drinka? Wszyscy kochają nieznośnego bachora na fali.

Kolejne recenzje robią furorę, a moje akcje w redakcji idą w górę. Pracuję sześć dni w tygodniu, przesiadując w pokoju ze swoim nabytkiem – nowiutkim komputerem – konstruując miażdżącą krytykę za siedem pensów od słowa. Kłopoty to dochodowy biznes. Kłopoty to dobra, stała praca. Kłopoty to przyszłość.

– Chcesz mieć przewagę, idź w zniewagę – mówi Kenny, z uśmiechem proponując mi jedną dużą recenzję za drugą.

Radość spowodowana tą możliwością przyprawia mnie o zawrót głowy. Redakcja zaczyna drukować listy czytelników na mój temat, a zespoły powołują się na mnie w wywiadach. Gdy mieszka się w domu bez luster, rozkosznie jest zobaczyć swoje odbicie w słowach innych ludzi. Zawsze się obawiałam, że nie istnieję, że jedynie śnię długi sen o samej sobie. Albo że to Krissi o mnie śni i rozpaczliwie pragnie się z tego snu wybudzić.

Ale teraz jestem realna ponad wszelką wątpliwość – teraz, gdy inni dyskutują na mój temat. Teraz, kiedy nazwisko autora – moje nazwisko – pojawia się na stronie siódmej i na stronie dziewiątej, i na stronach numer siedemnaście i dwadzieścia, a w rubryce towarzyskiej jest zdjęcie przedstawiające mnie pijaną, na imprezie, stojącą na stole z cylindrem na głowie, podpisane: „Slash wrzuca na luz”.

A wszystko dlatego, że drugim powodem, dla którego czuję się permanentnie pijana,

jest fakt, że jestem permanentnie pijana. No, może nie permanentnie, ale piję każdego wieczoru, na każdym koncercie, na którym jestem – kto by tam pozwolił, żeby zmarnował się choć pens z dwudziestofuntowego budżetu na „napoje orzeźwiające”? Chyba jakiś szaleniec. Gdy dni mi się dłużą, wszystkie wytrącające z równowagi zmartwienia można uciszyć myślą: „Byle do dziewiątej. Byle do imprezy”. Poza tym piję też z powodów praktycznych. Ponieważ wydałam wszystkie pieniądze na komputer, z koncertów wracam piechotą wzdłuż autostrady A449 aż na nasze osiedle, a alkohol mnie grzeje i nie żałuję sobie wysokich tonów, kiedy śpiewam. Śpiewam *High Land, Hard Rain* zespołu Aztec Camera aż do zakrętu w Springhill, a potem idę ciemnymi, pustymi ulicami do domu, przechodząc obok domu Violety.

Coś ty im powiedziała, zastanawiam się, gdy go mijam. Firanki niczym zeszywniałe katarakty wiszą w oknach, sprawiając, że dom wygląda jak krótkowzroczny zarozumialec. I co będzie dalej?

Na jednym z koncertów w Wolverhampton – oczywiście pijana – wpadam na moją kuzynkę gotkę Ali.

– Siema. – Na powitanie kiwa głową znad kufła. Zauważam, że już nie jest gotką. Teraz ubiera się jak klasyczny undergroundowy shoegazer: czarne buty do kostek, dzinsy, pasiasta koszulka Breton i spora grzywka.

– Ali! – krzyczę. – O mój Boże! Cześć! Ja też uwielbiam Johna Kite’a! Spałam w jego wannie! Słyszałam, jak sika!

– A ja go już nie słucham. Już mi przeszło – mówi beznamiętnie Ali. – Teraz słucham The Nova. Czadowi są.

Nie mam pojęcia, co to za zespół.

– Są tam – mówi Ali, głową wskazując na pięciu chudzielców z ponurą miną stojących w rogu. Też mają czarne włosy, czarne dzinsy i pasiaste koszulki.

– To jakaś nowa gwiazda, tak? Nova. Ci z The Nova, o tam.

– Bzykam się z ich basistą – mówi Ali, po czym dodaje: – Słyszałam, jak się odlewa i robi to drugie, i w ogóle.

– Ja nigdy nie słyszałam, jak jakaś gwiazda sra – przyznaję. Ali zawsze musi mieć nade mną przewagę. – Zastanawiam się, kto z muzyków pop najgłośniej robi kupę. Założę się, że Céline Dion ma taką porcelanową, wiktoriańską muszlę klozetową

w kwiatki, do której wrzuca miliony malutkich suchutkich bobków jak jakiś królik. Pting, ting, ting, ting, ting!

– No – mówi. Choć pozostaje niewzruszona, to wciąż ta sama chłodna, pozbawiona wyrazu twarz, jaką ma od urodzenia Ali, wydaje się wyraźnie zaintrygowana sprawą, bo dodaje: – Prince załatwia się potajemnie za kanapą. Jak kot. A potem drapie pazurkami w dywan i idzie pieprzyć się z Sheeną Easton.

– Myślę, że Nick Cave wydała ustami. Jak sowa. Otwiera usta i wyłazi z nich kupa pełna małych kosteczek.

Ciągniemy ten temat przez jakiś czas, aż przerobimy zwyczajnie toaletowe niemal wszystkich muzyków z ówczesnej listy przebojów *Top 40*.

– Więc bzykałaś się z nim? – pyta Ali po namyśle, w milczeniu paląc papierosa. – Bzykałaś się z Johnem Kite'em?

– Może – odpowiadam.

– Czyli nie – mówi Ali. – W każdym razie nadal wyglądasz jak dziewica.

– Nie jestem dziewicą!

– Jesteś, jesteś.

– Nie jestem! Wiem, jak smakuje... sperma! – mówię. Ali patrzy na mnie. – Smakuje jak wybielacz.

Kiedys przeczytałam o tym w wywiadzie z Sally z zespołu Bleach, która wyjaśniała, skąd się wzięła nazwa ich kapeli.

Widać Sally mówiła prawdę, bo Ali wygląda na usatysfakcjonowaną moją odpowiedzią. Jej pytanie jednak mnie poruszyło. Mój niedokończony pocałunek zaczyna mi teraz bardzo ciążyć – jak wole albo pechowa podkowa, którą muszę nosić na łańcuchu ze sobą. Czasami dusi mnie tak, że nie mogę mówić. Czasami nie mogę przez nią wykrztusić słowa. Czasem nie mogę przez nią oddychać.

– Ale od lat nie wyrwałam żadnego faceta – wyznaję. Co jest prawdą: właśnie skończyłam siedemnaście lat i w żadnym z tych siedemnastu lat nie wyrwałam żadnego faceta. Całe życie to wieki. John Kite się nie liczy, to było bez języczka. – A strasznie bym chciała – dodaję.

Ali patrzy na mnie przez chwilę, a potem ruchem głowy wskazuje na The Nova.

– Widzisz tego gościa z chłopakami z zespołu? – pyta. Stoi tam tyczkowany

młodzieniec o przeciętnej twarzy ze zwyczajną fryzurą. – Możesz go wyrwać. To jest Całowacz. – Przyglądam się mu. Całowacz. Nie wiem, jak go określić. Wygląda po prostu... normalnie. Wszystkie części ciała ma na swoim miejscu, zwrócone w dobrą stronę. Ma tego, no... głowę i resztę. Nogi, martensy. Całowacz. – Pójdzie z tobą na pięterko, jeśli chcesz – mówi Ali. – To właśnie robi. Przeleciał już wszystkie moje koleżanki. Widziałaś te zabawki, które stoją przed sklepem, koniki, żyrafy... wiesz, o co mi chodzi? Wrzucasz dziesięć pensów i możesz się przejechać. On jest właśnie jak taki konik na monetę. Po prostu... wsiadasz, a potem na nim jeździsz. To taka męska dziwka.

Znów patrzę na Całowacza. A potem, ponieważ wypiliśmy kilka drinków, spoglądam na mój zegarek. Myślę, że podświadomie sprawdzam, czy nadszedł już czas na mój pierwszy porządny pocałunek. Mój zegarek mówi, że jest środa, siedemnasty marca 1993 roku, godzina – ale on trochę się spieszy. Jak ja! Ja też zaraz przyspieszę! Bo zamierzam po raz pierwszy się całować!

– No, a jak to... działa? – pytam.

Ali przechodzi przez parkiet, a ja idę za nią.

– Siema, chłopaki – mówi Ali do członków The Nova i do Całowacza.

– Siema, Al – odpowiadają.

– To jest moja kuzynka Jo. Znaczą się Dolly Wilde.

– Ty jesteś tą Dolly Wilde z „Disc & Music Echo”? – pyta jeden z chłopaków z zespołu, wyraźnie pod wrażeniem.

– Tak – odpowiadam. – Przez większość czasu.

– Powaga? Nieźle jaja! – mówi, a po chwili marszczy czoło. – Ale czekaj no. W zeszłym tygodniu obsmarowałaś Uncle Tupelo. A Uncle Tupelo są w porządku.

Oże kurwa, przyszedłam tu stręczyć siebie do pocałunku, a nie dyskutować o sytuacji społecznej w USA.

– W tej chwili jestem po służbie! – mówię, gestykułując zamasyście.

– Czy to ty napisałaś, że siedemdziesiąt procent bizonów w Ameryce należy do Neila Younga? – pyta inny koleś z zespołu.

– Taaa – mówię.

– To prawda?

– Tak sędę – odpowiadam.

– Czy ze mną jest coś nie tak, czy to mało prawdopodobne? – pyta. – Neil Young i bizony. To jakieś dziwne.

– Tak – mówię. – To tak, jakbyś się dowiedział, że to matka Mike’a Nesmitha z The Monkees wynalazła tippex.

Chłopaki z The Nova patrzą na mnie w osłupieniu.

– No co ty, to nie ona!

– Ależ tak. To z całą pewnością ona – odpowiadam. – Prawdopodobnie zobaczyła, jak jej syn pisze słowo „Monkees”, i zmuszona była zamazać to jakimś... korektorem w płynie.

Chłopak Ali opowiada, jak pierwszy raz naćpał się, wączając właśnie tippex.

– Cóż, moim pierwszym dragiem był korektor w płynie.

I rozmowa schodzi na pouczającą pięciominutową dyskusję o tym, co jeszcze można kupić w papierniczym, a co jednocześnie nadaje się do wączania. Klej, markery, gaz do zapalniczek – nie miałam o tym pojęcia. Okazuje się, że sklep WH Smith w Mander Centre to nasza lokalna wersja Studio 54. Narkotyczna kopalnia złota. Nie miałam o tym pojęcia. A ja chodziłam tam kupować tylko zszywki.

Ale z tej rozmowy całowania nie będzie. Wymownie gapię się na Ali, która taktownie zabiera chłopaków z The Nova, „żeby poszli z nią zrobić... coś tam”, zostawiając mnie sam na sam z Całowaczem.

Ponieważ jeszcze nigdy z nikim się nie całowałam, nie bardzo wiem, jak uruchomić tę funkcję w mężczyźnie. Przypominam sobie wszystkie pocałunki, jakie do tej pory widziałam. Wiem, że powiedzenie: „A teraz możesz pocałować pannę młodą!”, na sto procent kończy się sukcesem – ale w tych okolicznościach wydaje się niestosowne.

Lei udało się nakłonić Hana do pocałunku, zanim ruszyli razem statkiem kosmicznym – ale ja nie mam akurat do dyspozycji takiej infrastruktury.

Próbuję sobie przypomnieć, jak zaczyna się całowanie w *Dźwiękach muzyki* – zwykle kiedy akcja przybiera już ckliwy i romantyczny charakter, przewijamy do przodu, bo Lupin woła: „Fu-uj!”, pamiętam więc jedynie, jak Christopher Plummer i Julie Andrews gonią się po pergoli – a wtedy Całowacz udowadnia, że jest godny swego imienia, i... zaczyna mnie całować.



To taki pocałunek jak w ustawieniach fabrycznych – jedno, dwa, trzy cmoknięcia w usta, a potem język do środka – ale to się dzieje! Całuję się! Kapitanowie tego klubu wybierają Aktywne Seksualnie Nastolatki do swoich drużyn i moje imię nareszcie zostaje wywołane!

Tkwię w pocałunku przez kolejne kilka minut – co jest trochę trudne, bo przeszkadzają nam moje włosy i ciągle musimy je wyjmować z ust. Wreszcie postanawiam coś z tym zrobić, mówię: „Czekaj chwilkę”, po czym spinam je w prostego, wygodnego kucyka i od razu wracam do całowania. Całowanie, tak jak zawsze to sobie wyobrażałam, jest czymś wspaniałym: umiejscowiłabym je gdzieś na drugim miejscu zaraz po telewizji, ale zdecydowanie przed chlaniem, wyciskaniem wągrów i wesołym miasteczkiem. Albo wyciskaniem wągrów na plecach Krissiego, co mój brat pozwolił mi zrobić którejś Gwiazdki, o ile obiecuję, że nigdy nikomu o tym nie powiem.

W którymś momencie otwieram oczy i po drugiej stronie sali widzę moją kuzynkę. Ali patrzy na mnie z założonymi rękami i pali papierosa.

„Nie żałuj sobie” – bezgłośnie porusza ustami.

Całujemy się dziewięć minut, jak później sprawdzam na zegarku, a potem na scenie pojawia się zespół i Całowacz mówi:

– O, lubię tę piosenkę. – I idzie na sam przód uprawiać *moshing*. Ale nie żywię za to do niego urazy. Wykonał swoją robotę. Jestem wdzięczna za jego usługi. Gdybym potrzebowała przegnać owce z jednego pola na drugie, wezwałabym pasterza. Gdyby obrączka wpadła mi do kolanka, wezwałabym hydraulika. A ponieważ potrzebowałam kogoś, kto po raz pierwszy mnie pocałuje, zanim będę o jeden dzień starsza, posłużyłam się Całowaczem. I teraz czuję się lepiej.

– Jak on ma na imię? – pytam Ali chwilę później. – Wiesz, ten Całowacz.

– Gareth – odpowiada. Patrzymy po sobie.

– To może zostaniemy przy Całowaczu – mówię.

Kiedy wracam do domu, Krissi leży ze śpiącym Lupinem w dużym pokoju i ogląda *Eurotrash*.

– Pomyślałem, że program może mieć dla niego wartość edukacyjną – mówi, spoglądając w dół na Lupina – ale zasnął, jeszcze zanim pojawili się nadzy faceci z firmy sprzątajacej.

– Całowałam się dziś po raz pierwszy! – obwieszczam triumfalnie. Całą drogę do domu myślałam tylko o tym, że zaraz powiem to Krissiemu. Wydaje mi się, że to ważne, żeby wiedział, co zrobiłam.

– O – mówi, wciąż gapiąc się w telewizor.

– Całowałam się! Pierwszy raz się całowałam! – powtarzam.

– Dobrze – mówi Krissi.

– Nie chciałam, żebyś się... martwił o te sprawy. Myślałam, że możesz myśleć, że ze mną jest coś nie tak. Ale nie-e! Istnieje ktoś, kto chce się ze mną całować!

Krissi spogląda na mnie.

– Czy to przypadkiem nie był Gareth? – pyta. – Taki... przeciętny chłopak?

– Tak! Tak! To był Gareth! – dyszę. – To był Gareth!

– W zeszłym roku migdalił się z Grubym Tommym – mówi Krissi tonem stwierdzającym fakt. Gdy zastanawiam się, co zrobić z moją twarzą, Krissi dodaje: – Tata chciał z tobą gadać. Jest w ogrodzie. Nawalony.

Ja też jestem nawalona, więc w porządku – mogę mu potowarzyszyć! W końcu o to chodzi w byciu pijanym!

Tata siedzi z tyłu ogrodu na ławce, którą zrobił sam, jakżeby inaczej, z deski i kilku cegieł. Papieros świeci w ciemności nad jego ręką jak malutki pomarańczowy błędny ognik.

– Hejka, Johan! – mówi, robiąc dla mnie miejsce. – Dobrze się bawiłaś?

– Taa – mówię i siadam obok niego.

Lubię, jak tak sobie razem siedzimy. Kiedy byłam młodsza, zawsze towarzyszyłam tacie w zakupach. Lubił przyjeżdżać do supermarketu wcześniej, zanim jeszcze ktokolwiek inny się pojawił. Siadaliśmy więc na murku przed sklepem, czekając, aż otworzą, a on opowiadał mi historie ze swojego życia, z czasów, gdy był jeszcze małym chłopcem i z siedmiorgiem rodzeństwa mieszkał we wsi Shropshire.

– Wtedy nie było żadnych zasiłków – mówił, gdy tak siedzieliśmy, a jakiś nastolatek w fartuchu ochronnym zgarniał wózki porozstawiane po całym parkingu, niemiłosiernie

przy tym hałasując. – Gmina przychodziła i szacowali twoje potrzeby. Jeśli miałeś jakieś meble, które nadawały się na sprzedaż – buch! Już po twoich pieniądzech. Więc kiedy ktoś zapukał do drzwi, wasza babcia ustawiała wszystko przy wejściu, a my chwytałyśmy za krzesła i stoliki i targaliśmy je na tył podwórka, i przekazywaliśmy sąsiadom. A oni robili to samo, gdy ktoś z gminy zapukał do ich drzwi. Cała ulica przerzucała materace przez płot, gdy w drzwiach rozlegało się pukanie. Z samolotu wyglądałoby to kurewsko zabawnie. Te ciągle migrujące meble. Wszystko, żeby uniknąć kłopotów.

– Musiało was łączyć wielkie poczucie wspólnoty – powiedziałam szczerze, dyndając nogami w promieniach wschodzącego słońca.

– Wcale nie. Było kurewsko okropnie. Wojna dopiero co się skończyła i połowa chłopów we wsi cierpiała na nerwicę frontową i chlała piwo. Mężczyźni znęcali się nad swoimi kobietami i nikt tego nie komentował. Walnęłam się w futrynę, mówiły, stojąc z podbitym okiem u rzeźnika. Było ponuro, Johan. Wtedy wszyscy byli bardziej okrutni. W szkole zakonnice lały cię linijką po łapach za to, że byłeś leworęczny.

– Ciebie też?

– Tak! Byłem aniołkiem. Byłem ślicznym, kurwa, dzieciaczkiem. A one brały mnie, stawiały przed całą szkołą i chlastały. Pięć razy w prawą dłoń, tak że nie byłeś w stanie utrzymać ołówka. Pieprzone krowy. – Myślę o charakterze pisma taty. Teraz pisze prawą ręką, a my zawsze śmialiśmy się z tych jego zawijasów, z tych pochyłych liter tu i ówdzie na opak. Jedną z rzeczy, które najbardziej lubi w zdiagnozowanym u siebie inwalidztwie, jest to, że nie musi składać czytelnego podpisu. „Tylko krzyżyk! Jak jakiś, kurwa, szpieg!” – To dlatego uciekłem i dołączyłem do zespołu – powiedział. – Wyrwałem się z tej nędznej dziury zabitej dechami. Wróciłem pół roku później w dzwonach potąd, z włosami długimi do samego tyłka. Z resztą zespołu. Wróciliśmy z lufkami do haszyszu przywiezionymi z Turcji i z kadzidelkami kupionymi w Londynie. Wszyscy byli w szoku. Nasz basista musiał jeść podwieczorek na dachu werandy.

– Dlaczego?

– Był czarny. Nigdy wcześniej nie widziano czarnucha w Shropshire.

– A skąd był? – spytałam.

– Z Bilston.

Uwielbiałam te rozmowy z tatą. Historie o tym kompletnie obcym miejscu – które jest tutaj, dokładnie tu, tyle że dwadzieścia pięć lat wstecz. Można by powiedzieć, że to całkiem niedawno, ale z perspektywy 1993 roku to jak średniowiecze, pełne brutalnych zakonnic, rozdających pieniądze księży, głodu, szczurów i lęku przed czarnoskórymi mężczyznami. Te historie dawały mi nieodparte poczucie, że wszystko, co składało się na mój świat: zasiłki, wielokulturowość, rock’n’roll, a nawet pisanie lewą ręką, to całkiem nowe wynalazki – świat tak nowy, jakby dopiero co wyjęty z opakowania. Docierało do mnie, jakie to wielkie osiągnięcie, uzyskane wolą małej, nielicznej grupy mężczyzn i kobiet, którzy pisali, myśleli, śpiewali i brali udział w demonstracjach. Gdyby zabito tych konkretnych dwustu ludzi, przyszłość, która teraz jest moją terażniejszością, nigdy by nie nadeszła. A może owa przyszłość nadeszła tak późno, bo wcześniej co jakiś czas na przestrzeni dziejów zabijano tych właściwych dwustu ludzi.

Za każdym razem kiedy tata opowiada mi historie o świecie swojej młodości, ciarki przechodzą mi po plecach i odczuwam ulgę połączoną z radością, że jestem tu i teraz. Myślę, że nie mogłabym być sobą w innych czasach. Nie byłoby mi wolno. Wiem, co kiedyś działo się z dziewczynami takimi jak ja. Miały stwardniałe ręce, tłustą cerę, nie pachniały i harowały fizycznie. Tyrały tak ciężko, że w wieku trzydziestu lat wyglądały na pięćdziesiąt. Pracowałabym w fabryce albo na polu, nie mając dostępu do książek, muzyki ani pociągu do Londynu. Byłabym jedną z miliona w smutnym stadzie bydła, stojącą w deszczu; przeminęłabym, nie zostawiając po sobie śladu. Nie byłabym kłopotliwą dziewczyną z cylindrem na głowie, która bywa w Londynie.

Wydaję z siebie cichy jęk „Ojoj”, współczując Johannie z szesnastego wieku.

– Co tam mówisz, mała? – pyta tata, a ja przypominam sobie, gdzie jestem: w ogrodzie, pijana.

– Nic, nic. Tylko cieszę się, że tu jestem – mówię, opierając głowę na jego ramieniu.

– Dziecko, musimy obmyślić jakiś plan, dobra? – Tata całuje czubek mojej głowy i robi sobie kolejnego skręta. – Jesteśmy z mamą na wojennej ścieżce. Dostaliśmy dziś list z wydziału zdrowia i opieki społecznej. Zakończyli już swoje do-cho-dze-nie i nie

zmienią nam sumy zasiłku.

– To wspaniale! Bogu niech będą dzięki!

– Nie, nie – mówi tata. – Nie zmienią nam na poprzednią, tylko będziemy dostawać tyle, ile teraz. Czyli mniej.

– Ale dlaczego? Powiedzieli dlaczego?

Och, proszę. Niech to nie będzie moja wina.

– Nie – mówi, wierząc się. – Tylko że... ktoś tam u nich... Tak czy siak, okazało się, że płacili nam za dużo. No i jesteśmy bez grosza.

– Mogę dać wam więcej pieniędzy! Jeśli nie będę oszczędzać. Oszczędzanie jest głupie. Potrzebujemy pieniędzy teraz.

– Twoja matka na to nie pójdzie – tłumaczy tata. – Dlatego musimy wykombinować coś innego. Jesteśmy rodziną i nie możemy być zależni od ciebie. Przede wszystkim to byłoby nie fair względem twojej osoby, kwiatuszku. Nie. Musimy wykorzystać nasze atuty. Znaczą się: ja i ty. Ty piszesz o muzyce. Ja ją tworzę. – Tu przerywa i zapala papierosa. – Musisz mnie tam wkłęcić, dziecko. Dać mi szansę. Napisać o mnie w tej gazecie. I do świąt będziemy milionerami.

Ponieważ jestem nabzdryngolona i ponieważ go kocham, i cieszę się, że żyję w dwudziestym wieku, przytulam tatę.

– Umowa stoi – mówię. Po czym przypieczętowujemy tę umowę uściskiem dłoni.

## Rozdział siedemnasty

Jako że moje recenzje mają już teraz stałe miejsce na łamach „D&ME”, dostaję pocztą przesyłki z płytami – dziesięć, piętnaście, a nawet dwadzieścia dziennie. Każda płyta, która wychodzi w Wielkiej Brytanii, jest dostarczana do mojego domu; spocony listonosz taszczy torbę wypchaną paczkami, jak ciężarna swój brzuch. Kiedyś skrzypienie drzwiczek skrzynki oznaczało jedynie rachunki i brązowe koperty z listem z urzędu. Teraz nasza codzienna poczta to płyty kompaktowe, płyty gramofonowe – siedmio-, dwunastocalowe i białe – oraz przedpremierowe kasety. Czuję się, jakby każdego dnia były święta. Muzyka pada z nieba jak deszcz.

Wkładam je wszystkie do kosza na pranie i zabieram do swojego pokoju, przesłuchuję, a potem rozdzielam na dwie sterty: te, które bardzo mi się podobają i na których nie napiszę „NIE BĄDŹ FANEM”, oraz te, na których nie zostawiam suchej nitki, obsypując je mnóstwem zabawnych, aczkolwiek krytycznych obelg pod adresem wszystkich zuchwałych cwaniaczków, którzy próbują przekonać brytyjską młodzież, by marnowała na nich czas i pieniądze.

W trzecim tygodniu pławienia się w tej obfitości, gdy jestem w połowie przesłuchiwania albumu, idę do łazienki, a gdy wracam, zastaję w swoim pokoju niespodziewanego gościa: Krissiego. Siedzi na podłodze i przegląda zawartość kosza.

– Cześć – mówię.

To zaskakujący obrót sprawy, ponieważ jego noga nie postąpiła w moim pokoju od Afery Diabelsko Swędzącej Cipki. Poważnie, Krissi nie zamienił ze mną słowa od Dnia Diabelsko Swędzącej Cipki – nawet wtedy, gdy chciałam ten incydent obrócić w żart, nazywając go Aferą Diabelsko Swędzącej Cipki. Kiedy to zrobiłam, po prostu odłożył talerz z owsianką, westchnął i wyszedł z pokoju.

Kolejnym smutnym następstwem Afery Diabelsko Swędzącej Cipki jest to, że już nie jestem w stanie myśleć o szatanie, gdy się masturbuję. Teraz Wielki Lucyfer niezmiennie kojarzy mi się z poirytowanym Krissim – a to mnie przeraża.

– Cześć, ohydo – odpowiada Krissi, nie przerywając grzebania w koszu.

– Co ro...

– Masz coś Bee Gees? – pyta Krissi.

– Tam chyba jest ich płyta *The Best Of ...* – mówię, wskazując na półki z desek i cegieł, takie jak u niego w pokoju, tylko że on trzyma na nich swoje sadzonki, a ja setki płyt CD. Gapię się na niego, gdy przechadza się po pokoju.

– Wczoraj znowu oglądałem *Grease* i przypomniałem sobie, jaki to kawał świetnej muzyki – mówi Krissi, przeglądając półki. – Muszę posłuchać ścieżki dźwiękowej z *Grease*.

Wyjmuję album i przystawiam go do odtwarzacza.

– Mam włączyć?

Krissi kiwa głową, a ja nastawiam płytę, podczas gdy on dalej przegląda zawartość półek.

– A masz coś Velvet Underground? – pyta, a superzgrabne, supermocne dźwięki ścieżki dźwiękowej z *Grease* wypełniają pokój. Zaczynam tańczyć w stylu hitch hike.

– Cóż, od rozpadu grupy w 1973 roku niczego nowego nie wydali, więc będę musiała wystosować specjalną prośbę do redakcji, żeby mi coś przysłali – mówię.

– Wiem, że już nie koncertują – mówi Krissi z pogardą w głosie. – Zauważyłem, że nie zapowiada ich już Gordon the Gopher w *Going Live!*

– Gordon the Gopher nie mógł ich zapowiedzieć – on jest niemy.

– Ale mógł ich zapowiedzieć gestem – droczy się ze mną Krissi i kładzie stertę płyt na moim biurku. – Mógł... wskazać ręką na Lou Reeda.

– Więc teraz interesujesz się muzyką? – I beztróska kładę się na łóżku.

– Zawsze interesowałem się muzyką, idiotko – mówi Krissi. Nagle znowu przypomina mi się, jak razem śpiewaliśmy *Sex Crime* Eurythmics. W drugi dzień świąt. Dla Grubej Babki. Zanim zmarła. Ma rację. – Tylko że inną niż ty. Ja też chodzę do biblioteki.

– Uuhu, a co wypożyczasz? – pytam. – Ej, nie mów, że to ty gwizdnąłeś mi sprzed nosa album Smashing Pumpkins? Cały czas na niego czekam.

– Akurat Smashing Pumpkins omijam z daleka – mówi Krissi. – Z tym nie da się nic zrobić.

- A co się robi z muzyką?
- Tańczy się do niej. Jak do KLF, Pet Shop Boys, Public Enemy, Ice T i do NWA.
- To hip-hop. Lubisz hip-hop? Skąd wiesz o hip-hopie?
- Czytam.
- Czytasz „D&ME”? Czytasz moje recenzje?

A to ci dopiero postęp. Krissi nigdy wcześniej, nawet raz, nie odniósł się do mojej pracy. Myśl, że potajemnie czytywał mnie od miesięcy, napawa mnie radością. Czuję się jak Bruce Wayne, gdy Vicki Vale mimochodem wspomina, że leci na Batmana.

– Nie, tego badziewia nie czytam – odpowiada lekceważąco Krissi. – Bez urazy, ale tam są same bzdety. Jakbym siedział w świetlicy i słuchał kłótni szóstoklasistów, którzy chcą być jak ten Fonzie z *Happy Days*. Ja lubię muzykę, Johanna. Czytam fanzyny. Lubię czytać „Thank You”.

„Thank You” to pierwszy fanzin, jaki pojawił się w środkowej Anglii, a jego autorem jest ZZ Top. To gazetka, do której ZZ pisze na boku. Ta sama, dzięki której w ogóle dostał robotę w „Dame”. Kosztuje pięćdziesiąt pensów, a w ostatnim numerze jest w niej pasjonująca i wartka analiza na dwa tysiące słów albumu Ice T *O.G. Original Gangster*. Recenzja kończy się następującym wnioskiem: „Cierpki, dziki, zmilitaryzowany funk – jakby Bootsy Collins po szybkim policyjnym pościgu, zakończonym karambolem, wylazł z wraku w płonących dzwonach i afro na głowie, z karabinem maszynowym w ręku, gotowy na wojnę”.

ZZ pisze tylko o ludziach, których lubi. Z wyjątkiem Stinga, z którym już długo toczy wyimaginowany spór. ZZ pisze jak fan. To dlatego wciąż jest najmilszym dziennikarzem w redakcji „Dame”.

Kiedyś słyszałam, jak Kenny nazwał go lekceważąco „groupie”. „«Thank You»? Nie, dziękuję” – powiedział, po czym roześmiał się histerycznie i dał ZZ-iemu kolejny główniany koncert do zrecenzowania, w jakiejś norze w Derby, płacąc dwa pensy od słowa.

– O – mówię do Krissiego, bo nie bardzo wiem, jak zareagować. Nigdy nie podejrzewałam, że mogę nie być ulubionym autorem mojego brata. Trochę dziwnie się z tym czuję. Zastanawiam się, czy znowu nie przeprosić go za Aferę Diabelsko Swędzącej Cipki, żeby w ogóle coś powiedzieć, ale Krissi, wyczuwając, że temat robi



się lekko drażliwy, wlepia we mnie wzrok i teatralnym gestem pokazuje na mnie palcem: zaczął się kawałek *Staying Alive*.

Krissi zaczyna podążać tanecznym krokiem w moim kierunku, podskakując w rytmie disco. Wciąż lekko urażona, nie ruszając się z miejsca, chaotycznie wywijam placami i wymachuję rękami w jego kierunku jak John Travolta.

Krissi mija mnie i wyłącza światło. To właśnie robiliśmy w dzieciństwie – urządzaliśmy dyskoteki w ciemności. Wyłączaliśmy wszystkie światła i tańczyliśmy do *Hotter Than July* Steviego Wondera – po ciemku, żeby móc się do woli wygłupiać, bez obawy, że zakłopotani zobaczymy, jak niezdarnie stawiamy kroki i trzęsiemy tyłkami w stylu bardzo nefunkowym.

Zawsze tańczę z Krissim w ciemnościach. Zawsze znajdzie się dla niego miejsce w moim karneciku. Nie mija trzydzieści sekund, a on zagania mnie do rogu. Dzięki zielonemu światełku z wieży stereo znajduję butelkę md 20/20, łykam raz i podaję Krissiemu – przez chwilę się waha, po czym bierze haust.

– Arrrh! – wydaje z siebie falsetowy odgłos.

– Ijaa! – odpowiadam falsetem.

Tańczymy i pijemy w rytm *Night Fever*, *Jive Talkin'* i *Tragedy*, po czym z hukiem opadamy na łóżko i spoceni, lekko nagrzeni słuchamy *I've Gotta Get a Message to You*.

– Boże, Bee Gees są tacy gejowaci – mówię w przerwie, gdy akurat nie śpiewam. Wiszę na Krissim tak jak kiedyś, gdy byliśmy bardzo mali – jak szczenięta na kocyku. – Bardzo chciałabym mieć przyjaciela geja. Zastanawiam się, czy jest jakiś gej w Wolverhampton. Myślę, że gdyby był, już dawno by go rozstrzelali.

Krissi lekko sztywnieje na łóżku, po czym wzdycha głęboko.

– Czy przypadkiem Kenny nie jest gejem? Ten z redakcji? – pyta. – Nie jest twoim przyjacielem?

Przez chwilę myślę o Kennym. Kenny, w tych swoich przyciętych spodenkach do joggingu, wciągający marnej jakości kryształ i potajemnie słuchający zespołu Yes.

– Nie, ten typ geja mi nie odpowiada.

I w tym momencie nagle zapalają się światła i wchodzi tata, wściekły jak nie wiem co.

– Co tak dudnicie jak jakieś, kurwa, Hefalumpy? Bliźniaki nie mogą zasnąć – mówi, gapiąc się na nas leżących na łóżku. Spogląda na odtwarzacz, na mnie leżącą na Krissim i na butelkę md 20/20 w mojej ręce. – Aaa, teraz rozumiem – dodaje po chwili, a gniew momentalnie mu mija. Wyciąga rękę w moim kierunku i nakazuje: – Płacić mi tu korkowe, już. – Nieudolnie próbuję schować butelkę pod kurtkę, ale tata nadal trzyma wyciągniętą rękę. Wręczam mu butelkę, a on przechyla ją jak zawodowiec. – To mi smakuje na jakieś piętnaście procent – mówi, przystawiając flaszkę do światła i oceniając zadziwiająco niski poziom zawartości alkoholu. Znowu bierze łyka. – Do tego napiwek, oczywiście – mówi, oddając butelkę. Wchodzi i siada na łóżku, każąc nam się przesunąć, i znowu wyjmuje mi z rąk butelkę. – I jeszcze VAT. – Kolejny haust. Już prawie nic nie zostało. – No to co tu robicie? – pyta, patrząc na płyty i koperty leżące na podłodze.

– Sortujemy pocztę – mówię. – Jako krytyk dzielę wszystko na dwie kategorie. – Te o tu to wygrani. – Wskazuję na jeden stos. – A ci tutaj to przegrani, których zamierzam rozgromić. – Tata patrzy na stertę kopert dziwnym wzrokiem. Przez chwilę nie wiem, jak odczytać to jego spojrzenie, a potem uzmysławiam sobie, że taki sam los spotykał jego płyty, które wysyłał do Londynu – dostawał je z powrotem z uprzejmą adnotacją: „Drogi Panie MORRIGAN, dziękujemy, że dostarczył nam Pan swój materiał do oceny, lecz niestety...”. Zapada długie milczenie. – Niedługo napiszę ci recenzję, tato – mówię. – Tylko muszę poczekać na właściwy moment.

– Taa – przytakuje tata. – Musisz wybrać odpowiedni moment. To wszystko kwestia wyczucia czasu. Układu gwiazd na niebie. To bardziej skomplikowane, niż się wydaje.

Spoglądam na niego. Ma zwężone źrenice. Widocznie wziął dziś dużo tych swoich leków.

## Rozdział osiemnasty

No bo... jestem trochę zajęta innymi sprawami. Moje usta są zajęte. Mijają dwa miesiące, a ja migdałam się już z Tonym Richem sześć razy.

Ostatnio w jego mieszkaniu, gdzie wpadam na noc – po trzech długich, wolno płynących, wilgotnych godzinach całowania się przy blasku zielonego światła z jego komputera (na którym widnieje niedokończony esej o My Bloody Valentine) stojącego w rogu pokoju – wchodzę na niego i okrywam jego twarz cieniem.

Tej nocy się nie pieprzymy, bo Rich „w pewnym sensie jeszcze z kimś jest”, ale tego „kogoś” już nie ma, kiedy następnym razem przyjeżdżam do Londynu.

– Jestem już wolny – mówi, gdy siedzimy w pubie po spotkaniu redakcyjnym. A potem wyciąga mnie na zewnątrz i całuje w bramie nagrzanej letnim słońcem. Gdy spoglądam w górę, połowa redakcji patrzy na nas przez okno i rzuca sarkastyczne okrzyki. Macham do nich ręką jak królowa Elżbieta, a Rich pokazuje im dwa palce ułożone w literę V, po czym znów zaczynamy się całować, a oni w końcu tracą nami zainteresowanie i się rozchodzą.

Wracamy do środka i usiłujemy dołączyć do rozmowy – ale oboje jesteśmy tak napaleni, że dłużej nie daje się tego ukryć. Jego ręce wędrują po moich udach, wsuwają się pod spódnicę, a kiedy siedzę oparta o niego plecami, czuję, jak mocno bije mu serce.

– Nie sądzicie, że powinniśmy pozwolić pandom rozmnażać się w ustronnym miejscu, gdzie nikt im nie będzie przeszkadzał? – mówi wreszcie Kenny do towarzystwa zebranego przy stole, kiedy moje rozszerzone źrenice i coraz bardziej oderwane od tematu odpowiedzi Richa dają jasno do zrozumienia, że nie jesteśmy w stanie w tej chwili udzielać się towarzysko.

Biorę Richa za rękę, wychodzimy i znów się całujemy. Te pocałunki są niesamowite. Rich nie całuje już jak przeciętny Całowacz. Jego pocałunki przyprawiają mnie o... dreszcze. Usta Richa są tak ogromne i wzdęte – czuję się jak na

niekończącej się uczcie, na bankiecie, na który wreszcie mnie zaproszono. Jego pocałunki mogłyby przywrócić życie umierającym. Bierze moją twarz w swoje ręce i porusza się z leniwą, niecierpliwą rozkoszą – jestem przekonana, że nikt przede mną nie zaznał tak cudownego całowania. Że w ogóle nikt wcześniej nigdy się nie całował. To my wymyśliliśmy całowanie w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Jeśli będziesz podążał w górę rzeki wszystkich pocałunków na świecie, dotrzesz tutaj – do bramy pizzerii naprzeciwko Waterloo Station, tuż obok której przejeżdżają taksówki, przechodzą niczego nieświadomi ludzie, a Tony Rich całuje kąciki moich ust – powoli, z namysłem – by po chwili znów głęboko penetrować ich wnętrze swym językiem. Pierwsi ludzie, którzy wpadli na ten pomysł. Pierwsi z najpierwszych.

A kiedy ktoś całuje cię w ten sposób, czujesz się jak w niebie, jakbyś poleciał na Księżyc, jakbyś znalazł się na polu pełnym skowronków. Moje buty nagle warte były milion funtów, a mój oddech pachniał szampanem. Kiedy ktoś całuje cię w ten sposób, czujesz, że możesz wszystko.

To ja zaproponowałam, żebyśmy wzięli taksówkę, to ja rozpięłam pierwszy guzik, gdy przejeżdżaliśmy przez Waterloo Bridge. W książkach elegancki mężczyzna, zanim otworzy drzwi swego mieszkania, zawsze mówi: „Jesteś pewna, że tego chcesz?”, ale Tony nie zadał tego pytania, byłaby to tylko niepotrzebna strata czasu. Biło ze mnie takie pożądanie, że obojgu nam kręciło się od niego w głowach. A kiedy czujesz na sobie, że od prawie godziny facet ma wzwód, ty też nie musisz zadawać tego pytania.

No i poszliśmy do łóżka i pieprzyliśmy się.

Utrata dziewictwa to dziwne uczucie, jeśli myślało się o tej chwili przez wiele lat. Nic związanego z seksem nie było zaskoczeniem – oprócz tego nowego, odkrywczego całowania, którego nie przepowiedziałby nawet sam Nostradamus masturbacji, dopóki nie przydarzyłoby się to jego ustom. Podstawowa mechanika związana z seksem była taka, jak się spodziewałam: wilgotne palce, usta i nagle – w końcu! – ktoś jest we mnie.

Nie miałam orgazmu – ale nie było to dla mnie zaskakujące, bo pragnęłam jedynie uprawiać seks. Nie miałam pojęcia, jakiego seksu oczekuję. Chciałam po prostu jakiegoś seksu. To była ogromna, burzliwa, wynikająca z palącej potrzeby

przyjemność, a potem wyczerpani leżeliśmy obok siebie i śmialiśmy się. I w ten oto sposób straciłam dziewictwo z Tonym Richem, który kiedyś był tylko słowami w magazynie muzycznym, a teraz pozostawił siniaki na moich udach, tam gdzie chwycił mnie swoimi palcami, krzyząc moje imię. Sprawiałam, że krzyczał moje imię – „Dolly!” – głośno, jakby to było pierwsze słowo, jakie kiedykolwiek wypowiedziano. A kiedy je wykrzyczał, na krótką chwilę zrobiło mi się niespodziewanie smutno, że nie powiedział „Johanna!” – ale zignorowałam to uczucie.

Wreszcie zobaczyłam, że zaczynam pojawiać się na świecie – bo uprawiam seks i drukują moje słowa. Powoli stawałam się widoczna na końcu teleskopu.

Nie, seks nie był czymś zaskakującym, czymś nieznanym, czymś, o czym musiałabym się przekonać, pieprząc się.

Co innego było dla mnie zaskoczeniem. Niesamowite w seksie jest to, że nagle masz kogoś całkowicie tylko dla siebie, po raz pierwszy, odkąd byłaś niemowlęciem. Kogoś, kto patrzy na ciebie – tylko na ciebie – myśli o tobie, pragnie cię i dla tej całej jego uwagi wcale nie musisz leżeć pod schodami i udawać martwej.

Odczuwałam taką przyjemność, zdzierając koszulę z Richa, że myślałam, iż umrę – zdejmując koszulę z mężczyzny, wreszcie możesz poczuć się jak dojrzała kobieta. To nie zadanie dla jakiejś czternastoletniej gówniary. Tylko kobiety mogą to robić.

I jesteś w pokoju za zamkniętymi drzwiami, przez które nikt inny nie przejdzie. Nikt nie wejdzie i ci nie przeszkodzi – nie usiądzie obok ciebie i nie przerwie ci rozmowy. Nikt cię stąd nie wykopie. Nie będzie tego smutnego momentu, gdy kończy się rozmowa przez telefon, gdy nagle zapalają się światła i przestaje grać muzyka, gdy musisz już iść do domu, sama, po skończonym koncercie albo przyjęciu.

Wydawało mi się, że właśnie z tego powodu ludzie tak bardzo chcą się pieprzyć. Żeby się tu dostać. W to małe, zaciszne miejsce, gdzie nie ma nic innego do roboty, tylko być ze sobą. Być dwojgiem ludzi, którzy przez krótką chwilę nie pragną niczego innego. To piękny, wspaniały, cudowny punkt docelowy. Koniec wszystkiego.

Przyjemnie jest tak leżeć w świetle lampy. Tony bierze moją rękę i ogląda wewnętrzną stronę ramienia. Są tam ślady po ugryzieniach z czasów, gdy jeszcze byłam nieszczęśliwa.

– Sama robiłaś sobie malinki? – mówi żartobliwie. – Używałaś sobie sama ze sobą?

– Tak, ale ja i ja to otwarty związek. Możemy umawiać się też z kimś innym.

Robi tosta z serem i pieczarkami („Oto czego głównie nauczył mnie Harvard”), co wygląda dość egzotycznie, i nalewa czerwonego wina – ze sklepu obok, niestety – i pijemy je z wysokich zielonych szklanek, i och! jest tak cudownie. Nie sądziłam, że poderwanie kogoś i beztrioskie pieprzenie się z nim może być tak cudowne.

Z książek dowiedziałam się, że drugi stosunek jest wolniejszy, bardziej oniryczny i daje większe zadowolenie, lecz kiedy skończyliśmy jeść, pieprzyliśmy się drugi raz i było jeszcze bardziej niecierpliwie niż poprzednio, i znowu nie miałam orgazmu. A gdy on doszedł, poczułam się niebywale... pożyteczna. Mężczyźni muszą mieć orgazm – a ja do niego doprowadziłam. Miałam konkretny cel.

Rano powiedziałam: „Powinniśmy to powtórzyć”, na co odrzekł: „Wracaj szybko”, a potem całował mnie na przystanku, aż przyjechał autobus i zabrał mnie stamtąd. Przystawiłam usta do szyby, żeby ostygły od całowania. Całowanie wcale nie ostudziło moich gorących emocji. Byłam napalona jeszcze bardziej.

Dziwnie było wrócić do domu w Wolverhampton. Czuję się, jakbym właśnie wróciła z wygranej bitwy. Spośród wszystkich tygodniowych osiągnięć naszej rodziny mój czyn był zdecydowanie najbardziej chwalebny. W każdym innym świecie powinnam otworzyć drzwi kopniakiem, jak lord Flashheart w *Czarnej zmi*, i krzyknąć: „Tak! Błony dziewiczej już nie ma! Już się o nią nie martwcie”, a potem biegać wkoło pokoju, przybijając piątkę rodzicom i rodzeństwu. Zrobiłam to dosłownie dla drużyny.

Wiedziałam jednak, że w dobrym świecie oczywiście nie wypada tego zrobić. Bez względu na tę niesprawiedliwość – a było to ogromnie niesprawiedliwe – musiałam udawać, że mam za sobą kolejny normalny tydzień, w którym nie doprowadziłam do żadnej erekcji, nie byłam jednym z deblistów klasyfikacji olimpijskiej w całowaniu ani wcale nie sprawiłam, że facet, który studiował w Ameryce, miał wytrysk wprost do mojej średnio wyedukowanej pochwy.

Usiłując doprowadzić do rozejmu między moim instynktem a barierami towarzyskimi, postanowiłam, że będę się przechadzać po domu z wyrazem wielkiego

zadowolenia na twarzy.

– Co jest z twoją twarzą? – spytał Krissi, gdy robiłam sobie kanapkę z serem. Po dwóch dniach nieobecności w domu nagle spojrzałam z innej perspektywy na ilość margaryny rozsmarowanej na blacie.

To pomieszczenie stwarza zagrożenie dla naszego zdrowia.

– O co ci chodzi? – spytałam, krojąc ser i robiąc jeszcze bardziej zadowoloną minę.

– O twoją twarz. Mam ochotę podejść i cię spoliczkować – wyjaśnił Krissi, wpatrując się we mnie. – Nadaje do mnie na częstotliwości, której nie słyszysz. Błaga mnie, żebym podszedł i ją uderzył w oba policzki naraz. Trzask-prask.

– Nic takiego – powiedziałam, nie przestając trzeć sera na kanapkę. – Tylko... czuję się ponętna. No wiesz, czuję się jakby... seksowna.

– Wyglądasz seksownie. Naprawdę seksownie.

– Dziękuję! – odrzekłam.

– ...seksownie jak ta pacynka Basil Brush. Podobnie jak Basil umiesz przenikliwie i długo śmiać się z własnych żartów. No i – dodał, wychodząc z kuchni – jakiś facet miał rękę w twojej dupie.

Później tego samego wieczoru wypowiadam przy Krissim słowo „pardwa”, co jest naszym kryptonimem operacji „Spotkaj się ze mną w szafie, a zdradzę ci pewien sekret”. Tam zwieramy się sobie ze wszystkich naszych tajemnic. To właśnie tam przyznałam, że podoba mi się Jason z *Eskadry Orła*, a Krissi wyznał, że jemu też, i ustaliliśmy, że gdy dorośniemy, poślubimy kogoś z Załogi G albo do końca życia zostaniemy singlami. Ale to było dawno temu.

Siedzimy w szafie, przyciśnięci do siebie – o wiele więksi niż wtedy, gdy byliśmy tu ostatni raz.

– Tak? – zagaduje podejrzliwie. – Co?

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że jakiś facet miał rękę w mojej dupie? – pytam.

– No wiesz – mówi Krissi.

– Co?

– Wiesz przecież.

– Nie, nie wiem! – odpowiadam, choć oczywiście wiem.

– To oczywiste – mówi Krissi. – Gratuluję.

Cisza.

– Chcesz mnie o coś spytać w związku z tym?

– Nie! – odpowiada natychmiast Krissi. Cisza. Krissi ewidentnie toczy w sobie walkę: ciekawość kontra przerażenie. W końcu pyta: – Bolało?

– N...

– W sumie to wcale nie chcę tego słuchać. – Krissi zbiera się do wyjścia z szafy. Wciągam go z powrotem do środka i siedzimy tak w milczeniu, aż wreszcie mijają mu mdłości. – Czy zdjąłeś z niego wszystkie ubrania? – pyta wreszcie.

– Taa – mówię.

– O Boże.

– Przykro mi – dodaję.

– W porządku. – Krissi wzdycha co jakiś czas. Sapie i dyszy, aż wreszcie wyjaśnia: – Chodzi o to, że chcę ci zadawać pytania, ale dosłownie nie jestem w stanie znieść odpowiedzi, bo wtedy wyobrażam sobie ciebie uprawiającą seks, a wtedy z kolei mam ochotę popełnić samobójstwo, zaraz po tym, jak wcześniej pozabijam całą rodzinę. I każdego, kogo znam. I, Boże, nie chcę myśleć o tym, jak uprawiasz seks.

– Musisz myśleć o tym, że uprawiam seks.

– Nie! To jest obrzydliwe.

– Tylko pomyśl... ja uprawiająca seks.

– Nie!

– Ja uprawiająca seks. Ja uprawiająca seks. Ja uprawiająca seks. Ja uprawiająca seks. – Kriss daje mi braterskiego kuksańca. Każdy, kto ma brata, wie, co to oznacza: kuksaniec, który naprawdę boli dosyć mocno, bo ma boleć, lecz o którego nie można się gniewać, za którego nie da się odwdziżyć tym samym, bo wiesz, że sobie na niego zasłużyłeś – bo czasami chcesz, żeby twój brat czy siostra ci przywalili. Nikt nie wie, dlaczego tak jest, ale tak to działa. Znowu siedzimy, nic nie mówiąc. Wreszcie wychodzę z propozycją: – To może nadajmy bohaterom jakieś inne imiona? Nie ja i Tony Rich, tylko, powiedzmy, Peter Venkmann i Dana Barrett?

Krissi przystaje na to.

I w ten oto sposób opowiadam mu, jak Dana Barrett z *Pogromców duchów* utraciła



dziewictwo z Peterem Venkmannem z *Pogromców duchów*, a Krissi zadaje kilka dodatkowych pytań i trzy razy mówi „Fuj!” albo „Niech skonam”.

W pewnym momencie nakłada na głowę poszewkę od poduszki i bardzo cichym głosem pyta: – A jak wyglądał jego kutas?

Na co odpowiadam:

– Skórę miał mięciutką jak niemowlęcy sweterek i był lekko przekrzywiony w lewą stronę.

Myszę, że dlatego, iż Rich jest leworęczny i wali konia lewą ręką. Byłam dumna z moich obserwacji i wniosków. Czułam się jak... David Attenborough badający zachowania niektórych gatunków mrówek.

A kiedy kończę, kiedy już opowiedziałam Krissiemu, jak to jest uprawiać seks po raz pierwszy, oboje jesteśmy zgodni co do tego, że już nigdy, przenigdy nie będziemy o tym rozmawiać.

Wychodząc z szafy, zostawiamy tam utratę mojego dziewictwa, wśród czarnych worków na śmieci wypchanych starymi płaszczami.

Krissi schodzi do swojego pokoju i włącza na cały regulator *I've Gotta Get a Message to You*, czym budzi bliźniaki, które płacząc, wydają z siebie dźwięk wyższy i bardziej uporczywy niż bracia Gibb śpiewający na głosy.

## Rozdział dziewiętnasty

Przez cały ten czas pisuję do Johna Kite'a – dwa, trzy, cztery listy tygodniowo. Tyle samo dostaję od niego odpowiedzi. Piszę przy moim biurku, patrzę na zdjęcia Kite'a na ścianie, strzepuję popiół do jego popielniczki. Kite jest akurat w studiu w Walii i nagrywa nowy album.

To pierwsza osoba, której opowiadam o stracie dziewictwa – jeszcze długo przed tym, jak wciągnęłam Krissiego do szafy i spowodowałam u niego uraz psychiczny. Siedziałam w pociągu w drodze do domu – wciąż obolała – i pisałam Johnowi o tym, co stało się poprzedniego wieczoru.

Chociaż w tamtej chwili byłam rozdziwiczona dopiero od czternastu godzin, to, co napisałam, było listem od kogoś bardzo niedoświadczzonego – teraz wstydziłabym się napisać coś tak dziwnie, niewinnie pornograficznego. Nie wiedziałam, że zwykle nie pisze się do przyjaciół listów, w których obrazowo przedstawiasz, jak ktoś cię obraca i pieprzy tak, że aż zaczynasz jęczeć. Że opowiadanie o tym, jak ślizgasz się od potu i ujeżdżasz kogoś nago, w samym łańcuszku, który skacze ci po obojczyku, to... przesada. Myślałam, że kiedy już wchodzisz do świata ludzi pieprzących się, w ten sposób mówią ci, którzy pieprzą, i ci, którzy są pieprzeni – bez względu na sytuację społeczną.

Ludzie Pieprzący prawdopodobnie rozmawiają w ten sposób w supermarkecie, myślałam, albo czekając w kolejce na zmianę opon.

I prawdę powiedziawszy, nawet gdybym była świadoma, że to nieprawda, i tak napisałabym ten list. Oraz wszystkie inne sprośne listy, które napisałam później. Nieprzypadkowo dorwałam pierwszego faceta, jaki się napatoczył po tym, gdy John mnie pocałował. John zaczął coś, czego nie mógł dokończyć, a ja, roziskrzona, musiałam poszukać kogoś, kto mógł to za niego zrobić. Można powiedzieć, że właściwie straciłam dziewictwo z Johnem. Kiedy mu o tym pisałam, chciałam, by wyobrażał sobie, że to on mnie wtedy pieprzył. Chciałam, żeby te listy go poruszyły,

żeby przyjechał i mnie wziął.

Jego odpowiedź jednak była jednoznacznie bezstronna: „Chryste, Księżno, marnujesz się jako krytyk muzyczny. To jest najwyższej jakości perwersyjna, podniecająca gadka. Mogłabyś to wysłać do redakcji tego pornosu „Razzle” i już nigdy nie musiałabyś recenzować koncertu Bum Gravy w George Robey. Masz na bank pięć zwałonych koni na pięć możliwych. Chociaż wybaczone, ale będę udawał, że bzykałaś się z kimś innym niż z Richem. A to dlatego, że nie mogę znieść, że on popiera Lou Reeda. Nienawidzę Lou Reeda. Wygląda jak ten pojebany Erik Estrada z *CHiPs*, z fochem na twarzy”.

No ale jeśli mam być szczerą, chcę, by wszyscy wyobrażali sobie, że się ze mną pieprzą. Bo traktuję swoją utratę dziewictwa jako trampolinę do rozpoczęcia intensywnego Poszukiwania Okazji do Rżnięcia. Chcę być jak James Bond, który nie wyjdzie z przyjęcia, jeśli wcześniej kogoś nie przeleci albo czegoś nie wysadzi. To jest obecnie mój wzór do naśladowania.

Pierwotnie wybrałam go na wzór, mając więcej nadziei niż oczekiwania. Bo do tej pory, zanim przespałam się z Tonym Richem, moje rozumienie świata mówiło mi, że jako gruba dziewczyna mogę liczyć jedynie na to, że ktoś przeleci mnie może ze trzy, cztery razy w życiu – a połowa tych rżnięć będzie z litości; wszystkie po pijaku i byle jak. Potem ustatkuję się z jakimś grubym mężem i pozostawię przypadkowe kontakty seksualne pięknym, chudym dziewczynom, dla których ta rozrywka została wymyślona. Gdybym była panną Sex Bond, to film z moim udziałem nosiłby tytuł *Rżnie się tylko dwa razy – jeśli ma się szczęście*.

Teraz jednak odkryłam, że tak czy inaczej, każda kobieta może zostać wyrwana, kiedy tylko zechce. Każda kobieta. Kiedy tylko zechce. To największy, najbardziej niesamowity sekret na ziemi. I naprawdę nie liczy się, czy jesteś jakąś grubą panną z cylindrem na głowie mówiącą z akcentem z Wolverhampton. To jest śmiesznie proste. Idziesz na imprezę albo na koncert i zagadujesz do kogoś, kierujesz rozmowę na temat seksu – nieważne jak, zresztą wszystko i tak sprowadza się do seksu – a dwadzieścia minut później szaleńczo gsisz się z kimś w ciemnym kącie pokoju, próbując między pocałunkami dowiedzieć się, gdzie mieszka.

Na lato 1993 mam dokładnie wyskalowaną mapę miejsc w Londynie, w których zamierzam się pieprzyć – wszystkie wyznaczone metodą triangulacji od Euston Station, gdzie nieodwołalnie będę musiała wrócić rano, żeby dostać się do Wolverhampton. Nie dalej na wschód niż Clerkenwell, nie dalej na zachód niż Kensal Green, nie dalej na północ niż Crouch End i nie dalej na południe niż Stockwell. Jeśli miejsce jest oddalone więcej niż dwadzieścia pięć minut taksówką od jakiegoś klubu w Soho, w którym akurat jesteśmy, ostatecznie nie podejmę się odbycia stosunku seksualnego – na własnej skórze przekonałam się, jak nieprzyjemnie jest wracać o dziewiątej rano z Putney do centrum z malinką na szyi.

Żywię też nieuzasadnioną nienawiść do District Line i powołam się na nią w niepewnych i wątpliwych przypadkach:

– A może pójdziemy do mnie i – wkładam rękę do biustonosza – tam dokończymy tę rozmowę?

– A gdzie mieszkasz?

– W Earl's Court.

– Przykro mi, ale dzisiaj mam nockę w schronisku dla bezdomnych i chyba raczej tam się prześpię. Pa.

Dużo się uczę po drodze. Jeśli z każdym napotkanym pijanym mężczyzną pogadasz o seksie, w kilka minut masz dostęp do zachowań i postaw seksualnych wszystkich generacji, do zapasów mądrości i opinii. Jeden gwiazdor rocka mówi mi, że „zawsze pozna, jak inteligentna jest dziewczyna, po jej chodzie”.

Wprawia mnie to w zakłopotanie. Mam bardzo wątłe kostki, co oznacza, że w zasadzie chodzę jak pingwin. Zawsze uważałam się za dosyć bystrą dziewczynę – ale może jednak moje kostki wiedzą lepiej? A może tylko moje kostki są głupie?

Całymi tygodniami usiłuję zmienić swój chód; próbuję domyślić się, jak chodzi mądra dziewczyna. Najprawdopodobniej chodzi „szybko i zdecydowanie”, więc zaczynam poruszać się mniej więcej jak T-1000 w *Terminatorze 2*, kiedy zaczyna biec za samochodem. Jest to totalnie wyczerpujące, a w dodatku nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wcale nie wyglądam wtedy na mądrą. Powinnam poprosić o więcej szczegółów.

Jakiś basista mówi mi podczas zakrapianego alkoholem wywiadu, że dla kobiety kluczem do bycia dobrą w łóżku jest to, by „nigdy nie pozostawiać jednej ręki beczynnej – zawsze robić coś obiema rękami”.

I to też mnie martwi. Następnym razem, kiedy uprawiam seks, przypominam sobie o tym i zaczynam z roztargnieniem klepać po plecach leżącego na mnie faceta, jakbym odbijała niemowlę. O to mu chodziło? Nie wydaje się to bardzo zmysłowe. Wszyscy ci goście mówią bardzo ogólnikowo.

Inni natomiast mówią bez ogródek. Pewien gość z działu A&R (nie jest kimś, z kim chciałabym się przespać, ale stoi obok osoby, z którą chciałabym się przespać, więc wpadam w ogień krzyżowy naszego flirtowania) mówi mi ze śmiałością w głosie, że w kwestii grubych lasek wie „wszystko”: „Są dobre w dwóch rzeczach – pływaniu i robieniu lodu”.

Wyjaśnia, iż to dlatego, że w szkole grubaski nie lubią sportów, które wiążą się z bieganiem („Bo wtedy cycki im podrygują, co nie?”), i z tego powodu chętnie przebywają w wodzie: „Bo tam nie czują się ciężko. Lubią unosić się na wodzie”.

A co do robienia lodu: „Nie trzeba zdejmować ciuchów. Grube laski nie lubią się rozbierać”.

Chyba nie muszę wam mówić, że nie uprawiam z nim seksu; mimo to myślę sobie: mój Boże! Ja przecież bardzo dobrze pływam! I z niechęcią zastanawiam się, czy mógł mieć rację co do robienia lodu. Tego jeszcze nie próbowałam – ale to zdecydowanie coś, w czym chciałabym być dobra. Zdobycie umiejętności ciągnięcia druta to definitywnie coś, czym zamierzam się zająć w tym roku, podczas gdy większość moich rówieśników akurat koncentruje się na maturze.

Chcę mieć dużą wiedzę w dziedzinie seksu; większość moich dowcipów opiera się głównie na podtekstach seksualnych i muszę wiedzieć, o co właściwie chodzi w tym, z czego żartuję. Do tej pory to głównie domysły oparte na książkach, na tym, co przeczytałam w wywiadach i co widziałam w filmach.

Czuję nagłą potrzebę dokończenia się w zakresie pieprzenia. To atrybut, którego pragnę. Chcę być szanowana i podziwiana za to, jaki ze mnie fantastyczny kawał dupy. Właściwie to chciałabym, żeby przedstawiano mnie w ten sposób: „To jest Dolly Wilde – kawał fantastycznej dupy” – ale jedyna droga do tego prowadzi przez częsty

seks. A to niesie ze sobą pewne konsekwencje.

Uważam mianowicie, iż to niesprawiedliwe, że jedyną drogą do zdobycia kwalifikacji w tej dziedzinie, seksie, który w społeczeństwie uznawany jest za rzecz ważną i pożądaną, jest intensywne i częste puszczanie się – czego już społeczeństwo nie uznaje za rzecz istotną i pożądaną. I to mnie najbardziej wkurza.

Nikt nie uwłaczałby hydraulikowi, który ma bogate doświadczenie w montażu instalacji sanitarnych! – mówię do siebie z wściekłością za każdym razem, gdy słyszę słowa „rozwiązła zdzira” i przypominam sobie, że tyczy się to mnie. Nie ubliżyłbyś weterynarzowi, który wybawił od śmierci trzysta świnek morskich! To dokładnie to samo! Uczę się przez praktykę! Poszerzam moje CV! Dzięki temu możesz powiedzieć, że znalazłeś się, a raczej twój kutas znalazł się w dobrych rękach!

W ramach zwalczania poczucia wstydu często powtarzam sobie słowa „rozwiązła zdzira”, żeby aż tak nie bolały, gdy ktoś wymówi je pod moim adresem. Jestem rozwiązłą zdzirą! – mówię do siebie w myślach w sposób motywacyjny. Jestem Poszukiwaczką Seksualnych Przygód! Jestem Piratem Miejsc Intymnych! Jestem sympatyczną, wspaniałomyślną, rozwiązłą zdzirą – a teraz zrobię sobie zdzirowskie śniadanie. Postanawiam, że *Teenage Whore* Courtney Love będzie od teraz moim osobistym hymnem.

Jest kilka obszarów seksu, w których chcę się specjalizować. Pierwszy z nich to sadomasochizm, seks perwersyjny. Dzięki Krissiemu dość nasłuchałam się płyt Velvet Underground, by wiedzieć, co to kochanka z pejczem, i w pragnieniach masochisty słyszę szaleńczy głód seksu, który sama czuję. Mężczyzna, który chce być zdominowany, odczuwa tę samą, rozpaczliwą, niemal nieodłączną potrzebę bycia rządzonym, która i mnie towarzyszy. Chcę pomóc tym gościom. Znowu chcę poczuć się przydatna. Jeśli jakiś mężczyzna zapragnąłby być moim sługusem, z rozkoszą bym mu w tym pomogła. Jak małym start-upem – z przyjemnością wypełniłabym tę niezaspokojoną rynkową niszę. Wysmagałabym tych spragnionych chłopców z całą swoją życzliwością.

Drugim obszarem jest seks oralny. Legenda głosi, że to, czego chłopcy pragną najbardziej, to żeby dziewczyna zrobiła im loda – i ponieważ pilnie uczę się działania mechanizmów rynkowych, jestem bardzo zainteresowana tą dziedziną seksu. Margaret

Thatcher w zasadzie ukształtowała mnie w tym kierunku. Wszystkie przeczytane przeze mnie materiały na ten temat dają mi do zrozumienia: kluczową sprawą w robieniu loda jest to, że trzeba połykać. Dziewczyny, które nie połykają, są grymaśne i należy je do tego przymuszać – co jest przykre dla obu stron. Żeby zdominować rynek, jak najbardziej zamierzam połykać. Pod tym względem moje usługi będą totalnie bezstresowe i nikt nie będzie musiał się wstydić ani czuć się niezręcznie.

Chcę także opanować jedną z umiejętności poza obszarem seksu: pisanie na komputerze z papierosem w ustach, jak w filmie *Dziewczyna Piętaszek* i na każdym zdjęciu Huntera S. Thompsona. Już kiedyś próbowałam, ale dym zawsze wchodził mi do oczu tak, że jednocześnie paliłam, płakałam i pisałam.

Ostatnim razem Krissi, gdy zobaczył, co robię, wyszedł z pokoju i przyniósł mi okulary do pływania.

– Żebyś wyglądała jeszcze bardziej cool – powiedział, kładąc je na moim laptopie, i pogłaskał mnie po głowie z politowaniem.

Trzy tygodnie po tym, jak uprawiałam seks z Tonym Richem, zaczynam realizować postanowienia z mojej listy. Spróbowałam trochę sado-maso, zainspirowana teledyskiem Madonny do *Justify My Love*, moim podstawowym źródłem praktycznych informacji.

Jeden nieszczęśnik, który zabiera mnie do siebie, wydaje się bardzo podekscytowany, gdy pytam go: „Widziałeś teledysk do *Justify My Love*?”, a potem bardzo zaniepokojony, kiedy mruczę: „Dasz radę to wytrzymać?” i kapię mu na jajka roztopionym woskiem ze świecy. „Jezu Chryste!” – drze się, wyskakując z łóżka, i skrobie swoje genitalia, rozsypując wszędzie czerwony wosk.

Gdy widzę go następnym razem, na koncercie, w dalszym ciągu stoi jakoś pokracznie i unika mojego wzroku. Wygląda na lekko przestraszonego. Później doszły mnie słuchy, że miał na jajach tyle zaschniętego wosku, że musiał w końcu ogolić sobie całą prawą stronę, żeby się go pozbyć, i że z tego powodu koledzy wołają na niego „Phil Oakey”.

Oczywiście za bardzo podrażniłam tego penisa, żeby móc go potem wziąć do ust, ale mija tydzień i jestem w mieszkaniu w Ladbroke Grove, na samej granicy mojej

seksmapy – cztery ulice dalej na zachód, i już bym dała gościowi kosza. Robię pierwszą w swoim życiu laskę. Przyswoiłam kilka zasad Jilly Cooper: głównie tę, że najważniejszy jest entuzjazm i że końcówka penisa – część, która kojarzy mi się z głową kapitana Jeana-Luca Picarda – to miejsce, na którym należy koncentrować całe działanie. Natomiast logika i własna praktyka masturbacyjna nauczyły mnie, że trzeba to robić rytmicznie i na samym końcu trochę przyspieszyć, jak w kawałku *Release* zespołu Aztec Camera.

Penis wydaje się prostym, łatwym do zrozumienia mechanizmem. Przynajmniej na początku.

Najpierw, ku mojemu zaskoczeniu, trzymanie go w ustach jest całkiem przyjemne, nawet uspokajające. Jak ssanie kciuka przy jednoczesnym uszczęśliwianiu drugiej osoby. Podoba mi się jego życzliwość – czuję się dziwnie zaszczycona, bo zaufał mi, że go nie ugryzę, co być może dowodzi, iż jestem jeszcze bardzo młoda. Czterdziestotrzyletnie kobiety prawdopodobnie nie myślą wtedy: Patrz! Nie gryzę go.

Proszę bardzo, myślę, doskonale sobie radzę z członkiem – a nikt mnie tego nigdy nie uczył! Jestem samoukiem! Brawa dla mnie!

Sprawy nieco się jednak komplikują, kiedy nadchodzi orgazm – wtedy gość zaczyna się trochę rzucać, wydawać z siebie dziwne dźwięki, a potem przyciąga moją głowę jeszcze bliżej swojego fiuta.

Ostatnie zachowanie jest nie tylko niegrzeczne – w końcu wyświadczam mu wielką przysługę; włożenie tak nagle, bez zapowiedzi, dodatkowych centymetrów fiuta w moje usta to jak złapanie malucha na stopa, a potem próba upchnięcia tam jeszcze sześciu gości i kredensu – ale jest też wielce niepraktyczne. Bo kiedy wpychasz swojego fiuta zbyt głęboko w czyjeś usta, możesz mieć pewność, że ten ktoś zwymiotuje. To po prostu odruch.

Z tego zaskoczenia dostaję cofki; dyskretnie zatrzymuję ją w ustach akurat wtedy, kiedy on dochodzi. Z wielu względów – choć początkowo niepożądanych – cofka ułatwia mi dalszą seksanalizę; przynajmniej nie zastanawiam się, czy jestem typem dziewczyny, która wypluwa, czy połyka – bo z grzeczności i tak muszę te wymiociny połknąć. Tak podpowiada mi zdrowy rozsądek. Nie ma gdzie wypluć średniej ilości wymiocin, chyba że – rozglądam się, co jest akurat pod ręką – skorzystam z pustej



szklanki po winie albo z jego spodni; żadna z tych opcji nie pasuje do nastroju, który zbudowaliśmy: atmosfery zmysłowości ciężkiego kalibru.

Zastanawiam się – jak zwykle w chwilach zmysłowości – czy to się kiedykolwiek przytrafiło Madonnie. Czy kiedyś robiła komuś laskę w jakiejś obskurnej kawalerce, z ustami pełnymi wymiocin.

Ponieważ chcę sprawiać wrażenie chętnej na kolejne obciążanie, ssę jego członek jeszcze długo po tym, jak doszedł – aż on zgina się jak scyzoryk, wciąż trzymając rękę na mojej głowie, i mówi: – Ostrożnie, kochana, jest bardzo wrażliwy.

Później znów próbujemy uprawiać seks – lecz moje zbyt entuzjastyczne ssanie doprowadziło do małego pęknięcia skóry na napletku, tak że jego penis nie nadaje się w tej chwili do gry; oboje przyglądamy mu się przez chwilę ze smutkiem, a potem ja wyglądam przez okno i mówię: – Cóż, chyba już pójdę na autobus – po czym wychodzę.

Nawet nie mogę go pocałować na do widzenia, bo w ustach nadal mam smak wymiocin zmieszanych ze spermą i nie chcę go do siebie zrazić – chociaż to wszystko i tak jego wina.

– Żegnaj więc – mówię oficjalnie, a on nachyla się, żeby pocałować mnie stojącą w drzwiach, i w zamian dostaje jedynie uścisk mojej dłoni. Wygląda na skonsternowanego. Odczuwa też lekki ból w kroczu. Tyle że nie jestem winna żadnej z tych rzeczy! Och, to wszystko jest takie skomplikowane.

Ciągle psuję penisy, myślę sobie posępnie, jadąc autobusem linii 37 w stronę Euston Station. A w dodatku nikt jeszcze nie doprowadził mnie do orgazmu. Wciąż jestem swoją najlepszą kochanką. Najlepszą, jaką kiedykolwiek miałam.

Niektórzy z tych facetów oczywiście podejmowali próby – zaczynali od całowania po brzuchu, które jest wstępem do seksu oralnego, pytali wzrokiem spod grzywki: „Mogę?” – ale zawsze ich powstrzymywałam. Dlaczego? Sama się zastanawiam i nie wiem, czy to dlatego, że czuję, iż na to nie zasługuję – nie mieliby z tego żadnej przyjemności, są po prostu uprzejmi, więc stosownie będzie się nie zgodzić – a może dlatego, że uważam, iż oni na to nie zasługują: nie chcę, by widzieli, jak tracę nad sobą kontrolę i osiągam orgazm za sprawą ich rąk, tak jak zdarza mi się to, gdy jestem sama

w pokoju.

Przecież ja nawet nigdy nie widziałam, jak kobiety przeżywają orgazm. No może z wyjątkiem tej sceny w *Kiedy Harry poznał Sally*, która dla mnie i tak jest sceną o niezwyklej kanapce, a nie o seksie. To czasy, kiedy pornografii internetowej jeszcze nie było. We wszystkich świńskich filmach, jakie widziałam, tylko mężczyźni osiągnęli orgazm. W pewnym sensie będę musiała wymyślić damski orgazm od zera, zanim przeżyję go z kimś innym. Nie znam żadnego szablonu, na którym mogłabym się wzorować, dzięki któremu wiedziałabym, gdzie i jak wpleść go w seks. Powinnam dojść przed czy po tym, jak się będziemy pieprzyć? Kiedy zwykle miewa się orgazm? Jak długo powinno trwać szczytowanie? Czy ja dochodzę za długo? Może nawet nie powinnam oczekiwać, że mężczyzna doprowadzi mnie do orgazmu, jeśli dochodzę dłużej niż, powiedzmy, cztery minuty? Może to po prostu nierozsądne?

Nie chcę być trudnym przypadkiem i przyprawić kogoś o przeciążenie mięśni i ścięgien. Nie chcę zasłynąć jako ktoś, kto powoduje, że ręce partnera omdlewają z wysiłku.

Muszę też przyznać, że mój brak orgazmów zawdzięczam w dużej mierze temu, że część facetów była po prostu beznadziejna. Ręka jednego z gości boleśnie wędruje z dala od wnętrza moich majtek, gdzie akurat mogłaby się przysłużyć. Gdy w końcu próbuje doprowadzić do orgazmu moje udo, spoglądam na niego i mówię: „Wiesz co, jeśli to tam jest, sama dam ci te pieniądze”.

Ale on nie rozumie aluzji do znanego teleturnieju i żart nie wypala. Później, gdy sama doprowadzam się do orgazmu, leżąc obok jego śpiącego ciała, pełna urazy szepczę: „Bette Midler by tego nie zniosła. Wszyscy kumają żarty Bette Midler”, dochodzę i zasypiam.

## Rozdział dwudziesty

Ta intensywna sesja treningowa w dziedzinie przypadkowych kontaktów seksualnych osiąga swój punkt kulminacyjny z Wielkokutaśnym Alem. Wielkokutaśny Al ma w Brighton swój zespół o nazwie Sooner, a ja spotykam go tam na koncertach i uprawiamy macanko cacanko – ale prędzej czy później przerywamy pieszczoty, bo on musi zdążyć na ostatni pociąg do domu.

Następnym razem, gdy zespół Sooner koncertuje w Brighton, Al przez telefon zaprasza mnie do siebie na noc. To jedno z tych zaproszeń w stylu: „Masz ochotę się pobzykać w przyszły czwartek?”.

Tak więc jestem w jego mieszkaniu na czwartym piętrze, patrzę na dachy domów z pokoju pełnego gitar, kolorowych malowanych tkanin, kadzidełek i figurek Buddy.

Mam na sobie tylko granatową nylonową halkę, a Al jest w samych spodniach. Właśnie rozpięłam mu rozporek, uwalniając największego penisa, jakiego kiedykolwiek widziały moje oczy. Potrzeba dwóch rąk, żeby wyjąć go ze spodni. Czuję się jak poskramiacz węży. Jego penis jest zatrważająco dużych rozmiarów. Mam wrażenie, że w całym tym moim zdumieniu słyszę, jak robi „łup”, gdy wypada z rozporka. Ostatni raz widziałam coś takiego w domu zmarłej Grubej Babki. Przy drzwiach na podłodze leżał uszczelniacz drzwi z dwoma guzikami zamiast oczu. W mojej szkole byli chłopcy, którzy mieli krótsze nogi od jego kutasa.

– Cholera! – mówię z akcentem Cockney jak kominiarz z *Mary Poppins* na widok srebrnej sześciopensówki.

– Wiem – powiada Al z leniwym triumfalnym uśmiechem, wyraźnie dumny z rozmiarów swego przyrodzenia.

Wszystko, co do tej pory przeczytałam, miało utwierdzić mnie w przekonaniu, że im więcej penisa, tym bezsprzecznie lepiej. Jilly Cooper ujęła to bardzo dosłownie i zdecydowanie, mówiąc, że męski kutas jest jak jedzenie na przyjęciach – nigdy nie jest go za wiele. Jeśli coś nie zostanie zjedzone dzisiaj, można to po prostu zafoliować

i podać na śniadanie następnego dnia – jako przekąskę.

Z pewnością jednak ten przypadek jest zupełnie odmienny. Ten penis jest tak wielki, że w zasadzie wymaga interwencji medycznej. Jeśli mam zaryzykować i pozwolić, by choć połowa przyrodzenia znalazła się wewnątrz mnie, trzeba będzie zapewnić opiekę sanitariuszy, na wypadek gdyby doszło do obrażeń, tak jak na trudnych zakrętach podczas wyścigów Formuły 1.

Jako posiadacz czegoś takich rozmiarów Al tak naprawdę nie prosi mnie o seks. To nie o seks tu chodzi.

Ty nie potrzebujesz pochwy, myślę sobie. Po prostu próbujesz uniknąć opłat za garaż. Mój drogi, żeby coś takiego we mnie zaparkować, będziesz musiał mieć pozwolenie z urzędu miasta.

Al leży na plecach, ma zamknięte oczy, więc jeszcze raz spoglądam w dół. Och, a jednak trochę bawi mnie ten widok. To jakaś obłądna część ciała – wygląda jak dziecięca ręka albo kichol Alfa z serialu *Alf*.

Ma w sobie coś, co, jak już teraz rozumiem, mają w sobie wszystkie penisy znajdujące się w stanie erekcji – rozpacz połączoną z czymś na granicy błagania: „Proszę, pogłaszcz mnie! Jestem fajny!”. Biorąc pod uwagę jego okazały rozmiar, ten egzemplarz jednak wygląda dosyć groźnie. Jest poza wszelką skalą. Wiecie: jak ten wielki kudłaty kociak w serialu *The Goodies*. To cudowne, puszyste białe kociątko! Ale ten kot niewątpliwie zaraz nadeptnie na twój dom i zmiążdży cię na śmierć!

Ten penis niewątpliwie nastąpi na mój dom i zmiążdży mnie na śmierć.

– Masz bardzo dużego penisa – mówię bardzo przyjaznym głosem.

– Tak – mówi Al nieco zniecierpliwiony. – Weź go do ust i spraw, żeby był jeszcze większy.

Ha, ha! Ale z ciebie żartowniś. Na pewno tego nie zrobię. Nie jestem wariatką. Co jednak począć w tej sytuacji? Mam poważny dylemat. Jeżeli dalej będę dotykać tego fiuta, zrobi się jeszcze większy – przed czym mnie łaskawie ostrzeżono, choć, szczerze mówiąc, wydaje się to niemożliwe. Jeśli pozwolę mu się pieprzyć, przejdzie przeze mnie na wylot, przebijając mi głowę, jak kij przez stracha na wróble. A jeśli wycofam się kompletnie, to koniec z seksem – co byłoby ogromną stratą nie do zniesienia, biorąc pod uwagę, że wydałam prawie dwadzieścia sześć funtów na podróż, mam na sobie

nowiutką seksowną halkę, mam ochotę na seks, a obok mnie, w zamkniętym na klucz mieszkaniu, leży całkiem nagi facet – a tego zawsze pragnęłam i nigdy nie miałam.

Przez sekundę rozważam, żeby jednak się nie pieprzyć, i szybko przenoszę się myślami do domu moich rodziców. Czwartek wieczór. Jeśli wrócę do domu, na podwieczorek będzie zupa ziemniaczana, a potem gra w szarady. O nie, kurwa, tylko nie to.

Najlepiej byłoby, gdyby Al zaproponował, że zrobi mi minetę – w ten sposób możemy uprawiać seks bez obawy, że skończy się on dla mnie śmiercią – ale widocznie nie przyszło mu to do głowy. Z kolei w moim rozumieniu seksem oralnym rządzą reguły trochę jak w Pierwszej Dyrektywie w świecie Star Trek. No wiecie: załodze statku Enterprise nie wolno mówić przedstawicielom mniej rozwiniętych cywilizacji o zadziwiających nowinkach i postępach technologicznych na innych planetach. Ja, Tiberius Kirk, nie mogę powiedzieć temu oralnie nieświadomionemu mężczyźnie o wspaniałej „francuskiej” rewolucji. To informacja z przyszłości – nie będzie w stanie jej przyswoić.

Patrzę na jego kutasa i wzdycham. Al podnosi wzrok.

– Wszystko w porządku, kochanie? – pyta.

W końcu oczywiście uprawiamy seks. Darowanemu wężowi nie zagląda się w zęby. Ostatecznie udaje mi się przestać myśleć o tym, co sędzę na temat tego konkretnego stosunku seksualnego – czyli: Jestem przerażona! To z pewnością największy penis wszech czasów! Szybko! Wpiszcie go do *Księgi rekordów Guinnessa!* – i zamiast tego zaczynam myśleć o czymś innym. Jak dobrze jest mu w moich ustach, a następnie w moim niezłym kawałku tyłka.

Jest mu ze mną tak dobrze! – myślę z optymizmem, kiedy kładzie się na mnie i z zaangażowaniem usiłuje wepchnąć we mnie trzydziestokilometrowe ciało obce. Jestem taką szczodłą kochanką!

Kilka lat później dowiem się, że funkcjonuje na to termin „wyłączenie”, a rzecz nierozzerwalnie związana jest z tym, że kobiety postrzegają swoją seksualność oczami mężczyzny. Bardzo niewiele jest kobiecych relacji o tym, jak to jest pieprzyć i być pieprzoną. Zrozumiem też, że jako siedemnastoletnia dziewczyna nie mogłam wtedy usłyszeć swojego głosu podczas stosunku. Nie miałam pojęcia, jak może brzmieć mój

głos.

Ale gdy jestem tu, w tym pokoju w Brighton, i leżę na zmierzwionej patchworkowej narzucie, obok stosu magazynów „D&ME”, wiem tylko, że pożądanie Ala mnie podnieca i że jestem z siebie całkiem zadowolona, ponieważ udało mi się zmieścić w sobie prawie pół jego kutasa, nie krzycząc przy tym: „Cholera! Nie popychaj mnie! Uspokój się!”. Doprawdy moje zachowanie podczas tego zbliżenia graniczy ze... szlachetnością.

A w chwilach między czerpaniem przyjemności z tego stosunku – co jednak momentami mi się zdarza – tworzę w głowie krótką listę rad i wskazówek, taką ściągę na przyszłość, zatytułowaną: „Krótki poradnik dla dziewczyn, którym też przyjdzie się zmierzyć z niebywale wielkim penisem”.

1. Jeśli leżysz w pozycji misjonarskiej, umieść swoje dłonie na jego klatce piersiowej i zapieraj się rękami, jak możesz. Zmniejsza to ryzyko głębokiej penetracji. Dzięki temu twoje cycki zostaną blisko siebie, więc jednocześnie będziesz wyglądać ponętnie, co może się przydać na przyszłość, gdybyś, dajmy na to, chciała pozować do zdjęć.

2. W pozycji na pieska dzięki czołganiu się możesz nieznacznie, aczkolwiek skutecznie umykać penisowi – uniemożliwiając tym samym penetrację głębszą niż na trzynaście centymetrów. Podczas naszej dziesięciominutowej sesji udaje mi się obejść na czworakach całe łóżko, a Al gorliwie podąża za mną na klęczkach. Gdyby to nakręcono i puszczono w przyspieszonym tempie, Al wyglądałby jak Bernie Clifton jadący na swoim strusiu (na mnie) po prowizorycznym sekswybiegu, czyli jego niewielkiej kawalerce.

3. Po jakiejś godzinie załapiesz, że na szczęście wszystko w kobiecie jest w stanie się rozciągnąć i wszystko się tam zmieści. Pewnie mamy na to jakiś termin techniczny, ale wtedy dochodzę do wniosku, że penis jest jak mały rydel ogrodniczy, służący do wykopania większej dziury.

4. Myśl o Hanie Solo.

5. Cały czas udawaj, że jesteś Alem. Pomyśl, jak niesamowicie musi się czuć, uprawiając z tobą seks! Pewnie patrzy na twój tyłek – trzęsący się za każdym razem, gdy w ciebie wchodzi – i czuje się szczęśliwy. Tak, dla Ala to dobry, szczęśliwy dzień.

6. Myśl o tym, że nie chciałabyś teraz jeść zupy ziemniaczanej i grać w szarady. Wszystko jest względne. Nawet seks z bezwzględny partnerem.

7. Rób sobie przerwy podczas robienia loda, tak jak w futbolu amerykańskim robią przerwę na reklamy. Każdy musi mieć szansę złapać oddech, by znów móc zająć się łapaniem otarć i kontuzji itp.

8. Wyobraź sobie, jak Han Solo i Chewbacca robią to razem – delikatnie i z czułością, po tym jak odbyli międzygalaktyczny pojedynek na broń laserową. Mmm, to takie podniecające.

9. To nawet jest zabawne.

10. Ale nigdy, przenigdy nie osiągniesz przy tym orgazmu.

Al wreszcie dochodzi, wydając z siebie nieco żalony ryk – tak mógłby zawyć Aslan, gdyby wyjmowano mu cierń z łapy. Ja wtóruję mu, jęcząc: „Mmmrooo!”, a on spada ze mnie i leży obok bez tchu, jakby właśnie zaliczył skok ze spadochronem, za który posłużyła mu moja pomięta halka.

Wciąż nie bardzo wiem, co się robi w sytuacjach postkoitalnych. Zakładam, że najczęściej rozmawia się ze sobą w pubie. Po minucie ciszy postanawiam, że to ja pierwsza zarzucę temat.

– Czytałeś artykuł Tony’ego Richa o Cocteau Twins? – mówię, wskazując na stos „D&ME” w kącie pokoju. – Użył w nich słowa „basoreksja” – obezwładniająca potrzeba bycia całowanym. Prawda, że to niesamowite słowo? Basoreksja. Wiesz, od jakiegoś czasu zastanawiam się, czy nie założyć sobie specjalnej puszki i nie wrzucać do niej wszystkich niesamowitych słów. Basoreksja.

Kiedy te słowa nie spotykają się z żadnym komentarzem, obracam się na bok, żeby popatrzeć na Ala. Podczas gdy ja jestem wciąż żywa i błyskotliwa, on zachowuje się bardzo dziwnie – jakby Struś Pędziwiatr walnął go w głowę wielką patelnią firmy Acme. Dopiero potem dowiaduję się, że tak właśnie wygląda sytuacja postkoitalna.

– Mrrr, co? – mówi, a oczy uciekają mu pod powieki. – Nie czytałem. Sorry, mała.

– Spałam z Tonym Richem! – dodaję na wpół z dumą, a trochę po to, żeby podtrzymać rozmowę. Ludzie uwielbiają rozmawiać o seksie! To najlepszy temat ze wszystkich! Lecz Al już śpi. – Brawo, Dolly. Udało ci się zmieścić w sobie całego

mojego penisa! – mówię wesoło. – Dzięki, że spróbowałaś! Nie było tak źle, biorąc pod uwagę, że to trzecie w twoim życiu jebanko! Udało ci się zachować zimną krew, choć przecież w zasadzie jesteś jeszcze dzieckiem, a ja dorosłym facetem!

Al ani drgnie. Nie ma go. Odleciał.

A mnie wcale nie chce się spać. Mam teraz ochotę na jeszcze więcej seksu. Lepszego seksu. Seksu z większym moim udziałem, ale z mniejszym penisem, który nie znajduje się jednocześnie w dwóch różnych miejscach. Bardzo chciałabym uprawiać seks, i to przez cały dzień, szczerze mówiąc. Koncepcja, że seks może trwać tylko jakieś czterdzieści minut, wydaje mi się dziwna – jak ci ludzie, którzy oglądają telewizję tylko godzinę dziennie. I tak pewnie telewizor gra u was w tle przez cały dzień, prawda? To przecież telewizja!

Kobiety, myślę sobie, mogą mieć cały czas włączoną sekstelewizję.

Tyle że Al śpi i jedyny seks, na jaki mogę sobie pozwolić, to autoseks. Flirtuję ze sobą przez jakieś dziesięć minut, a potem dochodzę – tak intensywnie, że kręci mi się w głowie. Próbuję zachować ciszę, leżąc koło niego.

Zastanawiam się, obok ilu jeszcze nieżywych facetów przyjdzie mi szczytować w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Ile jeszcze przeżyję samotnych orgazmów u boku nieruchomo leżącego „przyjaciela”, podczas gdy błądy upiorny księżyc będzie zaglądał przez okno i wzdychał.

Byłam skończonym dupkiem i zanim Al się obudził, wysprzątałam mu całe mieszkanie. Założyłam narzuty na jego usmoloną sofę, opróżniłam popielniczki i odkurzyłam półkę nad kominkiem. Zrobiłam też zapiekankę chlebowo-maślaną z czerstwego pieczywa z trzech napoczętych bochenków – i na dodatek jeszcze prosty odświeżacz powietrza, zagotowawszy w garnku kilka połówek cytryn (jak radzi pani Beeton w swoim poradniku dla gospodyń domowych *Book of Household Management*). Co ja właściwie robię? Próbuję udowodnić, że jest ze mnie pożytek i że jestem praktyczna i sympatyczna. Że potrafię coś innego, niż tylko z wdziękiem, konsekwentnie uciekać przed ogromnym penisem.

– Wszystko okej, kochanie? – pyta Al, wchodząc do pokoju, i zapala papierosa.



Twarz i piżamę ma pomięte od leżenia.

– Dobrze wróżki tu były! – mówię, zamaszystym gestem prezentując wysprzątane mieszkanie. Siedzę przy stole i zajadam zapiekankę chlebowo-maślaną. Wręczam mu łyżkę.

– Ja pierdolę – niesamowite! Tylko najpierw dokończę fajkę – mówi.

– Daj jedną, bo strasznie chce mi się palić.

Wcale nie mam ochoty na papierosa – ale ludzie zawsze zapalają, kiedy ktoś inny akurat pali, nawet jeśli na samą myśl jest im niedobrze. Tak działają papierosy. Wszyscy palacze muszą w tym samym czasie odbić kartę. Taka jest umowa.

Podaje mi papierosa. Zapalam go, zaciągam się i trochę kręci mi się w głowie.

– To było... niesamowite – mówi Al, ruchem głowy wskazując sypialnię.

– Dziękuję. Nigdy się w tej dziedzinie nie kształciłam. Jestem totalnym samoukiem po... szkole prze-życia.

Kładę głowę na stół.

– Dobrze się czujesz? – pyta Al, przysiadając się do mnie. – Trochę... pobladłaś.

– Taa – odpowiadam zamroczona. – Tylko drzemię sobie przy stole. Wszystko w porządku. Nie przeszkadzaj sobie.

Al podchodzi do odtwarzacza i czegoś przy nim szuka.

– O! Jest! – mówi ochoczo. – Chcesz posłuchać naszych najnowszych kawałków? Mam tu wersje demo.

W zwykłych okolicznościach ucieszyłaby mnie myśl, że zaraz usłyszę muzykę, która wciąż jeszcze jest w trakcie tworzenia – coś nowego, muzykę, która jest jeszcze ciepła, bo dopiero co wyszła z czyjejś głowy. Ta część mnie mówi: „Kurwa, tak!”, podczas gdy reszta odpowiada: „Nie. W zasadzie to nie mam ochoty słuchać waszej nowej muzy. Czuję się bardzo dziwnie i jedno z moich uszu spoczywa na twoim stole. Wysyłam Sygnały Złego Samopoczucia. Równie dobrze mógłbyś mnie teraz spytać, czy mam ochotę powiosłować twoją nową łódką i przepłynąć Morze Atramentu”.

Al wkłada kasetę do odtwarzacza, a ja po raz pierwszy w życiu słucham roboczej wersji jakiegoś albumu. Szybko zaczynam pojmować, dlaczego demo nigdy nie zostają wydane. Gdybym miała ocenić to, co słyszę, w mojej recenzji znalazłyby się następujące słowa: „Nietrzymająca się kupy, stłumiona, niedorobiona szmira”. Psuje

mi to całą zabawę – jakbym zobaczyła, gdzie znikają króliki podczas pokazu sztuczek.

– Wow, to jest takie... przejmująco niedopracowane – mówię. Jest to określenie, którego użył kiedyś Krissi, gdy spytałam go, co myśli o tym, jak tańczy.

Kaseta demo nadal gra. Al cały czas wpatruje się we mnie – tylko na chwilę przymyka oczy w rozmarzonym uznaniu dla niektórych, szczególnie okropnych fragmentów.

– Tutaj w tle chcemy jeszcze dołożyć klarnety! – krzyczy w pewnym momencie. – Trzeba jeszcze wyrównać ten miks, klawisze Steve’a brzmią trochę chujowo.

Z głową wciąż spoczywającą na stole jest mi coraz dziwniej. Czuję, że tam w środku dzieje się coś niedobrego.

Z początku odczuwam tam lekkie podrażnienie – co jest zrozumiałe, biorąc pod uwagę fakt, że to miejsce zostało poddane niezłej gimnastyce. To była noc po ciężkim dniu dla mojej cipki. W ciągu ostatnich trzech godzin miałam w sobie chyba z kilometr fiuta. W zasadzie można powiedzieć, że pieprząc się, odbyłam drogę do dworca i z powrotem. Połowę trasy autobusowej.

Po pół godzinie jednak ta drażliwość przechodzi w wyraźny gniew – zaczynam czuć, jakby w mojej dziurce toczyła się jakaś wojna.

Przypominają mi się obrazki, jakie widziałam w książkach historycznych, przedstawiające zamki podczas oblężenia. Mam wrażenie, że właśnie to teraz dzieje się tam w środku. Jakby coś atakowało mnie od wewnątrz, a mechanizm obronny sobie z tym nie radził. Przerażeni wieśniacy wylewają wrzący olej przez szańce. Zwierzęta wpadają w panikę. Konie stają dęba i rżą. Księżniczki pospiesznie próbują uciec tajemnym tylnym wyjściem – ich wysokie, spiczaste kapelusze dźgają mnie w cewkę moczową. Słysząc piski i krzyki.

Al zauważa, że co jakiś czas wyłączam się z rozmowy – coraz bardziej nieobecna z powodu pilnych telegramów napływających z okolic intymnych mojego ciała.

– Dobrze się czujesz? – pyta w końcu, ścisząc muzykę.

– Ehe – odpowiadam pospiesznie. – Tylko muszę do kibelka.

Siadam na toalecie. Naprzeciwno jest lustro, więc pierwszy raz mam okazję zobaczyć, jak wyglądam, gdy siedzę na kibelku. Chociaż cieszy mnie, że znowu mogę się czegoś o sobie dowiedzieć, muszę przyznać, że to, co widzę, nie jest zbyt

zmysłowe. Mam okazję przyjrzeć się, jak wyglądam skulona i przygarbiona, i od razu ślę sobie wiadomość: „Informacja na przyszłość – siedząc na kiblu, raczej nie wyrwiesz żadnego faceta. Czasy latryn publicznych w starożytnym Rzymie byłyby dla mnie bardzo niekorzystne”.

Zaczynam sikać, mając tę niepowtarzalną okazję patrzeć jednocześnie na swoją twarz wykrzywającą się w nagłym potwornym bólu. Ale co to? Te siki mają chyba w sobie jakąś palącą truciznę. Wrzącą truciznę, miliard malusieńkich strzał i dziko kręcący się wiatraczek zrobiony z zębów szatana, cieniutkich jak szpilki. Co się dzieje? Co to za awaria?

Nie odbyłam w życiu dostatecznej liczby stosunków, żeby wiedzieć, co jest grane. Może na tym właśnie polega sytuacja postkoitalna. Zawsze myślałam, że jest się wtedy „trochę śpiącym” – ale może wręcz przeciwnie. Może po stosunku ma się uczucie, jakby ktoś w twojej pochwie rozpałił ognisko z mieczy.

Wracam do kuchni i ostrożnie siadam na krześle. Myślę intensywnie.

– Chyba mam – mówię powoli, ale z powagą męża stanu – zapalenie pęcherza moczowego.

– Chryste! – niepokoi się Al. – O cholera! O kurwa! – Zapada krótkie milczenie. – A co to jest?

– Moja mama też to ma – wzdycham. – Mówiła mi.

Tak muszą się czuć nastoletnie wilkołaki, które po tym, jak poprzedniej nocy podczas pełni coś okropnego przydarzyło się kotu koleżanki, przyznają się swoim rówieśnikom, że mają dziedziczną skłonność do likantropii.

„To u nas rodzinne. Mam to w genach po przodkach ze strony matki” – powiedziałyby przeproszającym tonem, a obroża wciąż zwiślałyby im z ust, na niej zaś dzwoneczek i tabliczka z imieniem Tibbles, której właściciel jest już tylko legendą.

Ja jednak w tej chwili tłumaczę mu, że bardzo mnie boli podczas korzystania z toalety.

Al wygląda jak facet, który próbuje poradzić sobie z nieprawdopodobną, nieznaną mu, dziwnie niepokojącą informacją.

– To chyba nic poważnego? – próbuje mnie uspokoić, mówiąc, ile razy dziennie oddaje mocz i że poświęca na to „mniej niż dziesięć minut”.

– Tylko że ciągle trzeba chodzić sikać – wyjaśniam. – Naprawdę, wybacz, ale właśnie muszę iść – mówię i wracam do tego bardzo zimnego pomieszczenia, i znów siadam na klopie.

Mimo że czuję bolesny ucisk na pęcherz, udaje mi się wycisnąć mniej niż łyżeczkę czegoś, co przypomina dżem z morwy podgrzany do temperatury tysiąca stopni Celsjusza.

Lustro znów pozwala mi odpowiedzieć na pytanie, jak wyglądam podczas wydalania dżemu podgrzanego do temperatury tysiąca stopni Celsjusza. A odpowiedź brzmi: nieszczęśliwa i czerwona na twarzy.

Słyszę głos Ala za drzwiami.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? – pyta.

– Możesz wejść – odpowiadam. – Trzy godziny temu rznąłeś mnie od tyłu na materacu. Nie ma co się certolić.

Otwiera drzwi i niepewnie staje w progu.

Kątem oka widzę w lustrze swoje załzawione oczy nad ręcznikiem, który gryzę jak we wczesnej fazie porodu.

– Co za gówno – mówi bezradnie.

– Raczej sik – mówię niczym Oscar, kurwa, Wilde.

– E, to nie brzmi dobrze – odpowiada Al, majstrując przy kłamce – ale, hm... czy teraz ja też to mam? Można się... zarazić infekcją pęcherza? To jest coś jak wszy łonowe? Nie przeszkadza mi to, bo już je miałem.

O Boże. Na dodatek w tej muszli są malutkie weszki łonowe. To jest doprawdy pechowy dzień.

– Nie, Al – uspokajam go. – Nie można się zarazić zapaleniem pęcherza. To infekcja spowodowana urazem tkanki. – Czuję się jak jakiś lekarz w telewizji śniadaniowej. Jestem taka mądra.

Słyszę, jak Al oddycha z ulgą, choć widzę, że próbuje to ukryć.

– Mam ci coś kupić? – Sprawia wrażenie szczęśliwszego.

Próbuję sobie przypomnieć, co w takiej sytuacji robi moja mama.

– Proszę, kup mi kodeinę i sok żurawinowy – mówię. – Tym się leczy zapalenie pęcherza. Kodeiną i sokiem z żurawiny.

Natychmiast wyjmuję swoje klucze i portfel z komody.

– Dobra, to ty tu sobie grzecznie siedzisz, a ja wracam za dziesięć minut – mówi, zatrząskując za sobą drzwi.

Wydałam z siebie kolejnych siedem kropli – każda pali jak rozżarzony węgielek – i korzystając z tego, że jestem teraz sama w domu, pozwalam sobie zawyć z bólu głośnym „Aaaaa!”.

Jest taki szczególny odgłos, który wydają z siebie kobiety, gdy odczuwają ból w narządach rozrodczych, powodowany czymś, co próbuje się z nich wydostać. Kilka lat później podczas porodu rozpoznaję u siebie te same dźwięki. Z pewnością jakiś muzykolog mógłby dokładnie określić ton tego „waginalnego ofiarowania”. Może dałoby się to zagrać na organach w kościele pełnym kobiet z wykrzywionymi w bólu twarzami.

Poruszony moim wrzaskiem kot Ala wchodzi do łazienki, siada niedaleko i gapi się na mnie. Jego oczy są jak bladozielone talerzyki. Jego futro jest jak piękna skorupa żółwia. Z jednej strony zdaję sobie sprawę, że to zwierzę, a z drugiej bardzo bym chciała nosić je jako rękawiczki, etolę albo czapkę. Z oczu zrobiłabym guziki. Chcę włożyć na siebie tego kota. Ten kot byłby tym, co mam najlepszego.

– Samce kotów mają kolce na penisach. Więc uważaj – mówię do kota, opierając głowę o ścianę. – Czytałam o tym w *Przewodniku po kotach i kociętach*. Jedna noc na gorącym blaszanym dachu i będziesz miała to samo. – Wpatruję się w kota. Kot gapi się na mnie. – A może ty jesteś panem kotem – ciągnę. – Jeśli tak, to spierdalaj. Pierdol się, ty pochwowy wandalu.

Ściany łazienki Ala są wyłożone zimnymi zielonymi i białymi kafelkami – prawdopodobnie w stylu wiktoriańskim lub edwardiańskim. Podłoga pokryta jest chłodnym czarnym linoleum. Powietrze jest „rzeńskie” – kaloryfer zimny jak lód. Czuję się, jakbym była w jakimś porządnym sklepie mięsny albo w spiżarni. Czuję się jak krążek sera leżący na półce. Tutaj z pewnością nie spleśnieję.

Wanna też jest w starym stylu – ogromny żeliwny okręt z plamami rdzy w miejscach, gdzie kran cieknie być może już od kilkuset lat. Zaczynam napełniać wannę – rozklekotane rury wypluwają wodę. Czuję, że gorąca kąpiel dobrze mi robi.

Gdy tylko wody w wannie jest na trzy centymetry, zdejmuję z siebie wszystko,

siadam pod kranem i cała się trzęsąc, ochlapuję wodą moją biedną, nieszczęśliwą cipkę. Ulga przychodzi natychmiast.

To mnie nie leczy – ale ulga w cierpieniu jest na tyle duża, iż przestaję się obawiać, że zaraz mogę zacząć wrzeszczeć wniebogłosy. Teraz już wiem, że muszę pozostać w tej wannie przez wiele godzin.

To jedyne miejsce, w jakim mogę w tej chwili być. Nie ma takiej siły, która by mnie z tej wanny wyciągnęła. Jak ja wrócę do Wolverhampton? W końcu będą musieli mnie wsadzić do jednego z tych wielkich akwariów, w których przewożą delfiny z morskich parków rozrywki, i załadować na ogromną ciężarówkę z platformą, i przetransportować do domu autostradą M1.

Ogromna ciężarówka z platformą na M1, myślę sobie. To dobry eufemizm na określenie tego, co spowodowało ból, który właśnie odczuwam. Przejechała przeze mnie wielka ciężarówka.

Kiedy pół godziny później Al wraca z kodeiną i sokiem żurawinowym firmy Ocean Spray, zastaje mnie siedzącą po szyję w wodzie, słuchającą albumu *Screamadelica* Primal Scream. Czytam używany egzemplarz *Sekretnego dziennika Adriana Mole'a*, który znalazłam w sypialni, i płaczę. To wcale nie są łzy smutku – ja płaczę z bólu.

– Masz! – mówi, wręczając tabletki i sok. Wciąż patrzy na mnie jakoś dziwnie, a ja nie wiem dlaczego. Tak, swoim penisem zepsuł kobietę, która teraz płacze z bólu w jego łazience. No ale pewnie tak zachowują się seksowni dorośli uprawiający seks. Zakładam, że takie rzeczy dzieją się cały czas. Biorę leki i piję prosto z kartonu, nie przestając szlochać.

– O tym właśnie śpiewają chłopcy z Manic Street Preachers w piosence *Slash 'N' Burn* – mówię. – Dire Straits w swoim kawałku *Tunnel of Love* też chyba próbowali nas przed tym ostrzec.

– Chcesz coś do jedzenia? – pyta Al, wciąż lekko zażenowany.

– Nie. Wypiłam pięć litrów wody – odpowiadam. – Dzięki, jestem pełna.

– Chodzi o to, że... – Al wygląda na jeszcze bardziej zakłopotanego. – Chodzi o to, że mam dziś ten koncert.

– Wiem! – mówię. – To dlatego tutaj jestem!

– No i obiecałem chłopakom z supportu, że będą się mogli tu dzisiaj przespać. Przyjechali aż z Ayrshire i chyba nie mają za bardzo gdzie się podziać, no i...

– Al! – Unoszę rękę we władczym geście. – Nie martw się. Jestem pewna, że za godzinę będzie po wszystkim i po twoim triumfalnym powrocie z koncertu będę siedziała w salonie, już całkiem zdrowa, rześka jak górski strumyk, przygotowując koktajle na afterparty.

23.48

Słyszę głosy na korytarzu, a potem Ala przekręcającego klucz w zamku. Wreszcie wrócili.

Mam za sobą interesujące popołudnie i wieczór. Mówiąc „interesujące”, mam na myśli „kurewsko okropne”.

Kiedy kodeina zaczęła działać, poczułam się na tyle dobrze, żeby wreszcie wyjść z wanny – blada i pomarszczona jak ET, gdy Eliot i Drew Barrymore znaleźli go martwego w strumyku.

Przez pół godziny leżę osłabiona – ból jest niezwykle wyczerpujący – a potem powoli się ubieram i przygotowuję do wyjścia. Choć Al zaprosił mnie na noc, tak naprawdę powinnam pojechać do domu. Tam na dole, w środku, dalej mam takie dziwne uczucie, a poza tym rozsądnie byłoby na jakiś czas poddać się kwarantannie od jego penisa. Idiotyzmem byłoby przejść przez katusze, przez jakie przeszedłam – a potem jeszcze raz się z nim pieprzyć. To tak, jakby Luke po wielkich trudach wysadził Gwiazdę Śmierci, potem ją odbudował, a następnie włożył z powrotem do swej pochwy.

Nie – wracam do domu moich rodziców, do swojego łóżka i już niczego sobie tam nie wsadzę, przynajmniej aż do Gwiazdki. Ten teren – przejeżdżam ręką po majtkach – jest zamknięty z powodu prac konserwacyjnych.

Opuszczam mieszkanie Ala i nim zdążę dotrzeć do najbliższego sklepu, ból powraca. Małe tabletki z kodeiną, cokolwiek udało im się osiągnąć, teraz najwyraźniej znowu nie dają rady. Robi mi się najpierw bardzo gorąco, a zaraz potem bardzo zimno. Wchodzę na chwilę do sklepu, żeby kupić chipsy, bo coś mi mówi, że po nich poczuje się lepiej.

Trzy minuty później kuśtykam z powrotem do domu Ala z trzema paczkami solonej przekąski McCoy – ciesząc się, że wiem, iż trzyma klucz pod wycieraczką. Na pewno przez jakiś czas nigdzie nie pójdę. Gdy wkładam klucz do zamka, boleśnie popuszczam w majtki. Nasikałam tyle co myszka. Gdyby oczywiście nosiła majtki. Widocznie myszy ciągle sikają pod siebie. Chyba mi trochę odwała. Muszę przestać myśleć o myszach.

Zanim Al wrócił do domu o dwudziestej trzeciej czterdzieści osiem, poczyniłam pewne przygotowania do jego przybycia. Między piętnastą a osiemnastą po prostu płakałam, intensywnie, w kąpieli, czując się jak jakiś połamaniec.

Potem o osiemnastej weszłam do wanny i zjadłam chipsy na podwieczorek – przydatny podwieczorek, jak się okazało, ponieważ wcześniej wypięłam tyle wody, że poziom soli w moim organizmie był zatrważająco niski. Stąd moje zdezorientowanie.

Po chipsowym pikniku w wannie trochę się pozbierałam i dokończyłam *Sekretny dziennik Adriana Mole'a*, a potem przeczytałam jeszcze *Bolesne dojrzewanie Adriana Mole'a*. Nudząc się, znalazłam przedłużacz i przyciągnęłam telewizor Ala wraz z wideo do przedpokoju; ustawiłam je tak, żebym z wanny mogła oglądać film *Withnail i ja*. Zawsze chciałam go obejrzeć, a w tych okolicznościach stał się dla mnie inspiracją – obaj tyle ćpali, że upewniłam się w swojej decyzji, by wziąć dwa razy większą dawkę kodeiny, niż zalecano. Otworzyłam ogromne okno i siedząc w wannie pełnej gorącej wody, z włosami spiętymi drutem do robótek znalezionym w kuchni, patrzyłam na mokre od deszczu dachy domów w Brighton.

Withnail i jego „ja” byli fantastycznymi towarzyszami na tamto popołudnie. Doprawdy, gdyby nie przejmujący ból, uznałabym to popołudnie za jedno z najlepszych w moim dotychczasowym życiu. Kiedy Withnail recytował *Hamleta* niczego niepojmującym wilkom w zoo w Regent's Park – stojąc w deszczu pod parasolem, zdesperowany – wypłakiwałam sobie oczy, paląc papierosa i będąc na haju od przedawkowania kodeiny.

Dlatego – zanim Al wrócił – obmyśliłam fantastyczny plan. Wciąż odczuwałam zbyt duży ból, żeby zrezygnować z gorącej kąpieli, która miała właściwości uśmierzające, ale z drugiej strony byłam świadoma, że goście Ala – i przecież sam Al – będą musieli skorzystać z toalety i może ich krępować obecność nagiej kobiety w wannie.



– Al! – zamroczona krzyknęłam radośnie z wanny. – Koledzy Ala! Chodźcie się przywitać!

Słyszałam, jak, niepewnie krocząc, idą korytarzem. I jak Al mówi:

– ...niezbyt dobrze się czuje...

Al stanął w drzwiach z całym składem zespołu, który, jak się później dowiedziałam, nazywał się Plume – wszyscy na czarno i wszyscy nieco zaniepokojeni.

– Cześć! – powiedziałam z papierosem w rękę. Było mi tak ciepło i czułam się niewyraźnie. – Bardzo przepraszam – dodałam – ale tymczasowo jestem przykuta do wanny z powodu kobiecej niedyspozycji. Ale ponieważ wiem, że to może być niezwykle kłopotliwe dla wszystkich, którzy będą chcieli skorzystać z toalety, odziałam się w halkę – tu wskazałam na siebie siedzącą w gorącej kąpeli w zamoczonej koszulce – i na jakąś chwilę opuszczę łazienkę i poczekam za drzwiami, jeśli ktoś będzie musiał załatwić swoją potrzebę.

I tak właśnie było do drugiej w nocy. Zostawiam drzwi do łazienki i aktywnie uczestniczę w imprezce, choć to tylko moje subiektywne odczucie. Jak w tym filmie, gdzie Glynis Johns jest syreną, trzymaną w wannie – ja też jestem powabną syreną, która cały czas musi przebywać w wodzie, ale która mimo to oczarowuje wszystkich, jakich przyjdzie jej poznać.

Z początku chłopaki siedzą w salonie, a ja rzucam dowcipne powiedzonka, kiedy słyszę przerwę w rozmowie; milknę tylko od czasu do czasu, kiedy wychodzę z wanny i stoję w przedpokoju w szlafroku Ala, podczas gdy któryś z nich musi skorzystać z toalety przy drzwiach zamkniętych w celu zachowania intymności.

Zanim jednak zapadnie głęboka noc, wszyscy są już tak pijani, że wszelkie granice się rozmywają: te społeczne między mężczyznami i syrenami oraz te fizyczne między kimś, kto korzysta z toalety, a tymi stojącymi na zewnątrz. Impreza przenosi się najpierw do przedpokoju, a potem do łazienki – raczę się polską wódką, którą przynieśli chłopcy z Plume („Pij, kochana, to czyściocha – oczyści ci wnętrzości”) – gdzie chłopaki siadają na kaloryferze i parapecie, a za otwartym oknem błyszczą dachy domów i gwiazdy. Każdy sika przed innymi, a ja sprawiam, że Al i jeden z koleś z Plume całują się, bo to są czasy świetności zespołu Suede i wszyscy udają, że są trochę biseksualni między dwudziestą trzecią a czwartą nad ranem.

W końcu o czwartej nad ranem ból mija na tyle, że jestem w stanie wypełznąć z wanny. Wieszam mokrą halkę na kaloryferze, opatulam się ręcznikiem i zasypiam na brzegu łóżka Ala jak pies.

Następnego ranka czuję się niesamowicie – jak nowo narodzona. Ogarnia mnie to uczucie lekkości, które odczuwa się, gdy ból ustąpi i kiedy człowiek wreszcie się wyśpi. Widocznie cała moja infekcja została wydalona wraz z moczem. Wstaję pierwsza i na palcach idę do kuchni, przechodząc obok salonu, gdzie na podłodze, przykryci starymi kocami, śpią wszyscy chłopcy z Plume.

Pokój wygląda jak chlew: puste puszki, butelki po wódce. Pełne popielniczki, z których wysypuje się popiół, jak w Pompejach; porozrzucone jak martwe ciała niedopałki i potłuczona butelka po winie rozlanym na stertę talerzy jak krew. Ból uczynił mnie starszą i mądrzejszą. Wczoraj, gdy zastałam dom w bałaganie, jak grzeczna panienska wysprzątałam wszystko na błysk.

A dzisiaj – niech się wszyscy pierdola. Praca w domu nigdy się nie kończy. Ja się już na to nie piszę.

Robię sobie herbatę i skręta, otwieram okno i siadam na parapecie – patrząc na Brighton przede mną i pode mną.

Pozycja, w której siedzę, gdy mam na sobie tylko halkę, pozwala wszystkim przechodniom zobaczyć moją cipkę – ale nie dbam o to. Po tym, co przeszła, to cud, że jeszcze tam jest. Jestem z niej dumna. Przechodnie powinni docenić to, że przetrwała. A poza tym delikatny wietrzyk działa na nią kojąco.

Łagodnie skrzeczę na przelatujące mewy – kiau, kiau – gdy nagle słyszę, że ktoś tłucze się po kuchni. To jeden z chłopaków z Plume, rozczochrany i rozmemłany szuka fajek.

– Chcesz skręta? – mówię, podając mu woreczek z tytoniem Ala.

Bierze go z entuzjazmem niewyspanego człowieka i siada do stołu przy oknie z zamiarem zmontowania papierosa i całego siebie na nadchodzący dzień.

– Niezła balanga – odzywa się w końcu po pierwszym machu i zanosi się kaszlem.

– Tak! – mówię entuzjastycznie. – Najlepsza, na jakiej byłam.

– A ty czujesz się już dobrze? – pyta, patrząc na mnie spod czupryny. – Wyglądałaś na bardzo wzburzoną.

– Myślałam, że wyglądam na ponętnie odurzoną. Jak Stevie Nicks – odpowiadam.

– Nie, wzburzoną – mówi i znów się zaciąga.

Odtwarzacz CD w kącie wciąż cicho gra od ostatniej nocy, nastawiony na zapętlenie. To płyta *Melody Nelson* Serge'a Gainsbourga. Nalegałam, żeby ją włączyli („Ten album jest niesamowity! Jakby się jadło seksowny kalejdoskop!”), kiedy opowiadałam im o Johnie Kicie („U niego też wylądowałam w wannie! Nie pierwszy raz bawię się na łazienkowym party u gwiazdy rocka!”).

– To niesamowite, że ten album jest o rudej dziewczynie z Newcastle – mówię.

– Naprawdę? – pyta chłopak.

– Tak. Jak się wsłuchasz, za minutę on śpiewa coś tam, coś tam po francusku i potem Newcastle – powiadam. Słuchamy w ciszy, aż smyczki jak fala zaczynają kołysać piosenką. – Widzisz! – mówię, kiedy Serge to śpiewa. – Widzisz! Newcastle! –

Chłopak robi sobie herbatę i spędzamy następną godzinę na rozmowie o tym, co wiemy na temat Serge'a Gainsbourga. W czasach, gdy nie było jeszcze internetu, tak właśnie można było się dowiedzieć czegoś o muzyce – tych faktów nigdzie nie przechowywano. Dowiadywałeś się różnych rzeczy fragmentarycznie, chaotycznie i wrywkowo podczas rozmów. Czasami trzeba było pójść aż do baru w Nowym Jorku, o trzeciej w nocy, żeby dowiedzieć się czegoś, co dwadzieścia lat później można było przeczytać w iPhone, siedząc w autobusie. Dzielimy się całą swoją wiedzą o Serge'u, jakby to były jakieś ekscytujące wiejskie plotki: „No a ja słyszałam...”.

W którymś momencie chłopak – ma na imię Rob – skręca kolejną fajkę, spogląda na mnie i mówi:

– Wiesz, nie jesteś tym typem, za którego cię brałem.

– Brałeś mnie za jakiegoś typa? – pytam zadowolona. Jestem sławna! – Typowałeś, że jakim typem będę?

– Wiesz... To, jak piszesz. Myślałem, że będziesz... – usiłuje odpowiednio dobrać słowa – ...groźna. Ale jesteś w porządku.

– Groźna?

– Taa, no wiesz.

Przez chwilę myślę o tym, co ostatnio napisałam. Recenzję *Gonna Make You Sweat* zespołu C+C Music Factory, gdzie żartowałam, że jeden z członków zespołu, „+C”,

przeszedł ostatnio zapalenie opon mózgowych: „I wtedy rzeczywiście człowiek może się spocić, jak ma gorączkę trzydzieści dziewięć stopni. Ale nie przy tym okropnym kawałku w stylu house, napisanym wyłącznie po to, żeby sekretarki mogły się pocierać o swych szefów na firmowym przyjęciu z okazji Bożego Narodzenia”.

Recenzję zespołu Inspiral Carpets, w której rozwodzę się o tym, jak wszyscy jego członkowie są zbyt brzydki, żeby być gwiazdami pop: „Gwiazdy pop powinny wyglądać jak David Bowie – chłodne i kościste z futrem narzuconym na ramiona. Kupić jeden z singli Davida Bowie to jak wejść do Tiffany’ego i zafundować sobie tiarę, ilekroć tylko dopadnie cię wściekła chandra. Dla porównania za każdym razem, kiedy Inspiral Carpets wydają singla, czujesz się nieswojo, jak na tydzień przed świętami, gdy śmieciarze dzwonią do drzwi, mówią: «Wesołych Świąt», i czekają na napiwek. Oni są za brzydki, żeby zasługiwać na miano zespołu. To nie grupa – to grypa”.

Albo jeszcze ta recenzja U2, w której cały czas na The Edge’a mówię „The Chuj” – chociaż, jak już mówiłam, potajemnie uwielbiam U2.

– Wszystkie znane mi zespoły boją się ciebie. Słuchaj, nie przychodź nas recenzować – mówi Rob pół żartem, pół serio, jak ktoś, kto martwi się, że powiedział za dużo.

– Och, was bym nie zrecenzowała! Was lubię! – wyjaśniam. – Teraz piszę tylko o zespołach, których nie lubię.

– Zespołach, których nie lubisz? – pyta Rob. – Dlaczego?

Dlaczego?

Ponieważ uważam, że muzyka pop ma zbyt duże znaczenie, by pozostawić ją tym ołowianym, pozbawionym ambicji cymbałom. Gdyż ci bogaci spoko goście, którzy mają władzę, albo ci dumni, butni mężczyźni, którzy formują te zespoły, to ten typ osób, które zwykle patrzą z pogardą na grubą nastolatkę z osiedla domków komunalnych; a jedynie z tego miejsca, z tej pozycji, mam większą władzę od nich – na stronach „D&ME”. Pragnę zemsty – zemsty w imieniu milionów dziewczyn takich jak ja. Bo gdy siedzę w domu, z laptopem na mojej połówce stołu, z zapachem frytek tkwiącym w zasłonach, słuchając bliźniaków, które wyją na dole, chcę udawać, że jestem jedną

z tych innych dziennikarek – Dorothy Parker i Julie Burchill – a one dzierżyłyby swoje sztylety, tak jak ja dzierzę swój, zanim dopiją martini i wezwą taksówkę. Ponieważ płacą mi od słowa, a to emocjonujące, gdy tym słowem jest „skurwiel”. Ponieważ nie pływam ani nie jeżdżę na rowerze, lecz tylko tańczę po ciemku, więc adrenalina, którą czerpię z nienawiści do tych zespołów, przypomina tę, jaka uwalnia się podczas ćwiczeń fizycznych. Bo oświadczyłam się Johnowi Kite’owi na łamach czasopisma, a on, jak widać, nie ożenił się ze mną. Bo Kenny mi tak kazał.

Bo jestem najśłabsza i najmłodsza w ekipie „D&ME” i muszę zionąć jadem, żeby udowodnić swoją lojalność. Bo wciąż jeszcze uczę się chodzić i mówić, a milion razy łatwiej jest być cynicznym i władać mieczem, niż być serdecznym i stać tak z balonikiem i tortem urodzinowym, mając zadatki na skończonego głupka. Bo wciąż jeszcze nie wiem, co tak naprawdę myślę i czuję, i nadal rzucam granaty i wypełniam powietrze dymem, jednocześnie rozpaczliwie próbując oderwać się od ziemi, by doznać uniesienia. Bo jeszcze nie nauczyłam się najprostszej i najważniejszej rzeczy: świat jest trudny, a każdy z nas jest kruchy, więc po prostu spróbuj być miły.

W tamtym czasie myślę, że moja nowa postawa „pięściarza” jest ze wszech miar słuszna. Jestem samotnym rewolwerowcem, który przyjeżdża do miasta. Jestem jak Travis Bickle, który zmywa brud z ulicy. Jeśli ktoś ma prawo coś robić – ja mam prawo spróbować to odkręcić. Za każdym razem kiedy strzelam do jakiegoś beznadziejnego zespołu, robię miejsce dla jakiegoś nowego Davida Bowie.

Oczywiście z tym Travisem Bickle’em i samotnym rewolwerowcem chodzi o to, że nie są to ludzie, których zaprasza się na imprezy. Dlatego jeśli twoją samozwańczą rolą jest przychodzenie na imprezy, późno, w czarnym ubraniu, i odstrzelenie głowy każdemu na scenie, impreza zacznie się... psuć. Ludzie, którzy mówią cichszym tonem albo nie mają takiej pewności siebie, już nie chcą więcej zabierać głosu. Już nie wejdą na scenę. Tylko ci pewniejsi siebie, niesforni, będą chcieli przemówić do tłumu.

Atmosfera się zmienia, ponieważ teraz zostali już sami ekstrawertycy przekrzykujący się nawzajem. Introwertycy zeszli do podziemi, zabierając ze sobą spokojniejsze tony i minorowe dźwięki. Playlista się kurczy, jest jałowa – gra się już tylko to, co każdy lubi. Wszyscy są zbyt przestraszeni, żeby wstać i zaryzykować coś nowego, coś, co mogłoby zabrzmieć nieco dziwacznie dla zniecierpliwionych uszu.

Bo gdy cynizm staje się językiem domyślnym, wesołość i inwencja stają się niemożliwe. Cynizm wymywa kulturę jak wybielacz, usuwając miliony małych, kiełkujących pomysłów. Cynizm sprawia, że twoją automatyczną odpowiedzią jest „nie”. Cynizm oznacza, że zakładasz, iż wszystko zakończy się rozczarowaniem. I właśnie z tego powodu ludzie stają się cyniczni.

Bo boją się rozczarowania. Bo boją się, że ktoś ich wykorzysta. Bo boją się, że ich naiwność zostanie wykorzystana przeciwko nim – że kiedy tak radośnie biegają w koło, próbując wepchnąć cały świat do ust, ktoś może spróbować ich otruć.

Cynizm koniec końców jest lękiem. Cynizm dotyka twojej skóry, a wtedy zaczyna powstawać gruby czarny pancerz – jak u robaka. Ów pancerz ochroni twoje serce przed rozczarowaniem – ale prawie całkowicie utrudnia ci poruszanie się. Nie możesz tańczyć w tej zbroi. Cynizm przykuwa cię do miejsca, w tej samej pozycji, na zawsze.

A oczywiście największa ironia w byciu młodym i cynicznym polega na tym, że to właśnie młodzi ludzie powinni ruszać się, tańczyć i ufać najbardziej. Muszą zrobić gwiazdę po nowo wybuchłej galaktyce wciąż powstających, ale już lśniących pomysłów, nie bojąc się powiedzieć: „Tak! Dlaczego nie!” – bo inaczej z kultury ich pokolenia pozostanie jedynie bezbarwny, agresywny, najbardziej strzeżony z wszystkich ślad. Kiedy młodzi ludzie są cyniczni i kąśliwi, strzelają do własnej przyszłości. Kiedy ciągle mówisz „nie”, pozostaje ci tylko pytanie, czemu inni powiedzieli „tak”, zanim przyszedłeś na świat. Słowo „nie” doprawdy nie pozostawia ci żadnego wyboru.

Kiedy inni wnoszą na przyjęcie swoją broń, to już nie jest przyjęcie. To bitwa. Nie zdając sobie z tego sprawy, stałam się swoim własnym najemnikiem w bezcelowej wojnie. Strzelam do swojej własnej przyszłości.

No i dobrze – mam jeszcze czas, żeby być miła... kiedyś tam w przyszłości. Mam dużo czasu. Kiedy ma się siedemnastkę, dni są jak lata. Przed dwudziestką masz miliard szans, żeby żyć, umrzeć, a potem odrodzić się na nowo. To jedyna pozytywna rzecz w byciu młodym. Masz jeszcze dużo czasu, żeby wszystko naprawić.

Tyle że – jak się okazuje – ja wcale nie mam dużo czasu.

CZĘŚĆ TRZECIA

**ZBURZ TO I BUDUJ OD NOWA**

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Tak więc kilka miesięcy temu naprawdę fajnie było być mną. Przychodziłam do redakcji, a chłopaki z „D&ME” witali mnie czule okrzykiem: „Dzień dobry, Cruello de Mon!”. Siadałam na ich biurkach, paliłam fajki i opowiadałam o gwiazdach rocka, które udało mi się poderwać lub zaciągnąć do łóżka.

Moi koledzy z pracy uwielbiają te opowieści – relacja z nocy z Wielkokutaśnym Alem powoduje zastój w całym biurze. Czasami wyrywam jakąś gwiazdę, żeby mieć co opowiadać, kiedy wrócę do pracy; jestem jak taki mały dron wypuszczony z misją zbierania próbek różnych zachowań seksualnych, który potem przewozi je do laboratorium, żeby wszyscy mogli je zanalizować. To jest mój wyjątkowy wkład w pracę zespołu; gdyby to była gra komputerowa Dungeon Master, a my zbieralibyśmy drużynę, umiejętności Roba można byłoby określić jako „Zadyma po pijaku 7”, zdolność Kenny’ego ochrzciłibyśmy jako „Pijackie szyderstwa 8”, a mój talent nazywałby się „Erotomanka gawędziarka 10”.

Podczas wywiadów upijam moich rozmówców i każę im opowiadać o swoich fantazjach erotycznych. („Tak poza protokołem! Pytam prywatnie. Po prostu chcę wiedzieć! To... przenika do twoich pięknych piosenek!”)

Kiedy wokalista pewnego zespołu mówi mi, że w swoich fantazjach zmusza zakonnicę z pomalowanymi ustami, żeby zrobiła mu laskę („Tak że on... cały jest w szmince”) – po wywiadzie od razu wsiadam do taksówki i jadę do biura, żeby wszystkim o tym opowiedzieć.

– Zakonnica – mówi zdumiony Rob. – To są właśnie ci wasi katolicy.

– Żydzi nie są aż tak zboczeni – wtrąca Rich, który jest akurat w jednym z tych swoich rzadkich nastrojów do żartów. – Nigdy nie fantazjujemy o rabinach robiącym nam loda.

W końcu po kilku opowieściach Kenny krzyczy: „Dobra, dobra! Koniec parady świrów. Migiem wracać mi do pisania!”, a ja siadam przy jakimś wolnym komputerze



i zaczynam pisać to, co akurat mam do napisania – notuję to, co właśnie wypróbowałam przed moją pierwszą publicznością, na potrzeby naszego pisma. Starannie zebrane złośliwości.

Dziś mam już sześćset słów artykułu, kiedy nagle o czymś sobie przypominam: o kasecie demo taty, która leży w mojej torbie. Włożył mi ją tam dziś rano, kiedy wychodziłam z domu. „Załatw tatusiowi milion funciaków. Tylko jeden milion. To wszystko, czego chcę – powiedział, stojąc na progu ze szklanką mleka w ręce. – Po prostu puść to komuś. Otwórz mi drzwi do studia”. Spojrzałam na jego stopy. Miał na sobie nowe mamine kapcie pszczołki. „Jasne!” – odpowiedziałam, machając na do widzenia.

– Kenny – mówię, gdy podchodzę do jego biurka. Na komputerze widnieje naklejka z napisem: „SPIERDALAJ (kim ty jesteś?)”, którą wskazuje, nie przestając pisać. Ignoruję to i ciągnę: – Mam tu demo pewnego zespołu. Mogę ci to puścić?

Nie podnosi wzroku znad komputera, tylko wyciąga rękę i mówi:

– Pięć dych.

– Co?

– Za posłuchanie nowego zespołu. Pięć dych. – Spogląda na mnie. – Jestem za stary na to „odkrywanie nowych zespołów”, moja droga – wzdycha. – Wciąż jestem w szoku po tym, jak się dowiedziałem, że Genesis P-Orridge odszedł z Throbbing Gristle. Nadal uważam, że mogli zostać najlepszym zespołem na świecie. Puść to któremuś z młodszych chłopaków. Komuś, kto jeszcze ma nadzieję.

Idę do pokoju konferencyjnego, gdzie Rob i Zee rozwiązują krzyżówkę w „NME”.

– Pięć pionowo to na pewno będzie Iggy Pop – mówi Rob, siedząc na parapecie i paląc papierosa.

– Siedemnaście poziomo mam już „status quo” – powątpiewająco odpowiada Zee.

– Wtedy wyszłoby Iggy Poo.

– Też pasuje – odpowiada Rob, zamyślając się.

– Cześć, chłopaki – mówię, pukając do drzwi, po czym od razu wchodzę i kieruję się do odtwarzacza. – Mam demo.

– Potraktuj je Biblią, a jak nie minie do rana, to idź do lekarza – mówi Rob.

– Co to jest? – pyta Zee. Zee założył swoją małą wytwórnię płytową – również pod

nazwą Thank You – w której wyłącza pocztówki, a potem dołącza je do swojego fanzinu. Na cześć wielkich niezależnych wytwórni – Factory i Creation – w biurze mówi się o wydawnictwie Zee albo „Zeeation”, albo „Cacktory”, w zależności od tego, jak dużą sympatią darzy się jego założyciela.

– To tajemnica – mówię tajemniczo i wkładam kasetę do odtwarzacza. – To nowy zespół z moich stron. Posłuchajcie i powiedzcie, co o nim sądzicie.

Słychać syk i trzask, gdy taśma zaczyna nawijać się na szpulkę. Potem dochodzą charakterystyczne dźwięki utworu Sit Down Jamesa.

– Może być problem z prawem autorskim – mówi Rob. – To jest całkiem podobne do Sit Down Jamesa.

– On, to znaczy oni nagrali to pewnie na jakąś starą taśmę – mówię, wyłączając kasetę, i przewijam do przodu. – Cholerny głupek.

– Czy to jakiś okropny gocki zespół? – pyta Rob. Rob jest przekonany, że jestem gotką.

– Nie jestem gotem – odpowiadam i dociskam przycisk w odtwarzaczu, żeby przewijał szybciej. – Ja tylko lubię się ubierać na czarno. Jak Beatlesi w Hamburgu. Ich przecież nie nazwałbyś gotami.

– Pisujesz poezję?

– Tak.

– Tańczyłaś do *Temple of Love* Sisters of Mercy?

– No ba. A kto nie tańczył?

– Wyobrażałaś sobie, że Robert Smith z The Cure jest twoim starszym bratem?

– Wiele osób tak robi.

– Wyszłabyś z domu bez kredki do oczu?

– Zdecydowałam, że...

– Kiedy coś tam bazgrolisz na kartce, rysujesz smutną wierzbę, z której opadły wszystkie liście?

– Widziałeś mój szkicownik!

– Wiesz, co zauważyłem? – mówi Rob z namysłem. – Tak naprawdę jeśli jesteś gotką, to nic na to nie poradzisz. Masz to w swoich genach. Taka się urodziłaś. To tak jak mieć czarny kolor skóry. Myślę, że byłabyś w stanie rozpoznać gotki, nawet gdyby,

nie daj Boże, stały nago w rzędzie. Bo te wszystkie panienki gotki, one wszystkie są trochę pulchne, co nie? Wszystkie są nieco grubaśne. Bez urazy, Dolly. Zostały gotkami, bo czarny kolor wyszczupła, no nie? A mają taki, a nie inny makijaż, bo czują się niepewnie, więc próbują wyglądać przerażająco, żeby odstraszyć... drapieżników. A ci wasi chłopcy, goci, to skończone dupki, wszyscy bez wyjątku. Bo jako goci mogą nosić te śmieszne buty na słoninie. Być trochę wyżej. Kiedy spotyka się dwóch gotów, to jest taki kurewsko zabawny widok. Para gotów idących ulicą wygląda jak liczba dziesięć na spacerku. Oni to mają w genach.

Szybko dziękując Robowi, byłemu punkowi, za jego przemyślenia o gotach i ich dysmorfofobii, zauważam, że wszystkim znanym mi byłym punkom zostało zaledwie dziewięć zębów:

– Z powodu zażycia sporych ilości taniego kryształu i dostawania po ryju za to, że jest się niewiarygodnie kurewsko obraźliwym.

Te słowa wyraźnie ranią Roba, który zęby ma jak kawałki szwajcarskiego sera. Przewijam taśmę do miejsca, w którym nagrane są piosenki taty. Naciskam „play” i w pokoju rozlegają się tandetne dźwięki *Dropping bombs*.

Wtedy po raz pierwszy słyszę jego piosenki poza domem. W naszym domu brzmią donośnie – głównie dlatego, że tata puszcza je bardzo głośno przez swoje wielkie głośniki. A jego publiczność to my. Poklepujemy go po plecach, tak jak rolnik klepie swoje krowy, gdy przechodzą przez bramę. Te piosenki to nasz inwentarz. Nasi milusińscy.

Tutaj jednak – w tym trzeszczącym małym magnetofonie, w towarzystwie dwóch dorosłych mężczyzn, siedzących i słuchających z zadziwieniem – piosenki brzmią całkiem inaczej. Jestem zdumiona, że tata brzmi tak cicho. Cicho i dziwnie samotnie. Jak grajek uliczny, którego wywalono z pubu za to, że przeszkadzał klientom, i teraz stoi na zewnątrz. Nagle ogarnia mnie wielkie współczucie dla jego osoby. Był taki szczęśliwy, kiedy tworzył te piosenki – a one brzmią tak smutno.

Tata śpiewa: „A te bomby, co zrzucacie / I te kłamstwa, co zmyślacie” (Rob: „Czekaj. Jak można zmyślić kłamstwo?”). Zee słusznie zauważa: „Cóż, kłamstwo jest wymysłem. Tym właśnie jest”. Rob: „To pieprzona tautologia i tyle”). I wtedy do pokoju wchodzi Tony Rich, ściąga płaszcz i wiesza go na oparciu krzesła, a torbę

kładzie na podłodze.

Na chwilę przypominam sobie, że gdy ostatnim razem ja pozbawiłam Richa płaszcza, zdarłam go w blasku świateł, a potem Rich pieprzył mnie na podłodze, a ja klepałam go po plecach – zgodnie z zaleceniem tamtego gościa na imprezie.

– To brzmi kurewsko źle – mówi beznamyślnie, ruchem głowy wskazując na magnetofon.

– Już wystawiłem taką recenzję – mówi Rob z uśmiechem.

Wszyscy słuchają jeszcze przez chwilę.

– Och, z tego można byłoby się nieźle ponabijać – mówi Rich. – Kto to recenzuje? Ten gość brzmi tak birminghamsko. I Jezu, jest przy tym taki cikliwy. Jakbym widział plakat: Noddy Holder trzyma umierającego jednoroźca, wyjąc: „Ale dlaczego? Dlaczego?!”.

Do tego momentu nie odezwałam się ani słowem. Stoję w pokoju z kolegami z pracy i moim niby-chłopakiem, słucham śpiewu własnego ojca, oni tymczasem jadą po nim jak po każdym kiepskim niedoszłym artyście, który przysłała swoje demo do redakcji – a ja nie powiedziałam ani jednego słowa. Zastanawiam się, co powiedzieć.

– Ja to recenzuję – mówię, naciskając w końcu „stop”, i wyjmuję kasetę. – Po prostu wytnę, wkleję, a potem wydrukuję wszystko to, co właśnie powiedzieliście. Najłatwiejsze zadanie tego tygodnia.

Potem idę do toalety, wyjmuję z torebki kasetę, owijam ją papierem toaletowym i wrzucam do kosza. Wpycham ją na samo dno. Następnie jeszcze bardziej podkreślam oczy, wchodzę do windy z Tonym Richem i napieram na niego, aż mu staje; bo ciągle podnieca mnie, że potrafię to zrobić. Że umiem sprawić, by mężczyzna miał wzwód. To jest obecnie moje główne zajęcie. Sprawić, żeby Tony Rich miał wzwód. O tym tylko myślę.

Tego wieczoru idziemy całą ekipą z „D&ME” zobaczyć Teenage Fanclub w Brixton Academy. Wchodzimy razem całą bandą, otacza nas mglista atmosfera grozy: wejściówki na afterparty schowane w skórzanych kurtkach, palimy i rozmawiamy, stojąc z tyłu. Szybko nauczyłam się, że stanie i „rozmawianie z tyłu” to właściwe zachowanie na tego typu imprezach. Na koncercie Primal Scream precyzyjnie przycisnęłam się na sam przód i moshingowałam przy barierkach, aż wróciłam cała spocona i wtedy Kenny

spytał mnie ze zboloną miną:

– Jesteś pokryta potem tego pospólstwa? Czy któryś z nich cię dotykał? Kochanie, pokaż Kenny’emu na laleczce, gdzie cię dotykali. Możemy ją ponakłuwać, gdzie tylko zechcesz.

Dlatego teraz zawsze udaję się na tył sali, do baru, tam gdzie powinni stać ludzie tacy jak ja, i na bieżąco komentuję koncert wraz z innymi dziennikarzami.

Ostatnimi czasy jednak niełatwo jest wyjść – nawet jeśli trzymam się mojej ekipy z tyłu. Świat niezależnej sceny muzycznej to mały świat, a ja szybko uświadamiam sobie, że obraziłam już jego jedną trzecią.

Ponieważ stoję w towarzystwie innych pisujących do „D&ME” i od razu rzucam się w oczy za sprawą mojego cylindra, jestem dosyć widoczna dla wrogów, których sobie przysporzyłam. Pierwszy raz zdałam sobie z tego sprawę w zeszłym miesiącu, gdy jakaś mała gotka podeszła do mnie i zgromiła za to, że zmieszałam z błotem zespół Sisters of Mercy.

– Co ty sobie myślisz, żeby nazywać Andrew Eldritch’a „gnidą w namalowanych spodniach”, kiedy sama jesteś... tłustą krową w szapokłaku? – spytała. Doprawdy trafne spostrzeżenie.

Kilkoro rzeczników prasowych odmówiło mi przysyłania kolejnych płyt – Kenny musi ich bajerować, a potem daje mi płyty do zrecenzowania, mówiąc: „Boją się twojego toporka, Wilde. Musiałem im nakłamać, że to dla ZZ Topa”.

No a dzisiaj w Brixton Academy, gdzieś w połowie koncertu Teenage Fanclub, popijam sobie przy barze kolejną szklaneczkę whisky, kiedy podchodzi do mnie basista Via Manchester i pyta:

– Jesteś Dolly Wilde, prawda?

I czeka, aż odpowiem mu tradycyjnie:

– Przez większość czasu.

Po czym oblewa mnie swoim drinkiem.

– I tak się marnuje dobrego drinka – mówi, stojąc nade mną, gdy ja nerwowo mrugam, a wódka spływa mi po twarzy. – To miały być szczochy, ale mój menedżer doradził mi, żebym zostawił to na następny raz.

Płacząc w toalecie, próbuję sobie przypomnieć, co napisałam o zespole Via

Manchester, a Kenny daje mi pierwszą kreskę swojej legendarnej marnej jakości metki: „Dla poprawienia nastroju”.

Kiedy poprzednio mi to zaproponował, odmówiłam, bo boję się cokolwiek wkładać do nosa. Ale teraz czuję, że powinnam coś wziąć, żeby poczuć się lepiej. Potrzebuję czegoś nowego w sobie, aby zneutralizować to nowe i podłe uczucie. To naprawdę działa jak lekarstwo.

– Nie mogę sobie przypomnieć, czy powiedziałam o nich, że są dowodem na to, że zagrożenie chorobą wściekłych krów naprawdę istnieje, czy napisałam, że powinni zostać zakopani po szyję w swoich niesprzedanych płytach, a potem ukamienowani przez wściekły lud – mówię, płacząc, a Kenny robi dla mnie kreskę.

I robię to – usypaną na spłuczce kreskę wciągam niefrasobliwie, zauważając, że ma smak pieniędzy. Nie wiem, jakiego wcześniej smaku oczekiwałam po narkotykach – może smaku suchego lodu, a może metalicznego śniegu – ale to smakuje dokładnie tak, jak pachnie pięć funtów.

Zastanawiam się, czy to przypadkiem nie dlatego, że każdy banknot pięcioletni, który wahałam, miał na sobie ślady amfy. Jeśli na wszystkich pieniądzach są ślady narkotyków, to – mój Boże – wszyscy są naćpani. Nie mogę uwierzyć, że tak długo im się opierałam. Dzięki Bogu teraz wreszcie zażywam. W przeciwnym razie nigdy nie zdążyłabym nadążyć.

– Kenny, nie chcę w kółko wkurzać ludzi – mówię, a kryształ powoduje, że znowu zaczynam płakać. – Nie sądziłam, że oni to w ogóle będą czytać. Myślałam, że ich rzecznicy po prostu wkładają te teksty do jakiegoś pudła i to tam leży, a oni dalej robią to, co robili, i wszyscy wiemy, że to dla jaj. Ja tylko pisałam, co mi ślina na język, a potem na pióro, przyniosła. A co ich obchodzi, co ja w ogóle myślę? To przecież oni powiedzieli, że chcą włożyć Johnowi Majorowi eskę w dupę.

Naprawdę tak powiedzieli – na żywo w programie *The Word*, co wzbudziło spore kontrowersje.

Speed zadziałał tak szybko, że wszystko to powiedziałam na jednym wydechu, płacząc jednocześnie. Podnoszę wzrok; Kenny wpatruje się we mnie.

– Pierdol ich – mówi z zapałem w głosie. – Są dużymi chłopcami. Na tym polega ta gra. Robimy to, co do nas należy. Oni nagrywają płyty, a my o nich piszemy. Oni

wydają płyty podług swego uznania – a my piszemy, jak nam się podoba. Każdy robi swoje. Jeśli nie chcesz, żeby o tobie pisano – nie wydawaj płyt i nie paraduj na scenie jak jakiś palant.

Myślę o tym przez dłuższą chwilę i czuję się pocieszona.

– Na tym polega ta gra – powtarzam. Biorę chusteczkę i wydmuchuję nos.

– O Boże, Wilde, twoje dragi! – mówi Kenny z przerażeniem w głosie, gapiąc się na moją chusteczkę. – Nie wydmuchuj swojej działki!

Spoglądam na chusteczkę, gdzie wysmarkałam połowę kreski, której mój nos nie zdążył wchłonąć. Patrząc na Kenny’ego i dochodzę do wniosku, że chyba popełniłam narkotykowe faux pas. Gapi się na mnie

– Powinnam to... zjeść? – pytam go, próbując dojść, co się robi w takiej sytuacji.

– Nie teraz – mówi Kenny, nachylając się nad swoją kreską, po czym mnie puste opakowanie i spuszcza je w toalecie. – Ale może włóż to do kieszeni i zachowaj, bo kto wie, do czego dojdzie tego wieczoru.

Tymczasem wieczorem dochodzi do tego, że wracam do toalety jeszcze trzy razy i wciągam więcej speeda od Kenny’ego. Jest to dla mnie zaskakujące doświadczenie. Wcale nie jest tak, jak myślałam, że będzie. I chociaż truizm dotyczący towaru od Kenny’ego głosi, że jest okropny („Trutka na szczury wymieszana z aspiryną” – jak ktoś w redakcji „D&ME” zgrabnie to ujął. „Tego nie wzięłby nawet sam Shane McGowan z The Pogues”) – na mnie działa jedynie w ten sposób, że chce mi się gadać jeszcze więcej, to jest z intensywnością nie do wytrzymania.

Jednak to w przyjemny sposób scala i wiąże ze sobą ludzi – tak jak palenie i picie. Myślę, że gdybyśmy nadal byli społeczeństwem agrarnym, odczuwalibyśmy tę samą więź podczas zbierania plonów albo wiejskiego zgromadzenia, które w ciągu jednego dnia buduje domek z desek jak w *Domku na prerii*. Pozbawieni tej możliwości zebraliśmy się tu, żeby przemycić mnie do męskiej toalety, tak by ochroniarz nas nie widział, i ostatecznie wspólnie opróżniamy dwie saszetki. Tego wieczoru łączył nas wspólny cel. Wspólnie czegoś poszukiwaliśmy. Do czegoś dążyliśmy.

Lecz tego wieczoru dochodzi ostatecznie do tego, czym kończy się wiele wieczorów, a mianowicie do uprawiania seksu w mieszkaniu Tony’ego Richa. Wpadamy przez drzwi scaleni ze sobą – nagrzeni do tego stopnia, że cały czas się

dotykamy – całując się w sposób, który wygląda jak seria próśb. Jeśli zrobię... to, ty zrobisz... tamto, a potem ja zrobię te wszystkie inne niesamowite rzeczy.

Zanim padniemy na łóżko, już bez butów, płaszczy i połowy naszych ubrań, jestem tak odurzona pożądaniem, że czuję się jak upojony pocałunkiem wilkołak. Czuję się jak otumanione szczęściem zwierzę. To najlepsze lekarstwo na nieudany wieczór – bzykanko. Jestem w swoim najlepszym wydaniu, kiedy rozbieram się w obecności chłopaka. Tutaj nie mogę popełnić żadnych błędów ani nikogo urazić. Tutaj doprowadzam do zmian na lepsze – sprawiając, że chłopcy, którzy chcą dojść, dochodzą. To jest czysty akt człowieczeństwa. W pewnym sensie to, co robię, jest bardzo szlachetne.

Moje rozważania na temat szlachetności przerywa Tony.

– To mówisz, że niektórzy fantazjują o uszminkowanych zakonnicach robiących laskę – mówi z rozbawieniem, przerywając nasze łóżkowe harce. Zrobiliśmy sobie przerwę na złapanie oddechu. Siedziałam na nim, mocno kręcąc biodrami. – Trochę sobie używałaś.

– Tak! – mówię z dumą. – Jestem Poszukiwaczką Seksualnych Przygód!

Zaczynam rozpinąć mu koszulę i znów wiję się, siedząc na nim okrakiem. Koniec tego gadania! Wracam do moich zwierzęcych zachowań!

– Więc jesteś otwarta na przygody – mówi grubym, niskim tonem, wkładając ręce w moje włosy.

– Tak – odpowiadam, całując jego nagą już klatkę piersiową. – Jestem jak Krzysztof Kolumb, podróżuję po świecie w ciągłym poszukiwaniu nowych, jeszcze nieodkrytych lądów w cudzych spodniach. O patrz! Właśnie odkryłam Nowy Jork!

Rozpinam guziki jego rozporka.

– Ale z ciebie świntucha – mówi z zachwytem. Potem powtarza to samo, ale poważniejszym tonem: – Jesteś taka... niegrzeczna.

To dziwnie zwyczajne, uproszczone słowo jak na słownik, którym na co dzień posługuje się Tony. Zwykle pozwala sobie na komentowanie tego rodzaju moralnych osądów w kontekście społecznym, jak wtedy w redakcji, gdy Rob Grant nazwał Sinéad O'Connor „łysą wariatką z przymulonym wzrokiem”, a Tony zrobił mu półgodzinny wykład na temat Kościoła katolickiego w Irlandii i tego, że feminizm potrzebuje takich



brutalnych osób, które mają odwagę „rzucić granatami w twarde założenia”. Przez cały czas trwania tej przemowy Rob stał za Tonym i robił „ple, ple, ple”, z idiotyczną miną udając Sinéad O’Connor. No dobra.

– Bardzo niegrzeczna – zgadzam się z Tonym.

– Wiesz, ta historia, którą wszystkim opowiedziałaś, o tym gościu ze świeczką... – mówi. – I o tym gorącym wosku. To było... interesujące. Wiesz, do tego typu rzeczy trzeba wybrać odpowiednią osobę. Kogoś odpowiedniego.

Patrzy na mnie w znaczący sposób.

Aha, dobrze. W porządku. Zrozumiałam, mój ty przystojny wytworny zboczeńcu.

Przy łóżku stoi świeczka. Rzucam Tony’emu spojrzenie dominy – widząc swoje odbicie w jego oczach, stwierdzam, że daleko mi do Wenus w futrze, bo wyglądam raczej jak pani McCluskey z serialu Grange Hill, kiedy Gonch ponownie uruchamia alarm przeciwpożarowy. Tak czy siak, sięgam po tę świeczkę. Będę sączyć gorący wosk na klejnoty tego mężczyzny! Spełniam prośby! Ale nagle Tony obraca się i kładzie się na mnie.

– Wiesz, co mi się w tobie podoba? To, że ty lubisz robić te wszystkie brzydkie rzeczy – powiada, przytrzymując mi ręce nad głową.

Następne pół godziny jest osobliwe. Zawsze myślałam, że jeśli kiedyś spróbuję sadomasochistycznego seksu, ja będę sado, a nie maso. Czuję, że sado leży w mojej naturze. Sado wykonuje całą robotę – wkłada wysiłek, kojąc, kontrolując i przynosząc ulgę upojonemu wdzięcznością maso. Jako ktoś, kto nie boi się ciężkiej pracy, zawsze zakładałam, że to ja będę sadystką w każdej z tych sexy gier. Jestem seksualnym wołem roboczym! Cudowną, dobroczynną, pracowitą panią we wspaniałym skórzanym ubraniu – jak to, które nosi Madonna.

Ale wygląda na to, że kompletnie się pomyliłam, ponieważ Tony dojrzał we mnie masochistkę. Musiał ją we mnie dostrzec, bo inaczej po co robiłby to, co robi?

Przez pierwsze kilka minut jestem nieco... nabzdyczona. Jeśli mam być szczerą, byłabym lepszą sadystką niż Tony w tej roli. Czytałam o tym w sprośnych książkach z biblioteki – przeczytałam de Sade’a, Anaïs Nin i *Tęczę grawitacji* oraz *Historię O*. Najpierw trzeba zaznać przyjemności, a dopiero potem bólu. Wiem, że nigdy nie wolno

uderzyć dwa razy z rzędu w to samo miejsce, że trzeba celować raczej w te miększe części ciała, a nie w kości. Wiem, jak się wabi, kusi i przymila między tymi ostrzejszymi momentami. Jak się opowiada historię swojego rżnięcia.

Dla porównania to, co robi Tony, w dużej mierze przypomina zapasy, które uprawiałam z Lupinem. Tyle tylko że Tony naprawdę sprawia mi ból. W którymś momencie krzyczę „Auaaa!” z mocnym wolverhamptońskim akcentem, ale widzę, że psuje to atmosferę, więc zaraz szybko dodaję „Mmm auaaa!”. Przynajmniej staram się jakoś pomóc.

Tak naprawdę to ja powinnam wziąć sprawy w swoje ręce. Ja tu powinnam rządzić. Czuję się trochę, jakbym była Bobem Dylanem sadystycznego pieprzenia, pojawiając się na imprezie, oferując wszystkim zebranym mój seksualny geniusz tylko po to, żeby usłyszeć z ust gospodarza: „Och, nie trzeba. Mój brat ma organy Bontempi i zagra nam w zamian kilka kawałków Hue & Cry”.

Nie mogę sobie pomyśleć: nie chcę tego – bo skąd mam wiedzieć, że tego nie chcę, skoro nie chcę tego robić? Jestem wciąż kształującym się ładem. Każdego dnia uczę się tylu nowych rzeczy o sobie. Może właśnie dziś dowiem się, że gdzieś w duchu jestem masochistką – choć z każdym pchnięciem coraz bardziej czuję, jakby ktoś mnie walił, niż dostarczał wysokogatunkowej seksualnej ulgi.

W końcu – nie bardzo wiedząc, dlaczego obrywa mi się od gościa z twardym członkiem – robię to, co zawsze robię podczas seksu: skupiam się na tym, że przynajmniej on czerpie z tego przyjemność. Wyobrażam sobie, jak to jest być seksownym, eleganckim Tonym Richem z siedemnastoletnią dziewczyną w łóżku. Myślę o tym, jaką rozkosz musi odczuwać. Wyobrażam sobie, jakie to musi być wspaniałe uczucie wkładać w kogoś swojego kutasa – że to cudownie mieć coś tak twardego, wypełnionego i wpychać to, raz za razem, w to przyjemnie gorące miejsce. Móc obracać dziewczyną w łóżku i kłaść ją w pozycjach według swojego uznania. Sprawiać, żeby ktoś cię pożądał.

On musi tego bardzo chcieć, a ja spełniam jego marzenia. To musi być całkiem fajne, myślę sobie, na czworakach, gdy on, jak amator, który nigdy nie czytał żadnych zboczonych książek, daje mi klapsa w tyłek za każdym razem w to samo miejsce, aż czuję ból w kościach. Spełniam czyjeś marzenia.

– Jesteś niesamowita – mówi potem, gdy leżymy na łóżku, łapiąc oddech. Gładzi mnie po włosach i patrzy na mnie nieco czułym wzrokiem z wyraźnym podziwem.

Doprawdy? Byłam niesamowita? To, co właśnie zrobiłam, było niesamowite? Gdybym miała nazwać to, co zaszło tu dziś wieczorem, ujęłabym to w następujący sposób: Tony Rich uprawiał seks z kimś, kto udawał Tony’ego Richa. Mnie tutaj w ogóle nie było.

– Jesteś tak cudownie nieprzyzwoita – mówi, całując mnie. Uśmiecham się, ponieważ jestem zachwycająco nieprzyzwoita. W końcu to chyba najlepsza rzecz, jaką usłyszałam na swój temat w ciągu ostatnich miesięcy.

Jesteś tak cudownie nieprzyzwoita, myślę sobie następnego dnia, już w Wolverhampton.

Leżę na łóżku, myśląc o Tonym Richu. Robię to co zwykle, a mianowicie próbuję dostrzec we wszystkim coś pozytywnego. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to, do czego wczoraj doszło, oznacza, że koniec końców nasz związek osiągnął kolejny poziom.

Mam dziwne podejrzenie, że Tony Rich się we mnie kocha. Zeszłej nocy przeszliśmy pewnego rodzaju obrzęd zaciśnięcia więzi. On mi ufa. Ta dziewczyna, z którą przedtem chodził – może nie pozwalała mu na tego rodzaju rzeczy i dlatego ze sobą zerwali.

To dlatego teraz jest ze mną. Bo się we mnie kocha. W dziewczynie, z którą może robić te wszystkie niegrzeczne rzeczy.

Tygodnie mijają, a ja mam jeden wielki problem, bo wiem doskonale, że jako napalona panienka nie mogę zapytać wprost, bo to wbrew regułom. Bo co? Mam po prostu w drodze do łazienki wystawić głowę zza drzwi i jakby nigdy nic spytać: „Idę zrobić herbaty – ktoś ma ochotę? Aha, a tak przy okazji! Czy ty jesteś we mnie obłądnie zakochany? To, co tam piszesz – czy to o mnie? Śniesz o mnie? Czy to ja jestem tą jedyną? Czy ty też to czujesz – czy to tylko mnie się wydaje?”.

Z drugiej strony mało jest okazji, żeby tak po prostu zapytać, czy jesteśmy parą. Wszystkie nasze rozmowy dotyczą albo muzyki, albo pieprzenia się. Nie widzę sposobu, żeby sprowokować Richa do wypowiedzenia tego zdania: „...ależ tak, oczywiście jestem twoim chłopakiem”, ani podczas komentowania stylu gry na gitarze

Nile'a Rodgersa, ani wtedy, gdy trzepiąc mnie po tyłku, mówi: „A masz. A masz”. To się po prostu nie skleja.

Tego lata, kiedy co rusz ląduję u niego w mieszkaniu, popijając wino, pozwalając mu uprawiać ten jego perwersyjny seks, a potem leżąc w jego łóżku i rozmawiając o wpływie Audena na muzykę Morrissey'a, cały ten czas czuję się, jakbyśmy ciągle brali udział w surrealistycznie długiej partii gry Kim jestem?, w której Rich przykleił na moje czoło karteczkę z napisem „Moja dziewczyna” albo „Nie moja dziewczyna”, a ja muszę odgadnąć, która to kartka, zadając pytania, na które on może tylko odpowiedzieć „tak” lub „nie”. Cała ta sytuacja to ogromnie poważny problem społeczny. Dlaczego jeszcze nie wynaleźliśmy sposobu na dowiedzenie się, czy ktoś się w nas kocha? Dlaczego nie mogę przyłożyć papierka lakmusowego do spoconego czoła Tony'ego, kiedy się pieprzymy, i sprawdzić, czy zabarwi się na różowo, co oznaczałoby miłość, czy na niebiesko, co mówiłoby: zwykłe pieprzenie. Dlaczego nie ma żadnych informacji na ten temat? Dlaczego naukowcy jeszcze nie zajęli się tą sprawą?!

To, czy ja jestem w nim zakochana, wydaje się mniej istotne niż to, czy on kocha się we mnie. Nigdy nie wzięłam siebie na stronę i nie spytałam: Czy ty właściwie go pragniesz? Mam bowiem wrażenie, że już wcale siebie nie widuję. To kolejna niedogodność płynąca z faktu, że mieszka się w domu bez luster.

Rich chce chyba sprawić, żebym miała jeszcze większy mętlik w głowie, bo w połowie lipca dzwoni do mnie do Wolverhampton i zaprasza do swoich rodziców na weekend – tak jak zaprasza się swoją dziewczynę! – a potem dodaje:

– Ale nie martw się, będą tam jeszcze inni moi znajomi.

A tak mówi się komuś, kto nie jest twoją dziewczyną.

– Dużo masz przyjaciół, z którymi uprawiasz równie namiętny perwersyjny seks? – pytam zwyczajnie, ale jednocześnie przebiegle jak miłosny detektyw.

– Moi rodzice mają niesamowitą spiżarnię! Więc kto wie? – odpowiada.

Po tym niezrównanie gnomicznym telefonie odkładam słuchawkę w domu moich rodziców, w którym nie ma niesamowitej spiżarni – jest tylko szopa pełna starych kanistrów po benzynie – i idę poszukać Krissiego.

Jest w swoim pokoju przy swoim kielkowniku, który zakupił na wyprzedazy za pięćdziesiąt pensów i który wygląda jak nowy, gdyby nie duże pęknięcie na wieczku sklezione taśmą klejącą.

– Co tam hodujesz? – pytam i zwalam się na jego łóżko, a potem biorę łyka z butelki jacka daniel'sa. Ostatnio awansowałam do jacka daniel'sa. To piją Primal Scream, Slash i to popijał też Ernest Hemingway. W imponującym czasie zaliczyłam ośłą łączkę md 20/20.

– Złaż z mojego łóżka. Nie chcę, żebyś znowu zostawiła na nim ślady swojego okresu – odpowiada. – Zbyt łatwo szastasz swoimi płynami ustrojowymi. W zeszłym tygodniu na poduszce znalazłem ślady twoich wnętrzności. Cukinię.

Patrzę na rzędy maleńkich sadzonek cukinii – wszystkie takie małe, wyglądają jak zielone igiełki z pojedynczymi listkami na górze. Są najbardziej kruchą rzeczą, jaką widziałam. Nie wiem, jak one potrafią się trzymać prosto. To jest pudełko niemożliwości.

– Nie wiem, czy jestem dziewczyną Tony'ego Richa, czy nie – mówię, posłusznie siadając na podłodze i bawiąc się nawilżaczem powietrza.

– No, nie jesteś – odpowiada dziarsko. – Bo inaczej by ci powiedział.

– To nie takie proste!

– To jest banalnie proste – mówi Krissi, krusząc kompost na kielkownik.

– Nie, nie jest.

– A właśnie, że jest. To twój cudowny, wytworny, pedofilski niechłopak.

Gapię się na niego z rozdziawionymi ustami.

– On nie jest pedofilem!

– Johanna, on ma dwadzieścia trzy lata, a ty siedemnaście.

– No i?

– Trochę pedofilskie, co nie? Rzecz w tym, że nie da się zaprzeczyć, że to zahacza o pedofilię.

– Wiek jest tylko liczbą – mówię wyniośle. – Tony i ja w ogóle się nad tym nie zastanawiamy. Jesteśmy dwojgiem rozochoconych pismaków, którzy traktują się po partnersku i uprawiają ze sobą seks.

– Taa, masz rację – mówi Krissi. – Wiek jest tylko liczbą dla Tony'ego Richa. To

liczba, którą na okrągło sobie powtarza: „Pieprzę siedemnastolatkę! Pieprzę siedemnastolatkę! Chłopaki w redakcji będą zbijać ze mną piątki, gdy im o tym powiem!”.

Wściekła postanawiam, że w tej chwili nie powiem Krissiemu o klapsach. Seks jest skomplikowany, a on tego nie rozumie. On tylko patrzy na to z boku, jako komentator. Ja jestem na pierwszej linii seksu, ja naprawdę mam z tym do czynienia.

Obrażona siadam na łóżku i biorę kolejnego łyka jacka daniel'sa. Problem w tym, że Krissi wciąż traktuje mnie jak niewyjebaną jeszcze czternastolatkę, która chce z nim pogadać o Annie – pomimo tego, że noszę swój cylinder, że moje nazwisko drukuje się w gazecie i że się bzykam.

– Wiesz, za kilka lat zrozumiesz – mówię do Krissiego druzgocącym tonem. – I już nie mogę się doczekać, kiedy sam wreszcie zaczniesz uprawiać seks, a ja będę dla ciebie bardziej wyrozumiała, niż ty byłeś dla mnie dzisiaj. – Gdy tylko to powiedziałam, zdałam sobie sprawę, że nie powinnam była tego robić. To nie fair wspominać, że Krissi wciąż jest prawiczkiem. To nie jego wina, zagrałam nie fair, nie powinnam była tego mówić. Źle zrobiłam. – Kriss, nie powinnam była.

Wstaje, a twarz ma białą. Nigdy nie widziałam go tak złego – prawdę mówiąc, wściekłego, a nie tylko wkurzonego.

– Wypierdalaj z mojego pokoju, ty pizdo – mówi. Ma tak chłodny wyraz twarzy, jakiego u niego nigdy nie widziałam. Wygląda, jakby coś jeszcze chciał powiedzieć – miliard rzeczy – ale powtarza tylko, jeszcze bardziej lodowato: „Spierdalaj, ty pizdo”.

Natychmiast wychodzę z pokoju i opieram się o drzwi, które dzielą pokój Krissiego od kuchni. Przez szparę mówię:

– Kriss, przepraszam. Bardzo cię przepraszam. Nie powinnam była tego mówić.

Z drugiej strony drzwi dochodzi mnie chłodny, bardzo chłodny głos:

– Jesteś głupią cipą.

Jestem głupią cipą.

Do kuchni wchodzi tata, niesie talerz ze skórkami po tostach i resztkami jajka sadzonego i wkłada do zlewu.

– Jesteś głupią cipą? – pyta.

– Nie teraz, tato – mówię, wciąż oparta o drzwi.

- W pewnym sensie wszyscy jesteśmy dupkami – mówi tata.
- Słyszę, jak w swoim pokoju Krissi mówi niskim, jednostajnym głosem:
- No tak, ty wiesz najlepiej.
- To tylko taka rozmowa między rodzeństwem – tłumaczę tacie.
- Zabiję cię – mówi Krissi tym samym tonem.
- Zwykła rozmowa między bratem a siostrą.
- Puściłaś już komuś w redakcji tę taśmę? – pyta tata.
- Wciąż czekam na odpowiedni moment – mówię tak pozytywnie, jak tylko potrafię.
- Musisz wiedzieć, kiedy się zatrzymać, kiedy spasować.
- Aha, Kenny Rogers – mówi tata, potakując, i wychodzi. – Taa, zrób, jak radzi Kenny.

Jeszcze przez jakiś czas stoję oparta o drzwi Krissiego, w kółko powtarzając słowo „przepraszam”. Ale słyszę tylko, jak Krissi spryskuje swoje małe sadzonki zraszaczem.

Siedzę na podłodze, oparta o drzwi, słucham, jak Krissi chodzi po pokoju. Wiem, że długo tam nie zawitam.

## Rozdział dwudziesty drugi

Dobrze jest wyrwać się na jedną noc do domu rodziców Richa. Dom jest piękny, ma tak ładną fasadę, że aż chciałoby się ją pocałować jak twarz ładnej dziewczyny.

– To stara plebania – wyjaśnił mi Rich, gdy wjechaliśmy pociągiem w zalesiony Cotswold August. Wcześniej spotkaliśmy się na Paddington Station i całowaliśmy się tak intensywnie i długo, aż jakieś dzieciaki podeszły i zaczęły na nas patrzeć. Kiedy wreszcie oderwałam się od pocałunku, podniosłam kciuk na znak, że jest dobrze. Chcę, żeby seksualność dorosłych ludzi dobrze im się kojarzyła.

Gdy jednak docieramy na miejsce, widzę, że dom rodziców Richa nie wygląda jak żółta betonowa plebania na naszym osiedlu, którą wybudowano w latach siedemdziesiątych i na której jakiś dowcipniś nabazgrał: „O BOŻE!”.

To plebania w stylu wiktoriańskim, z równo przyciętym trawnikiem, wierzby i tak szerokim progiem, że zmieściłaby się na nim cała moja rodzina. Wokół okien pną się róże, a do naszej taksówki podbiega cierpiący na artretyzm labrador, żeby zobaczyć, kto przyjechał.

Rodzice Richa wyszli na powitanie przed dom. Wyglądają jak wyjęci z jakiegoś sitcomu, do którego szukano „uroczej, szykownej, nieco słodkiej pańci” w roli mamy i „na pozór szorstkiego taty społecznika z zamiłowaniem do whisky”.

To wszystko sprawia, że natychmiast czuję się niechlujnie. Kiedy prowadzą nas do pokoju Richa, w którym stoi podwójne łóżko, jest mi wstyd za moje zniszczone martensy na białym dywanie i za wojskowy płócienny plecak, na którym wciąż widać ślady zaschniętego błota z festiwalu w Finsbury Park.

Natychmiast przysięgam sobie, że nie położę go na podłodze ani na łóżku czy toaletce, na której leży piękna szydełkowana serweta. Nie chcę zbezczęścić tego miejsca moimi niestosownymi atrybutami.

– Śliczny pokój – powiadam.

– Prawda? – mówi pani Rich. – Tu spał Tony, kiedy był chłopcem. Spójrz! –



Pokazuje palcem gliniany półmisek na toaletce, pochłapany krzykliwie fioletową farbą. – Dał mi to na Dzień Matki, gdy miał siedem lat.

Przyglądam się mu. Tony namalował na nim portret swojej mamy, która wygląda tu jak na wpół roztopiony Data ze *Star Treka*.

– Jaki piękny! – mówię, wpatrując się w ten talerz przedstawiający jednooką mamę Tony’ego.

– Kiedy już się rozgościcie, zejdźcie do nas na taras. Napijemy się czegoś – mówi pani Rich, po czym wychodzi.

Rozgaszczam się, robiąc loda Tony’emu – on siedzi na pięknym dębowym fotelu bujanym, trzyma rękę na mojej głowie i powtarza: „Ciii!”, za każdym razem, gdy poruszam się zbyt szybko, a fotel zaczyna trzeszczeć – ponieważ jestem wspaniałą, choć jeszcze oficjalnie nienazwaną dziewczyną.

A potem przechodzimy na łóżko i całujemy się przez chwilę. Tony obdarowuje mnie tymi swoimi długimi pocałunkami, bez pośpiechu, z całą zręcznością swoich ust, a ja sama doprowadzam się do orgazmu, co już teraz jest tradycją, bo on nawet nie próbuje. Teraz tylko szepcze: „Ciii”, na wypadek gdybym była za głośno. Wszystkie moje doznania seksualne są wyłącznie moją zasługą i wszystkie przebiegają w ciszy.

A potem kładę swój plecak w łazience przy pokoju, gdzie niczego nie zabrudzę, wkładam sukienkę i mokrą chusteczką czyszczę buty na błysk. Następnie schodzę do jego rodziców na taras, a oni witają mnie okrzykiem: „O! Akurat otwieraliśmy szampana!”. Korek wystrzela z butelki, lampki stukają o siebie, a motyle odfruwają, piękne i matowe, by utknąć pod czaszą ogromnego parasola.

Nigdy wcześniej nie byłam w takim miejscu – w miejscu, gdzie ludzie bez umiaru oddają się cichym, spokojnym przyjemnościom. Kamienny taras wychodzi na trawnik, z tyłu wolno płynie rzeka, a nad nią zwisają wierzby. Skraj posiadłości bujnie porastają róże, lawenda i wilczomlec.

Wręczam rodzicom Tony’ego przywieziony ze sobą prezent – pamiątkowy kubek z Wolverhampton zakupiony w biurze informacji turystycznej na Queen’s Square. Patrzą na niego w lekkim osłupieniu, a ja mówię im, że zrozumiem, jeśli powiedzą: „Kiedyś tam byliśmy i podeszło do nas dwóch gości z pytaniem «A małcie frytki?»”.

Wszyscy się śmieją.

Pijemy szampana; siedząc na krześle, wygładzam moją sukienkę, a oni opowiadają mi, jaki Tony był w dzieciństwie. Tony pod stołem ściska moją rękę, jakby chciał powiedzieć: „Nie przejmuj się nimi”.

– Wydawał całe kieszonkowe na płyty z tą okropną muzyką... eksperymentalną.

– I nie chodził na ważne egzaminy na Harvardzie, bo musiał iść na koncert Pixies.

– Był czarną owcą w naszej rodzinie – dodaje matka, patrząc na niego z pobbazaniem.

Okazuje się, że wszyscy ich przyjaciele prawnicy byli rozczarowani, że Tony nie chce pracować w rodzinnej firmie („Od lat mieli na niego oko, chcieli go zatrudnić!”); aż w końcu przypomnieli sobie, że ich przyjaciel Martin pracuje dla gazety „Observer”, i podesłali mu kilka prac Richa.

– No i Martin uznał, że chłopak ma świetne, lekkie pióro! I ani się obejrzeliśmy, a gazeta wydrukowała jego artykuł o tym, że te szaleństwa to przyszłość muzyki.

Rich reaguje na to wszystko skromnością i autoironią.

– To tylko chwilowa moda, tato – mówi, zapalając papierosa. Matka cmoka z dezaprobatą, ale przynosi mu popielniczkę.

– Czyż nie to samo mówili o Beatlesach? – pyta jego ojciec, ponownie napełniając lampki szampanem. – Że to tylko chwilowa moda?

Przez godzinę jest bardzo miło. Potem rodzice Richa wychodzą.

– To my już pójdziemy, a wy możecie teraz oddać się tym waszym... hulaszczym zabawom! Do zobaczenia – mówi mama Richa i całuje go w głowę.

I w tym momencie zjawiają się przyjaciele Richa. Will! Emilia! Christian! Frances! Pewni siebie chłopcy i dziewczęta z błyszczącymi włosami idą po trawniku i wołają do nas.

Jestem podekscytowana przybyciem tych eleganckich młodych ludzi. Jest coś, do czego nigdy się nie przyznam przed ojcem, gdy wygłasza te swoje tyrady o walce klas. Nie przyznam się, że nawet podobają mi się eleganccy ludzie. A konkretnie mówiąc, pewni siebie, nieco fircykowaci absolwenci Oksfordu lub Cambridge: chłopcy w tweedowych marynarkach, dziewczęta w okularach i kwiecistych sukienkach, studiujące fizykę.

W innym świecie – w którym nie rzuciłam szkoły, żeby zarabiać na życie – też

pewnie poszłabym na studia. Na egzaminach wstępnych poradziłabym sobie całkiem dobrze i wyjechałabym z Wolverhampton, wchodząc w ten intelektualny Gormenghast, gdzie nie ma chłopców, którzy stoją na rogu ulicy i wyzywają cię, i nie ma mężczyzn groźących, że rozwalą twojemu psu łeb siekierą.

Psa oczywiście zabrałabym ze sobą – skoro Byron mógł przyprowadzić niedźwiedzia, to ja z łatwością ukryję w moim pokoju owczarka alzackiego. Na przykład w szafce.

Studiowałabym filologię angielską, pisałabym do studenckiej gazety „Varsity”, spotykała się z rodzeństwem Hugh Lauriego i pływała łódką do sklepu po fajki. To byłoby jak trzyletnie wakacje, naznaczone bankietami. Rozkoszowałabym się tym wszystkim.

Lecz zamiast tego uciekłam i wstąpiłam do rock’n’rollowego cyrku dla pieniędzy.

Teraz więc witam ich jako członek tej rock’n’rollowej cyrkowej trupy. Rodzice Richa już sobie poszli, mogę powrócić do bycia sobą. Przechylałam swój cylinder najbardziej zawadiacko jak potrafię, wkładam zapalonego papierosa do ust i wstaję, żeby się przywitać.

– Cześć! – mówię, wystawiając rękę. – Jestem Dolly Wilde! Miło mi was poznać! Chodźcie się ze mną napić! Przywiozłam wam pamiątkę z Wolverhampton – mówię, wyjmując butelkę mad doga 20/20 zakupionego w monopolowym przy dworcu.

Will mówi:

– Dzięki, dla mnie piwo.

Przypinam mu łatkę wicherzyciela i natychmiast wpisuję go na swoją czarną listę jako „Odmawiacza trunków”. Za to reszta siada i dzielnie raczy się winem.

– Jak za studenckich czasów! – radośnie stwierdza Emilia, gdy wlewają w siebie to lśniąca zielone lekarstwo.

– A więc to ty jesteś tym *enfant terrible* „D&ME” – mówi entuzjastycznie Christian, przysiadając się. – Czytuję twoje recenzje.

– Rob Grant nazywa mnie *elephant terrible* – mówię, wskazując na moje ciało. –

Mocne stwierdzenie jak na byłego, bezzębnego punka. Rob słynie z tego, że to on najczęściej pada ofiarą przemocy fizycznej ze strony muzyków, których opluwa w swoich recenzjach. Chociaż ja mam szansę być zaraz za nim. W ubiegłym miesiącu

na koncercie Teenage Fanclub basista Via Manchester oblał mnie szklanką szczołów.

– To była wódka, Dolly – mówi Tony, a inni się zaśmiewają z życzliwym przerażeniem. – I to było w czerwcu.

– Mówił, że następnym razem to będą siki. Poza tym wódka, jaką serwują w tamtym lokalu, smakuje jak szczochy. A poza tym nie-e.

Gdzieś z tyłu głowy obawiam się, że te złote dzieci mogą skierować rozmowę na jakiś mądrzejszy temat, o którym jeszcze nic nie czytałam w bibliotece – Kant, greccy filozofowie, Schopenhauer. Wprawdzie czytałam Rimbauda, ale wciąż nie wiem, jak się wymawia jego nazwisko – na pewno nie tak jak Rambo? Ale jeśli tak, to mam w zanadrzu z jakieś pięćdziesiąt żartów o Sylwestrze Stallonie – i wciąż jeszcze się wstydzę tego wywiadu, w którym wymówiłam fin de siècle tak, jak się pisze, a członkowie zespołu kpiąco mnie poprawili.

To właśnie jest straszne, gdy wszystkiego uczysz się z książek – czasem nie wiesz, jak wymówić i zaakcentować jakieś słowo. Znasz pojęcia, ale nie możesz o nich rozmawiać z pełnym przekonaniem z ludźmi. Więc siedzisz cicho. To przekleństwo autodydaktyki. A nie autodydaktyki, jak źle zaakcentowałam tego samego, żalosego dnia. Och, to był bardzo nieudany wywiad.

Robię więc to, co robią inni, kiedy czują się niepewnie – kieruję rozmowę na terytorium, na którym czuję się bezpiecznie. Na siebie. Mówię o sobie całe popołudnie. Opowiadam swoje historie bitewne – o łodzi robionym przez uszminkowaną zakonnice, o Wielkokutaśnym Alu, o tym, że grube dziewczyny dobrze pływają. Opowiadam nawet o tym, jak wystąpiłam w programie *Midlands Weekend*, bo czuję, że już teraz mogę śmiać się z tamtej dziewczyny. Dolly Wilde może śmiać się z Johnny Morrigan, bez makijażu i w okropnych ciuchach.

Jestem duszą towarzystwa! – myślę, robiąc sobie kolejnego drinka, i patrzę, jak się ze mnie śmieją, radośnie zgorszeni moimi opowieściami. Christian jest szczególnie poruszony moją relacją z wywiadu z Markiem E. Smithem z The Fall, którego spytałam, czy często używa sobie z fankami po koncertach, a Smith odpowiedział – świdrując mnie spojrzeniem – „Kochana, miałem więcej pańienek niż ty ciepłych posiłków”, na co ja odparłam, klepiąc się po swoim wielkim brzuchu: „Bardzo w to wątpię”.

– Ha, ha, ha, zajebicie – mówi Christian.

Nie mówię mu, że w rzeczywistości pomyślałam sobie tylko: Bardzo w to wątpię, i to cztery dni po wywiadzie, kiedy leżałam w wannie. A wtedy zareagowałam nerwowo, mówiąc: „To wspaniale! Dla ciebie i dla nich!”, po czym przeszłam do następnego pytania.

Ale małe kłamstewka się nie liczą. Czuję, że tak właśnie mogłam powiedzieć – a to w zasadzie to samo co wypowiedzenie tego w rzeczywistości.

Małe kłamstwa nie mają znaczenia, gdy jest się legendą. A kiedy jesteś legendą, nieważne, że przegadujesz innych.

Jest osiemnasta, a alkohol zrodził nieprzewidziane konsekwencje, powodując, że większość osób ma ochotę na sport.

– Koniec tego gadania! – mówi stanowczo Rich, popędzając swych nieco zniecierpliwionych gości na trawnik do zagrania w coś, do czego potrzebne są lotki i rakiety do badmintona.

– Nie mam do tego odpowiedniego stanika – mówię, gdy zapraszają mnie do zabawy. Zauważam z lekkim bólem w sercu, że Richowi chyba ulżyło, że jednak zostaję. Postanawiam, że podejść do tego z łaskawością, i macham im z trawnika triumfalnie jak Maggie Smith.

Nie ma szans, żebym zaangażowała się w jakąś aktywność fizyczną na oczach tych gibkich i wygimnastykowanych ludzi. Nie widzę dla siebie roli w scenariuszu, który polega na bieganiu w kółko i wymaga koordynacji ręka–oko.

Zamiast tego rozkosznie kiwam do nich głową – siedzę i patrzę, jak grają, a ich sylwetki rozpływają się w późnowieczornym słońcu. Jak na teledysku do piosenki *Avalon* zespołu Roxy Music – połączana młodość spowita mgłą.

– Chodź, zagraj z nami, Dolly! – woła zdyszany Will i podaje mi raketę.

Potrząsam głową, z uśmiechem odmawiając.

Bo przychodzą, prosząc cię, żebyś zagrała w ich raj, a ty nie wiesz, jak wejść na ich karawelę, i nie wiesz, jak jeździć na ich łabędziach. Wykrzykują swoje imiona – Emilia! Will! Frances! Christian! Imiona, które nie są obarczone wielkim ciężarem, które nie pojawiają się błagalnie na wniosku o zasiłek. Imiona, które zawsze będą

jedynie radosnym podpisem na kartce urodzinowej albo na czeku – i nigdy nie zostaną wywołane w pokoju pełnym strapionych ludzi.

Och, te wasze imiona – wasze imiona! Czy kiedyś będziecie w stanie pojąć, że one w duchu mnie niepokoją? Że martwi mnie, iż nie umiem ich wypowiedzieć bez cienia sarkazmu. Tam, skąd pochodzę, wasze imiona są powodem do żartów.

Wzdycham i zapalam kolejnego papierosa.

Dwie godziny później zapada zmrok. Siedzę w towarzystwie Emilii, która zwolniła się z gry z przyczyn zdrowotnych, po tym jak Tony przypadkowo przywalił jej w rękę rakietą.

Jej dłoń spoczywa na paczce mrożonego groszku, a my uśmierzamy jej ból dżinem – mad dog 20/20 już się skończył. Jesteśmy już naprawdę pijane. Znajdujemy się w tym błogim stanie, gdy ty i twój kompan to dwie gadające do siebie, dryfujące twarze.

Odbyłyśmy interesującą rozmowę obejmującą szeroki wachlarz tematów – marksizm, Suede, Chanel No. 5, lek przed obłędem, Guns N' Roses. Gadałyśmy o tym, jak jej rodzice kochają ją najbardziej, i o tym, jakie to niezręczne. Ustalałyśmy, jakie jest najfajniejsze zwierzę na świecie – zgodnie dochodząc do wniosku, że centaur – i czy we wszystkich aksamitnych marynarkach wygląda się grubo (tak).

Ona rozwodzi się o moich tekstach do „D&ME”, których jest, jak twierdzi, fanką – a w szczególności mojej recenzji zespołu The Breeders, w której napisałam, że Kim Deal ma tak potężnie i nieproporcjonalnie umięśnione łydki, że musiał chyba „spędzić cały dzień na jeżdżeniu pod górkę na bardzo malutkim rowerku”. („To było abso-kurwa-lutnie śmieszne”).

A potem, gdzieś około dwudziestej pierwszej, zaczyna robić się poważnie. Emilia nachyla się do mnie z ufnością i mówi, że wszystko o mnie wie – bo jeszcze do niedawna chodziła z Richem. Rzuciła go, a on „nie mógł się po tym pozbierać”, choć „teraz nadal od czasu do czasu się pieprzymy. Ale to nic poważnego. Wiesz, o co mi chodzi?”.

I w ten oto sposób dzieje się coś, na co nie jestem przygotowana tego cudownego wieczoru, gdy jestem bardzo pijana. Nie jestem gotowa na nagłą, niespodziewaną specjalną dostawę bólu i zażenowania. Czuję się, jakbym dostała przesyłkę wielkości

całego trawnika.

Kiedy to słyszę, mam ochotę się rozplakać. Chcę uciec – może wcześniej podpaliłabym sobie włosy – i już nigdy nie wrócić. Rich jest nadal zakochany w tej dziewczynie, którą pieprzy – i przywiózł mnie tutaj, żebym ją poznała? Jakie to wstrętne z jego strony.

Co zabawne jak na kogoś, kto ma złamane serce, pierwszą rzeczą, o jaką się wściekam, jest to, że nawet nie zaproponował, że zapłaci za mój bilet w tę stronę.

Wywaliłam prawie pięćdziesiąt funtów, żeby tu przyjechać i poznać dziewczynę, którą lubi bardziej niż mnie. I jeszcze kupiłam kubek dla jego rodziców, myślę sobie.

Za takie pieniądze oczekuję pewnego rodzaju wyjątkowości, a nie jakiegoś przyjęcia niespodzianki, na którym usłyszę: „Och Dolly, poznaj osobę, o której zwykle myślę, gdy dochodzę w tobie”. To są, kurwa, jakieś kpiny.

– Ale między wami wszystko spoko, tak? – pyta Emilia, gdy widzi wyraz mojej twarzy. – Chodzi o to, że on powiedział, że sypiasz z wieloma facetami. Że chodzi tylko o seks. Że robisz... te rzeczy... no wiesz... że jesteś...

– Poszukiwaczką Seksualnych Przygód? Tak, owszem. Jestem – mówię, żeby wybawić ją z poczucia niezręczności. – Jestem Robin Chuć. Jestem Indiana Bones!

– Super. Też chciałabym taka być – mówi Emilia. – Poszukiwaczką Seksualnych Przygód!

I stukamy się szklankami, wznosząc toast za Poszukiwaczki Seksualnych Przygód.

Desperacko pragnąc uniknąć wstydu, który czai się tuż za rogiem, zmuszam swój mały pijany mózg, aby wymyślił, jak wyjść z tej sytuacji z twarzą.

Postanawiam pokazać, że radzę sobie z tą upokarzającą sytuacją, o której nic nie wiedziałam – a najlepszym na to sposobem będzie poderwanie Emilii. Oto jak utrzymam pozycję prowadzącego w tej rozgrywce: poderwę dziewczynę, która mu się najbardziej podoba. W końcu po dwudziestej trzeciej każdy jest biseksualistą.

Trzydzieści sekund później dowiaduję się, że całowanie się z dziewczyną to przedziwne uczucie. A przynajmniej z tą dziewczyną. Jest taka mięciutka i ma taką małą twarz, że mam wrażenie, że w ogóle nic się nie dzieje. To takie delikatne chłeptanie – jakby była kociakiem, wtulającym się w swoją matkę. Ale to jest spoko. Kto nie lubi małych kotków? Ja tam lubię kocięta. Nie przestaję się całować.

Z miejsca, gdzie siedzimy, widzę, że inni przestali grać i patrzą na nas. Słyszę, jak Tony mówi z uznaniem: „Ale z niej świntucha”.

Podnieca mnie, że znowu tak o mnie mówi.

Właśnie! myślę sobie. Ma całkowitą rację! Jestem świntuchą! Niech Tony opowie wam moją historię!

Jeszcze bardziej przykładam się do całowania z Emilią – gładzę jej twarz i wkładam rękę w jej włosy. Odgrywam przedstawienie.

Po kilku minutach przyglądania się nam z niemym podziwem Tony zostawia towarzystwo i przysiada się do naszego stolika.

W milczeniu pali papierosa, od czasu do czasu głaszcząc po włosach Emilię albo mnie – ale poza tym z jego ust nie pada żadne słowo.

W końcu przerywam pocałunek i spoglądam na Tony’ego, mówiąc: „Cześć”, w seksowny sposób.

– Och, nie przerywajcie sobie z mojego powodu – mówi Tony swoim niskim, grubym głosem, który oznacza, że jest bardzo podniecony. – Cieszę się, że się ze sobą tak dobrze dogadujecie.

Kątem oka zauważam jednak, że gładzi jej włosy bardziej niż moje.

I tak oto mój mały mózdzek – potraktowany md 20/20 oraz dzinem – mówi mi, że powinnam ponownie przejąć kontrolę nad sytuacją i zmienić bieg na wyższy, proponując trójkąt. Nie będę się kłócić z moim rozumowaniem, ponieważ jestem ubzdryngolona, ale dochodzę do wniosku, że jeśli jako dziewczyna, na którą ma mniejszą ochotę, zaproponuję to, czego on pragnie najbardziej, znowu stanę się tą, na której punkcie oszaleje.

I wtedy Tony delikatnie chwyta Emilię za kosmyk jej włosów i odciąga ją ode mnie, żeby móc mnie pocałować. Wtedy sobie myślę: Tak! Postąpiłam właściwie!

A kiedy znowu całuje ją, myślę: Cóż, on tylko chce być uprzejmy. A poza tym wszystko to mój pomysł. Ja tutaj rządzę.

Głaszczę Emilię po włosach, gdy on ją całuje – żeby do nich dołączyć.

– Oburzająco sprośna świntucha – mówi, odchylając głowę. Patrzy na mnie, potem na nią, a źrenice mu płoną.

No, wszystko idzie jak po maśle! myślę. Zaraz zaliczę kolejny poziom w tej



erotycznej grze!

– Wybaczcie na chwilę – mrużę, wstając, i od razu się przewracam. Od chwili kiedy ostatni raz wstawałam, wypiałam sporo dżinu. – Wracam za... SEKSundę.

Ostentacyjnie machając przez ramię jak Carmen Miranda i ostrożnie stawiając kroki, wracam do domu i wchodzę do pokoju Richa. Muszę się przygotować na ten trójkąt! Muszę wyglądać dobrze!

Z plecaka wydaję kredkę i nakładam ją tak obficie, aż wokół moich oczu pojawiają się dwa czarne koła. Aplikuję dezodorant pod pachy – dla tej dziewczyny muszę ładnie pachnieć! dziewczyny są wybredne! – i spryskuję się perfumami Body Shop Vanilla Musk, w latach dziewięćdziesiątych najlepszy sposób na zakrycie dymu z fajek. A potem idę do toalety, siadam i myję zęby. Jestem jak sprośna gocka panna młoda szykująca się na swoją biseksualną noc poślubną.

Okno w łazience jest otwarte, więc słyszę stłumione odgłosy rozmowy na zewnątrz. Tony mówi coś do Christiana, Willa i Frances – ewidentnie zachęca ich, żeby wyszli.

Na chwilę przestaję szczotkować zęby.

– Pójdziemy na spacer – mówi Will. – Do pubu.

Christian wydaje się niechętny.

– Jestem zmęczony – mówi, a w jego głosie słychać rozdrażnienie.

Słychać jakieś przepychanki, a potem śmiech – chyba Tony na niby bije się z Christianem.

– O! – mówi Christian i dalej się śmieje. – Dobra! W porządku!

Potem jeszcze mamrocze coś, czego nie słyszę, ale co kończy się słowami: „...ta pospolita dziewczka”.

A potem słychać, jak wychodzą – butelki dzwonią o siebie, a Christian jęczy:

– Mam nadzieję, że nie jest tam zbyt tłoczno. Nie chce mi się stać przy barze.

Siedzę tam jeszcze przez chwilę, pozwalając, żeby dotarło do mnie to, co właśnie usłyszałam.

Pospolita dziewczka. Jestem jego... dziewczką.

I po raz drugi dzisiejszego wieczoru mówię sobie, że muszę podołać tej sytuacji. Rozkazuję sobie pogodzić się z tym, co właśnie usłyszałam. Będę tym, kim trzeba, odpowiednio do sytuacji. Udawaj, aż wejdzie ci w krew, mała. Będę jego dziewczką –

jak uboga Jane Eyre, gdy ujęła Rochesterę. Albo... jak Julia Roberts i Richard Gere w *Pretty Woman*. Jest w tym pewna wielkoduszność! Odniosłam seksualny triumf na przekór społecznym przeciwnościom – będąc po prostu sobą! Jestem dwiema w cenie jednej! Jestem dziewczyną z rodziny robotniczej, która świetnie pasuje do sadomasochistycznego trójkąta! W moim erotycznym CV znajdziesz wszystkie perwersje! Mam szerokie kwalifikacje. Gorąca zdzira, taką siebie kocham.

Lecz kiedy wracam na taras i witam swoich partnerów erotycznych okrzykiem: „No to zaczynamy ten trójkącik!”, widzę, że Tony przyciska Emilię do ściany, trzymając rękę w jej staniku.

– O! Widzę, że już zaczęliście – mówię.

Stoję tam przez chwilę.

Przez pierwsze trzydzieści sekund mojej głowy nie nawiedza żadna myśl – czuję się jak Wiluś E. Kojot, zawisający nad przepaścią, gdy pedałuje nogami w powietrzu. Czy to źle? Czy to źle, że niedobrze się z tym czuję? Powinnam siebie zganić za to, że mi źle z tym, co widzę?

– Eee... cześć? – mówię.

Tony i Emilia zwracają twarze w moją stronę. Emilia jest zalana w sztok, ale ręce wciąż trzyma na klatce piersiowej Tony’ego. Tony wyciąga do mnie rękę.

– Chodź tu do nas! – mówi. Nie ruszam się z miejsca. – No chodź, przyłącz się do nas! – powtarza, stojąc z otwartymi ramionami.

Nie bardzo wiem, co mam powiedzieć.

– Co to za... smutna mina? – pyta, jakby mówił do jakiegoś naburmuszonego dzieciaka.

– Chodzi o to, że... – mówię, sięgając do źródła mojego niezadowolenia. Stać mnie tylko na stwierdzenie faktu: – ...włożyłeś rękę do stanika Emilii.

– Zgodziłaś się na trójkąt! – zauważa Tony.

– No tak, ale potem wy zaczęliście we dwoje – mówię wolno.

– Dwójka zawiera się w trójkącie. Jest jego nieodłączną częścią – śmieje się Tony. Podchodzi do mnie, zostawiając skonsternowaną Emilię pod ścianą, i zaczyna mnie całować. – Daj spokój, mała. Pokażę ci coś naprawdę nieprzyzwoitego.

I nagle wtedy – po raz pierwszy od lat – wpadam w gniew. Wcześniej zawsze stroniłam od wściekłości – nie lubię tego uczucia, gdy gniew przyspiesza myśli i emocje; to tak, jakby otworzyć drzwi lękowi. Gniew jest jak dolewanie kwasu do wrzącej wody – wszystko się pieni i burzy i nie można nad tym zapanować. Sprawia, że działasz i mówisz w niebezpiecznym tempie, a ja już czuję, że za sobą nie nadążam.

Teraz jednak, w tej chwili, niespodziewanie spada na mnie deszczem, który dodaje mi siły. Mam wrażenie, że jeśli dobrze go wykorzystam, znajdę rozwiązanie swoich dzisiejszych problemów. Ponieważ jestem oburzona. Jestem tym głęboko dotknięta. Mam broń – cięty gorzki humor – i nie zawaham się jej użyć.

– Wyjaśnijmy sobie jedną bardzo ważną rzecz. To ja tutaj jestem tą nieprzyzwoitą. To ja jestem ekspertem od seksu. Pieprzyłam się więcej razy, niż ty jadłeś ciepły posiłek. Szczytowałam, myśląc o gadających lwach z Narnii, kiedy ty, kurwa, zdawałeś maturę. Czytałam też de Sade’a, a nie tylko słuchałam Velvet Underground, mając na sobie te śmieszne buty ze szpicem. Uprawiałam seks z penisem tak wielkim, że omal od tego nie umarłam. Widziałam statki szturmowe w ogniu sunące ku ramionom Oriona i promienie kosmiczne błyszczące blisko Wrót Tannhäusera – w swoich majtkach. Perwersją dla mnie jest pieprzenie się z tobą, a nie odwrotnie. To ja wyrwałam ciębie.

Gdzieś w trakcie tej przemowy zaczęłam płakać. Nie ze smutku, lecz z... cierpienia, że muszę to powiedzieć. Że byłam na tyle głupia, by przyjechać tu z tym głupim gościem.

– Ja cię uprzedmiotowiłam – ciągnę, usiłując tłumić szloch, który mógłby zepsuć mi ten monolog. – Zbieram punkty za pieprzenie się z ważniakami i bufonami. A dzięki temu, że bzykam się z tobą, moja karta jest już prawie pełna. W robotniczych domach kultury przybijają mi za to piątkę. Na naszych osiedlach sami sobie zapewnimy rozrywkę. Nie jestem twoją... pospolitą dziewczką. To ty jesteś... moim paniczem – zabawką.

On jest tylko moim perkusistą. Jest moim perkusistą. Ci wszyscy faceci, których pieprzyłam, to moi perkusiści.

Spoglądam na Tony’ego, a on tylko wpatruje się we mnie. A za nim stoi Emilia. Też się gapi. Widzę, co narobiłam – wygłosiłam pijacką tyradę na temat różnic klasowych. Wiem, co to oznacza.

To znaczy, że zmieniałam się w tatę. Znam tylko jeden sposób, żeby zakończyć tego rodzaju przemowę.

– Jestem żydowskim bękartem Brendana Behana – mówię – i przyjdzie taki dzień, że będziecie mi się, kurwa, kłaniać! – Milknę. Rich i Emilia wciąż się na mnie gapią. –

To ja już sobie pójdę. Idę zapalić wściekle marksistowskiego papierosa – dodaję na zakończenie.

Palę go w drodze po schodach aż do naszego pokoju, chociaż wiem, że w domu nie wolno palić. Potem kładę papierosa na tym małym glinianym półmisku, własnoręcznie zrobionym przez Tony'ego, gdy miał siedem lat – zgniatając go na rozmazanej twarzy jego mamy kosmitki – i nieprzytomna padam na łóżko.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Budzę się o świcie pośród obfitości dźwięków i kolorów – żółtko i pióro Feniksa oraz wyjątkowa perlista szara skóra nóg kakadu, z której można by zrobić piękną sofę Chesterfield, za cenę pięćdziesięciu tysięcy nieżywych kakadu. Ptaki są szalone. Posłuchaj tylko, jak śpiewają do słońca! Ich głos wypełnia złotą zwiędłą powłokę jego kuli, aż uniesie się nad horyzontem jak świecący zeppelin wypełniony hałasem. O Boże, wciąż jestem pijana.

Zasypiam i budzę się ponownie o ósmej, gdy jest już jasno.

Wychodzę z łóżka; Rich nadal jeszcze śpi, rozwalony tam, gdzie pewnie padł, kilka godzin po tym, jak go zostawiłam. Na jego szyi ślady po miłosnych ugryzieniach. Co za skurwiel; ubieram się, pakuję, znajduję książkę telefoniczną i zamawiam taksówkę.

Gdy siedzę na progu, palę papierosa i czekam, aż przyjedzie, czuję nagły, niespodziewany przyływ spokoju – jakbym na sekundę wcisnęła pauzę, zatrzymując życie, które przez jakiś czas biegło w przyspieszonym tempie.

Patrzę na dym unoszący się pionowo w górę jak w hinduskiej sztuczce z liną, po czym spoglądam na swoje ręce i myślę: Te dłonie wyglądają jak dłonie dorosłej osoby. Masz już dorosłe ręce, Johanna. W dorosłej dłoni trzymasz papierosa dla dorosłych, dzień po tym, jak nie dopuściłaś do seksualnego fiaska.

Czuję się podniecająco... wolna. Zeszłej nocy mogło dojść do czegoś, co mi się nie podobało – i powstrzymałam to. Nigdy wcześniej nie zapobiegłam swojej kłęsce. Nigdy jeszcze nie powiedziałam do siebie stojącej na drodze ku pewnemu nieszczęściu, czule jak matka: „Nie! To nie jest miejsce dla ciebie! Zawróć i pójdz inną drogą!”.

Poprzednio byłam skazana na wszelkiego rodzaju fatum – niema i uległa, zamartwiająca się, że wyjdę na dziwaczkę, na tę, która nie chce się pieprzyć albo narobi zamieszania.

Ale teraz wszystko się zmieniło: wygląda na to, że teraz jestem dziewczyną, która

potrafi zainicjować trójkąt, potem go odwołać, a następnie zamówić taksówkę. Zawiaduję sobą. Potrafię pokierować losem! Mogę zmienić porządek programu na wieczór! Mogę powiedzieć: „Tak”, a zaraz potem: „Nie”!

To nowa informacja na mój temat. Podoba mi się ta informacja. Podobają mi się wszystkie informacje dotyczące mnie. Sporządzam dossier. Specjalizuję się w temacie swojej osoby.

W końcu przyjeżdża taksówka. Wlecze się za bmw rodziców Tony’ego, miażdżąc żwir na podjeździe. Dwa zabawnie odmienne auta: błyszczące bmw dla nich i zdezelowany ford fiesta z wielką anteną – dla mnie.

Rodzice wysiadają z samochodu i niosąc torby podróżne, idą do mnie, żeby się przywitać. Zakładając plecak na ramię, podchodzę uścisnąć im dłoń.

– Dziękuję państwu za gościnę – mówię tym moim wyszukany głosem. – Mają państwo bardzo piękny dom. Cudowny. Przepiękny. Za to wasz syn jest beznadziejny.

Wsiadam do taksówki i odjeżdżam.

W pociągu w drodze powrotnej do Londynu – w głowie kręci mi się od kaca – zdaję sobie sprawę z tego, że ja i Tony Rich nie jesteśmy już parą. Częściowo dlatego, że po pijaku na niego nakrzyczałam, ale głównie i przede wszystkim dlatego, że nigdy parą nie byliśmy. No i że właściwie nigdy tego nie chciałam. Zachowywałam się jak chłopka, która desperacko pragnie wyjść za mąż i oddaje się pierwszemu lepszemu handlarzowi przybyłemu do wioski sprzedawać wstążki i toniki do włosów.

Przyciskając głowę do okna, odbywam z sobą krótką pogawędkę.

Więc czego właściwie chcesz? – pytam siebie w przyjazny sposób.

Gdzie chciałabyś być? Co jest dla ciebie dobre? Co tak właściwie lubisz?

Odpowiedź na wszystkie te pytania wydaje się oczywista: John Kite. Chciałabym sięść i pogadać z Johnem Kite’em. Chciałabym pojechać i odbyć rozmowę z Johnem Kite’em, podczas której robilibyśmy to, co zawsze: zgadzali się co do wielu rzeczy, kończyli sobie nawzajem zdania i czuli się jak para najfajniejszych ludzi na świecie. I wiem, gdzie go szukać: w pubie The Good Mixer w Camden. Tam na pewno się pojawi, jeśli odpowiednio długo poczekam. Wsiadam z tego pociągu i idę szukać Johna Kite’a.

Docieram tam w południe. Ten niepozorny pub dla starych ludzi, mieszczący się w Camden, w 1993 roku jest jak bar Zdrówko dla świata muzyki niezależnej. Jeśli odpowiednio długo posiedzisz przy barze, pojawią się przy nim stali członkowie obsady. James z Manic Street Preachers, Norman z Teenage Fanclub. Miki z Lush. Blur ciągle rezerwuje stół bilardowy – szklanki z piwem stawiając na stoliku obok. Ponieważ gram w tym serialu rolę mocno drugoplanową – mamę Cliffa – kiwam głową w kierunku ledwo znanych mi osób, po czym spuszczam głowę i udaję się do pustego stolika w kącie, gdzie zapalam papierosa i czekam na Johna.

O wpół do drugiej, zniecierpliwiona czekaniem, wychodzę na zewnątrz, gdzie stoją rozklekotane stragany, i kupuję wysłużony egzemplarz *Ulissesa* oraz siatkę mandarynek. Siedząc na krawężniku, obieram mandarynki i czytam Joyce'a w popołudniowym słońcu koloru słabej herbaty. Wcześniej nigdy nie próbowałam go czytać. Przez dwadzieścia minut zachwycam się tym, jak swobodnie porusza się w czasie i przestrzeni – pisząc o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, ze swojej perspektywy, z punktu widzenia psa oraz morza – a potem łapię się na tym, że czytam dwa razy tę samą stronę, i myślę: O Boże, teraz nie dam rady tego ogarnąć; i zamiast tego kupuję komiks „Viz” w małym markecie naprzeciwko.

W końcu tuż przed trzecią, kiedy jestem z powrotem w pubie, pojawia się John – w niechlujnym lnianym garniturze, półbutach i ze złotymi pierścionkami na palcach. Jest z grupką ludzi, ale gdy mnie zauważa, zostawia ich i podchodzi do mojego stolika, lekko już zawiany, z promiennym uśmiechem na twarzy.

– Księżna! – drze się. – Jakbym dostał prezent gwiazdkowy w sierpniu! Dostarczony do mojego pubu, do mojego własnego stolika, ku mojej uciechu! Jesteś balsamem na rodzącą się zrzędlivość!

– Jak leci? – zagaduję, jak gdyby nic się nie stało.

– No wiesz – mówi Kite, zapalając papierosa, i siada koło mnie, kładąc mi się przesunąć. – Ku zachodowi, ciągle w drodze. Co ci – spogląda na mnie – jest?

Wybucham płaczem.

Kite przez trzy minuty próbuje mnie uspokoić, mówiąc: „Księżno! Księżno!”, a potem tylko tuli mnie w tych swoich wielkich ramionach, tak że kompletnie się w nich chowam, jak sowa w dziupli drzewa. To najprzyjemniejszy płacz, jakiego

w życiu doznałam – gdyby szlochanie zawsze było tak przyjemne, robiłabym to częściej.

Stopniowo spowalням swoje spazmy – częściowo dlatego, że już lepiej się czuję, a trochę po to, by móc potajemnie wdychać zapach wody kolońskiej Kite’a – po czym szarpnię i zatrzymuję się jak samochód, który zygzakiem zjeżdżał z górki, aż wreszcie skończył na żywopłocie.

Kiedy wydostaję się z jego ramion, widzę, że barman przyniósł do stolika butelkę dżinu, a Kite nalał nam po miarce.

– Idź i przemyj twarz – mówi łagodnie Kite – a potem siądziemy i przywrócimy świat do porządku. A jeśli jeszcze kiedyś choć przez sekundę będziesz nieszczęśliwa, to jakiś skurwiel będzie miał ze mną do czynienia!

Idę do toalety i zmazuję smugi po makijażu. Zaczynam ponownie nakładać twarz Dolly Wilde na swoją – po czym stwierdzam, że mi nie zależy. Kite już wcześniej widział moją twarz bez makijażu. Nie ma sensu się wysilać.

Kiedy wracam, jego świty już nie ma.

– Puściłem ich wolno – mówi, podając mi szklaneczkę dżinu.

Biorę łyk i od razu czuję się spokojniejsza.

– Wdałam się w wielką kłótnię z Tonym Richem w obecności jego prawdziwej dziewczyny, a potem go rzuciłam. Chyba nie mogę bywać w ładnych miejscach ani rozmawiać z miłymi ludźmi – mówię w końcu. – Chyba nie mogę tego robić. Moje miejsce jest w getcie z ludźmi takimi jak ja.

– Bzdura – byłabyś ozdobą Pałacu Dożów – mówi Kite zdecydowanym tonem.

– Nie bardzo. Za wcześnie zostałam... spuszczone ze smyczy – mówię. – Psuję spotkania towarzyskie. I penisy.

Tak więc opowiadam o domu Richa, jego przyjaciółach, o tym, co powiedziałam i jak to się wszystko skończyło. Słuchając tej historii, Kite co jakiś czas ryczy ze śmiechu („Statki szturmowe sunące ku ramionom Oriona, w twoich majtkach! Ha, ha, ha!”), ale im bliżej jestem końca tej opowieści, tym coraz częściej się krzywi, szczególnie gdy mówię o okropnym seksie, który uprawiałam. W końcu pyta:

– To jak to właściwie jest między tobą a Richem? Więc to nie był pierwszy pocałunek prawdziwej miłości?



Przyglądam się wnętrzu mojej szklanki z dżinem.

– Pamiętasz, jak księżna Diana powiedziała, że w jej małżeństwie było ich troje? Myślę, że w naszym związku była tylko jedna osoba: ja – mówię. – Nie byłam tą, której pragnął.

– Nie. Ja myślę, że to on nie jest właściwym facetem dla ciebie – mówi Kite. – Powiedziałbym, że interesujesz się nim tylko dlatego, że jest pismakiem, i po prostu chcesz się pieprzyć z pisarzem, bo to prawie tak, jakbyś pieprzyła się z samą sobą. Ty po prostu lecisz na siebie, moja droga. No i bardzo dobrze. Spotykałabyś się z nim, gdyby był... kowbojem albo... szpiegiem?

– Ha, ha! Nie – odpowiadam.

– No widzisz – mówi Kite.

Przez chwilę myślę o tym, co powiedział. Zastanawiam się, co najbardziej lubię w Richu: świntuszenie przez telefon, to, jak mówi o seksie, gdy go uprawiamy. Uświadamiam sobie coś.

– Być może... pieprzyłam się z nim jedynie dla recenzji – stwierdzam ostatecznie. – Sądzę, że chciałam, żeby Tony Rich mnie zrecenzował. Żeby się w niej przejrzeć.

– Ha, ha, ha! Jestem pewien, że dostałabyś pięć gwiazdek – mówi Kite. – Z pewnością byłaś dla niego albumem roku. Bzykankiem roku. Ale wiesz co? Nie możesz umawiać się z pisaniem. Ludzie nie są swoimi dziełami. Nie jesteśmy tym, co tworzymy.

– Ja jestem – mówię, a zaraz potem zauważam, że Kite przygląda mi się zadziwiony. – To znaczy nie teraz. Nie tymi wszystkimi... złośliwościami. Ale będę. Chcę zrobić coś wspaniałego. Coś wielkiego. Tak jak to robią mężczyźni.

– Jestem pewien, że to ci się uda, kochanie – mówi i całuje czubek mojej głowy. – Jestem pewien, że któregoś dnia będziesz wspaniałym dziełem sztuki.

Tak oto, popijając dżin, potem znowu dżin i jeszcze więcej dżinu, spędzamy jedno z najcudowniejszych popołudni w moim życiu – na tej samej, rozmarzonej, oderwanej od rzeczywistości wólczędze, jak wtedy w Dublinie. Zabraliśmy ze sobą alkohol („Wrócimy tu jeszcze!” – rzucił Kite właścicielowi, teatralnym gestem sięgając po flaszkę) i szliśmy wzdłuż Oval Road w kierunku Regent’s Park, w słońcu późnego letniego popołudnia, paląc i pociągając z butelki.

– To dom Alana Bennetta – rzekł Kite, wskazując zaobraczkowanym palcem na gregoriański budynek, przed którym stała zaparkowana jakaś zdezelowana furgonetka. – A tam mieszka Morrissey.

Tego wieczoru magia Londynu staje się oczywista – każda ulica ma swojego ulubieńca-geniusza – to miejsce, do którego wszyscy uciekają.

Dotarliśmy do Regent's Park i spacerowaliśmy po ogrodzie różanym, a ja podbiegałam do szczególnie frywolnych róż, które wołały do mnie jak seksowne dziewczyny, zanurzałam twarz w ich pachnących mirrą płatkach, wołając do Johna:

– Ta jest najlepsza. Nie, ta! Nie – ta!

Oszalałam na ich punkcie – chciałam, żeby wypełniał mnie ich zapach. Widziałam siebie jako szklaną butelkę, w której kłębią się róże. Jestem karafką. Jestem rozpylaczem. Jestem zakochana w bujności róż.

Nie muszę nikogo krytykować ani mieć swojej opinii, ani pozować, gdy John jest przy mnie – po prostu chodzimy sobie, ciesząc się życiem i wskazując palcem na to i na tamto. Po prostu jesteśmy częścią tego świata. Nie zdawałam sobie sprawy, że to takie wspaniałe uczucie. Choć może kiedyś, dawniej, byłam tego świadoma, lecz o tym zapomniałam. Przepęlnia mnie uczucie zachwytu nad życiem. Jestem taka szczęśliwa, że żyję. Celem życia jest radość – sprawianie komuś radości i bycie nią obdarowanym. Ziemia jest skrzynią skarbów, w której pełno jest ludzi, miejsc, piosnek, i codziennie możesz w niej zanurzyć swoje ręce i wydobyć jakąś nową, śmieszna, doskonałą rozkosz i przyjemność.

Znaleźliśmy klomb żółtych róż i ujrawszy ich nazwę na tabliczce poniżej: Złoty Deszczyk – zanieśliśmy się histerycznym śmiechem. Po trzech minutach zaczęłam się obawiać, że dozorca parku nas przegoni, bo John wołał tubalnym głosem:

– Złoty Deszczyk! Spędzasz trzydzieści lat, przeszczepiając pędy, krzyżując jedną odmianę z drugą, a potem nazywasz to, co ci wyszło, Złotym Deszczykiem! Trzeba było je nazwać Falującym Dupskiem, durni skurwiele! Albo Kwiecistą Sperma!

Pluskałam się w fontannie, podczas gdy John siedział na jej brzegu, paląc papierosa, i opowiadał mi o swojej ostatniej wizycie u matki:

– Ona nawet nie spojrzy mi w oczy, księżno. Siedzi tylko przy oknie, wygląda przez nie i mówi, co tam widzi. I tak aż do końca odwiedzin.

Uderzam w jego udo pięścią w geście współczucia, a on mówi ze zdumieniem:

– Z nikim innym nie rozmawiam o tych rzeczach, tylko z tobą, siostrze.

Wchodzimy do zoo – Kite płaci za bilety – siadamy, palimy i słuchamy, jak gibony pokrzykują do siebie z drzew, wydając ten charakterystyczny wysoki, zapętlony, pełen napięcia odgłos.

Jesteśmy już bardzo pijani – sączymy ostatnie krople dżinu – i zaczynamy cicho śpiewać, wtórując małpom; Kite wchodzi w duet z jakimś samotnym samcem, wplatając kawałki swoich piosenek w jego zawodzenia. Jest coś niezwykle pięknego w patrzeniu, jak mężczyzna, którego kochasz, śpiewa w duecie z małpą – ta gibonowata melancholia pasuje do bladego księżyca, wschodzącego na błękitnym niebie ponad klatkami.

Żeby dogłębnie doświadczyć tego, co się dzieje – żeby maksymalnie to wykorzystać – całe popołudnie palę tak intensywnie, że praktycznie odpalam jednego papierosa od drugiego. Kiedy otwieram drugą paczkę silk cutów, John patrzy na mnie przez chwilę.

– Nigdy nie widziałem kogoś, kto paliłby tak pazernie i z takim oddaniem jak ty – powiada łagodnie.

– I ty to mówisz? Zaczęłam palić wyłącznie z twojego powodu.

– Cóż, ja zacząłem przez Johna Lennona – wzdycha, sięgając po jednego z mojej paczki. – Tak, mała, rock’n’roll to okropna niańka.

Gdy patrzę na niego, nachodzi mnie myśl, która tak mnie podnieca, że wiem, iż zaraz nie wytrzymam i będę musiała się nią podzielić. Mam mu coś do powiedzenia.

Zaciągam Kite’a do wybiegu dla wilków – w euforii, potykając się i zanosząc się od śmiechu – bo tam właśnie Withnail wygłosił swoją wielką przemowę, a ja zamierzam wygłosić swoją. John zapina spinki do mankietu i zagaduje:

– No więc?

– Długo nad tym wszystkim myślałam i doszłam do wniosku, że powinniśmy się pocałować – mówię zdecydowanym tonem. – Musimy się pocałować i to musi zdarzyć się teraz. Nie pozwolę ci odejść niepocałowanym przeze mnie. Musimy się pocałować, żeby wiedzieć. Nie zastanawiajmy się już dłużej. Zaczniemy się całować. Zróbmy to tu i teraz!

Kiedy budzę się następnego dnia rano, ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że mówiłam Johnowi Kite'owi coś o całowaniu, przed wybiegiem dla wilków w Regent's Park.

A co było potem? Co potem? Tego nie wiem. Dalej już tylko spowodowana dżinem ciemność – komórki mózgowy, które mogły zachować to niepokojące wspomnienie, zostały zniszczone przez alkohol. Tak chyba ma działać ten system.

Otwieram oczy.

Jestem w pokoju hotelowym Kite'a – leżę w jego łóżku, w pełni ubrana. On jeszcze śpi, w wannie, również w ubraniu. Przypomina mi się, że wchodząc do niej, mówił: „Tym razem moja kolej na spanie w wannie, księżno”. Więc nadal ze sobą rozmawiamy? Czyli nie mogłam zrobić nic złego – tyle tylko że wiem, iż zrobiłam. Mówiłam o całowaniu.

Och, Johanna, nigdy nie mów o całowaniu. Przestań. Pomyśl, zanim coś zrobisz.

Właśnie. Jadę do domu – pomyśleć.

Zgarniam wszystko do plecaka, zabierając ze stołu popielniczki, jak nauczył mnie Kite – i piszę do niego liścik:

„Musiałam wracać do domu. DZIĘKUJĘ. Przepraszam. Oczywiście zabrałam popielniczki. Całusy”.

Wychodzę z hotelu – gdzie my jesteśmy? Chyba w Soho. Jestem jeszcze pijana? Tak. Idę w kierunku dworca, żeby wytrzeźwieć. Mówię do siebie, jakbym mówiła do jakiegoś strapionego dziecka albo do Lupina, gdy jest czymś przerażony: „Johanna, co ty wyprawiasz?”.

Przypomina mi się wizja siebie w roli dorosłej osoby – bywam na przyjęciach w Londynie, a tam pełno ludzi w moim wieku, gdy tylko się zjawiam, wznosi się aplauz na cześć czegoś, co ostatnio napisałam albo zrobiłam. Wołają: „Brawo!”, i przysyłają szampana, jakbym była Oscarem Wilde'em, który właśnie wystawił nową, śmiałą sztukę.

Myszę o tym, jak jest w rzeczywistości: wychodzi nowy numer „D&ME”, a ja zostaję oblana piwem przez jednego z moich rówieśników, ponieważ nazwałam jego ziomka „marnującym czas Womble'em z twarzą jak ceber”.

Ale oni chyba wiedzą, że gdzieś za tym wszystkim kryje się dobra i szlachetna

osoba, która kocha cały świat? Na pewno domyślają się sensu ukrytego w tym, co piszę. Ludzie z pewnością potrafią wyczuć, że za tymi wszystkimi ostrymi słowami kryje się ktoś, kto wciąż marzy o jamniku i wzrusza się na myśl o Nelsonie Mandeli.

Gdy docieram na Euston Station, kupuję egzemplarz „D&ME”. Zamierzam przeprowadzić eksperyment. Zamierzam udawać, że jestem Johnem Kite’em – pewnie budzi się teraz i skonsternowany, że jego koleżanka złożyła mu zeszłej nocy niestosowną propozycję, zastanawia się, czy przypadkiem nie jest lekko stuknięta – i zamierzam przeczytać wszystko, co napisałam do tego numeru, i na tej podstawie wywnioskować, czy jestem dobrym człowiekiem, czy nie. Wystawię siebie w słowach na próbę, żeby sprawdzić, czy to rzeczywiście ja, czy też nie. Czy jestem dziełem sztuki, czego bardzo bym chciała.

W pociągu szczęśliwym trafem udaje mi się znaleźć miejsce z całym stolikiem dla siebie! Siadam i pijąc czekoladowego shake’a z McDonalda – mój sposób na kaca – drżącymi rękami przeglądam najnowszy numer. Przez moment ogarnia mnie panika, gdy widzę recenzję Tony’ego Richa – nie myśl o Richu! nie myśl o Richu! – ale potem wracam do niej i mimo wszystko czytam, robiąc to co zawsze: doszukuję się w niej czegoś, nawet zawoalowanego, na temat mojej osoby.

Ale tam niczego nie ma – nic o miłości, pieprzeniu się ani w ogóle o żadnej kobiecie; staje się jasne, że bez względu na to, ile razy mu obciągnę, on i tak nie uczyni mnie nieśmiertelną. John ma rację. Jeśli chcę zobaczyć siebie w tym czasopiśmie, muszę przeczytać to, co sama napisałam – a na następnej stronie jest moja recenzja, większa niż Richa, co z radością zauważam.

To moja „analiza” nowego albumu zespołu Soup Dragons – szkockiej grupy, która wskoczyła na platformę muzyki w stylu Madchester, czym wywołała drwiny. Kenny wspominał o tym przez telefon, gdy już dostarczyłam tekst, ale zlekceważyłam to. Teraz z przerażeniem zauważam, że mój artykuł opatrzony jest nagłówkiem: „Wilde wreszcie posuwa się za daleko”.

Recenzja koncentruje się wokół metafory, w której zespół zasiada na ławie oskarżonych, ponieważ jego członkom postawiono zarzut popełnienia zbrodni przeciwko ludzkości.

– Gdybyśmy mieli poważnie traktować konwencję genewską – zaczęłam – jeśli mamy pociągać do odpowiedzialności tych wszystkich, którzy popełniają okrucieństwa prowadzące do zagłady ludzkości, to z pewnością zespół Soup Dragons wkrótce zbierze cięgi. Surowi, bezwzględni i uzbrojeni żołnierze sił specjalnych zabiorą ich z tej ich nory w Szkocji – nie pijcie mleka z domu, w którym mieszkają Soup Dragonsi, gdyż z pewnością śmierdzi gównem i ma smak zaropiałej serwatki! – i posadzą ich na ławie oskarżonych, w kajdankach, pod ścisłą obserwacją.

– Co macie na swoją obronę? – spyta sędzia, mężczyzna o łagodnych oczach, znużony wysłuchiwaniami dowodów; człowiek, którego wciąż prześladowuje trauma, jakiej doznał po wysłuchaniu czterominutowego kawałka Dream-On (Solid Gold).

– My tylko chcieliśmy dostarczyć rozrywki dzieciakom – beczą członkowie zespołu.  
– Chcieliśmy tylko być wolni, żeby robić to, co chcemy i kiedy chcemy!

– Czy jednak świadomie i zamierzenie wzięliście na warsztat stare kawałki dobrego, niezależnego rocka i bezczelnie nałożyliście na nie bit *Funky Drummer* w tle, tak jak niegdyś siedzący przed wami na tej ławie doktor Mengele z zimną krwią zszywał ze sobą ciała romskich osieroconych bliźniąt – nawet nie w imię postępu medycyny, ale jedynie dla zdobycia kasy i zajęcia zaledwie siedemdziesiątego drugiego miejsca na liście przebojów muzyki alternatywnej?

– Chcę do mamy! – płacze wokalista Sean Dickson, a zgromadzona na sali publiczność jak jeden mąż zaczyna domagać się największej kary dla zespołu: mają wystąpić na festiwalu w Reading, w niedzielę o jedenastej, i zostać obrzuceni i załuczeni na śmierć butelkami wypełnionymi moczem.

Nie mogę już dłużej siebie czytać. Zamykam gazetę. Boże, porównałam perkusistę, basistę, gitarzystę i tego gościa z marakasami i fryzurą na grzybka do nazistów, a ich muzykę do eksperymentów medycznych doktora Mengele. Zmieszałam z błotem dziesiątki dzieciaków z prowincji, z rodzin robotniczych – dzieciaków takich jak ja, które po prostu kochają muzykę – chciałam sprawić, by czuły się zawstydzone tym, że chciały zrobić coś wspaniałego: napisać piosenkę. Skomponować utwór, którego ktoś gdzieś może potrzebować. Ze wszystkich zawodów, jakie można wykonywać na świecie, ja wybrałam dla siebie właśnie to haniebne zajęcie.

I chociaż to ja napisałam każde z tych słów, nie ma tu – tak jak w recenzji Richa – ani kawałka mnie. Nie ma mnie w tej zalanej żółcią osobie, w którą się zamieniłam, zadając sobie wiele trudu i marnując tak dużo czasu.

Zaczęłam pisać o muzyce, bo uwielbiałam to robić. Początkowo chciałam być częścią czegoś większego, mając do tego entuzjastyczny stosunek. Zdobyć przyjaciół. A zamiast tego dla zmyłki udawałam, że jestem skończonym dupkiem. I po co to wszystko? Dlaczego włożyłam tyle wysiłku w udawanie, że jestem kimś... kim wcale nie jestem? Po niemal dwóch latach współpracy z „D&ME” uznaję to doświadczenie za ogromną porażkę.

Jakby magazyn „D&ME” był skażony, wstaję i idę wyrzucić go do kubła w toalecie. Wracam na miejsce, ale coraz trudniej jest mi usiedzieć w fotelu. Czuję się podle. Czuję to w każdej najmniejszej części mojego ciała. Nie przychodzą mi do głowy żadne pocieszające myśli, których mogłabym się chwycić jak tonący brzytwy.

A najgorsza myśl, jaka nawiedza mój umysł, jest taka, że obraziłam Johna Kite’a. Obudzi się dziś rano – nie wiedząc, co ma sądzić o tym, co zrobiłam – a potem przeczyta tę recenzję i dojdzie do wniosku, że już nie chce mnie więcej widzieć. Nie ma tu nic, za co ktoś mógłby mnie pokochać albo chociaż wziąć moją stronę. Nawet ja nie jestem po mojej stronie w tym artykule. Straciłam jedyne przyjaciela. Moje pozytywne zwierciadło.

Ta myśl jest myślą, która kończy wszystkie myśli. Czuję, że zaczyna mi brakować tchu. Mój oddech staje się coraz płytszy, aż muszę przyłgnąć do okna, ssać kciuk, i oddycham nierówno. Rozpaczam nad sobą, zastanawiając się, ile jeszcze razy przyjdzie mi zbesztać samą siebie słowami: „Co ty wyprawiasz, Johanna? Coś ty narobiła?!”, jakbym właśnie przyłapała Lupina na bazgraniu po ścianie.

Kolejna godzina podróży pociągiem mija mi na obmyślaniu, jak – i czy w ogóle – mogę to wszystko naprawić. Najpierw oczywiście muszę napisać list z przeprosinami do Soup Dragons. A potem do C+C Music Factory, do Inspiral Carpets, do U2 – szczerze mówiąc, do jakiejś jednej trzeciej istniejących zespołów. Chryste, żeby wyjść z roli wrednej suki, będę musiała wydać fortunę na znaczki pocztowe.

Potem muszę na chwilę schronić się przed Johnem Kite’em – żebym nie musiała widzieć cierpienia w jego oczach, gdy na mnie patrzy, bo to byłoby nie do zniesienia.

Następnie muszę wrócić do poprzedniego stylu pisania – do czasów, zanim stałam się zdziwaczką, wściekłą, zrzędliwą staruchą, która dziurawi każdą piłkę każdego zespołu, jaka wpadnie na jej podwórko. Muszę wyjść i udowodnić, że jestem w połowie drogi do bycia porządnym człowiekiem. To będzie mój nowy, przyszły zawód.

Ale to wszystko oczywiście trochę potrwa. Nie daje mi to też odpowiedzi na najbardziej palące pytanie: Co mam w tej chwili zrobić z tym podłym samopoczuciem? Dzisiaj? W to popołudnie? W tej sekundzie?

Jedynę, co przychodzi mi do głowy, to nagłe pragnienie powrotu do dzieciństwa – żeby znowu ktoś znalazł mnie leżącą pod schodami, ale tym razem naprawdę załamana. Bo gdy się załamujesz, komuś jest przykro i tobie też robi się przykro. Mam w sobie tę dziką, niedającą spokoju skruchę, która sprawia, że chcę walić głową w mur.

Już w domu, w swoim pokoju, po wypiciu prawie połowy butelki jacka daniel'sa robię coś, co jest najbliższe rzuceniu się ze schodów albo uderzeniu głową w mur: po cichutku tnę swoje udo żyłką. Wybrałam nogę, bo wygląda jak kawał mięsa wieprzowego, a ja już kiedyś kroiłam słoninę, w kuchni, w niedzielę. Jeśli zamierzasz się okaleczać w akcie samobiczowania, równie dobrze możesz skorzystać z umiejętności wyniesionych z lektury książki Dorothy Hartley *Food in England*, a konkretnie z działu mięso.

„Zapiekanek wieprzowa (XIV wiek): Obierz świniaka ze skóry i pokrój go na kawałki. Z dobrej świni praktycznie nic się nie zmarnuje. Świnia zabita w listopadzie zapewni ci świeże mięso, salceson i pasztet aż do Bożego Narodzenia”.

Pierwsze nacięcie bolało tak bardzo, że od razu zrobiłam sobie drugie – tym razem na ramieniu – żeby odwrócić uwagę od cierpienia. A potem szybko kolejne osiem. W beztroskim gniewie.

To naprawdę boli. Jestem tym zaskoczona.

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że samookaleczenie może być tak... bolesne. To prawda, w którą do końca życia nie będę w stanie uwierzyć – tak samo jak nie uwierzę, że jedyną metodą na rzucenie palenia jest niebranie do ust kolejnego papierosa, jedynym sposobem na to, by się nie upić, jest niepicie, a jedyną drogą do dochowania



tajemnicy jest niedzielenie się nią z kimś innym.

Ale potem przychodzi zwrot inwestycji. Bo gdy tak siedzę, w bólu, nagle zauważam, że się zmieniłam. Już nie czuję tej nienawiści do samej siebie. Te miliardy podłych czarnych ptaków wewnątrz mnie – szaleńczo walących dziobami o klatkę – siedzą teraz na ziemi i śpią. Ów nieład, którego nie byłam w stanie pojąć, ogarnąć ani nazwać, zniknął już; zastąpiły go te palące czerwone linie na mojej ręce i nodze.

A więc o to chodzi w samookaleczeniu! – dziwię się. Chodzi o przełożenie uczuć na język działania! To prostsze! To tylko taka papierkowa robota!

Związana z tym nuda działa na mnie zniechęcająco. Myślałam, że robiąc to, poczuje się bajronicznie i będę nakręcona endorfinami. A tak tylko czuję się... głupio; jestem zła na moje kończyny. Jestem po prostu zła na moją skórę.

Przez chwilę czuję się mądra i spokojna. A potem zauważam, że zaczynam dosyć mocno krwawić.

Gdy jestem u siebie na górze, słyszę, jak Krissi puszcza w swoim pokoju na cały regulator *The Black Angel's Death Song* Velvet Underground. Idę na dół i pukam do drzwi, zdobywając się na w miarę wesoły ton:

– *C'est moi! C'est le party!*

Zwykle w tej sytuacji słyszę: „Spieprzaj!”, tym razem jednak cisza. Otwieram drzwi i widzę, że Krissi w ubraniu leży na łóżku, otoczony rzędami półek z sadzonkami.

Dźwięk jest ogłuszający – skrzypce Johna Cale'a brzmią strasznie, jak gdyby ktoś paznokciami jeździł po tablicy; co jakiś czas słychać przeraźliwy syczący odgłos, a Lou Reed śpiewa jak skuty łańcuchem Gollum. Ten pokój ma w sobie wesołość paryskich katakumb. Ten pokój przypomina jakąś straszną kostnicę.

– Pozabijasz te swoje roślinki takim łomotem – odzywam się w końcu.

– To miasto mnie dobija – mówi Krissi totalnie beznamiętnym głosem. Wciąż stoję w drzwiach, dopóki na mnie nie spojrzy. Kiedy mnie widzi, jego twarz od razu przybiera inny wyraz. – Jezu, Johanna, coś ty zrobiła?

– Chciałam wszystko naprawić – mówię. – Ale się nie udało.

Wyskakuje z łóżka i podwija rękaw mojej koszuli.

– Kurwa mać. Krwawienie. Dobrze, będzie nam potrzebna opaska – mówi tonem

profesjonalisty. – Potrzebujemy opaski uciskowej. – Podchodzi do szuflady, wyjmuje swój szkolny krawat i zawiązuje go wokół mojego ramienia. – Podnieś rękę do góry – mówi. – W ten sposób zatrzymasz krwawienie. Chryste, ale od ciebie jedzie gorzałą.

Absolutnie milcząca, robię to, co mówi. Krew kapie na podłogę, ale już nie tak szybko – aż wreszcie przestaje.

– Siadaj na łóżku – rozkazuje Krissi. – Doprowadzę cię do porządku, a potem spytam, co ty, do kurwy nędzy, robisz.

Bierze swój zraszacz, czysty ręcznik i ostrożnie przemywa moje ramię, a ja krzywię się z bólu.

– To jak w *Indianie Jonesie: Poszukiwaczach zaginionej Arki*, gdy po walce Marion przemywa ranę Indy’emu – próbuję nawiązać rozmowę.

– Teraz opuść rękę. I nie próbuj mnie podrywać. Nie jesteś pociągającą archeolożką – mówi Krissi, wciąż delikatnie zmywając krew. Po minucie przemywania ran Krissi nagle przestaje. – Johanna, ty... co to, kurwa, jest?

Spogląda na moje ramię.

Zaślepiona paniką nie zwracałam uwagi, jak się tnę, i nacięcia na ręce ułożyły się w coś, co przypomina jakiś napis.

– NWA – mówi, gapiąc się na mnie z niedowierzaniem. Jeszcze raz patrzę na swoje ramię.

Tak. Nacięcia wydają się przypominać litery NWA. Wyglądam jak najbardziej szalony na świecie fan Niggaz Wit Attitudes.

– To wypadek przy pracy podczas samookaleczania! – mówię. – To nie deklaracja, to błąd drukarski! Żyłkami bardzo trudno się pisze! Nie patrzyłam, co robię! Adiustatorzy to później zmienią.

Krissi nadal przygląda się mojej ręce.

– Wyglądasz mi na wariatkę.

– Bo jestem! Jestem wariatką! – mówię i zaczynam bardzo mocno płakać.

Krissi ściera resztki krwi z mojej ręki i bardzo łagodnie pyta:

– Johanna. Mogłabyś mi łaskawie powiedzieć, co się, kurwa, dzieje?

I zaczynam mu o wszystkim opowiadać – o Richu i Kicie. O tym, jak spanikowałam, o recenzji i o tym, jaka byłam okropna. W połowie tych zwierzeń zaczynam płakać, bo

boli mnie ramię; Krissi znowu podchodzi do szuflady i wyjmuje z niej dwie tabletki, z których jedną sam połyka.

– To lekarstwo taty. Weź to. Jest bardzo silne. I nie można brać więcej niż jedną – dodaje ostrzegawczym tonem. – Można się uzależnić.

Biorę tabletkę i patrzę na niego. Myślę o tym, jak ostatnio się wyciszył.

– Czy ty jesteś od nich uzależniony?

– Nie wiem – mówi śmiało. – Jeszcze nie przestałem brać.

Kiedy tabletką zaczyna działać, zwijam się w kłębek, leżąc na łóżku, a Krissi obejmuje mnie ramieniem i gładzi po włosach. Dalej opowiadam mu o Johnie Kicie – ale wszystko to nie wydaje mi się już takie straszne, ponieważ jestem bezpieczna w łóżku mojego starszego brata i chyba mogłabym tu zostać na zawsze. Robi mi się bardzo ciepło, czuję się bardzo zmęczona.

– Zawsze jeszcze mamy Bee Gees, Kriss – mówię sennie. – Zawsze zostają nam Robin, Maurice i Barry.

– Johanna – mówi, wpatrując się w sufit. – Czasami mam poczucie, że to nie wystarczy.

Ale ja już śpię.

W moim śnie znowu jestem z Johnem w zoo w Regent's Park późnym wieczorem. Przypominam sobie, co tam się stało. Jesteśmy blisko siebie, bardzo blisko – jesteśmy jednością, oboje zamroczeni dżinem. Jesteśmy jak głosy chłopaków z Bee Gees. Znam go od zawsze i nie ma takiej rzeczy, której nie mogłabym mu powiedzieć, i dobrze wiem, co chcę powiedzieć – tę przemowę wygłaszałam już tysiąc razy, w myślach.

Mam ją zapisaną w moim pamiętniku na dwóch stronach – cytuję ją z pamięci, kiedy czekam na pociąg lub spaceruję w deszczu albo gdy potrzebuję mantry, żeby coś przetrwać. A brzmi ona tak:

„Odkąd cię poznałam, czuję, że wiem, jak działa świat, w którym żyjemy – działa w oparciu o nieodwzajemnioną miłość. To ona jest motorem wszystkich działań. Każda książka, opera, podróż na Księżyc i każdy manifest powstał, ponieważ ktoś gdzieś zapalił się w ciszy, gdy ktoś inny wszedł do pokoju, a potem cichutko spłonął, bo ten ktoś go nie zauważył.

Na fundamencie miliarda pocałunków, których nigdy razem nie przeżyliśmy, wybudowałam ci tę operę, kochanie. Strzeliłam do prezydenta, bo nie wiedziałam, co mam ci powiedzieć. Miałam nadzieję, że zauważysz. Miałam nadzieję, że zauważysz mnie. Zamieniamy nasze niewypowiedziane słowa w dzieło naszego życia.

Moja miłość do ciebie to brudne paliwo, które napędzało mnie podczas mojej rewolucji przemysłowej. Trzeba mieć jakieś hobby – a moim hobby jesteś ty. Moim hobby jest kochanie się w tobie. To nie słońce wschodziło rano, żeby oświetlić twój pokój. To byłam ja, cichutko płonąć, gdy ty mówiłeś: «Jeszcze jednego?»».

Tę przemowę noszę w sercu od roku. Właśnie to pragnę mu powiedzieć. Ale wiem, że nie mogę. Nie można rzucać komuś w twarz tekstem z książki.

Oto co zamiast tego powiedziałam pijana w Regent's Park.

Wyjaśniam, że jestem Chrissie Hynde i że mam brass in my pocket, i że zamierzam make you make you make you notice za sprawą moich: 1) arms, 2) legs, 3) staa, 4) sesse, 5) fingers, 6) mah mah mah magernation. Po czym kończę refren, śpiewając giffertoome.

– Będziemy jak Burton i Taylor – mówię na koniec radosnym głosem. – Amanda Burton i Dennis Taylor.

Mówię to wszystko Johnowi, a on spogląda na mnie z otwartymi ustami; wilki wyją, gibony wirują, a ja budzę się w łóżku Krissiego z twarzą wtuloną w jego pierś.

To wszystko, co pamiętam.

Coś jest nie tak. Otumaniona lekarstwem taty, potrzebuję dłuższej chwili, by pojąć, że to coś to przejmujący ból w ręce. Mam wrażenie, że moje ramię zaraz wybuchnie.

– Krissi! – krzyczę. Podrywa się ze snu. – Ja eksploduję!

Krissi włącza światło i patrzy na moją rękę. Jest ogromna – spuchnięta, fioletowa, a paznokcie na niej są niepokojąco granatowe.

– Jezu! Opaska! Można ją mieć na sobie tylko przez dwadzieścia minut! – mówi Krissi, rozwiązując krawat. Trzymam rękę, jakby była potworem Frankensteina. – Kurwa! Kurwa! – klnie.

– Czy stracę rękę? – szlocham.

– Nie wygłupiaj się, Johanna – mówi Krissi. – Otwórz i zaciśnij dłoń. Żeby krew znowu zaczęła krążyć.

– Nie mogę! Nie czuję jej!

Krissi kładzie swój palec na mojej dłoni.

– Ściśnij go – mówi. Żałośnie delikatnie przykurczam palce. – Mocniej – mówi Krissi stanowczym tonem.

Próbuję jeszcze raz – troszkę mocniej. Zaczynam czuć jego palec w swoich.

– No widzisz. – Krissi oddycha z ulgą. Mocno zaciskam jego palec.

– Kocham cię, Krissi.

– Ja też cię kocham, ty nieznośna wariatko – odpowiada, wpatrując się w moją dłoń. A potem patrzy mi prosto w oczy i dodaje: – I to akurat jest prawda.

Przez następne tygodnie, żeby zakryć rany na ramieniu, noszę koszule z długim rękawem; strupy trochę kleją się do materiału, gdy się ruszam, przypominając mi o tym, co zrobiłam.

Z bliznami czuję się, jakbym miała na ręce jakąś wiadomość. Coś, co ktoś natychmiast musi przeczytać. Dopiero kilka lat później zrozumie, że osobą, do której napisałam tę wiadomość, osobą, która nie posłuchała, byłam ja. To ja byłam tym kimś, kto powinien przyjrzeć się ręce i odczytać znaczenie czerwonych hieroglifów.

Gdybym je wtedy przetłumaczyła, zrozumiałabym, że te linie mówią: „Nigdy więcej nie pozwól, byś czuła się tak źle. Nigdy nie wracaj do tego miejsca, gdzie pomoc może już tylko nóż. Żyj łagodnie i bądź miła. Nie rób rzeczy, po których chcesz wyrządzić sobie krzywdę. Cokolwiek robisz, każdego dnia, pamiętaj o tym – a potem trzymaj się od tego z daleka”.

Tyle że wtedy nie potrafię jeszcze jasno myśleć i dla odmiany zajmuję się tym, co moim zdaniem należy jak najszybciej zrobić, gdy już wyciągnie się wnioski z tego, co zaszło. Pożyczam od Krissiego płyty NWA. I uczę się na pamięć całego rapowanego tekstu z Fuck Tha Police – na wypadek gdyby ktoś zobaczył kiedyś blizny na mojej ręce i sprawdził, jak bardzo zaangażowana ze mnie fanka.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Co więc zrobić, gdy zbudowałaś siebie, ale jak się okazuje – ze złych materiałów?

Burzysz to, co zbudowałaś, i zaczynasz od nowa. Na tym polega bycie nastolatką – na budowaniu siebie, burzeniu i konstruowaniu od początku i znowu, i jeszcze raz, bez końca, jak na przyspieszonym filmie, na którym pokazano miasta za ich świetności i w czasie wojny. Na tym, żeby się nie bać i nie przestawać wymyślać siebie na nowo – dobierać do dziewiętnastu, zgarnąć furę i znowu rozdawać karty. I tak w kółko tworzyć i wymyślać za każdym razem nową siebie.

Nie mówią ci tego, gdy masz czternaście lat, bo ludzie, którzy mogliby ci to powiedzieć – twoi rodzice – są tymi, którzy zbudowali to, z czego jesteś teraz niezadowolona. Stworzyli cię według swego uznania. Uformowali cię zgodnie ze swoimi potrzebami.

Zbudowali cię z tego, co było im znane, oraz z miłości – nie potrafią więc dostrzec tego, kim nie jesteś; wszystkie braki, które czujesz, czynią cię podatną na wszelkie nowe możliwości wymyślone przez twoje pokolenie, a których pokolenie rodziców nie miało. Zrobili, co mogli, najlepiej, jak umieli, z użyciem technologii, jaką dysponowali w tamtych czasach – ale teraz wszystko zależy od ciebie. Musisz mieć odwagę najlepiej wykorzystać to, co masz, zgodnie z filozofią Rabindranatha Tagore’a, który doradzał rodzicom: „Nie narzucaj dziecku ograniczeń wynikających z twojej edukacji, bo urodziło się w innych czasach”.

Wychodzisz więc do swojego świata i próbujesz znaleźć w nim coś, co ci się przyda. Gromadzisz broń, narzędzia, talizmany. Znajdujesz płytę, wiersz albo zdjęcie dziewczyny i wieszasz je na ścianie, mówiąc: „Spróbuję być taka jak ona. Będę taka jak ona – ale tutaj”. Przyglądasz się innym, jak rozmawiają, i kradniesz od nich odrobinę tego i owego – tworzysz swój kolaż z rzeczy, które akurat masz pod ręką. Jesteś jak robot Johnny 5 z filmu *Krótkie spięcie*, wołający: „Więcej danych! Piątka potrzebuje więcej danych!”, gdy wertujesz książki, oglądasz filmy i siedzisz przed

telewizorem, zastanawiając się, która z oglądanych przez ciebie rzeczy – Alexis Carrington Colby stąpająca po marmurowych schodach, Ania z Zielonego Wzgórza ze swoją tandetną walizką, Cathy szlochająca na wrzosowiskach, Courtney Love jęcząca w samej halce, Julie Burchill celująca w ludzi ostrymi słowami, Grace Jones śpiewająca *Slave To The Rhythm* – będzie ci kiedyś potrzebna. Co może ci się przydać? Co w końcu będzie tobą?

I będziesz w tym wszystkim zupełnie sama. Nie ma takiej szkoły, w której możesz nauczyć się być sobą; nie ma kierownika, który krok po kroku pomoże ci znaleźć właściwą odpowiedź. Sama sobie jesteś położną i w ciemnych pokojach, w samotności, będziesz rodzić siebie za każdym razem na nowo. A niektóre wersje ciebie zakończą się fatalną porażką – wiele twoich prototypów nawet nie ujrzy światła dziennego, ponieważ nagle zorientujesz się, że nie możesz paradować w jednoczęściowym złocistym kostiumie i bojowym nastroju po Wolverhampton. Inne wersje ciebie będą odnosić chwilowy sukces – będziesz bić nowe rekordy prędkości na łodzi, zdumiewając wszystkich wokół, by potem nagle wybuchnąć jak łódź „Bluebird” na jeziorze Coniston Water.

Pewnego dnia jednak odkryjesz wersję siebie, dzięki której ktoś cię pocałuje, ktoś obdarzy cię przyjaźnią, ktoś cię zainspiruje, a ty wszystko to zanotujesz; całą noc będziesz próbować tę wersję udoskonalać, improwizując na podstawie strzępka melodii, która zadziałała.

Aż wreszcie – powoli, stopniowo – uda ci się skomponować prawdziwą wersję siebie, którą będziesz mogła nucić każdego dnia. Znajdziesz to malutkie właściwe ziarenko piasku, wokół którego będziesz mogła utworzyć perłę, aż wreszcie do akcji wkroczy natura; twoja muszla po cichu wypełni się magią, a ty nawet tego nie zauważysz, bo będziesz zajęta innymi rzeczami. Co natura rozpoczęła, natura przejmie i dokończy i już nie będziesz musiała tracić czasu na zastanawianie się – tak jak teraz – kim masz być. I zanim się spostrzeżesz, minie dziesięć lat.

A potem, nad lampką wina – bo teraz jesteś już dorosła i pijesz wino – będziesz zdumiewać się tym, co zrobiłaś. Nie będziesz się mogła nadziwić, że miałaś wtedy tyle tajemnic. Próbowowałaś zachować siebie w tajemnicy. Próbowowałaś przemian w ciemnościach. Ten swój głośny, pijany, pieprzący się, wysmarowany kredką do oczu,

chichoczący, tnący się i panikujący, nieznośnie obecny sekret. Gdy tak naprawdę byłaś równie tajemnicza co księżyc i jak on świeciłaś jasnym światłem gdzieś tam, pod ubraniami.



## Rozdział dwudziesty piąty

W październiku 1993 roku – dwa miesiące po tym, kiedy mi odpięrdoliło i omal nie straciłam ręki – jestem na koncercie zespołu Take That w NEC w Birmingham. Jestem tu z ZZ Topem. Tak, wiem! W ostatnich miesiącach nieco zmieniałam kręgi, w których się obracam. Już nie wychodzę z ekipą z redakcji „D&ME” – koniec z gderliwym Kennym na tyłach sali, koniec z tym obłąkańczym tandemem: dżinem i kryształem.

Nauczyłam się tego, czego moi rówieśnicy mieli nauczyć się na pierwszym roku studiów w college’u lub na uniwersytecie – pierwsi ludzie, z którymi się zaprzyjaźnisz, to zwykle ci, których próbujesz się pozbyć przez następne dwa lata. A ludzie, którzy cicho trzymają się gdzieś z tyłu albo stoją w kącie, to ci, w których towarzystwie będziesz chciał przebywać, gdy rozpocznie się trzeci semestr. To te ciche, spokojne, milczące ssaki, pracujące w cieniu fantastycznych zabójczych drapieżników, które – za co jesteś im wdzięczny – postanowiły cię nie pożerać, gdy pierwszy raz przekroczyłeś próg.

Zee jest jednym z tych milczących ssaków.

– Idziemy na koncert Take That – powiedział mi przez telefon. – Musisz zobaczyć te chmary piszczących dziewcząt, bo jesteś jedną z nich. Wielką piszczącą dziewczyną ze środkowej Anglii. Jesteś entuzjastką, Dolly. Chodź i poddaj się temu entuzjazmowi. Chodź i znowu bądź nastolatką. Przyjdź i znowu zostań fanką.

Teraz, gdy wraz z pozostałymi dziewczętami piszczę na widok Robbiego Williama, myślę o tym, co Zee powiedział. Jego słowa są balsamem dla moich uszu. Jestem entuzjastką, która udawała cynika. Ale teraz zostałam poprawnie oznaczona. Jestem za – a nie przeciw. Muszę to zapamiętać. Przede wszystkim dlatego, że tak jest fajniej. Bycie cynicznym jest wyczerpujące. Próbujesz być nieruchomą, wściekłą skałą pośrodku strumienia. Ale strumień nie zniknie. On raczej wymyje ciebie, aż zmienisz się w mętny szlam.

Piszcze i krzyczę, lecz ktoś stojący obok mnie wrzeszczy jeszcze głośniej.

– Krissi! – mówię.

– Kocham cię, Robbie! – drze się Krissi. Tak jak stojące w pobliżu dziewczyny ma na twarzy brokat i aż cały drży z radości. – Johanna, w jakiej kolejności byś ich zaliczyła? W jakiej kolejności? No mów.

Patrzę na scenę.

– Robbie, Jason, Mark – mówię. – Potem Howarda, technicznych, kumpli technicznych, jakiegoś przypadkowego gościa z ulicy. A potem znowu Robbiego, ale tym razem w masce, żeby mnie nie poznał i nie powiedział: „Ciebie już zaliczyłem”. Potem całą resztę świata. A potem poszłabym spać. Następnie poukładałabym skarpetki w szufladzie i nastawiła wodę na herbatę. No i na końcu Gary’ego. A ty?

– Robbie! – krzyczy Krissi. – Robbie, tak długo, aż ochrona musiałaby mnie z niego ściągać. A potem zważyłbym sobie konia, stojąc przy jego drzwiach. Och, Robbie!

Jestem taka wzruszona, że Krissiemu udziela się pozytywny nastrój. Jest naprawdę fajnym starszym bratem.

Napisanie recenzji z tego koncertu to będzie pestka. Po pierwsze, nikt w redakcji „D&ME” nie chciał pisać o Take That. „Kochanie, to tylko... pożywka dla brandzlujących się nastolatek” – stwierdził z przerażeniem Kenny, a ja tylko mu przytaknęłam, mówiąc: „Tak! A tego nigdy za wiele!”.

A po drugie – tak jak na początku mojej dziennikarskiej kariery – mogę znów wyjaśniać... dlaczego coś uwielbiam. Wyjaśnianie, dlaczego się coś ubóstwia, jest jednym z najważniejszych zawodów na ziemi.

Dzień po tym, jak prawie wysadziłam swoją rękę w powietrze, leżałam pod łóżkiem z wciąż zabandażowanym ramieniem i pomyślałam: muszę umrzeć – znowu.

I znowu na tę myśl zrobiło mi się wesoło.

Zrobiłam wykaz tego, czym do tej pory byłam, i podzieliłam go na dwie kategorie, zupełnie jak płyty, które przychodzą pocztą: to, co zostaje, i to, co wyrzucam.

ZOSTAJE:

Cylinder

Fajki

T.S. Eliot

Dolly Wilde  
Pisanie (oczywiście)  
Kredka do oczu  
Picie  
Glany  
Larkin  
Słuchanie Pixies i udawanie Kim Deal  
Uprawianie seksu z kim tylko się da  
Siedzenie do rana  
Przygody (zobacz także: Uprawianie seksu z kim tylko się da)  
Londyn

#### WYRZUCAM:

Cynizm  
Gówniany kryształ  
Trzymanie się z tyłu  
Spotykanie się z ludźmi, którzy sprawiają, że czuję się niezręcznie  
Samookaleczenie – świat i tak cię skrzywdzi, nie ma sensu go ubiegać  
Mad dog 20/20  
Umawianie się na randki bez wcześniejszego spytania – samej siebie – czy rzeczywiście tego chcę  
Każdego penisa dłuższego niż dwadzieścia centymetrów  
Korzystanie z rad w sprawach seksu usłyszanych od obcych facetów na imprezach  
Mówienie „nie”. Będę zawsze mówić „tak”. Bóg mi świadkiem, już nigdy wściekła nie będę!

Po tym, jak odrodziłam się pod łóżkiem, odbywam trzy interesujące rozmowy. Najpierw z moją matką.

Mam wrażenie, że nie widziałyśmy się całe wieki. Usiadłyśmy w ogrodzie – ja z bliźniakami na kolanach, a ona trzy metry dalej, wytrwale wydmuchując dym z papierosów z dala od chłopców.

David i Daniel. Daniel – od *denial*, jak wyjaśniła moja mama, gdy wróciła z metrykami urodzenia.

– Antydepresanty to wspomniała rzecz, Johanna – mówi teraz, patrząc, jak David zeskakuje mi z kolan i idzie się bawić ślimakami na blasze do pieczenia.

Przywróciliśmy ślimaczą farmę do życia. W weekend urządziliśmy nawet ślimaczy wyścig – trwał prawie trzy godziny. Lupin co chwila musiał podnosić Carol Decker z T’Pau, żeby szła w dobrym kierunku, bo ciągle zbaczała z blaszki, oddalając się od innych. Ewidentnie chciała odłączyć się od grupy i grać solo.

– Gdybyś kiedyś przez przypadek urodziła bliźniaki i miała ochotę z krzykiem rzucić się pod autobus, gorąco ci je polecam – ciągnie.

– Zapamiętam to sobie – mówię poważnym tonem. Zdejmuję Daniela na ziemię, żeby mógł pobawić się z Davidem, i podchodzę do mamy. – Mogę dokończyć? – Wyciągam rękę po jej papierosa.

– Nie – odpowiada. – Jestem twoją matką. Odpowiadam za ciebie. Urodziłam cię. Nie zamierzam ci dawać czegoś, co może cię zabić.

Wyciągam papierosa z jej torebki i zapalam go. Kiwa głową. No i dobrze.

– Znalazłam mieszkanie w Londynie – mówię wreszcie, wypuszczając dym. – Mogę się wprowadzić z końcem miesiąca. Kaucję zapłacę z moich oszczędności. – Kładę rękę na jej ramieniu. – Dobrze jest mieć oszczędności i móc z nich zapłacić kaucję. Dziękuję.

Mama wpatruje się w koniec swojego papierosa.

– Naprawdę tego chcesz?

– Taak. Wydaję tyle pieniędzy na pociągi do Londynu, że tak będzie nawet taniej. No i podnieca mnie myśl, że będę mieszkać sama i będę mieć łazienkę tylko dla siebie.

– Przekonasz się, że to wcale nie będzie takie fajne.

– Co? Mieć własną łazienkę?

– Tak. Zobaczysz, że niedługo znienawidzisz kamień i osad. Pomagają te tabletki do spłuczki, ale one barwią wodę na niebiesko i pies może się otruć, jak będzie pił z muszli. Bierzesz psa?

– Oczywiście.

– Och, jak dobrze. Znowu możemy używać niebieskich tabletek. Hurra.

Widzę, że mama płacze. Przytulam ją.

– Będę często przyjeżdżać.

– Tylko daj wcześniej znać. Wstawię kurczaka do piekarnika. Takiego małego. –

Obejmuję ją ramieniem. – Zawsze będziesz moją małą córeczką – mówi cichym głosem.

– Twoją wielką, czarną, przygnębioną córką?

– Moją wielką, czarną, przygnębioną córką.

– Teraz, kiedy wyjeżdżam, możesz mi wreszcie powiedzieć, jaka jesteś ze mnie dumna i że jestem najlepsza – mówię, trącając ją lekko.

– Jestem dumna z was wszystkich – mówi ostro.

– No tak, oczywiście. Zawsze byłam pewna podziwu, jak równo nas traktujesz, bez względu na nasze zdolności. – Milknę na chwilę. – Ale jestem najlepsza, prawda?

– Byłam tak samo dumna z Davida, kiedy zaczął korzystać z nocnika – odpowiada.

– No teoretycznie tak. Ale praca dla magazynu o zasięgu ogólnokrajowym w wieku siedemnastu lat jest czymś wymiennie lepszym. To porządne, godne uwagi osiągnięcie.

– Ty chyba nigdy nie uczyłaś dziecka korzystać z nocnika. Jest się wtedy jak chłopiec do podawania piłek na Wimbledonie. Tylko że zamiast piłek zbierasz gówna. I tak przez wiele miesięcy. A ludzie na ciebie krzyczą. – Palimy dalej. – Mam jakieś zapasowe garnki i patelnie na strychu. Są tam też jakieś sztuce, no i możesz zabrać jednego Buddę – zaczyna się przejmować. – Wybierz sobie, którego chcesz, z wyjątkiem tego wielkiego. Przyniosą ci szczęście. Mam też zapasowy łapacz snów.

– Aaa, dziękuję, mamo. Nie chciałabym, żeby moje sny... szwendały mi się po mieszkaniu. Łapię je w oknie i niech tak zostanie – mówię. Mama pali jeszcze. – Mamo. Poradzicie sobie bez pieniędzy? Potrzebujecie tych pieniędzy, które wam daję? Dacie sobie jakoś radę?

Mama przez minutę nic nie mówi.

– Jesteś pewna, że chcesz się wyprowadzić? – pyta.

– Taa – odpowiadam. – Londyn to miejsce dla mnie.

– Więc tak, damy sobie radę, kochanie – mówi, gasząc papierosa. Uśmiecha się dziwnie. – Poradzimy sobie.

Drugą rozmowę odbywam z Krissim. W domu wujka Jima urządzono przyjęcie pożegnalne na moją cześć.

– Bo tutaj imprezy nie zrobimy – mówi stanowczo mama, nakładając na talerze zapiekanek z mięsem mielonym. – Ostatnim razem, kiedy gościliśmy tu całą rodzinę, przyłapałam waszego wuja Aleda, jak próbował wejść do łóżeczka razem z psem.

To nie tylko moje przyjęcie pożegnalne, jak to tata romantycznie ujął:

– Syn waszej ciotki Soo zrobił dzieciaka jakiejś brzyduli z Halesowen. Więc to też ich przyjęcie zaręczynowe.

Kiedy przychodzę, znajduję „brzydulę z Halesowen” i chcę jej pogratulować – ale akurat gra w piłkę z dziećmi w ogrodzie i każe mi spierdalać z boiska, gdy swoim ciałem blokuje jej imponujący strzał na bramkę (dwa śmietniki stojące przy płocie).

– Mam nadzieję, że będziecie ze sobą szczęśliwi – mówię, chwytając się za biust, w miejscu gdzie dostałam piłkę, i dostojnym krokiem udaję się do salonu. Gra niebawem ambitnie jak na kogoś w piątym miesiącu ciąży. Prawdziwa kobieta z Black Country.

W salonie Krissi siedzi na parapecie z kuzynką Ali, która wygląda całkiem inaczej niż ostatnio. Pali papierosa w oknie. Cycki wciąż mnie boją. Dzielę się z nimi tą informacją.

– Przeszła na rave – mówi Krissi, wskazując na Ali, gdy tylko do niego podchodzę. Da się zauważyć.

– Wzięłam za dużo – oznajmia Ali, wymachując rękami, wyraźnie pod działaniem bletki. Ma na sobie nierówno ufarbowane ogrodniczki i żarówiastą czapkę.

– A co z tym gościem z The Nova? – pytam. – Co się stało z wielkim alternatywnym snem?

– Znalazłam fana rave’u z wielkim kutasem – wyjaśnia zadowolona z siebie Ali. Krissi wyraźnie się wzdryga.

– Co takiego szczególnego jest w... muzyce rave? – pytam.

Ali mówi mi o płytach, które ostatnio „zażywa”, a potem gędzi o jakiejś mitycznej basowej nucie w muzyce rave, sprawiającej, że ludzie sikają w majtki.

– I to jest ta... korzyść? – pyta szyderczo Krissi. Ali go ignoruje.

– Ja tylko chciałabym wiedzieć, Ali, jak jesteś w stanie pogodzić zamiłowanie do

tak wielu różnych gatunków muzyki – mówię.

– W kuchni jestem gotką, w salonie fanem alternatywy, a w sypialni hołduję kulturze rave – odpowiada Ali, strzepując popiół za okno.

Gdy Ali idzie się czegoś napić, Krissi nachyla się do mnie i mówi:

– Nie znoszę jej. Cholernie głupia laska. Chodź. Idziemy stąd.

Zeskakuje z okna. Ja tymczasem patrzę, co robią dzieciaki – David próbuje włożyć swój palec do odtwarzacza wideo. Jest na tym totalnie skoncentrowany, co utwierdza mnie w przekonaniu, że ma zajęcie, a ja mogę za Krissim zeskoczyć z okna.

Idziemy na zjeżdżalnie i huśtawki na placu zabaw. Krissi wyjmuje z kieszeni dwie puszkę cydru.

– Więc jednak wyjeżdżasz – mówi, gdy się huśtamy, nogami zahaczając o ziemię.

– Tak. Poradzisz sobie beze mnie?

– Radziłem sobie doskonale przez pierwszy rok życia.

– Taa, głównie płacząc i robiąc pod siebie – zaznaczam.

– Będę mógł teraz odkryć te przyjemności na nowo – mówi Krissi, huśtając się. Kolanami prawie dotyka ziemi.

– Kriss – muszę cię spytać. Naprawdę myślisz, że sobie poradzicie beze mnie? Wiesz, nie mogę nie jechać. Jeśli teraz nie wyjadę z domu, to umrę. Poważnie. Ale czy wszyscy... dacie radę?

Krissi wzdycha.

– Tak, Johan, damy radę. W końcu jedna gęba mniej do wykarmienia.

Natychmiast reaguję wielce oburzona:

– Hej, bracie. To nie ja zjadam naraz całe opakowanie puddingu ryżowego. Poza tym to moja praca w połowie przyczynia się do tego, że mamy jedzenie na stole. Ja zarzynam Soup Dragons, a wy macie zupę. Tak to działa.

– Uczciwie przyznając – mówi powoli – gdyby spojrzeć na to z innej strony, można by powiedzieć, że to właśnie twoja praca zabrała nam jedzenie ze stołu.

Patrzę na Krissiego. Czuję, że mam tępy wyraz twarzy świadczący o niezrozumieniu.

– Co... masz na myśli, mówiąc, że zabrałam jedzenie ze stołu? – pytam. – A w ogóle możemy przestać mówić o stole? My nie mamy stołu. Stół stoi w moim pokoju i teraz jest biurkiem zawalonym płytami Primal Scream.

Kiedy już zgrabnie wyjaśniliśmy sobie wersję stołu:

– W porządku. Twoja praca zabrała nam jedzenie z kolan, na których trzymaliśmy talerze, balansując na poduszkach – wzdycha Krissi, drapie się w czoło, a potem wyjaśnia, co się tak naprawdę wydarzyło.

Otóż kiedy rzuciłam szkołę, żeby pracować dla „D&ME”, obcięto nam zasiłek, ponieważ zrezygnowałam z nauki. To było te jedenaście procent mniej.

Nasze zubożenie było jednak wyłącznie moją winą. Nie dlatego, że coś tam wygadałam Violetcie, ale dlatego, że rzuciłam szkołę. Zrujnowałam naszą rodzinę, próbując ją ratować.

Och, życie natychmiast się komplikuje, gdy człowiek działa w panice. Nagle odczuwam wielką sympatię dla Marty’ego McFlya z *Powrotu do przyszłości*. Marty cofa się w czasie i niemal doprowadza do swojego nieistnienia, bohatersko ratując ojca przed wypadkiem samochodowym, w którym ma zostać przejechany przez teścia. Biedny Marty McFly. Biedna ja.

– Jasna cholera – mówię, siedząc nieruchomo na huśtawce. – Jestem jak Marty McFly. Jestem jak Marty McFly, Krissi.

Krissi podaje mi puszkę cydru.

– Tak. Jesteś nim – mówi uspokajającym tonem. – Jesteś Martym McFly’em. Dopij swój cydr, młoda damo. Widać, że jesteś w szoku, bo gadasz pierdoły. Może trzeba cię nakryć folią aluminiową?

– Nie w tych butach – odpowiadam automatycznie i otwieram puszkę. – Nie pasowałyby do niej. Kto o tym wiedział? – pytam po chwili. – Ty oczywiście. Mama i tata?

– Taa, o to były te wszystkie kłótnie – wyjaśnia Krissi, zaglądając do wnętrza puszek. – A potem mama powiedziała mnie i tacie, żebyśmy tobie o tym nie wspominali, na wypadek gdybyś miała ześwirować pod wpływem stresu. Więc teraz już wiesz. Teraz już poznałaś tę wielką tajemnicę! W samą porę, żeby rozwiązać problem. Spierdalając stąd.

– Taa, dzięki za streszczenie, telegazeto – mówię, popijając cydr. – Ja pierdołę.

– Byliśmy bardzo dobroduszni – mówi Krissi refleksyjnym tonem. – Byliśmy względem ciebie bardzo szlachetni.



– Ale przecież... nazwałeś mnie waszym wybawcą, gdy kupiłam nowy telewizor! – mówię.

– Taa – byliśmy świadomi tej ironii.

– Ja pierdolę.

Siedzę na huśtawce bezwładna jak pień. Nie bardzo wiem, co mam powiedzieć. Właśnie nauczyłam się czegoś nowego: że czasami miłości nie da się zauważyć, bo nie jest ani głośna, ani namacalna. Czasem miłość jest anonimowa. Czasami miłość milczy. Stoi sobie spokojnie, gdy ty nazywasz ją pizdą; gryzie się w język i czeka.

– Jak tylko wyjedziesz, wszystko się ułoży. Oczywiście pozbawią nas zasiłku na ciebie, ale jeśli mam być szczery, te siedem i pół funta tygodniowo to my wydajemy na sam papier toaletowy dla ciebie. Zużywasz go w niewiarygodnych ilościach.

– Wszystkie dziewczyny tak mają – mówię. – Bycie dziewczyną wiąże się z częstym podcieraniem. Ale co ty możesz o tym wiedzieć. To i tak lepsze niż tampony. Tampony lubią płatać figle. Kiedyś zdarzyło mi się, że w jakiejś ubikacji w Vauxhall usiłowałam sobie włożyć nowy i okazało się, że w środku był jeszcze stary. Jakbym tam wewnątrz miała jakiś... szalony kredens.

– Twoja pochwa nigdy nie przestanie mnie zadziwiać – powiada Krissi. – To wielka skarbnica problemów.

– Och, wiem – mówię.

Siedzimy jeszcze trochę na huśtawkach, aż robi się chłodniej i ciotka Lauren woła nas z domu po drugiej stronie ulicy.

– Idziecie potańczyć?! – drze się. Słyszę, jak kawałek zespołu Deee-Lite *Groove Is in the Heart* głośno wybrzmiewa z odtwarzacza. – Chodźcie się pogibać! – krzyczy. – Potem będzie Salt-n-Pepa! Wasz tata mówi, że zatańczy do tego!

Biegniemy przez ulicę.

Ostatnia rozmowa to nocne pogaduchy przez telefon z Johnem Kite'em. Nie miałam od niego wieści od czasu incydentu z całowaniem w Regent's Park – nie mogę zebrać się do napisania listu do niego, chociaż teraz moja kolej. Zakazałam sobie nawet myślenia o Johnie, na wypadek gdybym znowu spanikowała. Zatrzasnęłam drzwi w swojej głowie, które prowadzą do myśli o Kicie.

Jest to trudne, ponieważ w ciągu ostatniego roku polubiłam wymawianie jego imienia, powtarzając je w kółko jak różaniec, w chwilach gdy mój mózg się wyłącza albo gdy jestem zestresowana: „JohnKite JohnKite JohnKite”. Wypowiadam je na przystanku, na spacerze, kiedy się zranię i kiedy jestem samotna. „JohnKite JohnKite JohnKite”. Tak samo, jak inni liczą albo recytują psalmy.

Czasami wymawiam je tak, jakby to była nazwa jakiegoś nowego minerału albo skały: „Jonkite Jonkite Jonkite”. Czegoś, co mieni się wieloma barwami i zostało utwardzone pod wpływem ruchu płyt tektonicznych i kompresji kuli ziemskiej. Chciałabym pójść do Muzeum Historii Naturalnej i znaleźć kawałek Jonkite’a, leżący na aksamitnej poduszce. Wyobrażam sobie, że stałby się ciepły od mojej dłoni. Zrobiłabym sobie z niego naszyjnik i nosiła beztrosko, aż Kite go zauważy. Nosiłabym go do czerwonej sukienki, wspaniale współgrałby z kolorem moich oczu. Mogłam zdobyć serce Johna Kite’a, gdybym miała czerwoną sukienkę. Często się na siebie wściekam, że nie mam czerwonej sukienki. Do zdobycia jego serca brakowało mi jednej odpowiedniej sukienki.

Jednakże od tamtego dnia w parku za każdym razem, kiedy przyjdzie mi na myśl jego osoba, muszę wyobrażać sobie grupkę policjantów wpadających do mojej głowy z okrzykiem: „Nie, nie, nie, nie myśl już o tym mężczyźnie! Już nigdy nie myśl o Johnie Kicie!”.

Teraz, o drugiej w nocy, w moim pokoju dzwoni telefon, a ja podnoszę słuchawkę, zanim wybrzmi pierwszy dzwonek. Wiem, kto to może być, i nie myślę się – to John, pijany, gdzieś w Hiszpanii.

– Leżę w łóżku ze słomianym osłem, księżno – mówi nieco bełkotliwie.

– Widzę, że wciąż cieszysz się uwielbieniem wśród kobiet – szepczę. Lupin wierci się trochę na piętrowym łóżku, więc wchodzę z telefonem do szafy i zamykam drzwi, by mieć nieco prywatności. – Jak leci? – pytam lekko drżącym głosem.

– Ach, wiesz, wciąż w drodze – mówi Kite. Słyszę, jak zapala papierosa. Też mam ochotę zapalić, ale nawet ja wiem, że palenie w szafie to zły pomysł. – Kupiłem sobie nowe futro – mówi. – Znalazłem na pchlim targu. Jest cudne. Chyba zrobione z psa. Nie ma rękawów, tylko dziury.

– W takim razie to peleryna – mówię.

– Tak, właśnie! – drze się do słuchawki. – Tak, to, kurwa, peleryna! A ja myślałem, że chcą ze mnie zedrzeć kasę!

– Dobra, skoro to już mamy ustalone, chciałabym ci oznajmić, że to cudownie, że dzwonisz – mówię. – Tęskniłam za tobą.

– Ja za tobą też, księżno. W zeszłym miesiącu wypilem za dużo butelek dżinu w samotności.

– Myślałam, że już się do mnie nie odezwiesz po... ostatnim razie.

– Dlaczego, do cholery, pomyślałaś sobie coś takiego, idiotko?! – wydziera się.

– No wiesz – mówię. – Zachowałam się jak jakaś głupia cipa.

– Naprawdę? – pyta. – Byłem zbyt zajęty byciem głupią cipą, żeby to zauważyć.

– Myślę, że byłam najgłupszą z cip. Wiesz, o co mi chodzi.

– Naprawdę nie wiem – mówi skonfundowany. – Co się stało? Byłem zalany w trąbę. Chlałem od jedenastej. Chyba nie zrobiłem czegoś... niestosownego, co?

– Nie, nie! Boże, jasne, że nie – uspokajam go. – Naprawdę niczego nie pamiętasz?

– Eee... kojarzę, że były tam jakieś wilki i pingwiny. Dobrze się razem bawiliśmy, tak? Co się stało?

On chyba naprawdę nie wie, co zaszło, a ja właśnie stawiam siebie w sytuacji, w której zmuszona jestem mu to powiedzieć. Po raz pierwszy od miesiąca łapię się na rozdrapywaniu blizny na lewej ręce. Och, Johanna, dlaczego ty zawsze musisz coś palnąć? Dlaczego mówisz to, co mówisz? Zdobynam się na możliwie najśmielszy ton i zaczynam opowiadać:

– Cóż, byliśmy bardzo pijani, śpiewaliśmy z gibbonami, a potem ja... najwidoczniej opętana tym całym zezwierzęceniem, powiedziałam, że jestem Chrissie Hynde i Elizabeth Taylor w jednym i że powinniśmy uprawiać seks, bo tak było nam pisane.

Zamierzałam pod koniec ostatniego zdania się roześmiać, ale teraz nie potrafię. Następuje krótkie milczenie.

– Och, no wiesz, prawdopodobnie do tego dojdzie – odpowiada łagodnie. – Tak mówi statystyka, kochanie. Jak mielibyśmy nie uprawiać seksu? Kiedyś tam. Ty to ty, a ja to ja. W tej chwili to tylko kwestia zbyt młodego wieku, mała.

– Jestem za młoda? Przecież mam siedemnaście lat – mówię, udając naburmuszoną i zmęczoną życiem.

– Nie chodzi o ciebie, księżno, tylko o mnie. Jestem dla ciebie o wiele za młody. Jestem beznadziejny – wzdycha. – Chryste, ale mnie wystraszyłaś. Przez chwilę myślałem, że coś złego się stało. Wiesz, kiedyś zlałem się w gacie na scenie. To było niefajne.

Potem opowiada mi, jak to się stało: – To było podczas jakiejś gadki. Byłem na scenie już parę godzin... – ale ja już nie słucham, bo jestem taka szczęśliwa, że chyba zaraz się rozpłaczę.

No i rzeczywiście płaczę.

Czuję się jak nowo narodzona – jakbym wypłynęła na powierzchnię po długich miesiącach tonięcia. Wypowiadałam się w tej szafie, dostałam rozgrzeszenie od mojego pijanego księdza i teraz mogę powrócić do świata i znów popełniać to wszystko. Jeszcze raz uzyskałam połączenie ze swoją przyszłością, a rak, który zżerał moje serce, sam się wchłonął. Nie oceniłam świata błędnie po pijaku! Nie zrobiłam niczego niestosownego! Zachowałam się tak, jak powinni zachować się pijani ludzie! Mogę po prostu dalej robić swoje! I tak zrobię! Dalej będę szukała tego rodzaju przygód!

– Księżno? – mówi wreszcie Kite. Nie odpowiedziałam na jego ostatnie pytanie. – Księżno? Jesteś tam jeszcze? Przysnęłaś?

A ja tylko wzdycham, znów wzdycham – z czystego szczęścia – i w końcu odpowiadam:

– Nie, jestem tu. – Po czym mówię coś najpiękniejszego na świecie. Mówię: – John. Musimy się umówić na drinka.

Kiedy wreszcie godzinę później kończymy gadać – po tym, jak powiedziałam mu o przeprowadzce do Londynu, o tym, jak mi odbiło i że potem wydobrzałam – przez szczelinę w drzwiach wpada światło. Wydaje mi się, że już zaczęło świtać, ale gdy wychodzę z szafy, widzę, że to lampka nocna. Lupin włączył ją i teraz siedzi na moim łóżku.

– Mogę się przytulić? – pyta.

– Och, zawsze, kochanie – mówię, kładąc go do łóżka obok siebie. – Zawsze możesz się do mnie przytulić.

Zwijamy się w kłębek w dołku wyleżanym przez babcię. To moja ostatnia noc w tym miejscu.

## Epilog

Stacja obsługi podróżnych przy autostradzie M1. Czwartek

Tata wychodzi z Burger Kinga, jedząc whoppera.

– Ciągłe w trasie, hę? – mówi, a twarz ma pomazaną sosem. – Nie wyłączaj silnika.

Zrobiliśmy sobie postój przy Watford Gap Services, na granicy między północą a południem. Jest zimno i wiatr ciągle zwiewa mi z głowy cylinder. Doprawdy niewiele jest okoliczności, w których da się utrzymać kapelusz na głowie... nie wiem, jak Slash to robi. Jestem pewna, że używa rzepów i tak przyczepia go do włosów.

Nasz samochód stoi zaparkowany w miejscu dla niepełnosprawnych – na desce rozdzielczej widnieje plakietka z wózkiem inwalidzkim. Przez okna widać, że furgonetka jest wypełniona po brzegi kołdrami i workami pełnymi ciuchów, spoczywającymi na mojej komodzie i trzecim z kolei wybranym przeze mnie Buddzie („Och, tego też nie możesz wziąć, Johanna, bo podoba mi się jego twarz”).

Wszystko, co posiadam, znajduje się w tym samochodzie.

Zapłaciłam za kanapkę dla taty („Należy się za fatygę, Johanna”).

Zapłaciłam też za tytoń („Żeby nie zasnął za kierownicą”) i dużego czekoladowego shake’a („Staruszkowi należy się w końcu jakaś przyjemność”).

Jakby tego było mało, zapłaciłam też za benzynę, która, jak zapewniał mnie tata z wielce poważną miną, kosztowała dziewięćdziesiąt funtów. Dopiero kilka lat później dowiedziałam się, jakie były ceny benzyny w 1993 roku, i szczerze podziwiałam starego skurczybyka: do końca próbował mnie naciągnąć, nawet wtedy, gdy się ze mną żegnał.

Wsiadamy do furgonetki, staruszek siorbie shake’a, a my przyglądamy się ludziom za oknem, którzy uciekają przed deszczem.

– Gdybyśmy byli zmuszeni, moglibyśmy tu rozbić obóz – mówi pocieszająco, stukając ręką w deskę rozdzielczą. – Mamy kuchenkę, zlew, łóżka piętrowe –

moglibyśmy tu zamieszkać, gdyby było trzeba. Rozbilibyśmy tu obóz i zrobili z niego nasz nowy dom.

– Co za pojebany pomysł – odzywa się Krissi z tyłu.

Widzę Krissiego w lusterku wstecznym. Siedzi wciśnięty między kołdrą a zasłonami, z psem na kolanach. Pies, podobnie jak ja, cierpi na chorobę lokomocyjną i nie może siedzieć na podłodze, bo inaczej rzyga.

– Możemy już stąd spierdalać? Zaczyna tu cuchnąć mięsem, a ja nie mogę uchylić okna, bo mi zawadza psia mordą.

Wczoraj wieczorem Krissi przyszedł do mojego pokoju („Puk, puk. Chyba nie brandzłujesz się lakierem do włosów, Johanna, bo jeśli tak, to przysięgam, że cię zabiję”) i oznajmił mi, że jedzie ze mną do Londynu na pierwsze kilka tygodni („Dopilnować, żeby nic ci się nie stało i żebyś sobie przez przypadek nie wyciąchała siekierką listy zakupów na ręce”).

Tak mówi, ale widziałam, jak w kiosku ukradkiem spoglądał na listę klubów w „Pink Paper” – i wiem, że tak naprawdę jedzie tam, by zabrać mnie do pierwszego w moim życiu gejowskiego klubu, żebym wreszcie mogła zaprzyjaźnić się z jakimś gejem!

– Proszę, odpalaj już – mówi Krissi. – Ten parking zaczyna mnie dobijać.

Tata włącza silnik, wyjeżdża z zatoczki i zaczyna majstrować przy odtwarzaczu: – Jakieś życzenia?

Na to pytanie jestem już od jakiegoś czasu przygotowana. Mam na kasecie nowy singiel Blur *For Tomorrow*. Od miesiąca mam na jego punkcie obsesję. Ponieważ wciąż są u mnie widoki na legendarność, od dawna planowałam, że właśnie tej piosenki będę słuchać, emigrując na południe – Damon będzie śpiewał o Londynie i zgubieniu drogi na Westway, a ja będę wyglądać majestatycznie i patrzeć z optymizmem. Wyobrażałam sobie nawet, że tata odwróci się do mnie i powie: „Ej, to o tobie, dziecko. To ty jesteś dwudziestowieczną dziewczyną”, a ja zapalę papierosa i powiem: „No pewnie, że tak, tatku”. To będzie jak czar rzucony na moje przyszłe życie. Talizman na drogę. To będzie kluczowy moment mojego życia.

Przez chwilę słuchamy tej piosenki w milczeniu. Wjeżdżamy na autostradę.

– To jakieś londyńskie gówno – mówi wreszcie Krissi. – Włącz Bee Gees.

Włączam Bee Gees – *Tragedy* – akurat gdy tata wyprzedza naraz trzy samochody.

– Więc – zagaduje tata, gwałtownie skręcając przed vauxhallem astrą – widziałem, że jutro wieczorem jest koncert Björk. Możesz nas wpisać na listę gości, co nie, Johanna? Stary Pat Morrigan plus osoba towarzysząca? Bo ja mam pewien plan. Wbijemy się na imprezę po koncercie i pogadamy z tymi palantami. – Wygląda na podekscytowanego. – Z tymi wielkimi palantami. Z tymi, którzy mają władzę, czyli z tymi najgorszymi. Szczerze mówiąc, czuję się jak skończony dupek, gdy pomyślę, że wysyłałem te wszystkie taśmy demo, licząc na jakąś recenzję od tych wypisujących bzdury nędznych dziennikarzy. Bez urazy, kochana. A powinienem był przez cały ten czas chodzić na imprezy. Być tam, gdy zaczyna się wciąganie i przychodzą dziwki. Bo wtedy właśnie robi się interesy. Idę o zakład, że wciąż ci sami skurwiele kręcą tym biznesem. Założę się, że kogoś bym tam rozpoznał. Kiedyś ich przecież wszystkich znałem. Był tam taki jeden gość z działu A&R, łowca talentów, tak...

Patrzę przed siebie na drogę, gdzie wszystkie znaki – w niemożliwie fascynujący sposób – oznajmiają, że oto zbliżają się LONDYN i POŁUDNIE. Mam siedemnaście lat. Mam ze sobą brata, psa i laptopa, na którym tippexem napisałam „John Kite”. Wierzę w muzykę, dzin, radość, paplaninę i ludzką życzliwość. Na ramieniu mam ostrzegawcze blizny, a przed sobą nową, pustą ścianę do wyklejenia twarzami i słowami. Wciąż chcę jakoś zmienić świat i nadal muszę zapewnić tacie sławę. Jadłam narkotyki z chusteczki do nosa, uprawiałam seks z medycznie niewskazanym penisem, zawstydziłam chłopaków ze Smashing Pumpkins, odrzuciłam propozycję trójkąta cytatem z *Łowcy androidów* i próbowałam pocałować mojego bohatera przy dźwiękach serenady śpiewających gibbonów. I jak w przypadku wszystkich najlepszych wypraw i poszukiwań – zrobiłam to wszystko dla pewnej dziewczyny: dla mnie.

– ...i on zdecydowanie ma u mnie dług – ciągnie tata i zaczyna rolować sobie skręta lewą ręką, jak wytrawny kierowca ciężarówki. – Nie pamiętam, jak się nazywa. Jeśli mam być szczerą, to żadnego nazwiska już nie pamiętam. Ale jeśli w ramach koleżeńskiej przysługi zniosło się czyjaś nieprzytomną żonę po schodach przeciwpożarowych w berlińskim hotelu, to pamięta się twarz tego gościa. Jeśli go zobaczę, mała. Jeśli on jutro tam będzie, kochana, to – tata zapala papierosa – będziemy, kurwa, srali kasą, jeszcze zanim przyjdą święta.



## Podziękowania

Pisanie książki jest gorsze niż poród – poród w piekle – po którym się umiera, a potem zostaje przywróconym do życia tylko po to, by urodzić jeszcze jedno dziecko, które tym razem wychodzi oczami – chociaż w oczach nie ma dziur i dziecko nie ma jak stamtąd się wydostać. A może jeszcze gorsze.

Czy powiedziałam, że jest trudne? Jest bardzo trudne. Kiedy siedzisz cały dzień na krześle, to naprawdę boli cię tyłek. Poważnie. A tu jeszcze dziecko wychodzi ci oczami. Och, zwracanie głowy.

„Podziękowania” nie są więc tak naprawdę podziękowaniami – są raczej pokorną, głęboką, łzawą wdzięcznością wobec tych wszystkich ludzi, którzy dowlekli mnie do mety. Mój brytyjski wydawca Jake Lingwood oraz mój amerykański wydawca Jennifer Barth – oboje poświęcili tyle czasu i uwagi, włożyli tyle serca w tę książkę i udzielili mi tylu cennych uwag. Nie mogłam wymarzyć sobie lepszych ludzi po obu stronach Atlantyku. To tak, jakby moim wydawcą byli Godzilla i Mothra. Jesteście wyjątkowi. Jesteście jak podwójny zysk.

Louise Jones i Claire Scott z Ebury UK oraz Gregory Henry z HarperCollins US – nie ma nic bardziej seksownego niż radosna wyniosłość i okrzyk: „Koktajle?!”, a wy nieustannie reprezentujecie jedno i drugie.

John Niven – tak pochlebnie wyraził się o szkicu, który mu pokazałam, że aż się popłakałam. Do zobaczenia w piekle, łajzo.

Moi bracia i siostry – smarkule i smarkacze. Bardzo mi przykro, ale napisałam kolejną książkę o brandzłowaniu się i bzykaniu. Nie martwcie się – nigdy was nie zapytam, czy ją przeczytaliście. Możemy wszyscy udawać, że cała ta „sprawa z książką” nigdy się nie zdarzyła.

Jesteście bez wątpienia najwspanialszymi ludźmi, jakich kiedykolwiek poznałam, a poznałam wszystkich z zespołu Inspiral Carpets oraz tego gościa, co napisał *Bagpussa*, więc – jeśli mam być szczerą – to naprawdę wiele znaczy.

Simon Osborne i Imran Hussain z Child Poverty Action Group, którzy obliczyli, jakiej wielkości zasiłki mogła pobierać rodzina Murriganów w 1990 roku. Dziękuję wam. Gdy głowiłam się nad tym w pojedynkę, omal nie wyskoczyłam przez okno.

Najważniejsze podziękowania należą się Georgii Garrett – agentce tak wyjątkowej, że nie chce mi się wierzyć, że w ogóle jacyś inni agenci są jeszcze na świecie. W odpowiedzi na moje nagłe wezwanie, w lipcu, Georgia przyjechała do mojego domu i zastała mnie siedzącą w ogrodzie, z głową na stole, obok laptopa, zapłakaną i słuchającą w kółko *Get Lucky* Daft Punk.

– Nie napiszę tej książki – powiedziałam. – Popełniłam straszny błąd. Jestem najgorsza na świecie. Nie znam słów, chcę zmienić nazwisko i wyjechać do innego kraju. Może będę uprawiać kapustę albo wywozić szambo. Zaczyna mnie ogarniać lęk. Mam napad lęku. O Boże, nie mam czucia w głowie. Popadam w otępienie.

A ona zrobiła mi herbaty, a potem usiadła i zaczęła... zadawać pytania, sugerować to i owo, aż nagle zrozumiałam, że może jednak uda mi się dokończyć tę książkę.

A potem przerabiałymy to jeszcze dziewięć razy. Dziewięć razy. Pod koniec było nawet zabawnie. Dla mnie. Może dla niej nie. George, gdyby nie ty, ta książka naprawdę by nie powstała. W tych słowach nie ma żadnej przesady. Wiem, że ciągle to powtarzam, ale jeśli któregoś dnia przestaniesz być moją agentką i przyjacielem, po prostu rzucę się do studni.

Zespole Elbow, którego utworami (wszystkimi) biczowałam się bezlitośnie podczas pisania *Dziewczyny, którą nigdy nie byłam* – jesteście najlepszym przykładem na to, że klasa robotnicza robi to inaczej: ciężką pracą przekazując „uniwersalne emocje w najdrobniejszym szczególe” (copyright Dorian Lynskey) i z miłością.

Dziękuję Lauren Laverne, która w Giraffe oddała mi mój rozsądek na talerzu, dosłownie.

I wreszcie dziękuję mojemu mężowi Pete’owi, który przyczynił się do powstania teraz już trzech dziewczyn. Nikt inny nie mógł zauważyć, że wspomniany w pierwszym szkicu zespół Grant Lee Buffalo – w czasach, w których toczy się fabuła – „wydał tylko jedną epkę, i to w ograniczonym nakładzie, i najprawdopodobniej nie był jeszcze znany w Wolverhampton” i że zamiast tego powinnam napisać o Uncle Tupelo. Po czym poszedł składać swój własny gramofon. Kocham cię, Pete.

## Przypisy końcowe

1. Wstęp bez marynarek (przyp. tłum). [\[wróć\]](#)
2. *Bones* w angielskim slangu oznacza „penis” (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
3. W przekładzie Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)